

T. 3786 Chm. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYZ Nr 7/33—8/34 1950



• «La Culture» • Revue mensuelle •

J. CZAPSKI — «Biada urzędnikom» • M. SOKOLNICKI —
Prolegomena do historii naszych czasów • M. WANKOWICZ —
O Żydach • Z. MARKIEWICZ — «Przyjaciele - Moskale» •
W. A. ZBYSZEWSKI — Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim
♦ WSPÓLCZESNI POeci UKRAIŃSCY w przekładzie J. ŁO-
BODOWSKIEGO • Ł. MAŁECKI — Żelazna kurtyna i euro-
pejska równowaga gospodarcza ♦ ARCHIWUM POLITYCZNE
♦ SPRAWY KRAJOWE ♦ NAJNOWSZA HISTORIA
POLSKI ♦ KRONIKA KULTURALNA ♦ KSIĄZKI

SPIS RZECZY

Józef Czapski:	„Biada urzędnikom”	3
Michał Sokolnicki:	<i>Prolegomena do historii naszych czasów</i>	12
Melchior Wańkiewicz:	<i>O Żydach</i>	34
Zygmunt Markiewicz:	„Przyjaciele Moskale”	55
Tymon Terlecki:	<i>Pisarstwo W. Kogustawskiego</i> ..	66
W. A. Zbyszewski:	<i>Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim</i>	73
Zygmunt Haupt:	<i>Warianty</i>	80
♦		
Józef Czapski:	<i>Pejzaż amerykański (rysunki)</i> ..	86
ARKUSZE POETYCKIE		
J. Łobodowski (przekł.):	<i>Współcześni poeci ukraińscy</i> ..	93
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>List z Wyspy</i>	113
Ł. Małecki:	<i>Zelazna kurtyna i europejska równowaga gospodarcza</i>	123
Leon Orłowski:	<i>Uwagi o podłożu polityki amer.</i>	131
SPRAWY KRAJOWE		
Wł. Pobóg-Malinowski:	<i>Nocna z rodakiem rozmowa</i> —	141
M.:	<i>Ustawa o socjalistycznej dyscyplinie pracy</i>	155
Wacław Szyszkowski:	<i>Nowe prawo rodzinne w kraju</i>	157
»	<i>U źródeł samokrytyki</i>	162
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI		
Józef Zych-Dolina:	<i>Pamiętny lipiec w Lublinie</i>	166
—	<i>Listy do Redakcji</i>	188
KRONIKA KULTURALNA		
J.M.R.:	<i>Dramat malarstwa</i>	193
Tadeusz Heinrich:	<i>Na scenach paryskich</i>	198
Stanisław Westfal:	<i>Radziecki czy sowiecki</i>	203
KSIĄŻKI		
Józef Ursyn:	<i>Spacer po domach wydawniczych (dok.)</i>	210
Jan Ulatowski:	<i>Hitler i jego partnerzy</i>	213
R. Wraga:	<i>O nowej książce J. Burnhama</i> ..	219
Wł. Bączkowski:	<i>O Cieśninach tureckich</i>	227
Maria Czapska:	„ <i>Dialogues des Carmélites</i> ”	232
—	<i>Nowości francuskie</i>	235
BIBLIOGRAFIA		
Jan Kowalik:	<i>Polonica niemieckie (c. d.)</i>	237
—	<i>Listy do Redakcji</i>	240

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Juillet - Août

1950

INSTITUT



LITERACKI



P. 9486 Chk. Arch.

IMPRIME EN FRANCE.

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

« Biada urzędnikom »

Między 26 a 30 czerwca br. odbył się w Berlinie Międzynarodowy Kongres w sprawie Wolności Kultury; wzięli w nim udział literaci, dziennikarze, intelektualiści i uczeni amerykańscy i zachodnio-europejscy. Na powyższy kongres zostali również zaproszeni, z naszego miesięcznika, Józef Czapski i Jerzy Giedroyc. W czasie Kongresu Józef Czapski wygłosił przemówienie w języku francuskim, które — ze względu na wagę zagadnień w nim poruszanych — podajemy poniżej w tłumaczeniu.

Obszerne sprawozdanie i omówienie Kongresu zamieścimy w następnym numerze.

Fakt, że literatura, poezja, muzyka rosyjska po niebywałym rozkwicie giną po 33 latach sowieckiej "pedagogii", że cała prasa sowiecka jest "zglajchsztaltowana" konsekwentnie i w sposób nieprawdopodobnie monotony — fakty te są już dzisiaj na Zachodzie znane każdemu, który tymi sprawami chce się interesować.

Może mniej znane jeszcze jest przyspieszone tempo, z którym się udaje w krajach świeżo włączonych w orbitę wpływów sowieckich przeszczepić metody krytyki sowieckiej i narzucić w dziedzinie Sztuki i prasy, jedyny obowiązujący punkt widzenia i zniszczyć we wszystkich przejawach kultury to, co Błok nazwał "wolnością tajemną".

"Poeta umiera, bo brak mu powietrza dla oddechu, życie straciło swój sens" — mówi Błok na obchodzie Puszkiniowskim w 1921 r. w Petersburgu parę miesięcy przed śmiercią. — "Biada urzędnikom, jeżeli próbują siłą kierować poezję na drogi przez nich wyznaczone, jeżeli sięgają po jej *wolność tajemną*, przeciwstawiając się dokonaniu jej tajemniczego przeznaczenia".

Ale chodzi tu nie tylko o "wolność tajemną" poezji, nawet nie tylko o wolność całej sztuki i całej nauki, tu chodzi o wyniszczenie przez urzędników w człowieku każdej myśli i każdego przeżycia, jeżeli ono nie idzie po drogach przez nich wyznaczonych. Dziś metody, przez 33 lata rozbudowywane, są stosowane wszędzie, gdzie sięga władza sowiecka. W samej Rosji przede wszystkim, ale o tym jeszcze świat wie najwięcej. Koleje losu

Szostakowicza i Prokofiewa, Wawilowa czy Achmatowej dotarły już do świadomości wielu ludzi na Zachodzie. Ale to samo dzieje się na Ukrainie, gdzie na gruzach bujnie po tamtej wojnie rozkwitłej literatury ukraińskiej, po wystrzelaniu i zesłaniu na wyspy Sołowieckie i na Kołymę pisarzy i poetów, panują ludzie typu Korniejczuka, piszący w pismach moskiewskich donosy na jeszcze niedostatecznie posłusznych kolegów, pisarzy ukraińskich.

"Szczęśliwe republiki Łotwy i Litwy" najpóźniej włączone do Związku Sowieckiego, których większość szczęśliwych obywateli została wywieziona w głąb Rosji, organizują zjazdy, gdzie — jak zawsze jednogłośnie — ogłaszają rezolucje wystawiające zdobycze kulturalne najjaśniejszej Moskwy i historyczne wypowiedzi na przykład Żdanowa, który w swoim czasie druzgotał twórczość Achmatowej i Zoszczenki. Pisarze i poeci tych republik, zapewniają, że dopiero po tych historycznych wypowiedziach literatura szczęśliwych republik daje niebywałe owoce.

W tym samym kierunku, tymi samymi metodami już standaryzowanymi, jest włączona przez "urzędników na drogi przez nich wyznaczone" w tempie coraz szybszym literatura, sztuka, nauka, na ziemiach polskich.

Kiedy parę lat temu niektórzy z moich przyjaciół z Polski, namawiali nas, emigrantów, do powrotu do kraju (jakby trzeba było nas do tego namawiać, gdybyśmy wrócić czuli się w prawie!), mówiłem im, że sowietyzacja pójdzie w naszych krajach w tempie przyspieszonym, bo już wypróbowanym, że ten wąski odcinek swobody, wówczas jeszcze pozostawiony, musi być niechybnie zlikwidowany i cóż wtedy ma robić w Polsce pisarz godny tej nazwy, to znaczy, piszący uczciwie, co ma robić malarz czy nawet muzyk, tworzący to, co tworzyć wewnątrz musi, każdy artysta, pochłonięty poszukiwaniem wiernego wyrazu dla swej wizji, która wcale nie potrzebuje się rodzić w wieży z kości słoniowej i być obojętna na sprawy polityczne czy społeczne świata, by być przeciw *jedyną* i żadnym wskazówkom z zewnątrz niepodległą.

Słyszałem wielokrotnie odpowiedź, że żyję pod urazem moich lat sowieckich, że Polska o kulturze zachodniej potrafi stworzyć nowy rzetelniejszy i bardziej płodny stosunek sił między państwem a twórczą jednostką. Cóż mogłem im odpowiedzieć innego, jak to że im życzę, bym nie ja, ale oni mieli rację. Dziś już każdy uznać musi, każdy z tych optymistów, że się pomylił, że proces równania na Sowiety rozwija się w progresji geometrycznej.

Jedni pisarze zamilkli, inni się zamurowali w najbardziej fachowo ograniczonych studiach specjalnych, lub w badaniach bardzo dalekiej przeszłości. Wszystko co w jakimkolwiek stopniu problem aktualizuje, naświetlając go nie całkiem po linii partyjnej albo nieodpowiednio do obowiązującego w danej chwili etapu polityki kraju — jest bezlitośnie niszczone. W malar-

stwie walka o realizm socjalistyczny w duchu dzisiejszych obrazów sowieckich, które trudno nazwać malarstwem, jest w pełni. Nawet na ostatnim zjeździe muzyków w Poznaniu, grano już prawie wyłącznie sowieckich antyformalistów.

Wystarczy przejrzeć szereg pism polskich, właśnie literackich, (zdawać by się mogło, że tam panuje jeszcze cień swobody), aby się przekonać, że temat sowiecki, że sztanca sowiecka, panoszą się tam już prawie bezapelacyjnie. Wszystko co jest zachodnie, jest zgnilizną, do której dotykać się nie wolno, pod grozą, że będzie się posądzonym, o niskie pochlebstwa wobec zgniłego Zachodu. Naturalnie, wyłączeni z tego indeksu są tacy wielcy pisarze jak Aragon, Thorez i im podobni.

Wszystko co jest amerykańskie, jest jedynie i wyłącznie kapitalistycznym wyzyskiem krwawych milionerów, a cała Ameryka zajmuje się tylko mordowaniem murzynów u siebie i zastrzykiwaniem potężną szprycą Coca-Coli konającemu nędzarzowi, który się nazywa Europa Zachodnia.

Za to, wszystko co ma związek z Rosją Sowiecką jest wspańiałe. Literatura współczesna sowiecka, muzyka, malarstwo współczesne sowieckie, teatr współczesny sowiecki, wszystkie te dzieła są tłumaczone, grane, omawiane zawsze pochlebnie w całej prasie polskiej, jako wzory doskonałe. Za chwilę nie będzie mowy o niuansach i w tym zakresie, bo pochwała mniej entuzjastyczna jest już podejrzana. Pisarz, który zaryzykował w rozmowie prywatnej wniosek, że więcej go interesuje Tomasz Mann niż Fadiejew czy Ehrenburg, jest demaskowany w prasie jako człowiek z kompleksem antysowieckim, a więc w najlepszym razie nieświadomy sługa faszystów. Niech by spróbował pisarz polski dzisiaj w książce czy artykule wypowiedzieć się o Zachodzie czy o Ameryce nawet krytycznie, ale nie w wersji obowiązującej, nie mówię nawet o krytyce jakichś przejawów życia sowieckiego, w najlepszym razie nigdzie by go nie wydrukowano, albo tekst jego artykułów zostałby bezceremonialnie sfalszowany.

"Krytykować ustrój burżuazyjny — pisze Borowski — można tylko ustami marksisty, wszelka inna krytyka jest zamaskowaną obroną reformistyczną, jest brudną leżką".

Jest inny, jeszcze groźniejszy symptom sowietyzacji. Polscy pisarze już dzisiaj iść muszą po drodze sowieckiego kajania się, sowieckiej spowiedzi publicznej. Mamy już całą gamę tych spowiedzi, od zażenowanych, najwidoczniej wymuszonych przez strach czy inny szantaż, jakby próbujących jeszcze bronić wazliwej zony wolności twórcy, do takich, które trudno czytać bez wstydu. Nawet dziś, tych ludzi nie wolno nam sądzić, bo wiemy dobrze czym grozi każdemu z nich, jego rodzinie, nie tylko cień nieposłuszeństwa, ale chociażby kajanie się niecałkowite, chociażby jedno zdanie, które może naprowadzić na podejrzenia "kompleksu antysowieckiego". Ale są spowiedzi inne, młodych utalentowanych pisarzy, żarliwe, które brzmią naprawdę szcze-

rze. Ci młodzi ludzie mają za sobą nieraz koszmar obozów niemieckich. Oni najwidoczniej uwierzyli nie tylko, że stalinizm jest jedyną drogą ratunku przed tamtym koszmarem, ale uwierzyli, że walka klas jest absolutem, że wszystko co się wymyka poza marksizm w stalinowskim wydaniu, jest diabłem wcielonym. Ci młodzi ludzie, denuncjują swych własnych kolegów, niedostatecznie wiernych linii, kolegów, którzy się kajali połowicznie. Mówią denuncjują, bo jak nazwać inaczej ataki na pisarzy, którzy nie mogą odpowiedzieć pełnym głosem i muszą milczeć albo się poddać zupełnie. Ci młodzi nowocześni inkwizytorzy, przemawiają nawet językiem starych inkwizytorów "wystaw diabłu palec, sięga po człowieka". Tym palcem wystawionym ku diabłu, jest dla pisarza reżimowego nawet cień tej wolności, jaki pisarze, artyści polscy próbują jeszcze ratować przed zagiadą.

Wielka tradycja literatury polskiej — ładunek wolności w okresach największego ucisku, została w kraju złamana, tak samo jak w Rosji, tak samo jak na Ukrainie.

Wystarczy się przyjrzeć procesowi narastania wpływów sowieckich w literaturze i w prasie jednego z krajów za kurtyną, żeby wiedzieć jak się sprawy rozwijać będą w drugim. Różnica polega jedynie na różnicy tempa w różnych etapach, zależnych od elastycznej, w Moskwie ustalonej, taktyki.

To wszystko idzie tak wytyczoną drogą, iż chciałoby się powiedzieć, że to jest banalne, gdyby nieszczęście mogło być kiedykolwiek "banalne".

Ale czy myśmy się zebrali, żeby otwierać drzwi otwarte i powtarzać po raz setny fakty, których głusi i tak nie usłyszą, a ludzie czujni znają od dawna?

Chciałbym dzisiaj poruszyć temat inny, nie tylko najcisiej ze sprawą kultury związany, ale jeżeli chodzi o jej przyszłość w tamtych krajach, najważniejszy — sprawę młodzieży. Co jest wart pisarz, jeżeli nie nosi w sobie nadziei, że myśl jego na nim się nie kończy, że służy wspólnej sprawie, że przyjdą po nim i to w jego kraju ojczystym inni, którzy inaczej, lepiej, dalej walczyć będą o to samo o co on walczyć próbował; czy nawet taki istnieje, który nie pragnie spadkobierców? Co jest wart dzisiaj pisarz, dla którego to co on pisze, jest jedynie prywatną delectacją w zabitym deskami ciasnym światku jego interesów, który nie wie, że "Wieszczów było tyle, ile jest blizn dotkliwych".

Przecie nie tylko wieszcz powinien wierzyć, ale nawet najskromniejszy z nas, że ma on swoje miejsce i swoją konieczność, której mu zdradzić ani na jotę nie wolno, "że słowo jeżeli brak powietrza...", to nie tylko wieszcz, ale każdy z nas musi próbować "dotknąć kluczem zenitu skąd aura płynie letsza".

Borowski, jego tchnący szczerością ton, żarliwy i prosowiecki, jego wzgarda dla sztuki nieupolitycznionej całkowicie i niepod-

porządkowanej instrukcjom partyjnym, jego wiara, że to jest zenit właśnie "skąd aura płynie letsza", taki pisarz jak Borowski, nie może być jedynie wyjątkiem w kraju, w którym podczas komunistycznego kongresu pokojowego w Paryżu — 12letnie dzieci z polskiej prowincji musiały wkuwać w szkołach przemówienia delegatów zjazdu. W tym świecie jest dzisiaj młodzież, posiadająca mniej niż gdziekolwiek indziej argumentów rozumowych do przeciwstawienia całej propagandzie sowieckiej, wypracowanej na konsekwentnie spreparowanych informacjach ze świata.

Nie dosyć jesteśmy świadomi niebezpieczeństwa *sukcesów* sowietyzacji młodzieży na ogromnej połaci Europy, między Berlinem a Rosją.

Jeżeli unicestwienie wolnej twórczości w krajach, zajętych po ostatniej wojnie, zostało tak szybko podciągnięte do dzisiejszego stanu, to — nie ludźmy się — praca nad młodzieżą dała również wielkie rezultaty.

We wszystkich państwach totalnych młodzież jest uprzywilejowana, praca nad nią uważana za zadanie najpierwsze. Kraje poza zasięgiem komunizmu mogłyby się dzisiaj wiele nauczyć uświadamiając sobie *ważność* tej pracy w hierarchii zadań.

W niezmiernie trudnych warunkach materialnych stan młodzieży jest przecież lepszy niż los starszych. Łatwiej znajduje pracę, lepiej się odżywia, łatwiej może mieć w takich czy innych upolitycznionych zespołach wyższość i wywczas. Ale dziś już w Polsce młodzież, nienależąca do takiego czy innego komsomolu, ma słabe szanse zdania matury, a już tym bardziej przejścia egzaminu politycznego, który jest warunkiem trafienia do uniwersytetu. To jest bardziej groźne niż wybrażać sobie możemy w krajach, gdzie nie ma schronienia od maszyn totalizmu nie tylko dla buntowników, ale nawet dla niezależnych. Ale nie tu jest najistotniejszy moment, którym reżim zdobywa młodzież. Na całym świecie młodzież najżywsza, najszlachetniejsza nie chce żyć na marginesie rzeczywistości, gotowa jest do ofiar, ale w imię wizji całościowej, tęsknoty uniwersalnej. Tylko na drodze bolszewickiej rzeczywistości codziennej i apokaliptycznej komunizmu, ta młodzież ma tam możliwości społecznego wyższości. Jeżeli nie idzie po tej linii, jest brutalnie odsuwana od wszystkiego. Walka z kapitalizmem, widzianym poprzez sowieckie krzywe zwierciadło, wyzysk i nieprawości, których tyle jest i tutaj, w krajach nieogarniętych komunizmem — o czym nieustannie pisze prasa sowiecka — jest jedyną pożywką, docierającą do niej przez prasę, przez radio, przez szkołę i organizację. Cóż dziwnego, że wielu z tej młodzieży wierzy, że tą drogą, włączając się w nurt sowiecki, biorą udział w budowaniu nowego, szczęśliwego świata, dziś od Berlina do Szanghaju — jutro na kuli ziemskiej. O ile łatwiej propaganda ta może działać na młodych, o zmyśle krytycznym mniej uczulonym i wyrobionym, bo poza dzisiejszą rzeczywistością znajdującym jedynie obozy niemiec-

kie i okupację niemiecką, bez innych miar porównania. O młodzieży tej mówimy przeważnie zbyt schematycznie i abstrakcyjnie. Zapominamy jaką ona ma przeszłość. W krajach środkowo-wschodniej Europy przeżyła ona klęski swych krajów, widziała nie tylko walkę i opór, ale i nieustanne spektakularne okrucieństwa gestapowców, rozstrzeliwania na ulicach ludzi z zatkanymi gipsem, by nie mogli krzyczeć, ustami. Ta młodzież słyszała o torturach od dzieciństwa, jak o zjawisku nie wyjątkowym, ale normalnym. Jeżeli chodzi o Warszawę, ogromny odsetek jej siostr i braci zginął pod gruzami opuszczonej przez świat całej stolicy. Dziwimy się dzisiaj, że reakcje tej młodzieży są nieraz inne, brutalniejsze, całkowitsze niż te, na które się zdobyć umiała młodzież sprzed lat dwudziestu, wychowana w warunkach bardziej osłoniętych.

Wyzwolenie od hitleryzmu w krajach, które pod pozorem obietnic demokratycznych wyborów całkowicie oddano w ręce Sowietów, nauczyły tę młodzież niewiary w sprawiedliwość dziejową i wielkiej goryczy wobec "sprawiedliwego" demokratycznego Zachodu. Kraje, które najwięcej ofiar poniosły, zamieniły jedynie Gestapo na NKWD i inne "Bezpieki". Cóż może młodzież tych krajów myśleć o zwycięskich aliantach?

I my mamy dziś tę młodzież sądzić? Cośmy dla niej zrobili? I co my robimy z naszą wolnością? Co przeciwstawiamy konsekwentnej, działającej na imaginację i na praktykę dnia codziennego propagandzie sowieckiej? Czy to, że spokojnie patrzymy, jak ci wszyscy, którzy się stamtąd wydobyli, jak ta cała młodzież ginie rozproszona po wszystkich krajach świata? Znowu i znowu zastanawiam się nad tym, dlaczego nie wśród nas, ale w państwach totalnych, realizowane są pomysły i inicjatywy rzutujące w przyszłość i pomyślane szeroko, uniwersalnie. Ludzie, którzy dzisiaj rządzą w Polsce, w Chinach, w Albanii czy Bułgarii i w tylu innych państwach, iluż z nich sprowadzano do Moskwy i tam uczono w warunkach wyjątkowo dogodnych. Dramatyczna sytuacja finansowa ówczesnej Rosji, głody na Ukrainie, nie były przeszkodą by ściągać do Rosji, do jej uczelni politycznych i partyjnych, najbardziej śmiała i rewolucyjną młodzież świata. Dzisiaj widzimy, że ta kolejność ważności, była politycznie mądra, realistyczna, bynajmniej nie utopijna, że Sowiety dzisiaj, dzięki temu, dysponują wszędzie, na kluczowych stanowiskach, zastępem wiernych, wyćwiczonych przez siebie uczniów.

"Voice of America" i szereg innych rozgłośni, próbujących przenikać poza kurtynę tłumacza zamieszkałym tam obywatelem, o ile lepiej jest żyć na Zachodzie i jak dobrze w Ameryce zarabia robotnik. Dzięki warunkom nie do zniesienia w naszych krajach dla bardzo wielu, ale także jako rezultat tej kontr-propagandy, tysiące ludzi, z ogromnym odsetkiem młodzieży, nawet niedorostków, ryzykuje wszystko, by się ku tym krajom wolności wydobyć. Większość jest wyłapywana przez

różne "bezpieki" i skazywana na wieloletnie więzienie. Ci, którym się udaje przecieć na Zachód trafić — idą na poniewierkę. IRO już nikogo nie przyjmuje. "New York Times", z 28 maja, podaje korespondencję z Genewy, gdzie mowa jest o 6 - 7 tysięcy ludzi, uciekających miesięcznie do Niemiec, Austrii, Włoch i Grecji. Zresztą nikt nie zna cyfr dokładnych, bo nikt za tych ludzi nie jest odpowiedzialny. Są wśród nich tacy, którzy pracy w żaden sposób nie znalazłszy, tworzą bandy leśne. Są również inni, którzy wracają z powrotem do swych krajów, przeżarci goryczą do Zachodu, który tak inaczej w ich oczach wygląda, niż Zachód w propagandzie radiowej.

Rozumiem, że może nawet bogata Ameryka jest za biedna, żeby utrzymać tę nieustannie płynącą falę zbiegów, niemniej jest jednak wśród nich jedna kategoria, którą ratować świat zachodni w pierwszej kolejności powinien: to jest młodzież.

Ta młodzież, ucieka z krajów, bo propaganda sowiecka jej nie potrafiła urobić, bo nie chce być janczarami sowieckimi i ona musi znaleźć nie tylko pracę, ale możliwości *dalszego kształcenia*, bo inaczej, wszystko co tutaj mówimy o wolności kultury i przyszłości Europy jest szkodliwą, bo bezpłodną, frazeologią. Jako przeciwstawienie stotalizowanej dyscyplinie stalinowskiej i wykształconym zastępem młodzieży, musimy stworzyć kadry młodzieży, która by miała inną wizję niż stalinowski totalizm, jako przeciwstawienie niezliczonym uniwersytetom i wielonarodowym szkołom partyjnym, założonym za kurtyną, musimy zacząć budować nasz uniwersytet. Dotychczas nie stworzyliśmy żadnej nawet ramy *szerszej*, żadnej koncepcji na miarę wypadków, w którą moglibyśmy ująć ten element najbardziej dynamiczny. Próby w tej dziedzinie, podejmowane w Niemczech, wszystkie wygasły z powodu braku środków.

Wracam z Ameryki. Tam się zetknąłem z inicjatywą studentów Uniwersytetu Columbii, którzy przyszli z pomocą finansową stworzonemu w Berlinie wolnemu uniwersytetowi niemieckiemu. Jest to piękny przykład solidarności młodzieży i próby aktywnej reakcji poprzez wolną naukę, na propagandę prowadzoną o miedzę. Ale nie wolno nam zapominać, że poza młodzieżą niemiecką, jest jeszcze ta inna młodzież, która ma za sobą ponad 10 lat reżimu Gestapo i NKWD. Ta młodzież ma także prawo do pomocy. Założmy uniwersytet, chociażby na początek załadunek uniwersytetu dla młodzieży estońskiej, łotewskiej, litewskiej, polskiej, węgierskiej, czeskiej, słowackiej, bułgarskiej, rumuńskiej, albańskiej, ukraińskiej a nawet — rosyjskiej. Niech profesorami w tym uniwersytecie będą wybitni fachowcy, również stamtąd zbiegli, niech będą także uczeni z Zachodniej Europy i ze Stanów, profesorowie amerykańscy, którzy mogą tego rodzaju uniwersytetowi nadać charakter wyprany z tak trudno zrozumiałych dla Amerykanów, a tak Europę niszczących europejskich animozji nacjonalistycznych. Spróbujmy zainicjować

taki ośrodek młodzieży, niech by do tego uniwersytetu wpłynęła również młodzież amerykańska, która by chciała realnie, nie tylko poprzez książki, zetknąć się i zapoznać ze światem Europy Wschodniej. Gdy poruszałem tę sprawę w Europie czy Stanach, mówiono mi przeważnie, że byłaby to impreza zbyt kosztowna, niemniej bardzo wielu ludzi, zdawało się nią interesować. Ale czy stworzenie kadr młodzieżowych, nie zatruwając stalinizmem, z krajów okupowanych przez władzę sowieckie, nie jest w ogóle *warunkiem* bez którego rozmowy o uwolnieniu tych krajów stają się bezpłodnym marzeniem ludzi patrzących wstecz, a nie przed siebie. Czy jeżeli rzeczywiście walka o duszę zastępów tej młodzieży jest ponad siły moralne czy materialne przeciwników stalinowskiego komunizmu, czy w ogóle mają sens nasze zebrania, czy nie zamieniają się w jakieś intelektualne gadalnie „z których Stalin ma prawo serdecznie się naśmiewać, bo on czasu nie traci, bo równoległe z wykradaniem sekretów atomowych, montuje szkoły i uniwersytety partyjne, żłobiąc i urabiając systematycznie na całym globie, to, co jest przyszląścią świata — młodzież.

Nie wierzę w realizm, nie wierzę nawet w rzeczywistość, aktywną wolę walki o wolność tych inteligentów, tych pisarzy, którzy obojętni na spadkobierstwo swojej myśli, nosa nie wysuwając poza swoje prywatne sprawy, kawiarnie i swoje książki, asystują biernie i obojętnie przy powolnej, ale niechybnej likwidacji wszystkich elementów wolnościowych młodzieży całej połowy Europy.

Plan konkretny pomocy twórczej, uniwersytet dla młodzieży zza kurtyny, jest tańszy od jednej bomby atomowej, a dla bolszewizmu może być groźniejszy, jeżeli będzie pomyślany na miarę wypadków. I w każdym razie jest on nieskończenie bardziej w tradycji walki wolnych ludzi o wolnego człowieka.

W jednym z przemówień swoich w „Collège de France” Mickiewicz, ponad 100 lat temu, wypowiedział słowa, o których nieraz dzisiaj myślę ze zgrozą, czy nie zawierają w sobie — pomimo, że tam mowa o Grecji — treści proroczej na dzisiaj. Mickiewicz, mówił o Grecji czasu upadku, pokrytej ogromną ilością szkół, tracącej swój czas na wymyślanie nowych form rządu, na dyskutowanie nad wartością takiego czy innego rozumowania, którego nie próbowano nawet stosować. Pretoriańskie, konsulowie rzymscy przyszli wówczas utrzymywać ład w tych „miastach gadulskich”. I kiedy Grecja, która według Mickiewicza stała się chrześcijańska z imienia tylko, prowadziła dalej te dyskusje filozoficzne, mieszając do nich tylko teologię, wtedy przyszedł Islam. I Mickiewicz dodaje te straszne słowa: „jakim innym sposobem zasypać to trzęsawisko intelektualne, skąd unosiły się trucizny, które by cały świat zadzumiły. Ta ludność zasłużyła na śmierć, bo z inteligencji samej zrobiła swego bożka... bo Grecja znalazła się wówczas bezsilna, bogata w słowa, niezdolna do czynu. I wtedy islamizm, ten ogień pustyni, przyszedł, by spalić tę wyschlą trawę”.

Czyśmy także zasłużyli na śmierć?

Czy także jesteśmy wyschlą trawą?

Czy jesteśmy tym trzęsawiskiem intelektualnym, tą Grecją bezsilną, bogatą w słowa i niezdolną do czynu?

Czy nie zrozumiemy, że nasza obojętność wobec niechybnej barbaryzacji całego pokolenia połowy Europy jest skazywaniem na śmierć Europy i nas samych?

Uratujmy tę młodzież, która jest może solą ziemi. Dajmy tutaj temu projektowi kształt konkretny, dopiero wtedy zainteresujemy tą sprawą świat, dopiero wtedy potrafiemy zdobyć pomoc materialną jak ta, którą tu, Wolny Uniwersytet w Berlinie otrzymał z Uniwersytetu Columbii.

Józef CZAPSKI.

PRZEMÓWIENIE J. CZAPSKIEGO NA OTWARCIU KONGRESU WYGŁOSZONE W JĘZYKU POLSKIM I NIEMIECKIM

Z radością widzę wśród nas przedstawicieli narodów zza żelaznej kurtyny. Widzę przyjaciół z Łotwy, Czech, Rosji, Polski. Nie widzę przedstawicieli Rumunów, Węgrów, Ukraińców, Białorusinów i innych narodów. To są luki, niestety, nie do uniknięcia w pierwszym tego rodzaju pionierskim Kongresie. Nie wątpię, że na przyszłym Kongresie będzie więcej delegatów zza kurtyny. Ich obecność podkreśla zasadniczą tezę Kongresu — kulturalną jedność całej Europy.

Wiara w rozwój połowy wolnej Europy, podczas gdy druga jest totalizowana i dawiona — jest wiarą w fikcję.

Jestem pewny, że wszyscy uczestnicy Kongresu wiedzą wraz ze mną, że nie wystarczy jedność w walce o kulturę Europy, ale że jeszcze musi być walka o jedność przyszłej, wolnej Europy.

**REZOLUCJA KONGRESU W SPRAWIE
WOLNEGO UNIwersYTETU
ZGŁOSZONA PRZEZ J. CZAPSKIEGO I J. GIEDROYCIA**

Kongres dla Obrony Wolności Kultury, stwierdzając tragiczną sytuację na odcinku kulturalnym krajów Europy Środkowo-Wschodniej oraz podporządkowanie w tych krajach nauki, sztuki i wychowania totalnej ideologii, co znalazło swój wyraz w ostatnich posunięciach rządów satelickich, uważa za jedną z rzeczy najpilniejszych powołanie do życia Wolnego Uniwersytetu dla młodzieży emigracyjnej tych krajów.

Realizację tego projektu Kongres powierza stałemu Komitetowi Kongresu.

W pierwszym rządzie Komitet Kongresu powinien się zająć następującymi sprawami:

- 1) Utworzeniem fundacji Uniwersytetu jako instytucji użyteczności publicznej, uznanej przez Stany Zjednoczone i kraje zachodnio europejskie,
- 2) Opracowaniem apelu w imieniu Kongresu do wszystkich wolnych uniwersytetów, instytucji i organizacji naukowych i studenckich świata z prośbą o pomoc.
- 3) Opracowaniem statutu Uniwersytetu i planu nauczania,
- 4) Przystąpieniem do pierwszych prac organizacyjnych.

**ZE WZGLĘDU NA TRUDNĄ SYTUACJĘ
SZKOLNICTWA DLA DZIECI W NIEMCZECH
ZGŁOSZONA ZOSTAŁA NASTĘPUJĄCA REZOLUCJA:**

Po ustaniu opieki IRO pozostała w Niemczech, pod opieką władz niemieckich, znaczna ilość uchodźców nie mogących ani powrócić do swych krajów ani wyemigrować. W liczbie ich znajduje się duża ilość dzieci, które są zmuszone do uczęszczania do szkół niemieckich. Dla uniknięcia przymusowego wynarodowienia należy dla tej młodzieży stworzyć szkoły dwujęzyczne we wszystkich większych skupiskach.

Kongres wyraża przekonanie, że sprawa ta zostanie w tym duchu rozwiązana przez władze niemieckie.

**Józef CZAPSKI, Jerzy GIEDROYC, Fran-
cisek KOVARNA, René LALIVE D'EPINEY,
Nicolas NABOKOW, David ROUSSET, Igna-
zio SILONE.**

Prolegomena do historii naszych czasów

I. Wstęp do wstępu.

Jedną z największych trudności na drogach myślenia nowocześnie badacza jest znalezienie kierunku między falami powodzi, pochwylenie wątku w potarganym splocie. Wśród gęstwiny nieprzejranej studiów i opracowań, w obliczu mnogości objaśnień, streszczeń i powtarzań, nie łatwo jest wybrać i ustalić zakres własny, ująć materiał i formę dla konstrukcji. Za wiele możliwości otwiera się przed każdym pomysłem, zbyt liczne sposoby ujęcia stoją ze wszystkich stron. Pierwszym koniecznym etapem w pracy staje się tedy wybór właściwego podejścia do wybranego tematu, ściśle określenie postawionego zadania, przyjęcie celowej i konsekwentnie stosowanej metody.

Takim jest również wstępne zadanie Historii. Studia historyczne obejmują dzisiaj liczny szereg typów, wariantów, sposobów: od kroniki faktów, zestawień chronologii czy statystyki aż do filozoficznych syntez; od studium prawniczego do politycznej polemiki; od naukowych dociekań do historycznej powieści czy historycznego filmu. Wobec bogactwa materiałów analiza badawcza i krytyka źródeł odrywa się od właściwego dziejopisarstwa i staje się dyscypliną odrębną; zaś historia od niej oderwana zbliża się zbyt łatwo do tworu wyobraźni.

Dziejopis współczesny nie jest zamknięty w swojej więzy przezroczystej, uniezależniony od prądów i przemian zachodzących wokoło, u jego stóp. W każdej chwili grozi jego pracy to, co się w społeczności odbywa. Na każdym kroku staje przed nim pokusa do stosowania się do szablonu lub mody, podporządkowania swej pracy wymogom dnia, zbiorowym przesądom czy wpływowym interesom, miarodajnym wskazaniom lub nawykom stronniczego myślenia. Bezustannym niebezpieczeństwem jest dla niego prasa, z jej warunkami czasu i miejsca, formy i tendencji, podczas kiedy historia pracuje bez czasu, nie ogranicza się miejscem, sama stwarza własną swoją konstrukcję i



z materiału swojego jedynie wyprowadza swe tendencje. Ciągłe staranie dziejopisa winno się zwracać ku utrzymaniu poziomu, niedopuszczeniu do obniżenia, uniknięciu potanień. W epoce, kiedy każdy wytwór pracy sprzedawany jest na rynku nie według swej wartości wewnętrznej a zgodnie z prawami podaży i popytu, stałym wrogiem studiów nad losami człowieka jest popularność i pospolitość. Epoka nasza odeszła daleko od metod i zwyczajów pracy w kamieniu i kunsztu kształtu; obcym jest dla niej rodzaj pracy ofiarnej i dzieła bez ceny, z czasów cechmistrza średniowiecza i artystów Grecji. Jedynie w pracach poświęconych wiedzy i w bezinteresownych konstrukcjach pisarza utrzymuje się jeszcze dzisiaj prawo wartości niezależnej od sprzedaży; i może dlatego właśnie wolna praca badawcza i piśmiennictwo poświęcające się czystszej myśli jest najtańszym obecnie towarem na rynkach świata.

Jeżeli dziejopis nie poddaje się wymogom otoczenia, nie słucha nakazów chwili, nie schlebia partiom ani interesom, nie szuka popularności, wtenczas staje się on zdolny utrzymać wolność myślenia, zachować szlachetność przyrodzoną nauce i jedyne swoje upodobanie znaleźć w badanej przezeń tkance życia, w obserwacji treści.

II. Zadanie Historii.

Historia — to nie jest tylko uszeregowanie faktów lub rejestrowanie świadectw. To drugie zadanie było zawsze i jest także dzisiaj dziedziną przynależną Kronice. Kronika spisuje fakty i zbiera dokumenty; Historia je zestawia, aby wydobyć na jaw ich ciągłość, ustalić ich wzajemny stosunek, zbadać ich konsekwencje, dojść do wniosków. Historia — to poszukiwanie i konstruowanie związków: związków między ludźmi i wypadkami, łączności między różnymi kategoriami zdarzeń i przejawów. Bada ona szeregi działań ludzkich z danej, wybranej przez siebie dziedziny, a zarazem ich łączność ze zjawiskami z dziedziny równoległych. Zajmuje się zresztą nie tylko materiałem wyłącznie ludzkim: określa związek między epokami człowieka i powiązania tych epok z otaczającą go przyrodą, z regulującą jego drogą geografiją — układem kontynentów, obszarem wód, biegiem rzek i zarysem gór — gdyż wszystkie one razem i poszczególnie każda z nich wywierały swój wpływ na rozwój skupisk ludzkich, na kierunek i przejawy energii człowieka. Z tych różnych dziedzin, jak z szeregu pasm, układa się tkanina historycznej obserwacji. Ale dziejoznawstwo nie ogranicza się, jak część nauk przyrodzonych oglądaniem zjawisk, lecz podobnie jak chemia szuka ich przyczyn, tak samo jak biologia i fizyka ustala ich skutki i wyciąga z nich wnioski.

To dociekanie przyczyn, to przenikanie do źródeł i poszukiwanie przebiegu, to wyciąganie czasami z niepełnych i urywkowych danych dalej idących wniosków, to odkrywanie skutków — cały ten układ historycznego badania i dziejopisarskiej pra-

cy nie posiada cech matematycznej pewności, ani się nie da ująć w postać nienaruszalnych praw i prawd, albowiem dotyczy żywego człowieka z jego różnorodnymi pobudkami, z wyzwolonym intelektem i nieobliczalnym działaniem woli. Człowiek jest wypadkową rozmaitych czynników: jego działanie i i usposobienie, zbiorowe czy indywidualne, nie da się zamknąć w jednym tylko szeregu, nie pozwala się wtłoczyć w jedną tylko teorię. Historia jest dyscypliną odmienną od socjologii, badającej jedynie formy bytu i organizacji zbiorowości ludzkiej. Historia nie jest nauką statyczną: bada ona przemiany i rozwój. Przedmiotem jej jest * zawsze pozostanie żywa tkanka różnorodnej i ciągle zmieniającej się indywidualnej i zbiorowej człowieczej natury.

Determinizm historyczny próbował ustalić z góry w dziejach i działaniach człowieka niewzruszoną kolej przyczyn i skutków. Materializm historyczny usiłował teorię przyczynowości zredukować wyłącznie do pierwiastków egzystencji ekonomicznej, do procesów zachodzących w gospodarstwie społecznym. Ale teorie ludzkie są zmienne, same podlegają rozwojowi, przeradzają się lub zamierają, zostawiając miejsce teoriom innym. Dlatego konstruowanie historii na podstawie zmiennych doktryn, przejściowych teorii, sprzeczne jest z jej własnym założeniem badawczym. Doktryny i teorie, powstałe w umysłach ludzi, są tak samo jak wszystkie inne przejawy człowieka przedmiotem historii, tematem krytycznej analizy; historia spogląda na każdą doktrynę jako na przejaw myśli czy działalności, przemian i ukształtowań, ale nie może sama żadnej doktrynie podlegać.

Ograniczenie przyczyn działalności ludzkiej do jednej tylko dziedziny ekonomicznej jest również sprzeczne z samym założeniem pracy historycznej. Z natury bowiem swojego zadania i stosowanych przez nią metod historia sięga różności przyczyn, obejmuje wzrokiem najdalsze i najbardziej rozległe, jak również ukryte lub nikłe ich źródła; a zatrzymanie się na jednej tylko ich dziedzinie spaczyłoby samą zdolność badania, zamknęłoby drogi dla innych poszukiwań, byłoby sprzeczne z samym założeniem. Historia rozpatruje stosunki różnych przyczynowych związków, nie determinuje natomiast nigdy a p r i o r i tego stosunku. W historii doktryn materializm historyczny zajmie swej miejsce jako jedna z wielu innych prób umysłu ludzkiego ścieśnienia się do jednej tylko dozwolonej drogi, zamknięcia się w jednym tylko logicznym skrócie zjawisk. Doktryna ta podobna jest do systemów religijnych w tym, że stawia sobie na początku pewnik i dalszą budowę myślenia od tego pewnika uzależnia. Ale historia nie zna pewników i nawet do wytwarzania ich nie dąży. Uzależnienie badań historycznych od doktryny byłoby rzeczą podobnie sprzeczną z ich naukową podstawą jak uzależnienie ich od religijnego dogmatu. Doktryny i dogmaty, zamknięte systemy myślowe i kano-ny wierzeń — są to wszystkie przejawy człowieczeństwa w jego różnolitej, wieczyście zmiennej, nigdy niewyczerpanej posta-

ci. Człowiek, wpośród zmienności swoich losów posiada nieskończoną zdolność twórczości duchowej, sięgania w dziedzinie poza nim samym będące, w świat absolutu. Historia jednak rozważa wszystkie poszczególne wloty myśli ludzkiej i każdy absolut — dzieło człowieka — jak badacz roślin ich tkanę pod mikroskopem, jako jeden z etapów nieustannie rozmaitego rozwoju. Podobnie jak najwyższe szczyty, jak najgłębsze, niedocieczone warstwy ziemi i morza, tak samo najwznioślejsze dążenia człowieka, najbardziej doskonale formy jego myślenia, muszą być przedmiotem porównawczych zestawień, krytycznej oceny, ścisłej kontroli. Albowiem historia nie zatrzymuje się na jednym miejscu życia człowieka czy społeczności ludzkiej: fetysze prymitywnych wierzeń i kanony czasowych doktryn są dla niej tylko materiałem — jednym więcej przejawem różnorodnej natury i nigdy niepowtarzalnej kolei dróg ludzkości.

III. Historia Czasów Dawnych i Nowych

Historia nie staje nigdy w miejscu, postępuje dalej w ślad za współczesnością, zatrzymuje się tylko u progu przyszłości. Natomiast jej początek, chociaż gubiący się w zamierzczym czasie, może być ujęty wyraźnie. Historia zaczyna się tam, gdzie się pojawia, wśród zabytków ginącej w mrokach niepewnej przeszłości, — związek, rozróżnienie, indywidualność. Między szkieletami pierwotnego człowieka odnalezionymi w prastarych jaskiniach znajdziemy, w stu-tysiącletnich, tylko różnicę epok geologicznych ziemi lub typu antropologicznego — i historyczny rozwój tego człowieka pozostanie dla nas księgą zamkniętą, podobnie jak historia zwierząt: nie umielibyśmy odnaleźć między nimi żadnej innej wspólnoty ani różnicy poza cechami typu. Ale oto w epoce kamiennej, w jaskiniach pod Pirenejami, ów człowiek pierwotny odmalował w kolorach wizerunki towarzyszących mu zwierząt; oto na naczyniach użytkowych z tejże kamiennej epoki, na pierwotnych narzędziach czy broniach, pojawia się ornament, harmonia linii zdobniczej, gama form ułożonych zgodnie z obyczajem plemiennym lub z wyobraźnią wykonawcy. Wraz z tymi pierwszymi śladami zmian w aktywności człowieka, rozwoju zwyczajów społecznych, przejawów twórczości ludzkiej, zaczyna się historia. Oto w dolinie wielkich rzek starożytności, Eufratu i Nilu, między pięciu a sześciu tysiącami lat temu zapamiętane czy zapisane zostało imię plemienia — Sumerów — czy imię władcy — Menesa. Oto na podstawie skomplikowanych obliczeń astronomicznych zdołano dojść nie tak dawno do ustalenia, ponad wszelką wątpliwość, że dokładnie przed 6190 lat (rok 4241 przed Chrystusem) powstała pierwsza rachuba czasu i pierwsza data kalendarzowa ludzkości. Rysunek ręką pierwotnego człowieka nakreślony, nazwa kraju i plemienia, imię zapamiętane, pierwszy fakt i data, pierwsza ozdoba i fantazja, głązy obrobione dla określonego użytku, w końcu napis wyryty w niezniszczalnym kamieniu —

oto narodziny indywidualności, oto początek historii. W ślad bowiem za tymi pierwszymi faktami pojawia się zapis tego co się stało, rozpoczyna kronika notująca ludzi i zdarzenia, jako forma pierwotna pracy dziejopisa.

Istnieje dość powszechne mniemanie że tylko dzieje dawniejszych epok i zamkniętych już historycznych okresów zasługują na miano nauki. Istotnie, dla zbadania tych minionych czasów rozporządzała jest całkowita, lub prawie pełna spuścizna źródeł. Historię starożytną uzupełniła archeologia, numizmatyka i studia porównawcze innych naukowych dyscyplin; epoki późniejsze uzupełnia codziennie skrzęta rejestracja archiwów, wspomagana paleografią. Na tle tego pozornie dosyć pełnego obrazu źródeł, z odległości czasu ogarniamy lepiej całość, ogólny kontur, dalekosiężne skutki; widzimy wyraźniej wzrastanie i upadek społeczeństw i ich cywilizacji. W ocenie tej raczej oddalonej przeszłości stosujemy większy może umiar i przedjętą zdobyć na chłodną bezstronność badania. W takim równo rozpostartym świetle łatwiej zapewne, może sprawiedliwiej oceniamy mądrość Peryklesa, czynną równowagę Cezara, odludny charakter Tyberiusza; chociaż już trudniej jest o wiele, nawet człowiekowi pokoleń dzisiejszych, spojrzeć bez namietności i ocenić bez przesady demokrację Aten czy wojny domowe Rzymu. Ale pomimo to wszystko historia, nawet gdy sięga oddalonych epok, pozostaje niepewna: jej źródła nie są nigdy pełne ani dostatecznie krytyce podległe, jej sądy są zaciemnione przez odległość, zabarwione śladem wygasłych opinii, będące częstokroć bez gruntu. Przyjąć należy jako rzeczy sprawdzoną, że większość świadectw tamtych epok zaginęła zupełnie, nade wszystko skutkiem nietrwałości materiałów piśmiennych, tak jak się na przykład stało z całą niemal korespondencją wymienianą przez Rzymian.*) Wiele świadectw poza tym usunięto rozmyślnie — jak zniszczone zostały przeszło wiek temu bezcenne dla historii napoleońskich czasów papiery Fouché'go.**)

Czasami źródła odnośnie istnieją, ale ujawnione zostają dopiero przypadkiem lub po bardzo długiej zwłoce — jak się to stało z niedawno dopiero ujawnionymi dowodami zdrady Talleyrand'a, odstępstwa Caulaincourt'a.***)

*) W. M. Ramsay w swoim znakomitym dziele *The Letters to the Seven Churches* uzasadnił twierdzenie, że w czasach rzymskich istniała, prawdopodobnie nader żywa i rozległa korespondencja publiczna i prywatna. Zaginęła ona wskutek nietrwałości piśmienniczych materiałów. Śladem takiej korespondencji są listy apostołskie, które zachowały się dzięki nieustającym odpisom czynionym przez wyznawców.

**) Niedawno ogłoszone pamiętniki Maxime'a Du Camp *Souvenirs d'un Demi-Siècle* opisują jak Fouché, słynny minister policji Napoleona, zniszczył 24 grudnia 1820, z pomocą Hieronima Bonaparte'go, byłego króla Westfalii, całe swoje archiwum tajne, które wywiózł ze sobą do Triestu.

***) Zdrada Talleyranda, w najgorszym gatunku, gdyż za pieniądze, dokonana na rzecz Rosji w latach 1809 - 12 ujawniona została dopiero na podstawie najnowszych badań archiwalnych po pierwszej wojnie światowej; por. monografię przez Lacour-Gayet'a. Porzucenie

Pierwszeństwo więc badań historycznych, odnoszących się do odległych i zamkniętych już epok nie jest wcale tak pewne ani tak ustalone jakby się to wydawać mogło. Historyk współczesności ma tę po swej stronie przewagę, iż rozporządza własną wiadomością i obserwacją, znajduje wokoło siebie świadectwa żywe; przez jego ręce przechodzą, w ich drukowanej postaci, dokumenty czasu, głosy opinii, argumenty ścierających się wzajem poglądów. Często z ust świadków, czasami od współuczestników działań, a nawet od współinicjatorów zamysłów utajonych czy prądów nowych, może on usłyszeć jak się tworzą dzieje. Podczas gdy podstawową trudnością dla historyka czasów bardzo dawnych jest skąpość źródeł albo ich brak i na interpretacji jednego zdania lub jednego słowa starożytnego dokumentu opierać się musi opinia o zdarzeniu, sąd o dawnym człowieku,*) — historykowi współczesności grozi na każdym kroku nadmiar i niewspółmierność źródeł jakimi rozporządza. Jego głównym zadaniem staje się wybór, a celem jego usiłowań — dotarcie poprzez gąszcz pozorów do jednego ziarna zawierającego istotę rzeczy. Nie jesteśmy nigdy pewni, co jest tym najważniejszym, co z dzisiejszych faktów i spraw przyniesie za sobą, wraz z upływem czasu, najdonioślejsze skutki. Nie umiemy jeszcze powiązać przechodzących przed naszymi oczyma wypadków z ich dalekosiężnymi następstwami, nie jesteśmy w stanie zmierzyć ani ocenić teraźniejszości w świetle przyszłości. Powody i rezultaty Rewolucji Francuskiej ludzie lat 1815-1848, tj. pokolenia jeszcze ją pamiętające, widzieli w formie omylnej i skązonej a to dlatego, że w perspektywie krótkiego czasu następstwa przejściowe i zdarzenia, nie dłuższe nad chwilę, zasłaniały im jeszcze to co było trwałe i zasadnicze. Podobnie źródła i skutki obu wojen światowych pierwszej połowy XX wieku oraz przewrotów rosyjskich będą mogły być w pełni rozpoznane i określone dopiero przez pokolenia następne. Za blisko jeszcze jesteśmy od wielkiej zmiany.

Do niedawna największym brakiem historyka współczesności w dziedzinie historii politycznej była zasada tajności aktów, która jeszcze na początku bieżącego stulecia zamykała mu przystęp do korespondencji politycznych w zakresie kilkudziesięciu ostatnich lat.***) Dopiero publikacja, w latach 1918-1921, tajnych

Napoleona przez jego generała i ambasadora w Petersburgu Caulaincourt'a i usługi przezeń oddane sprawie koalicji antynapoleońskiej ujawnione zostały dopiero współcześnie; por. ogłoszone w 1937 *Souvenirs du duc de Vicences*.

*) Klasyycznym przykładem konstrukcji historycznej opartej na szczątkach źródeł pozostaną studia Tadeusza Wojciechowskiego w *Szkłkach Jedenastego Wieku*. W szczególności analiza i interpretacja Kroniki Galla będzie wzorem zarówno krytycznego badania starożytnych tekstów pod względem językowym, jak ich oceny w świetle porównawczym epoki.

**) Zasada tajności aktów dotyczyła w pierwszej linii korespondencji dyplomatycznej; w końcu XIX w. rozciągała się ona w zasadzie co najmniej na dokumenty z ostatnich 40 lat. Historyk francuski Albert Sorel dopuszczony został w archiwach francuskich do aktów tajnych

aktów rosyjskich a potem niemieckich, jakkolwiek dokonana w celach politycznych i windykacyjnych, a więc niekompletna i stronnicza, otworzyła szeroko wrota przed historiografią nowocześnie. Śladem ujawnionych dokumentów Rosji i Niemiec ogłoszone zostały w okresie między obu wojnami zbiory korespondencji tajnych angielskie, francuskie, austriackie*). Dotyczyły one przede wszystkim okresu końca XIX i początków XX wieku i wytworzył się niebawem ten stan paradoksalny, iż o najtajniejszych sprawach tych czasów bliskich dowiedziano się więcej, aniżeli o pierwszej połowie zeszłego stulecia. Obecnie po nowej dziejowej zawierusze, znów mamy do czynienia z zalewem tajnej aktualności, z ujawnianiem najskrytszych źródeł najbliższego nam czasu: archiwa pobitych nieprzyjaciół, pochwycone nieomal na polu bitwy, są nie tylko badane i użytkowane, ale publikowane w wielkiej części; a w krajach, gdzie opinia publiczna ma jakiegokolwiek znaczenie, zmusza ona rządy zwyciężonych państw do równoległego ogłaszania aktów.***) Odnosi się czasem wrażenie, że wszystkie te głośne publikacje, zawierające czasem rewelacje wielkiej wagi, a często obszerny materiał bez znaczenia, nie są kompletne, a dokumenty w nich zawarte wybierane są pod znakiem interesów chwili i gwoli określanym z góry celom.

okresu napoleońskiego tylko dlatego, że przedtem uzyskał do nich przystęp, w latach osiemdziesiątych, pod naciskiem Bismarcka, historyk pruski Henryk Sybel. Akta spraw polskich do czasów Rewolucji Listopadowej udostępnione zostały w archiwach Quai d'Orsay dopiero po roku 1905 — i to zapewne tylko częściowo.

*) W związku z dekretem z 9. XI. 1917 znoszącym tajną dyplomację *Narkomindiel* ogłosił w ciągu listopada i grudnia sześć wyciągów z tajnych dokumentów rosyjskich, po czym, w ciągu lat następnych, zbiory najtajniejszych korespondencji i układów w postaci *Krasnawo Archiwa*. Po klęsce Niemiec i ustanowieniu Republiki, z inicjatywy socjalisty Karola Kautsky'ego wydana została Biała Księga niemiecka (grud. 1919, 4 tomy), zawierająca dokumenty do wybuchu wojny 1914, następnie od 1922 rozpoczęto publikację korespondencji dyplomatycznej z lat 1871 - 1914 (54 tomy). W 1926 rozpoczęto publikację aktów brytyjskiego *Foreign Office*; w 1929 — francuskiego *Quai d'Orsay*, wreszcie w 1930 Republika Austriacka zaczęła ogłaszać akta swoich archiwów.

**) Precedens ogłaszania tajnych aktów nieprzyjacielskich, wpadłych w ręce zwycięzców jako zdobycz wojenna, dał w Drugiej Wojnie światowej Niemcy, publikując w 1940, w formie "białych ksiąg", dokumenty znalezione w zdobytych archiwach Polski i Francji. Z kolei, w 1945, bezpośrednio po zwycięstwie nad Niemcami, wojska amerykańskie odnalazły i zabezpieczyły gros archiwów urzędu spraw zagranicznych Rzeszy, przygotowane już do zniszczenia. Jedyne części odnośnych dokumentów została ujawniona w norymberskim procesie i posłużyła jako główny materiał dowodowy oskarżenia. Wyciąg z tych archiwów, odnoszący się do stosunków niemiecko-sowieckich ogłoszony został w 1948 przez amer. Department Stanu. Obecnie, specjalna komisja amer.-bryt.-francuska przystąpiła do opracowania i wydania selekcji całości tych archiwów (dotychczas t. I - II serii D. wydania amer.). Osobno opublikowane zostały wyciągi z archiwów marynarki woj. niem., oraz przez Sowiety pięć zeszytów dokumentów wpadłych bezpośrednio w ich ręce.

Rozporządzalność źródeł historycznych nigdy nie będzie całkowita, niezależnie od epoki z jakiej one pochodzą. Dawne uległy często zniszczeniu, zostały usunięte rozrywkowo, zaginęły w katastrofach ludzkich siedzib; z nowszych licznie nie wyjdą nigdy na światło — nie można na przykład żywić nadziei aby kiedykolwiek obiektywne badanie mogło objąć tajną dokumentację sowiecką. Pamiętniki lub dzienniki osobiste, choćby prowadzone były najskrupulatniej, z reguły nie są ogłaszane w całości; wiele z nich pozostaje na długo lub na zawsze w ukryciu. Istnieje i nie ustanie w sprawach publicznych tendencja ludzka do utrzymania w tajemnicy części działań i zamierzeń. Toteż ogłoszenie, po ostatnich dwóch wojnach, najtajniejszych korespondencji i umów wywarło z kolei swój wpływ na metody w polityce międzynarodowej. Nie mogąc odtąd ufać w bezwzględnej tajności korespondencji i protokołów dyplomatycznych, obawiając się niedyskrecji w związku z możliwymi zmianami politycznymi najbliższej przyszłości, mężowie stanu i dyplomaci zmienili sposoby postępowania w sprawach wymagających utrzymania sekretu. Odtąd mamy dwie dyplomacie: jedną jawną, zgodną z zaprowadzoną w demokracjach zasadą "otwartych umów, osiągniętych przez otwarte rokowania", drugą utajoną, nie pozostawiającą z reguły śladu.*) W ten sposób istotne układy między narodami, porozumienia poufne czy doniosłe wymiany zdań przybrały formę kroków "prywatnych", rozmów nieobowiązujących, nieformalnych spotkań. Nie zaprotokołowane nigdzie mogły być one zdezawuowane nazajutrz, lub przeciwnie pociągały za sobą najdonioślejsze skutki; w każdym zaś razie nie potrzebowały przechodzić przez kłopotliwe stadia zbiorowych narad, konstytucyjnych zatwierdzeń**). Odnosi się wrażenie, iż część, czasami najważniejsza, współczesnych stosunków międzynarodowych uchyla się w ten sposób nie tylko spod kontroli powołanych urzędów i ciał publicznych, lecz również ginie bezpowrotnie dla kart przyszłej historii.

*) Zasada, wygłoszona przez Prezydenta Wilsona — *open covenants, openly arrived at* — pozornie zamknęła okres "dyplomacji tajnej", w istocie zaś otworzyła nową fazę jej przystosowań. Konferencje szefów rządów, załatwianie spraw "na najwyższym szczeblu", nie są niczym innym, jak zastąpieniem regularnej i odpowiedzialnej, a więc "jawnej" dyplomacji przez umykającą się od wszelkiej kontroli dyplomację nieodpowiedzialną, a więc tajną.

***) Przykładem nowej, zakamuflowanej tajności układów międzynarodowych były konferencje odbyte w czasie drugiej wojny światowej w Teheranie i Jałcie. Najważniejsze narady nie były wcale protokołowane. Część zawartych tam umów była ukryta nawet przed odnośnymi ministrami spr. zagr. Inne uchwały zostały zredagowane rozmyślnie w sposób ogólnikowy i niejasny, tak aby jako osobiste opinie lub "uczucia" nie podlegały formalnemu, gwarantowanemu przez konstytucję, obowiązkowi zatwierdzenia przez parlamenty. Śladów tych wszystkich zabiegów trzeba już dzisiaj szukać w notatkach i wspomnieniach uczestników, z kolei często niedokładnych, stronicznych lub publikowanych niekompletnie.

IV. Historyk Współczesności.

Zarówno historia czasów dawno minionych, jak historia współczesności kuleć musi na niedostateczność źródeł, na niewspółmierność między tym co wiemy, a tym co ignorować będziemy do końca. Pozostaną bez odpowiedzi pytania, czy fakty, których echo do nas doszło, są najważniejsze? w jakim stopniu są pełne? na ile zostały skażone? Nie ma tedy zasadniczej wyższości w dziedzinie metody historii dawniejszej nad nowoczesną: obie zmagają się równolegle, każda z innymi brakami; obie mają swe odrębne naukowe dyscypliny, zależne od rodzaju źródeł i sposobu ich użytkowania; i obie one wreszcie poszukują wśród przepływu czasów nieuchwytnego wieczyście, opornego wszelkiemu ustalonemu ujęciu — człowieka. Albowiem człowiek to przede wszystkim, w przejawach różnorodnych swego charakteru w zbiorowej i indywidualnej swej działalności, stanowi istotny przedmiot historii, a jednocześnie sam jest jej podmiotem. Człowiek to, rządzony naturą własną, ograniczony warunkami swej psychiki, podległy swoim instynktom i nigdy nie wyzwolony z kręgu swego dziedzictwa, sam jest równocześnie osnową historii — i sam ją też bada i opisuje — określa drogi i rodzaje, zgłębia losy człowieka. Podwójna tedy towarzyszy mu ułomność: jedna, pochodząca z jego przyrodzenia, druga wynikła z istoty jego pracy.

Ale, badając prastare dzieje, człowiek prędzej jest zdolny wznosić się do wyżyn obiektywizmu. Jak z wysokich stref atmosfery, widzi on całość poprzez zimną odległość i wygasie kolory: spogląda na rozwój ludzkości od pierwotnych zawiązków aż do organizacji państw, do krystalizacji narodów, obserwuje dawno wygasie kraterzy przepastnych konfliktów, miejsca opustoszałych siedzib, szczątki skończonych cywilizacji. Jak botanik czy biolog rozpatruje on tkankę — pracę i działalność ludzi — bez zachmurzenia, gdy znajdzie w niej węzeł zbrodni, bez wstrząsu, gdy wydobędzie nic poświęcenia, pasmo ułudy. Jest to obserwacja sama w sobie, wyzbyta z innych namiętności i uprzedzeń niż te, jakie wywołać mogą lub zawierają w sobie same metody badawcze: obserwacja kwiatu rozwijającego się, rośliny zapuszczającej swe korzenie, pędów skazanych na nieuchronną zagładę i zaturę, a żyjących w pięknie lub w chwale przez jedną dziejową chwilę.

Inaczej historyk współczesności. Nie może on wzbic się wyżej ponad towarzyszącą mu na każdym kroku rzeczywistość. Niezdolny jest ogarnąć całości, granice jego badań są niewyraźne a kolory obserwowanych zjawisk są jaskrawe. Dla niego każdy błąd ludzki odbija się żywym echem, jeśli nie wczorajszych potępień, to późniejszych sądów i skutków. Na każdym etapie ma do czynienia z ludzkim cierpieniem. Każda sprawa ludzka jest mu bliska, wina domaga się kary, zasługa woła o dziejową zapłatę. Ideały choćby nieurzeczywistnione, tworzą nowe zamierzenia, jak drzewa dopiero co odarte z liści puszczają świeże

pędy. Zaś otaczający zewsząd gąszcz nieprzerwanych zdarzeń, życie bieżące wciąż obok, tylko z trudnością dają się uchwycić, rozświetlić, ustalić w formie skończonego obrazu.

Jakże więc rozwiązać sprzeczność między zadaniem badawczym a namiętnością? pomiędzy obserwacją a wrażeniem? między życiem a książką? — Nie ma na to reguły i nie ma jednej tylko miary. Historyk współczesności łatwo porwany zostaje prądem chwili, często staje się adwokatem strony. Broni go jedynie poziom duchowy, zdolność otrząśnięcia się od wpływów przemijających, wyjścia poza krąg pospolitości powszedniej. Trudno mu jest być obiektywnym, ale nic nie przeszkadza aby się stał głębokim. Nie może przestać być człowiekiem własnych czasów, lecz może epoce swojej nadać ogólnoludzkie znaczenie. Tak zrozumiana, historia współczesności jest sprawą sumienia.

V. Epoka Wielkiej Zmiany.

Żyjemy w epoce wielkiej zmiany. Pokolenia urodzone w ostatnich latach dziewiętnastego wieku widziały dwie międzykontynentalne wojny, przeżyły kataklizmy wewnętrzne na rozległych przestrzeniach Europy i Azji, obejmujących trzy czwarte żyjącej na ziemiach świata ludzkości, obserwowały wstrząsające zmiany w konfiguracji państw i w ich granicach, gwałtowne wędrówki i rzezie całych ludów. Wydaje się, jak gdyby same lądy ruszyły z miejsca i dawno zastygła na nich lawa powróciła znowu do stanu wrzenia. W istocie można było dojść do wniosku, iż uwarstwienia dziejowego rozwoju osiągnęły stopień ostygnięcia jedynie w części wielkich kontynentów i raczej na ich peryferiach; zaś że cała Europa Wschodnia oraz ogromne obszary Azji pozostały terenem niewygasłych ludzkich wulkanów, nieokrępej społecznej lawy.

Wśród symptomatów wielkiej zmiany najwcześniej uderzył współczesnych przewrót w rzeczach materialnych. Na niezapomnianych stronicach swej głośniejszej książki J. M. Keynes przedstawił obrazowo wstrząs w okolicznościach i sposobie życia, spowodowany przez pierwszą wojnę światową. Ale zainteresowania londyńskiego ekonomisty skupiły się na wytraconym z kolei trybie egzystencji i na wywróconych zwyczajach przeciętnego Anglika. Tymczasem przewrót w najmniejszym bodaj stopniu dotknął zachodnich wyspiarzy i na szerszym świecie nie ograniczył się do niewygód dla sybaryty udającego się na wakacje, ani do strat kupca regulującego swe zamorskie interesy. Jeżeli przeniesiemy obraz narysowany sugestywnie przez Keynes'a na całość naszego świata i na rozstrój spowodowany przez obie wojny, to skonstruujemy przede wszystkim, na zaludnionych jego obszarach, całkowite lub co najmniej długotrwałe załamanie systemu łączności. System ten stanowił jedną z dźwigni współżycia cywilizowanych społeczeństw, rozszerzał wzajemną o sobie wiadomość, rozbudzał współdziałanie i współzawodnicstwo. Jego załamanie dotyczyło zarówno komunikacji jak obrotu

pieniężnego, kredytu podobnie jak handlu, związków międzynarodowych tak samo jak wymiany informacji i idei. Jak po trzęsieniu ziemi, gdy rozsuwają się i rozszczepiają bryły dotychczas zwarte i przylegające, tak rozluźniały się pod brzemieniem katastrof spoidła społeczeństw, przepastne szczeliny otwierały się między złomami i skróś ich rozwartą pustką można było ujrzeć ludzkie dno.

Drugą i głębszą konsekwencją zaszłego przewrotu stała się zmiana w wadze i znaczeniu życia człowieka. Nie są to czasy tak odległe — zaledwie pół wieku upłynęło od tej chwili — gdy życiu ludzkiemu inną całkiem przydawano cenę. Pamiętnym na długo pozostał paryski bazar *De la Charité*, spalony wraz z paruset uczestnikami niewinnej zabawy. Niemniej przejęły współczesnych pierwsze wielkie katastrofy pociągów pospiesznych na obu półkulach. Straszny wypadek zatonięcia *Titanic'a* na pełnym oceanie wzbudził żal i grozę powszechną. To były śmierci masowe, nieprzewidziane i niezamierzone; cóż jednak, kiedy śmierć bliźniego stała się wynikiem premedytacji ludzkiej, a cóż dopiero, gdy była zadana przez państwo bez dostatecznej podstawy prawnej! Wtenczas budziło się to, co nazywano sumieniem publicznym. Potężny ruch protestacyjny z powodu pogromów żydowskich w Rosji wpłynął na politykę finansową Stanów Zjednoczonych w stosunku do caratu. Pierwsze w XX wieku krwawe wyroki trybunałów wyjątkowych spowodowały w krajach Zachodu demonstracje znieważonej opinii. We Francji udział wojska w tłumieniu manifestacji robotniczych, kilku zabitych lub kilkunastu rannych, powodował upadek gabinetu, zaś skazanie oficera za szpiegostwo skutkiem sfalszowanych świadectw wywołało kryzys w państwie. Powstawały stowarzyszenia i tworzyły się związki dla uniemożliwienia tych niesprawiedliwości na przyszłość, powołaną została specjalna Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Zdawać się mogło, że społeczeństwa kroczą po wytkniętej przez postęp drodze ku złagodzeniu obyczajów, ku wytepieniu okrucieństwa, ku wykluczeniu ze społeczności cywilizowanej mordu i zbrodni. Reforma ludzkości dotyczyć miała nie tylko obywateli poszczególnych państw i ich traktowania przez rządy własne, lecz także i w równej mierze stosunków międzynarodowych. Wojna boerska i interwencja w Chinach budziły więc głośnie sprzeciwy, wywoływały opozycje w parlamentach, zdawały się poruszać do żywego instynktu sprawiedliwości i miłosierdzia nieodłączny od cywilizacji; a pierwsze obozy "koncentracyjne" dla ludności cywilnej Transwaalu stały się przedmiotem zgorzeń i potępień ze strony rozbudzonej, przeczułonej opinii krajów Europy. Żyliśmy, zdawało się, w pełnej epoce humanitaryzmu.

Kiedy rozwiły się te złudy, gdy rzeczywistość stanęła wprost wyobraźni, okazało się, że natura człowieka jest niezależną od stadium cywilizacyjnego rozwoju, zaś przejawy tkwiących w nim instynktów fałszu, okrucieństwa i zbrodni nie znają kresu ani miary. Początkowo przypisano tę zmianę bezmiernemu

rozlewowi krwi w bitwach pierwszej wojny światowej: przytaczano przerażające cyfry strat — setki tysięcy zabitych i rannych w ciężkich a niezdeterminowanych bojach karpaccich, ponad milion żołnierzy utraconych w równie bezpłodnych rzeziach nad Sommą. Brak reakcji psychicznej w masach zarówno jak w jednostkach na śmierć bliźniego rozumiano jako naturalny proces stopienia wrażliwości wobec samej liczby ofiar padłych na wojnie. Gdy rozgorzała rewolucja w Rosji, gdy zaczęły się wojny domowe w różnych krajach, widziano w nich przede wszystkim dalsze beładne konsekwencje tamtych regularnych bojów i powoływano się na Rewolucję Francuską, twierdząc, że przewrót społeczny, droga wiodąca do odnowienia ludzkości, nie może się obyć bez wstrząśnień i ofiar, że przyszłość rodzi się zawsze we krwi. Tymczasem rzecz sięgała daleko głębiej i dotyczyła samych podstaw społeczności ludzkiej. Oto zauważono jak łatwo jest zadać śmierć bliźniemu. Zrodziła się na nowo tkwiąca gdzieś w ukryciu pasja sadyzmu, rozkosz powstała z zadawanego innym cierpienia: zbudził się z powrotem drzemający od czasu tortur średniowiecza, od palenia czarownic przez religijne sekty popęd do zimnego okrucieństwa w imię zasad. Powstały systemy domagające się zabijania i niszczenia, "likwidowania" ludzi gwoli zapanowaniu zasady czy narzuceniu władzy. W imię zasady "rasy" mordowano całe plemiona, wmawiając, że nie są ludźmi. W imię zasady "walki klas" tępieno całe odłamy społeczeństw jako "przeżytki". W niedługim czasie bandy zbrojników opanowały rządy niektórych państw i ustanowiły terror jako system stały, pozwalający im na utrzymanie się przy władzy. Powstały instytucje przeznaczone do mordowania własnych obywateli. Powstały naukowe metody mordu, tępienia i poniżenia człowieka. Same cyfry niepełnych i przybliżonych statystyk tych masowych zbrodni dochodzą do przerażających rozmiarów: nigdy carat, za cały wiek swego istnienia, nie osiągnął dziesiątej części ofiar bolszewizmu w Rosji. Sam system więzienny stał się jedną, nieustającą torturą. Władze niemieckie wymordowały ponad cztery miliony Żydów. Władze sowieckie — acz innymi metodami — wymordowały niemniejszą ilość Ukraińców, Polaków, Turków, Tatarów, Gruzinów, Bałtów, Żydów oraz jeńców wojennych polskich, węgierskich, rumuńskich, niemieckich i włoskich. Niemniej niż dziesięć do piętnastu milionów ludzi utraciło życie nie na skutek wojny lub rewolucji, lecz w imię na zimno skalkulowanych systemów. Stało się, jak gdyby zarazą zbrodni przeniknęła ściegna ludzkości: nawet w krajach o mniejszym zasięgu, wśród narodów stojących na uboczu od wielkich walk o władzę i przewagę nad innymi, w Rumunii w 1941-2, w Bułgarii w 1944, rozpostarła się nad życiem człowieka, nad losem całych warstw społecznych ta sama wizja Apokalipsy.*)

*) Jednym z pomników hańby nowych czasów pozostanie na zawsze śmierć zadana w barbarzyński, okrutny sposób — powiedzieć dziś moż-

Najgorsza z punktu widzenia ogólnoludzkiego była obojętność, z jaką pozostała część świata przyjmowała przez czas długi echa tej rozdzierającej potworności. Zastłaniano się nieświadomością, mówiono słowami ministra wielkiego zachodniego państwa: — to nie moja sprawa. — Zastłaniano się brakiem dowodów: — zainteresowani często przesadzają.*) — Nie było to tylko stopienie przyrodzonej wrażliwości na cierpienie cudze jaką przecież znajdujemy u zwierząt. Nie była to nawet rachuba polityczna, wymagająca nieraz oszczędzania przestępstw w imię racji stanu. Był to wyraźny ślad dalszej rysy, wyżłobionej w charakterze człowieka. Życie przestało mieć tę wielką, niczym dotąd niezastąpioną wartość, której zniszczenie było obrazą boskości. Ród ludzki przestał być jedną jedyną rodziną. Nie tylko utracona została łączność między różnorodnymi szczepami, ustało wzajemne zrozumienie, zanikła wyrobiona przez cywilizację wieków tolerancja: człowiek okazał się znieprawiony i przestał odróżniać cnotę od zbrodni.

Trzecim z kolei symptomatem zmiany jest kryzys koncepcji prawa. Tak niedawno — przed pół wiekiem — sumienie społeczeństw poczuło się wstrząśnięte, literatura świata wydała okrzyk oburzenia z powodu sfałszowania przewodu prawnego w sprawie Dreyfussa. Po dwóch wojnach i rewolucjach, po doświadczeniach nowych społecznych ustrojów, śledztwo stało się praktyką wymuszenia, przewód sądowy maskował fałszerstwo, świadectwo w sądzie było jednym ułożonym z góry kłamstwem, wyrok — bronią politycznego terroru. Gdzież się podziały wielkie zasady bezpieczeństwa człowieka przed prawem — *neminem captivabimus, habeas corpus* — których uczyły się pokolenia w powszechnych już w XIX wieku w Zachodniej i Środkowej Europie szkołach? — Na koncepcji prawa zbudowana została nasza gałąź cywilizacji ludzkiej, którą nazwano łacińską, gdyż normy prawa rzymskiego, przejęte przez zawiązki królestw średniowiecznych, stały się podstawą budowy Imperium Karola Wielkiego a tym samym całej nowożytnej struktury Europy. W imię prawa przeprowadzano dotąd w tej strukturze zmiany i czyniono reformy. W imię prawa i dla celów nowego, zbudowanego na podstawie prawnej ustroju rozpoczęła i prowadziła swe dzieło Rewolucja Francuska. Prawo to Napoleon skodyfikował i rozszerzył na narody Zachodniej i Środkowej Europy i ono stało się odtąd probierzem planów europejskiej jedności. Poza obrębem tej jedności i poza zakresem tego prawa pozostała Rosja, gdzie aż do czasów rewolucji ustrój, częściowo tylko wzorowany na europejskim, ogra-

na w arcy-ludzki sposób — wybitnemu uczonemu rumuńskiemu, profesorowi N. Jorga, rektorowi uniwersytetu i światłemu humaniście.

*) Wszystkie próby czynione w latach 1941 - 43 przez Rząd Polski na wygnaniu, aby skłonić Rządy państw Zachodu do zagrożenia Niemcom represjami za masowe mordowanie Żydów były pomijane, a jednym z motywów było powszechnie rozszerzane twierdzenie, że ewidencja pochodzi od zainteresowanych, jest więc przesadzona.

niczony był samowolą absolutnej władzy; na peryferii europejskiego prawa znajdowały się jeszcze wciąż Prusy, gdzie ustrój prawny istniał równoległe z zasadą "pochodzącej od Boga" monarchii i uzupełniony bywał wedle potrzeby ustawami wyjątkowymi.

Wśród niezastygłych żuźłów wschodniej części europejskiego kontynentu, rewolucje z 1905-07 i 1917-19 nie zaprowadziły panowania prawa. W podstawowym odróżnieniu od Rewolucji Francuskiej rewolucja w Rosji, poza krótkotrwałymi i nieudanymi próbami, ani nie rozszerzyła dotychczasowej dziedziny prawnej, ani nie stworzyła własnych norm prawa. Wszystkie jej zarządzenia i ustawy przeprowadzone zostały na gruncie prymitywnego faktu przewagi siły uzbrojonej bandy nad bezbronnym człowiekiem. Żadne normy prawne nie stanowiły o nakazach niezliczonych straceń, których jawnym celem i zadaniem było usunięcie jednostek, grup, całych warstw ludności; żadne prawo nie rządziło przejęciem ziemi ani innej własności dokonywanym po prostu w imię rzuconego w rewolucji hasła "rabuj zrabowane"; żaden układ społeczny nie stał się podstawą nowego ustroju, rządziły nim tylko przymus, terror i dyktatura. Odgałęzienia tego antyspołecznego systemu, zbudowanego na dowolności, zatrzymane zostały czasowo w 1920 przez Polskę, ale pomimo to wywarły swój wpływ destrukcyjny w szeregu krajów, odbiły się na reformach agrarnych, podważyły panujące dotychczas tam, gdzie dotarła cywilizacja łacińska, zasady. Najniebezpieczniejsze było zobojętnienie na Zachodzie na to szerzące się bezprawie. Przeciwnie, zaczęto dowodzić, że istniały już i dawniej dwie formy cywilizacji w Europie: jedna ograniczona do jej części zachodniej, gdzie pełne normy prawa znajdowały swe zastosowanie; druga, ogarniająca środek i wschód Europy, gdzie panowanie prawa nigdy dotąd nie było całkowite, gdzie zatem prawo i jego zachowanie było mniej ważne. Cywilizacja łacińska zaprzeczyła tedy drogą własnego rozwoju rzekła się wpływu i dalszego wzrostu, cofnęła się do dawnych rzymskich granic, resztę kontynentu wydając dobrowolnie na łup barbarzyństwa. Opinia publiczna krajów Zachodu nie przeciwstawiła się, nie potępiła naruszenia prawa: przeciwnie, bezprawie znalazło tam swoich obrońców i propagatorów. Krzywda nie spotkała się ze współczuciem, pożary siedzib ludzkich nie wzbudziły odrazy. Zamierzając przywrócić handlu, nie domagano się powrotu sprawiedliwości.

Czyżby więc Europa, zamiast się zjednoczyć, miała jeszcze pogłębiać tkwiący w jej dziejach podział? Czyżby społeczność urobiona przez wieki przestała przywiązywać wagę do swej osiadłości? — Stępiona wrażliwość towarzyszyła odgłosem zniszczeń. Przed pół wiekiem nie tylko gmachy użytkowe, ale każdy zrab przeszłości, każda czcigodna ruina będąca świadectwem historii lub dziełem sztuki oddalonych czasów, twórczością zgasłych ludzi, była przedmiotem pieczołowitej ochrony, dokładnej rekonstrukcji, porównawczych opracowań. Wokoło kwestii

omyślnej restauracji świątyń, niedbałego konserwowania zabytków powstawały zacięte spory, kampanie prowadzone przez miłośników piękna, manifestacje zaniepokojonej, wzburzonej części opinii. Ludzie byli wyznawcami religii piękna i każdy przybytek twórczego ducha z przeszłości czcili jak skarb święty. W 1914, gdy Niemcy w swoim pochodzie na Francję spalili częściowo koronacyjną katedrę w Reims, niszcząc galerie trzynastowiecznych rzeźb i wzorzyste okna naw i krużganków, ten czyn godny wandalów stał się jednym z głównych motywów potępienia armii niemieckiej i narodu. Jeszcze po tej pierwszej wojnie, gdy Barrès wzywał o "litość dla kościołów Francji", jego głos rozszedł się szerokim echem po całej Europie, dotarł zdawało się do międzynarodowej intelektualnej społeczności. Ale druga wojna odznaczyła się zarówno mechanizacją techniki, jak stępieniem do reszty wrażliwości duchowej; przed nowym zalewem barbarzyństwa ustąpić musiało i to zamiłowanie do piękna pomników przeszłości, jedno z najsubtelniejszych uczuć, nieodłączne zdawałoby się od psychiki nowoczesnego człowieka. Zniszczenie katedry w Canterbury i spalenie czcigodnego Guildhall'u było jedynie najbardziej głośną z tych zbrodni przeciwko cywilizacji. Równie brutalne i nieusprawiedliwione było zrzućenie bomb na skarbiec średniowiecznego malarstwa jakim był cmentarz w Pizie, spalenie kościoła pielgrzymów z freskami Mantegni w Padwie, zburzenie czternastowiecznych ośrodków miejskich w Lubece i Norymberdze zniszczenie rokokowego Dreżna. Lecz wszystkie te bezpowrotne straty zapisane zostały jedynie w rejestrze muzeologów, w szepczących gronach znawców i miłośników i nie poruszyły sumienia. Zagięły one wśród powszechnych zwalisk człowieczeństwa. Zapomniane zostały wśród rzezi, wytrąceń, wydziedziczeń, wygnań — nowej kolei życia i obyczaju. Niemniej jako symptom — te oczodoły kultury, te spaliska po dziełach sztuki, czczonych przez wieki — stanowią może najbardziej uderzający rys nowego człowieka, zamię przepowiedzianego przez poetów, zrealizowanego przez historię, chama przyszłości.

VI. Znaczenie Demokracji.

Według podstawowych założeń psycho-analitiky, świadoma myśl człowieka jest tylko kroplą na morzu nieświadomionej natury — podświadomości — złożonej z instynktów, operującej w ciemni. Przenosząc tę metodę na studia nad zbiorowością ludzką, można mniemać, że cywilizacja — na przykład ostatnie tysiąc lat naszej cywilizacji łacińsko-chrześcijańskiej — jest tylko uświadomioną cząstką społecznego jestestwa, pod którą w naturze ludzkości istniała zawsze i istnieje nadal ogromna głębia nieopanowanych żywiołów — nieświadome utajone bytowanie. Gdy zedrzeć z oblicza społeczeństw nietrwałą powłokę cywilizacji, to co się pod nią ukazuje jest to natura pierwotna, nie ujęta w karby edukacji szeregu pokoleń, nie podległa ten-

dencjom przemienne go rozwoju i dzisiaj tak samo, jak przed tysiącem lat, gotowa do zbrodni, do mordu i grabieży, do gwałtu i zniszczeń. Wiek Dwudziesty, wiek klęski ludzkości, ujawnił, jak nietrwiała i krucha jest powłoka cywilizacji i pokazał, że pod tą warstwą zwierzchnią żyje wciąż jeszcze, pośrodku nas, człowiek pierwotny.

Do równoległych wniosków prowadzą współczesne teorie naukowej genetyki. Według jej opartych na doświadczeniach badań rola wychowania i cech nabytych przez człowieka jest nikła w porównaniu do cech przez niego odziedziczonych. Człowiek się rodzi i żyje z pewnym zamkniętym w sobie światem instynktów i popędów i ta dziedziczna jego natura stanowi granice dla jego zdolności udoskonalania się, kształcenia, poprawy i ogranicza przyrodzoną równość pomiędzy ludźmi. Tymczasem zaś ustrój polityczny i instytucje publiczne, wytworzone i zorganizowane w Europie XIX stulecia powstały na gruncie całkiem innego poglądu na człowieka i pod wpływem przekonania o jego zdolności do nieograniczonego doskonalenia się i do ciągłego postępu. Podstawą urządzeń nowoczesnych stała się demokracja, oparta na zasadzie zbiorowo wyrażonej woli i na decyzji większości.

Stosunek cywilizacji do natury człowieka, cech nabytych do przyrodzonych, łączy się tedy bezpośrednio z zagadnieniem demokracji. Demokracja była od początku systemem i organizacją rządów ludu. W starożytności była ona formą władztwa gmin, czyli bezpośrednich rządów ludowych; przy czym pod mianem ludu skupionego w gminach rozumiano jedynie oświeconą część społeczeństwa, zostawiając poza jego obrębem ciemny plebs i niewolników. Demokracja nowoczesna, ukształtowana dopiero w drugiej połowie XIX wieku, objęła swym ustrojem całość społeczeństwa; w związku z tym owo podstawowe gminne rządzenie nie mogło już być bezpośrednie i musiało się rozkładać na poszczególne ogniwa — ciała zbiorowe wybierane przez lud, którym lud przekazywał władzę. Wszelkie jednak przekazywanie władzy pociągało za sobą niebezpieczeństwo, że te pośrednie wybrane w tym celu organy — parlamenty, rady, partie — przypisują sobie rolę samodzielnych ciał rządzących; a wówczas stają się łatwo rządami grup — oligarchią, lub też rządami interesów — plutokracją.

Dlatego wiek XX przyniósł ze sobą reakcję przeciwko reprezentacyjnej czyli parlamentarnej strukturze rządów ludowych. Reakcja ta ujawniła się w kształcie rewolucji społecznych lub narodowych. Władza została odjęta parlamentom, ciałom pochodzącym z powszechnych i tajnych wyborów i powierzona najpierw wyznaczanym bezpośrednio przez lud radom, następnie zaś wyłonionej z rad dyktaturze. Wzorem pierwszej "dyktatury proletariatu" powstały następnie inne dyktatury "narodowe" tworzone bezpośrednio przez wielkie ruchy mas, zatwierdzone przez plebiscyty czy referenda, albo też wprost przez demonstracje zbiorowe, będące wyrazem woli ludu. Był to apel od in-

stytucji politycznych do osnowy społecznej, od człowieka zorganizowanego do jego natury pierwotnej, od cywilizacji do odruchów.

— Demokracja, mawiał stary Clemenceau, jest to rzecz pożyteczna i... jedyna możliwa. — W istocie, niepodobniostwem stały się w nowoczesnym świecie rządy bez udziału w nich, w tej czy w innej formie, całości społeczeństwa, wszystkich jego, na równych prawach powołanych, obywateli. Nie mówiąc już o tym, że niepodobna jest znaleźć czy stworzyć w naszym skomplikowanym społeczeństwie jakikolwiekbydź miernik — klasy czy pochodzenia zamożności czy edukacji, — pozwalający odróżnić ludzi zdolnych do współrządzenia. Natomiast, wraz z postępowaniem demokracji, zadaniem ustaw konstytucyjnych stało się stworzenie ogniw pośrednich, postawienie hamulców między wolą ludu a praktyką rządu. Usunięcie tych ogniw pośrednich, i tej zapory pozwalającej działać hamulcom wprowadzało z powrotem bezpośrednie rządy ludu i stanowiło istotę nowoczesnej dyktatury. Wiodło ono zarazem człowieka wprost nad krawędź przepaści i odsłaniało pierwotne głębie. W gruncie rzeczy był to ten sam odwieczny problemat Rousseau'a: czy kultura jest tylko wypaczeniem dobrego z natury człowieka i zwichnięciem początkowej harmonii między ludźmi? Czy też, przeciwnie, kultura jest koniecznym okiełznaniem zwierzęcia w człowieku i stopniowym wyprowadzeniem społeczeństw ze stanu wojny, w jakim znajdowały się na początku? — Rewolucja Francuska dała odstraszaający obraz odsłoniętej do dna natury człowieka i odtąd Europa Zachodnia obrała drogę stopniowego podnoszenia poziomu zbiorowości i ewolucyjnej przemiany jej form politycznych. Ale jednym z nielicznych pewników historii jest, że wbrew panującemu często złudzeniu nie nauczyła ona nigdy następnych pokoleń czy społeczeństw dróg postępowania i że każde z nich przejąć musi samo próbę własnych doświadczeń. Te nowe doświadczenia nadejść miały w XX wieku ze Wschodu Europy, z obszarów społecznych jeszcze nie wystygłych, z ustrojów politycznie zacofanych, bliższych jeszcze despotyzmu i bezprawia, spośród ludów pogrążonych w ciemnocie i zastoju. W takiej społeczności rewolucja stawała się nade wszystko pożogą, a ludowładztwo było nadejściem panowania chamstwa.

Jednym z kluczów zrozumienia i oceny czasów nowych jest odróżnienie prawdy od pozorów. Sądząc z pozorów, bolszewizm zarówno jak narodowy socjalizm miały być od początku przeciwstawieniem demokracji i z tego też powodu popadły z nią w konflikt. W rzeczywistości pochodzą one wszystkie z jednego i tego samego pnia. Nacjonalizm wyrósł i rozwinął się wespół z nowożytną demokracją, był jej odmianą czy sposobem interpretowania. Teoria społeczna Marksa poczęła się z ideologii demokratycznej, a u jej kolebki stała rewolucja demokratyczna z 1848 roku. Wprawdzie ewolucja późniejsza poszła zarówno w świecie doktryn jak w rzeczywistości społecznej, po linii rozwoju w sprzecznościach: nacjonalizm stał się w epoce bismarckow-

skiej synonimem reakcji, komunizm zerwał ostatecznie z socjalną demokracją; ale podstawowe tezy ich apelu do mas, zasady na których oparły swe rządy, były to pochodne idei ludowładztwa. Przeciwwstawiały one demokrację bezpośrednią demokracji parlamentarnej. Nawet w najbardziej zwyrodniałych swoich formach dyktatury odwoływały się do instynktów, do popędów, do uczuć masowych zbiorowości. Były to więc tylko krańcowe formy demokracji pozbawionej hamulców, wyzutej z pośrednich ogniw organizacji, politycznych instancji, konstytucyjnego prawa.

Wynikiem więc rozwoju, którego początki były w demokracji, stały się ruchy i ustroje, rozsadzające ową wążką powłokę, jaką stworzyła w człowieku cywilizacja. Od demokracji wiek XIX oczekiwał złagodzenia obyczajów, rozluźnienia przemocy; wprost przeciwnie, — masowe ruchy i reżimy XX wieku przyniosły ze sobą nie zaznane jeszcze gwałt i terror, ucisk i nietolerancję. Od demokracji spodziewano się ustalenia harmonii między narodami; wprost odwrotnie — dotychczasowe sporadyczne tarcia i ograniczone nieporozumienia, konflikty interesów załatwiane z natury rzeczy kompromisem, stały się zderzeniami mas pojonych namiętnością, nie znających ustępstw. Oczekiwało się z nastaniem demokracji, a tym rychlej z zapanowaniem socjalizmu, końca wojen: wprost przeciwnie, właśnie wtedy demokracje zaczęły dojrzywać do pełni praw, wynikała najkrwawsza pierwsza wojna powszechna; zaś odkąd socjalizm zaczął ustępować przed napastliwym komunizmem, siewcą nienawiści, nie stało miejsca na pokój pomiędzy ludźmi. Wreszcie, ludzono się przez długi czas nadzieją, że w miarę ustanawiania władzy ludu nastąpi niezaznany dotychczas rozkwit wyzwolonych nauk i sztuk. Niestety! w miarę ustalania się sztywnego szablonu politycznych partii, arytmetycznego rachunku głosowań, równoległe z wyłączością masowych ruchów i tyranją nowych, więziennych ustrojów, wysychać zaczęły źródła twórczości, zaś wiedza zaciągała się w służbę władzy i zaprzęgała rydwan wojny.

— Koniec złudzeniom — notowali współcześni w dobie pierwszej wojny światowej. Odtąd upadek duchowy człowieka jeszcze się pogłębił. Wydobyte nowe pokłady z głębin nieświadomości, wyzwolenie instynktów drzemiących na dnie natury nie wzbogaciło istnień, nie uczyniło ludzi lepszymi. Brutalność stanęła na miejsce ogłady. Szybkość zastąpiła zastanowienie. Technika zabiła humanizm. Człowiek — pożeracz przestrzeni, niewolnik motoru — nie ma już czasu aby poznawać swą naturę, ulega coraz to bezwładniej nieznanym mu potęgom i toczy się własnym rozpędem w otwartą przed nim czy w nim samym otchłań.

VII. Przyczyny przyczyn.

Historia nie jest mistrzynią narodów, nie nakreśliła im nigdy

przyszłej ich drogi, wobec wiecznie powracających w różnej postaci błędzeń ludzkich jest bezsilna. Ale jej przywilejem i niezaprzeczalnym prawem pozostanie koleje tych błędzeń opisywać, nad przyczynami uniesień i dążeń, kłesk i niepowodzeń się zastanawiać, duszy ludzkiej dociekać, człowieka przed nim samym odsłaniać. W tej mierze przyczynia się historia do osłabienia sił nieświadomych ludzkości, do poszerzenia i utrwalenia tej części jaźni, która wydobyta z ukrycia osiąga stopień świadomości. Historia jest uświadomieniem człowieka. Lęk przed historią, skłonność do jej zniekształcania znamionują ludzi małych i ciemnych, społeczeństwa cofnięte w rozwoju i nieświadome siebie, rządy tępe i własnego jutra niepewne.

Historia współczesności nie obejmuje rozgałęzienia skutków, jakie wyniknąć mogą w przyszłości, a więc nie jest zdolna ustalić stopniowania przyczyn. Zagadkę człowieka naszych czasów widzi i opisuje dzisiejszy kronikarz: czy może się jednak pokusić o jej rozwiązanie? — Jestże to powrót do pierwotnej epoki? do odległych niegdyś czasów, kiedy ludźmi rządziły krwawe instynkty i gniew prymitywny? — Historii jaskiniowego człowieka nie znamy i jego okrucieństw nie umiemy zliczyć ni zważyć; ale ze wszystkich zbadanych okresów dziejowych współczesność stanowi obraz najbardziej odrażający. Nigdy rzezie nie osiągnęły takich rozmiarów, nigdy śmierć nie była zadawana tak łatwo, nigdy tortura i morderstwo nie były czynnością społeczną tak umiejętnie ukształconą, tak zorganizowaną i systematyczną; nigdy wreszcie kłamstwo nie stało się tak powszechne, tak regularnie stosowane w organizacji państwowej i stosunkach społecznych. Może więc jest to obłęd czasowy? Burza przelotna, zaciemniająca horyzont? Stan wyjątkowy psychiki ludzkiej, będący tylko przejściowym etapem, po którym przyjdzie rozjaśnienie i naprawa? — Nazbyt trudno byłoby uznać kryzys ten za wyjątkowy, chwilowy tylko lub lokalny; przeciwnie, niepodobna umiejscowić go i wyodrębnić. Zapewne, kryzysem tym został objęty przede wszystkim Wschód Europy, z jego cofniętym wstecz co najmniej o wiek ustrojem, z jego nieokrzepłym jeszcze społecznym gruntem. Ale ognisko zapalne objęło wkrótce także Niemcy, chociaż znacznej ich części niepodobna do Wschodu Europy zaliczyć; zarodek zarazy przedostał się do Francji i zatrał jej organizm polityczny; zaś obojętność Zachodu na ustroje zbrodnicze i na panowania nieludzkie, dążenie za wszelką cenę do układu ze złem, świadczą, że kryzys nie pozostał ograniczony do pewnego geograficznego rejonu czy do pewnej tylko fazy cywilizacyjnego rozwoju. A zatem ani obniżenie w nowoczesnym człowieku jego natury pierwotnej, ani historyczny podział Europy na wystygły w swym rozwoju Zachód i galwaniczny Wschód, nie wyczerpują przyczyn ogólnoludzkiego przesilenia, nie odsłaniają jeszcze źródła wielkiej zmiany.

Niektórzy badacze skłonni byli przypisać transformację jaką zaszła w człowieku, począwszy od pierwszej wojny światowej, przyczynom kosmicznym. Usiłowali oni iść dalej po drodze po-

szukiwania analogii między epokami ludzkości, a położeniem ziemi w świecie, zmianami zachodzącymi w ustroju międzyplanetarnym, a nawet w fenomenach powstawa i znikania innych światów międzygwiazdowych. Rozumowanie naukowe nie może wykluczać takiej hipotezy, ale niezdolne jest jeszcze ją zbadać i dowieść. Jeżeli niewątpliwe jest oddziaływanie czynników kosmicznych na naturę człowieka, to jednak ustalenie związku między światami innymi a rozwojem świata naszego znajduje się poza zakresem historii. Historyk może więc tylko stwierdzić, że istnieją niewytłumaczalne fenomeny zbiorowości ludzkiej, które nie mają przyczyn w żadnej dziedzinie życia psychicznego a przeto mogą być zależne od zjawisk pozaludzkich.

Rozwój nauki w ciągu ostatnich dziesięcioleci sięgnął w istocie do łączności człowieka z tajemnymi, nieobliczalnymi siłami przyrody. Już przed pół wiekiem znakomity historyk francuski Albert Sorel zapytywał, jakie konsekwencje może za sobą pociągnąć ambicja człowieka odkrycia nieznanych pierwiastków, wytworzenia nowych sił i ujarzmienie ich w służbie ludzkości. Pozornie można było sądzić, że rozwijają się na tej drodze uzdolnienia człowieka do władania nad światem; faktycznie ujawniało się tylko coraz głębsze uzależnienie człowieka od otaczającej go przyrody; wywołując nowe energie, których źródło pozostawało dlań w swej istocie nieznanie, poddawał on się jeszcze bardziej panowaniu sił przez niego nieobliczonych.

Przez te pół wieku, od czasów, gdy Sorel notował początki tej groźnej ewolucji, zaszyły olbrzymie postępy wiedzy w użytkowaniu elementów dotychczas uważanych za nadprzyrodzone. Przenikanie fal w eterze, odkrycie radioaktywności, rozbicie atomu, budowa samoczynnych maszyn — były etapami na tej drodze. I znów historia staje wobec tajemnicy, albowiem nie jest ona w stanie ustalić, jaki związek mają te dokonania naukowe ze społeczną egzystencją człowieka i z jego działaniem. Historyk może tylko skonstatować, że te osiągnięcia myśli i wiedzy, przejawy twórczości nieomal ponadludzkiej zbiegły się z jednoczesnym duchowym i moralnym upadkiem człowieka, z anarchią w jego działaniach, z nikiemnością jego instynktów, że wszystkim co epoka najnowsza przyniosła w dziedzinie rozkładu i szaleństwa rodu ludzkiego.

W pewnym związku z tą analizą odległych, nadprzyrodzonych czy przyrodniczych źródeł i przyczyn staje, jako jeszcze jedna próba rozwiązania zagadki człowieka, zagadnienie religijne. Zamiast, można by powiedzieć, że ziemia została opuszczona przez Boga. Można by sądzić, że wyczerpał się element twórczy w świecie, który wyobrażnia niezliczonych pokoleń łączyła z pojęciem boskości. Stworzono kościoły bez Boga, religie przymusowe bez wiary, dogmaty bez etyki. Spontaniczna potrzeba religijnego odrodzenia, jaka się pojawiła jednocześnie w tylu różnych miejscach, nie tworzy jeszcze sama przez się nowej religii. Wiara musiała być powierzchowna i niestała, jeżeli wydawała się potrzebna jednym a zbyt bezużyteczna dla drugich. Zasady

etyczne wyniki z religii nie sięgały widocznie dość głęboko, jeżeli człowiek oswobodził się od nich tak łatwo; religia przybrała oczywiście dla znacznej większości ludzi charakter zwyczajny i zdawkowej formy, a przestała być regułą życia i przewodnią gwiazdą ideału. Zło nowych czasów objawiało się nie tylko w osłabieniu źródeł wiary i jej znaczenia w życiu ludzi, ale w ogólnym zwichnięciu zasad etycznych: dobro przestało być czynnikiem działającym; granice między dobrem a złem się zatarły, lub stały się równoznaczne z martwą literą kodeksów; braterstwo między ludźmi, będące samą naturą religii, teraz oderwane od wierzeń wymarło. Nie były to przyczyny, lecz tylko objawy jednego i tego samego zjawiska — okazujące się na całej powierzchni życia, równoległe dowody kryzysu człowieka.

Kryzys ten nie jest natury przejściowej — jest strukturalny i dotyczy podstawowych faktów i zasad społecznych. Kryzys ten nie sięga tylko pojedynczych krajów czy narodów — jest powszechny, odbija się na każdym kontynencie, pociąga za sobą wszystkich ludzi, stawia zagadnienia nierozstrzygnięte przed każdym narodem, społecznością, człowiekiem. Kryzys ten wreszcie nie objawia żadnych oznak przejścia lub zatrzymania — przeciwnie, pogłębia się i rozrasta.

W ślad za pierwszą wojną światową zawarty został między zwycięzcami a zwycięzonymi pokój, ułomny jak wszelkie dzieła człowieka, ale noszący cechy uzgodnienia, a więc mogący prowadzić do stabilizacji. W rezultacie drugiej wojny światowej pokój nie doszedł w ogóle do skutku. Wszelkie próby zawarcia układu, choćby częściowego, ułamkowe umowy, ograniczone w terenie i w czasie, stały się zaprzeczeniem samej idei pokoju. Zabrakło nawet podstawy umownej między zwycięzcą a zwyciężonym. W rezultacie nastąpiło ogólne załamanie podstaw prawa międzynarodowego; każdy z układów zostawał nazajutrz zakwestionowany; każda próba załatwienia konfliktu wywoływała konflikty nowe. Powstały ogniska zapalne, zarzewia nowych burz i katastrof i rozszerzyły się na dziedzinę i strefy rozstrzygające dla przyszłych losów ludzkości.

Podobnie nie zatrzymały się wcale wewnętrzne załamania w społeczeństwach w znacznej części świata. Wprawdzie rewolucja rozpoczęta w okresie między dwiema wojnami w Rosji wyczerpała odtąd siłę swojego rozwoju, owszem cofnęła się wstecz i zaczęła pożerać własne swe tworzywo; ale ogień i lawa, powstała z tego ruchu i szerząca się dookoła nie zatrzymała się jeszcze. Burza dziejowa przetoczyła się na przestrzenie Azji, podczas kiedy w Europie nowe przewroty narzucone zostały przymocą dalszym krajom i narodom. Szaleńcze dążenie do panowania nad światem nie miało końca — zmieniło tylko swój punkt wyjścia i kierunek. Okazało się, że zamach Hitlera nie był, jak się to mogło zdawać, wybrykiem natury i dziełem szaleńca, ale stanowił jedną z powrotnych fal historii — dążenia do absolutum dominium. W świetle późniejszych wypadków Hitler był tylko prekursorem komunizmu, tym, który

torował mu drogę, obezwładniał przyszłe jego ofiary. W nieubłaganej linii rozwojowej dziejów *fascio* włoskie i narodowy socjalizm Niemiec były dalszym ciągiem i następnym etapem bolszewizacji Rosji; z kolei sowiecki reżim współczesnej Rosji stanowi nową, zmienioną formę jedynowładztwa Hitlera. Są to reakcje łańcuchowe historii i nie zatrzymują się one, podobnie jak nie zatrzymują się reakcje rozbitego atomu. Dzieje toczą się dalej i okres gwałtownych przemian wciąż jeszcze trwa. Dzieje nie znają spoczynku.

Historyk czasów nowych nie może zmienić faktów, nie jest zdolny zatrzymać, ani nawet skierować rozwojowego procesu zdarzeń. Jego zadanie podobne jest do zadania psychoanalizy. Celem psychoanalizy jest uświadomienie człowieka, czyli przywrócenie do świadomej części jaźni odruchów nieświadomej natury. Psychoanaliza objaśnia lub pomniejsza, uzdrawia albo usuwa działanie ślepych sił, tkwiących w głębi, na dnie człowieka. Tak samo historyk, pochylony nad bezdnią współczesnych przemian, zdolny jest pomniejszyć, ograniczyć działanie nieświadomych sił w teraźniejszej fazie rozwoju ludzkości, a przez to zatrzymać powrotny popęd powszechnego zdziczenia. Nie ma dlań tedy ważniejszego i pilniejszego zadania nad rozpoznanie, na czym polega cywilizacja i czym się różni od barbarzyństwa.

Michał SOKOLNICKI.

Ambasador R. P.

O Żydach

Czytając skrzynię cedrową listów ojca z syberyjskiego wygnania, listów, z których każdy liczył kilkanaście stron, sądziłem, że ta niezmierna wylewność epistolarna dawnych czasów, która przeszła i do literatury, była spowodowana życiem a u r a l e n t i. Ale przecież Słowacki i jego współcześni nie mieszkali w izbie jakuckiej, a w świecie pełnym stawań się.

Kiedy "Kultura" zwróciła się o recenzję książki Katelbacha, uchylając się od niej odpisałem listem osobistym do redaktora, który jednak list ten (za moją aprobatą) umieścił jako recenzję.

Przeczytawszy artykuł Florczaka, chciałem, po prostu napisać list do niego, który znowu spuchł do rozmiarów studium.

Wówczas pomyślałem, że te epoki "listowe" zachodzą nie tyle wówczas, kiedy tempo jest zwolnione, tylko kiedy obraz świata jest płynny, złapać go w całość trudno, a istnieje potrzeba krzyknienia do kogoś, jak kiedy się idzie w ciemnościach: "Czy tam równo? Bo ja wyczuwam, że teren się wznosi".

Obecnie znowu "Kultura" przysłała mi książkę Koestlera¹⁾ z propozycją recenzji (radbym widział "cartoon": Giedroyc pośrodku areny podcina batem swoje współpracownicze konie). Na drugi dzień otrzymałem artykuł Herlinga Grudzińskiego o Żydach i o tej książce. Mimo to — chłańnięcie bicia i stracone znaczki pocztowe poszłyby na marne, gdyby nie dopisek w artykule poświęcony mojej rozmowie ze Sternem²⁾. Znowu powstał impuls do napisania listu i przerodził się w artykuł.

Bo w tym świecie pełnym trudnych tematów, temat żydowski jest chyba jak ten najtrudniejszy cel na strzelnicy: cel jest ruchomy ruchem niejednostajnym, strzelca postawiono na wirującym podium i na dodatek dano mu broń strzelającą z odchyleniem. Nowicjusze tego wszystkiego nie rozumieją — myślą że strzelają w łatwy kaczki kuper z tektury i są bardzo zadowoleni wystrzelivszy jakimś artykułem o Żydach. Tym bardziej, że na publicystycznej strzelnicy nie siedzi żadna wyrznerowana dziewczica sygnalizująca trafienia. Ja myślę, że raczej to ta

1) A. Koestler. *Promise and Fulfilment*. — 1949 (wyd. francuskie: *Analyse d'un miracle*, Calmann-Lévy, 1950).

2) M. Wańkowicz. *Rozmowy w ciemnościach*. — "Kultura". 1950. Nr 1. (27).

trudność tematu, niż brak cywilnej odwagi powstrzymywał odpowiedzialne i niezależne pióra w Polsce od pisania o Żydach. Wolały się człowiek wykić listem.

Czy są narodem?

Kwestia żydowska dokładnie została przetrwoniona przez naukę żydowską przede wszystkim i Koestler i we wspomnianej swojej książce i w poprzedniej³⁾ zdradza, że te zdobycze opowiadał i że strzela do celu z najnowocześniejszej możliwie broni. Pan Herling, podejmując z nim współzawodnictwo występuje z jakąś dwururką z końca XIX w.

“Na zrewidowanie zasługuje pogląd” — pisze — “jakoby Żydzi stanowili zwartą i odrębną wspólnotę narodową”. Ale ten pogląd rewiduje na poczekaniu, aby dojść już do nieodwołanego wniosku, że Żydów błędnie się uważa za naród.

Nad tym, jak zdefiniować naród tak, aby to pojęcie przystawało do zbiorowiska bez ziemi i bez języka, a przecież będącego niewątpliwie narodem — głowiła się wiele myśli socjologiczna żydowska, poszukując formuły. Dr Welsh określał naród jako zbiorowisko ludzkie “mające zespół cech i wspólne zadanie”⁴⁾ (uniwersalizm żydowski), prof. Buber, przecinając dłubanie się przy węźle gordyjskim — określa naród jako “historyczną rzeczywistość i moralne zadanie”⁵⁾.

Herling twierdzi, że “antysemici prześladowali Żydów uważając ich błędnie za naród”. Dochodzenia żydowskie wykazały, że tam wszędzie prześladowania się zaostrzały, gdzie Żydzi wychodzili z gheft i chcieli przestać być narodem. Nie jest znany wypadek, żeby narody-gospodarze nie znalazły *modus vivendi* z mniejszościami nieterytorialnymi mieszkającymi pośród nich. Tak było z Niemcami, Ormianami, Czechami, Tatarami w Polsce, tak było z wszelkimi emigracjami politycznymi i religijnymi. Nieraz te imigracje pozostawały wieki całe jako enklawy włączone w życie kraju. Antysemityzm zwracał się przeciw Żydom nie dlatego, że byli odrębnym narodem, tylko że byli odrębną kastą.

Czy łatwo się asymilują?

Wreszcie p. Herling twierdzi, że “nigdzie na świecie nie spotyka się tak zupełnej i doskonałej asymilacji, jak w państwach, których kultura potrafiła przyciągnąć i wchłonąć żydowskich tułaczy”.

Rozumiem, że socjologia nie jest nauką tak ścisłą jak matematyka. Ale przecież i ona ma swoje osiągnięcia i nie można każdej dyskusji rozpoczynać tak, jakby przed nami myśl ludzka nie pracowała na tym polu i nie dochodziła do ustalenia pew-

3) A. Koestler. *Thieves in the night*. — 1946. (wyd. francuskie: *La tour d'Ézra*, Calmann-Lévy, 1947).

4) Weltsch F. Dr. *Judentum und Nationalismus*. — 1920.

5) Boehm A. *Die Zionistische Bewegung*. — 1936.

nych wniosków, które są bezsporne dla antysemity i filosemity (okrutnie dyletanckie to terminy i nie do przyjęcia na pewnym poziomie dyskusji), dla Żyda i dla Aryjczyka. Bo przecież à la longue kłamstwem ani Żyd ani Aryjczyk nie wyżyje.

Można by się ludzić, że p. Herling zmyliła różnica jaka zachodzi między mimikrą a asymilacją. Niektórzy mimikrę nazywają asymilacją, jak choćby J. M. Bonsirven⁶⁾, który mówi, że “Żydzi są najbardziej asymilujący się i najtrudniej rozpuszczalni”. U Bonsirvena terminologia jest nieściśła, ale wniosek prawidłowy i pokrywający się z badaniami. Niestety, cały przewód p. Herlinga wykazuje, że jego oświadczenie należy brać tekstualnie: biedni “Żydkowie” byli zahukani, gnani z kraju do kraju, a gdzie tylko im się przytrafiło nieco spokoju, to śladu po nich nie zostawało. Bardzo ubogi aspekt, bardzo uwłaczający. To o takich zapewne obrońcach pisał Pinsker: “Być gromionym jako Żydzi, czy być bronionym jako Żydzi — jest równie upokarzające”.

Nie, “biedni krzywdzeni Żydkowie” byli narodem zastanawiającym, nie dlatego że przetrwali inkwizycję w Hiszpanii, tylko że przetrwali ćwierć tysiąca lat hiszpańskiego złotego okresu i nie dlatego, że przetrwali polski antysemityzm, tylko ćwierć tysiąca lat polskiej tolerancji.

Teraz już mamy, jeszcze teoretycznie nie uzasadnione do gruntu, ale empirycznie zbadane i zaprotokółowane prawo o innych prawach asymilacji, jakim ulegają Żydzi, a innych, wręcz przeciwnych, jakim ulegają Aryjczycy. U Żydów asymilacji opierają się żywoły pełnowartościowe, gdy u Aryjczyków najmniej wartościowe. Doszedłem do tego przekonania w stosunku do Aryjczyków, studiując sprawę mniejszości polskiej w Prusach Wschodnich i poświęcając tej sprawie cztery miesiące bardzo intensywnych badań w Stanach Zjednoczonych przed wojną. Wygląda to jak paradoks, ramy jednak tego artykułu nie pozwalają zatrzymać się nad tą sprawą.

Żydzi do odkrycia tego prawa nie doszli od razu. Jeszcze Herzlowi się zdawało, że doprowadzi do gremialnych chrztów, jeszcze ani Nordaowi (który tak chytrze zniemczył nazwisko Suedfeld) nie chciało się rozstawać z literacką popularnością, którą w aryjskim świecie zyskał swymi dziełami przekładanymi na dwanaście języków, ani literatowi angielskiemu Zangwillowi. Zbliżenie tych pionierów sjonizmu nastąpiło na skutek nienawiści do kłamstwa asymilacji, zachwalanej przez p. Herlinga jako tak łatwej dla Żydów i której wszak oni pragnęli tak gorąco.

Imię takich prób — legion, czas ich rozpięcia — dwa i pół tysiąca lat (bo rozproszenie Żydów poczęło się na 500 lat przed Chrystusem i dawniej). Toteż nic dziwnego, że jeśli Żydów wezwiemy na świadków koronnych, jednym głosem złożą oni zeznania, że:

6) Bonsirven J. *L'Antisemitisme aux Etats Unis*. — 1939.

"Asymilacja jest rzeczą nie do urzeczywistnienia." 7)

"Europejskie wychowanie dało nam pokost, ale w krew się nie przetoczyło" 8)

"Asymilację osiąga się tylko przez związek krwi" 9).

"Żyd, czy to pozostanie w Żydostwie, czy wychodzi z niego, jest człowiekiem całkiem innym, niż aryjskie otoczenie" 10).

"Codzienna rzeczywistość potwierdza, że nawet w tych żydowskich jednostkach, które uważają się za przynależne do nieżydowskiego elementu, pozostała świadomość żydowska, nosząca piętno indywidualne" 11).

"Byłe zdarzenie każe się żydowskości w asymilowanym Żydzie odezwać na nowo. Byliśmy świadkami tego tam, gdzie Żydostwo miało się rzekomo prawie zupełnie zasymilować". "Nie wchodzą, oczywiście, w rachubę, jednostki oddane Polsce z duszy i istotnego przywiązania" 12).

Do tych asymilatorskich złudzeń (zastosowanych jako prawidło, nie jako wyjątek dla jednostek), należy mit o Polakach wyznania mojżeszowego, dawno rozwiany przez badania żydowskie. Religia żydowska jest przede wszystkim statusem narodowościowym i rasistowskim i dlatego ma zupełną rację dr Pordes, publicysta żydowski, kiedy pisze, że "jest to fałsz mówić o Polakach wyznania mojżeszowego".

Dlatego odezwa w czasie wojny polskiego ministra Obrony Narodowej do Żydów narodowości żydowskiej *lub* (podkr. moje) wyznania mojżeszowego, jest fałszem, którego Żydzi, kiedy im to było wygodniej, stanowczo się domagali, ale w który sami nie wierzą. W istocie rzeczy nawet areligijny Koestler zeznać musi, że pojęcie "Anglik mojżeszowego wyznania" jest "contradiction in terms". Prezes Rady Narodowej żydowskiej, Ben Zwi w rozmowie ze mną wyraził to stanowisko bez ogródek, żądając, żeby z gimnazjum polskiego w Tel-Aviv wykluczyć dzieci wyznania mojżeszowego. Że, odwrotnie, jest fałszem myśleć, że mogą istnieć Żydzi wyznania niemojżeszowego, stwierdził w rozmowie ze mną dr Ruppin, naczelna postać w sjonizmie. Oświadczył on stanowczo, że gdyby taki typ zgłosił się do łączności żydowskiej, to nie zostałby przyjęty. Zauważyć należy, że dr Ruppin był od ortodoksyjnych kierunków w żydostwie bardzo daleko.

Można by tak cytować kilometrami. Lepiej więc, po prostu, zakończyć słowami Zabotyńskiego: "Jest dziś stanowczo za późno agitować za mikro-sjonizmem" 13).

7) Buchmil Joschua. *Problemes de la Renaissance Juive*. — 1936.

8) Levanda L. O. *Goriaczeje wremia. Roman iz posledniawo polskawo wozstania*. — 1875.

9) Lillienblum M. *O wozroźdzeńi jewrejskawo naroda*. — 1884.

10) Curevitsch. "Shem" — *Revue d'action Hebraique*. — 1939.

11) Klatzkin J. Dr. *List do dr Oppenheimera*. — 1910.

12) Pordes W. Dr. *O kulturze żydowskiej*. — 1910.

13) Zabotyński. *Rewizjonizm*. — War - bez daty.

Waga mozaizmu.

Pan Herling-Grudziński boleje nad opisanymi przez Koestlera objawami przesądów religijnych oraz sprymityzowania życia kulturalnego w Palestynie, zachwalając jako przeciwstawienie międzynarodowe Żydostwo; twierdzi, że fakty podane przez Koestlera, powinny "zasmucić licznych entuzjastów świetności umysłowej Żydów europejskich" i startuje z apriorystycznym twierdzeniem, że nie ma nadziei, żeby w Palestynie powstała literatura, dopóki będzie się ona trzymać "martwego" języka hebrajskiego.

Tu znowuż — ile stwierdzeń, tyle grubych znaków zapytania.

Nie będę bronił przesądów religijnych, które wg prof. Zielińskiego "są spiętrzeniem niedorzeczności, noszącym piętno jakiejś ponurej wielkości" 14).

Otóż to co nie uszło uwagi nawet zagorzałego hellenisty, z animuszem druzgocącego judaizm, to, co doceniał światły i bezbożny umysł doskonałego hebraisty aryjskiego Renana — religia, która rozbudowawszy "ogrodzenie dookoła zakonu" skomplikowanych przepisów talmudycznych utrzymała życie narodo- we żydowskie i dzięki której właśnie wyostrzył się intelekt żydowski, zdobywając 10 proc. nagród Nobla — jest dla Herlinga tylko czymś, co można zbyć gestem pogardy.

Gesty pogardy i potępienia są w socjologii w ogóle gestami dosyć niepożądanymi, w tym zaś wypadku jeszcze są o tyle nieuzasadnione, że wpływ religii żydowskiej sięga wiele głębiej, niż by się zdawało wśmiewaczom. Na śniadaniu w szpitalu żydowskim, jego dyrektor, wychowany w Szwajcarii i naczelnym lekarz, praktykujący ongiś we Frankfurcie, z przerażeniem rzucili się ku memu nakryciu, kiedy chciałem położyć masło na talerzu przeznaczonym na mięso; oglądony dziennikarz wiedeński Wolfgang von Weisl, w którego pięknej willi byłem na obiedzie sobotnim, przyniósł mi do stołu czapkę, abym włożył przy mówieniu "bracha" (błogosławieństwa); rewizjoniści w obozie wojskowym Rosz-Pina też kazali mi nakryć głowę; w kibucu Tirath-Zwi kierownik ogrodnictwa, doktoryzowany w bezbożnej mikrobiologii we Francji prosił mnie w sobotę, żebym włączył radio; w innym miejscu doktor filozofii z Heidelbergu prosił mnie, żebym przetknął lampę spirytusową, która zatknęła się w dzień sobotni.

Obyczaje religijne są kultywowane i przez niewierzącą lewicę, która uważa, za historykiem sjonizmu Boehmem, że "Religia żydowska jest narodowym dobrem kulturalnym". Kibuc Maoz, należący do "Haszomer-Hazair", a więc najbardziej lewej lewicy, wprowadził świętowanie szabasu; socjalista Rubaszow na wieść o komorach gazowych siedzi w bożnicy w jarmułce na ziemi z rabinami trzy dni i opiekuje żałobę; kiedy przyjeżdża bolszewicka delegacja, oprowadzana przez swego poplecznika, poa-

14) Zieliński Tad. Prof. *Hellenizm a Judaizm*. — 1927.

lejewca Zerubabela, sowieciarze nagle widzą ze zdumieniem pod ścianą Piaczu, jak rumiany i brodaty Zerubabel wyciąga jarmułkę. Birnbaum, startując z marksizmu, musi uznać religię "jako najistotniejszy element żydostwa", Stok, socjalistyczny przodujący dziennikarz Palestyny mówi mi: "Niech Pan zwróci uwagę, że w czasie okupacji rosyjskiej w 1939 znikł sjonizm, ale jarmułki zostały; zawsze, kiedy z Żydami było źle, okazywała się siła religii". Jest to więc wielkie uproszczenie przypuszczać, że ta religia trzyma się terrorem języczka parlamentarnego uwagi jakim jest religijne Żydostwo. Odczyszczenie religii ze zbędnych w wolnym kraju przepisów, mających izolować Żydów, pójdzie niewątpliwie szybkim tempem. Ale to nie przeczy słowom prof. Bubera, że "Odrodzenie Żydostwa w gruncie rzeczy oznacza odrodzenie religijności żydowskiej" ¹⁵⁾.

Czy Palestyna "schamiała"?

Koestler stwierdza, że "na muzy w Palestynie jest nałożone embargo", a Herling bardzo się smuci z tego powodu.

Istotnie, żydowskie piękności — schamiały w Palestynie. Okazało się, że dorwały się do własnego kraju wcale nie po to, aby epatować wymagających krytyków literackich. "Panie Wańkiewicz" — powiedział do mnie dyrektor Instytutu Hebrajskiego — "my już sześć tysięcy lat biegaliśmy za wybrany naród. Może teraz Polacy zechcą?" I dlatego w ciągu sześciu lat po deklaracji Balfoura nie ukazała się ani jedna książka w Palestynie. Zamilkł Bialik, zamilkł Achad-Ham, prof. Buber zwinął wydawane przez siebie pismo, które miało za wysoki poziom i reemigrował do Europy.

Najlepsi kiniarze świata — w Palestynie poczęli knocić filmy, rodacy Reinhardta, których "Habimę" podziwiałem w Europie, zajęli się wystawianiem żydowskich "Obron Częstochowy", krytyka teatralna i literacka we właściwym znaczeniu tego słowa zanikła. Bo i komu miała służyć? "Sabrze"? — młodemu pokoleniu muskularnych blondynów rodzących się na palestyńskiej ziemi? Jeden z nich, zdawszy maturę, odesłał ojcu otrzymane w darze wieczne pióro, bo mu "już teraz nie będzie potrzebne".

Okropnie to martwi kulturalnych Europejczyków — Herlinga zarówno jak Kuncewiczową, która się skarży, że "duszom w Palestynie odmówiono prawa do internacjonalizmu" ¹⁶⁾. Okrutnie się martwi kulturalny Europejczyk, p. Muehlstein: "Sądzę, że Żydostwo nie da się zepchnąć do stanu narodowego, który porzuciło przed dwudziestu wiekami... Żydów nie można zepchnąć do małego kraiku. Jeśli im się każe podejmować zwięzione, specjalnie żydowskie zadanie, to zuboży się kulturę powszechną" ¹⁷⁾.

15) Buber M. Prof. Reden Ueber das Judentum. — 1932.

16) Kuncewiczowa M. Miasto Heroda.

17) Muehlstein A. Quo vadis, Israel. — 1945.

Tym wszystkim zdaje się odpowiadać wódz robotników żydowskich w Palestynie, Bellinson: "Tutaj kulturę mierzy się nie pięknoduchowskimi utworami; tu uduchowanie objawia się w namyślnym udziale w życiu" ¹⁸⁾.

Zastrzegam się, że nie biorę udziału w tym sporze, bo bym przeszedł ramy artykułu. Chodzi mi tylko o zalecenie mniejszej pewności przy ferowaniu opinii. Dzieci moje żartem uczyłem zwracać się do ojca w plusquamperfectum: "Jabym była chciała zjeść ciastko". Nie samo jednak przekomarzenie się w tym tkwiło, ale i nadzieja, że kiedy zostaną, np. krytykami literackimi i wleżą na socjologię, zatrzymają się chociaż na zwykłym trybie warunkowym — "jabym sądził".

Koestler ten styl posiada. I o "schamieniu" Palestyny pisze: "Zegar Izraela idzie wstecz o cały cyferblat — ale jest to zegar elektryczny na funkcjonalnej fasadzie".

Czy hebrajski jest językiem martwym?

Pan Herling nas przeraża, twierdząc apodyktycznie, że nie ma nadziei na literaturę w Palestynie dopóki będzie się posługiwać "martwym" językiem. No, bo przecie już hebrajskiego Palestyna się nie wyrzeczy, choćby dlatego, że wielka ilość jej mieszkańców żadnego innego języka poza nim nie zna. Ten język — kwitnie. W oczach się staje. Nie tylko pracą moli bibliotecznymi jak wskrzesiciel tego języka Eliezer Ben Jehuda. Jego żona opowiadała mi, jak jadąc z pierwszą swą żoną a jej siostrą do Palestyny, skoro tylko siadł na okręt, przestał inaczej mówić jak tylko po hebrajsku do kobiety, która nie miała pojęcia o tym martwym języku. Język hebrajski kwitnie nie tylko codziennym dniem starań w każdej dziedzinie (Stern musiał w podręczniku o karabinie maszynowym ukuć dwieście nazw technicznych), ale w codziennym dniu dziecka; będąc w przedszkolu zobaczyłem, że nauczycielka uśmiechnęła się ciepło do kilkoletniego bobasa, który stworzył sobie na poczekaniu słówko, prosząc aby go "zarekawila". Poeta Czernyszewski swój przekład Longfellowa musiał zaopatrzyć olbrzymim indeksem słów wyjaśniających terminy fauny i flory. Ale poeta Tarszys, który urodził się i osiągnął wiek męski w kibucu i napisał poemat o przyrodzie, już indeksu dodawać nie potrzebował. Zdziwiłby się osądem Herlinga, jak zdziwiłoby się każde polskie dziecko z czasów naszej przejściowej emigracji palestyńskiej, które klóciło się i wymyślało innym dzieciom przy zabawie — po hebrajsku.

Pan Herling-Grudziński znowu się spóźnił o pół stulecia nie wierząc w sprawy, które rozstrzygnęło życie.

To w dziewiętnastym stuleciu nie wierzono, że zestarzały w dwóch tysiącach lat bezjęzyczna naród strzeli pędem hebrajskim. Bo narodowi temu było jako Sarze "której przestało być"

18) Bellinson M. Der Geist in Palestina. — 1924.

według obyczaju niewiast" (Gen. XVIII, 11). Zatem nie wierzyła, aż "rzekł Pan do Abrahama: 'Czemu się roześmiała Sara, mówiąc: zaż prawdziwie porodzę, gdym się zestarzała? I zaż jest co trudnego u Pana?' (Gen. XVIII, 13).

I znowuż — czyż nie lepiej było użyć trybu warunkowego?

Mnemoniczne wątpliwości

Pan Herling zaopatruje swój artykuł następującym przypiskiem:

"5) W nr. 1/27 "Kultury" ukazała się relacja Melchiora Wańkowicza z rozmowy z przywódcą jednej z band terrorystycznych, Sternem. Opowieść Wańkowicza — zwłaszcza w tej partii, w której Stern recytuje na pamięć to Słowackiego, to Izajasza, a potem oświadcza, że "my Żydzi jesteśmy zarazą świata" — wydaje się w najwyższym stopniu nieprawdopodobna. Proszę sobie wyobrazić przywódcę organizacji bojowej PPS z r. 1905, wmawiającego dziennikarzowi zagranicznemu, który w dodatku nie żywi zbyt wielkiej sympatii do narodu polskiego, że "Polacy są zarazą świata".

Pan Herling znowu zapomina o trybie warunkowym. Po prostu, w grzecznej formie, nie wierzy moim słowom.

Jest to rzecz kłopotliwa, kiedy pisarz podaje słowa osób, u których nie można szukać potwierdzenia i należałoby tu raz ustalić jakiś modus literacki. W braku niego pisma obawiają się drukować mojej relacji z rozmów z Beckiem i ze Śmigłym, w braku jego nie zdecydowałem się na wydrukowanie pewnego fragmentu rozmowy z Dmowskim. Wydaje mi się, że zasada żądająca nie drukowania materiałów, których nie można sprawdzić jest nie do przyjęcia. W razie gdyby obowiązywała, można by zabić nie tylko relacje ze zdarzeń historycznych, ale zwykły reportaż na każdym szczeblu. Pan Herling w swoich wspomnieniach z Rosji pisze, że obkładał nagie piersi kobiece surowym ciastem, a ktoś osądzi, że "wydaje się to niemożliwe". Cóż pozostanie p. Herlingowi? Wzruszyć ramionami i zdać sprawę na osąd czytelników. I będzie miał rację, tak jak ja mam rację, przypuszczając, że pisarz ma prawo do tego, czego się nie odmawia nikomu w niczym zawodzie: kredytu, budowanego latami pracy. Jeśli na kilka tysięcy świadków bitwy o Monte Cassino nie miałem ani jednego zaprzeczenia podanych faktów (co innego — krytyka naświetlenia tych faktów, wywołująca sprzeciw np. płk. Bobińskiego) — to sędzę, że mogę tentować o pewien kredyt pisarski.

Skoro jednak mi go odmawiają, to spróbujmy naświetlić sprawę w sposób pośredni — drogą kontestu.

Co p. Herling widzi dziwnego w tym, że patriota żydowski i poeta, wychowany na poezji polskiej, zacytował ustęp o Żydach u Słowackiego, albo że talmudysta zacytował Izajasza? Czy samemu p. Herlingowi nie mogłyby się zdarzyć dwie cytaty w ciągu dwóch przegadanych noczy? W notatkach, które robiłem

w czasie rozmowy (trzeba pamiętać, że Stern mi wwalił masę materiału najeżonego szczegółami technicznymi), znalazłem, wyjąwszy je w siedem lat po tej rozmowie, kiedy pisałem ten artykuł zapis "Izaj." i w nawiasie przy tym ("pierściami liohkimi..."), a dalej: Cherubiny — "ks. Marek". Posłużyłem się najwyrazistszym dostępnym mi skrótem (Parafraza Izajasza u Lermontowa: *Pierściami liohkimi kak son, moich zienic kosnusa on*).

Z tych dwóch krótkich notatek zrekonstruowałem tekst, zajmując do odnośnych ksiązek. Może ująłem wiersz, może zacytowałem o wiersz za długo. Może który wiersz Stern przekreślił, może na którym się zaciął. Cóż to ma za znaczenie w rozmowie ideologicznej, której treść chciałem oddać jak najpełniej?

Autokrytycyzm żydowski

Rzućmy te, aż zabawne rozważania, żeby przejść do bardzo poważnej rzeczy. Pan Herling nie wierzy, żeby Stern mógł się wyrazić o własnym narodzie, że jest "zarazą świata".

Z największą obawą i przykrością podejmuję ten spór. Sprawa żydowska jest tak skomplikowana, że im więcej wiem o niej, tym mniej mam gotowych rozwiązań i tu szczerze muszę zazdrościć p. Herlingowi jego pewności. Wchodząc w las, który zagęszczał się coraz bardziej, postanowiłem pisać kontrastami, kolejno o pewnych partiach tego lasu. Zamiast zapaskudzić całą pracę licznymi "jednakże", "z drugiej strony", "natomiast", "nie należy wszelakoż zapominać" itd. w którym to referacie zanikłby wielki tragizm zagadnienia, wołałem, pisząc o tym biblijnym narodzie poddać się wpływow proroków, którzy nie mieli granic dla uwielbienia i dla nienawiści i którzy bez wątpienia nie nadawali się na referentów do jakiejś Ligi Narodów. Pisząc tak, pocieszałem się, że prawda na tym nie ucierpi, tylko nabierze na wyrazistości, jak nabierały wyrazistości obrazy punktualistów. Dlatego napisałem w odnośniku do relacji z rozmowy ze Sternem, że "może być rozumiana tylko w konście całości, która operuje kontrastami". Niestety ten spór z p. Herlingiem znowu będzie się obracać nie w konście całości tylko na jednym nb. najskrajniejszym wycinku kilkutomowego dzieła, które według wszelkiego prawdopodobieństwa, właśnie na skutek tej metody pisania, nie znajdzie nakładcy ani wśród przychylnych Żydom, ani wśród im niechętnych.

Nie zrozumie dramatu żydowskiego, kto nie ogarnie tragicznego rozpięcia między poniżeniem z którego się wydobywali, a osiągnięciami, do których doszli. Jeden z tomów mojej pracy pt. "Wielki Eksperyment", który mówi już tylko o pracy w Palestynie niepokojąco ocieka od zachwyków. Obracam go w ręku z nieufnością, radbym tam więcej ciemnych stron znaleźć, bo mi to brakuje dla pełni wyrazu artystycznego, bo posądzam siebie, że na pewno nie dosyć głęboko wszedłem w to życie, które opisuję. Za to pisząc o początkach sjonizmu, o tym, z

czego wydobywała się myśl polityczna żydowska, mam na palecie obficie czarnej farby.

Rzecz zabawna, choć zrozumiała — kiedy tylko użyć tej czarnej farby, która daje tak dramatyczne kontrasty — u Żydów powstaje niepokój. Kiedy w Tel-Aviv miała wyjść moja "De Profundis", zwróciłem się do Żydów z prośbą o przejrzenie maszynopisu, tak jak mam zwyczaj robić z każdą moją książką, dając ją do kontroli czynnikom fachowym. Żydzi wyłonili komisję. Komisja zaproponowała mi szereg poprawek. Poprawki techniczne przyjąłem z wdzięcznością, ale uwagi o tym, żebym usunął np. opis pachciarza Srukla itd. odrzuciłem.

Jeśli w drukowanym w swoim czasie w "Kulturze" szkicu "Do Eretz Israel" piszę o twardej pracy, osiągnięciach, wyjazdach do USA lidera Lavi — to jest bardzo dobrze. Ale jeśli piszę, że poczynił jako chałcziarz z pejsami i żydłaczył, to jest zgorzienie. Nie ma u tych cenzorów miary wielkości drogi, jest tylko obolałość wyniesiona z kamienistych ścieżek świata. Koestler też narzeka na żydowską "extreme touchiness and lack of a sense of humor".

Ta obolałość domaga się, żeby fotografie Żydów były podawane w retuszu na słodko — bez jednej zmarszczki, bez jednego cienia. Ale tak jak nasza szkoła krakowska historii zbuntowała się przeciw ancycowskiemu historiom Polski "W 24 obrazkach", tak i myśl polityczna żydowska rozwarła, rozdrapała i wysondowała rany żydowskiej historii. Paliła się w niej ta namiętna nienawiść do stanu rzeczy, który należy zmienić, która podyktowała Herzlowi artykuł "Der Mauschel" (chyba najwłaściwiej przetłumaczyć — "Żydłak") o typie Żyda golusowego. Ten sam typ golusowego Żyda gromił Prezes Egzekutywy Sjonistycznej Sokolow za jego narzucanie się, nachalstwo (*obtrusiveness*). małpowanie (*apeing*), chucpę (*empty display*)¹⁹.

Brenner, myśliciel, płomienny patriota żydowski, który polegał z ręki arabskiej jakże ostro, w sposób pełen obrzydzenia pisał o przywarach Żydów na wygnaniu.

Od proroków wzywających pomsty Bożej na własny lud, ogień biczowania rodaków przeszedł w talmudystę i terrorystę Sterna. Tak, proszę państwa, ci drażliwi zarozumiali "chucpowaci" Żydzi tak potrafili siebie przeorać autokrytyką, że powstawały całe rozprawki "o wewnętrznym antysemityzmie żydowskim" (Beylin).

Wydobyszy się na skrawek wolnego (duchowo) życia, na zdziczałą ziemię Palestyny, gdzie "Jak nowe objawienie z góry Synaj zabrzmiało jedenaste przykazanie: 'Nie będziesz żył z pracy innych'" (Dr Tartakower)²⁰, Żydzi poczuli pączkować nacjonalizmem w formie nie znanej w diasporze. Doszli nawet i w tym kierunku do pewnych rekordów, które na seismografie socjologicznym już zaraz po pierwszej wojnie odnotował prof.

19) Sokolow Nahum, *Hibbath Zion*.

20) Lusternik M. *Gordon*. — 1935.

oxfordzki A. E. Zimmern: "Najlepszymi eksponentami nacjonalistycznej teorii w naszych czasach stali się Żydzi, którzy, zdaniem moim, dali w tej dziedzinie wkład jeśli nie równy, to przynajmniej godny zastanowienia z ich wkładem do postępu świata na polu religii"²¹).

Ten nacjonalizm, dochodzący na odcinku Sterna do egzageracji, których na swoich peryferiach ma pełno każdy kierunek ideowy, rozwijał się po ogólnej linii myślenia wspólnej wszystkim narodom i dawał i swoje zdrowe przemyślenia. Jeśli nacjonalista Doboszyński w swojej ostatniej książce pisze, że "zapobieganie asymilacji emigrantów jest procesem nienaturalnym i szkodliwym w perspektywie dobra całej ludzkości" i że "podsyćcie procesów wstecznych, repolonizacyjnych jest to postawa chorobliwa; czego nie chcemy u siebie, nie możemy narzucać innym"²² — to i Herzl, promotor sjonizmu dochodził do przekonania, że "Państwa nie mogą skazywać się na zagładę, czynią Żydów przywódcami. Staliśmy się biczem narodów"²³).

Ten rewizjonizm, z którego wyszedł już w swoje osobiste skrajności Stern, doprowadził do bardzo surowej autokrytyki. "Potrzeba trzymania z silniejszym bierze u Żydów górę nad poczuciem wdzięczności" — pisał dr Reich²³. "Właściwości Żydów przeciwdziałają siłom działającym dośrodkowo" — pisał dr W. Pordes. "Najgorsze jest plemię Judy" — pisał Żabotyński w powieści historycznej, będącej przykrywką aktualnej publicystyki — "siedzi i czeka aż mu przyniosą padlinę"²⁴.

W tym samobiczowaniu się (które, jako obcy, powinniśmy obchodzić z milczeniem pełnym szacunku, jeśli sami niemile widzilibyśmy nadużycia obcych w powoływaniu się na słowa Piłsudskiego o "narodzie idiotów"), elementy gorętsze dochodziły aż do negacji żydostwa. Miesięcznik skrajnego kierunku rewizjonistów "Shem", wychodzący przed wojną w Paryżu, stał z największą nienawiścią pisał o "kaście żydowskiej" i gloryfikował "hebrajczyków", którzy ufundują państwo w Palestynie. Hasło *Al tegi ha awosecha* — "Nie bądź podobny do swoich przodków" miało duże echo. *I became a Hebrew, because I hated the Yid* — mówi bohater Koestlera.

Od Herzla, który w biały dzień publicznie, w piśmie wydanym po niemiecku w Europie, nie wahał się piętnować "Żydłaka" do Żabotyńskiego, który mówił o żywieniu się padliną był kawał drogi. Dalej szła droga od Żabotyńskiego do Irgunu, o którym pisał Koestler jako o "dziwacznej mieszaninie donkiszockiego patriotyzmu i romantycznej rycerskości, która cechowała polskich wyrotowców". Ale od Irgunu jest jeszcze niezmiernie przestępna droga do Sterna. Pan Herling jednak w naszą nocną rozmowę nie wierzy. Pan Herling chciał mieć glad-

21) Zimmern A. E. *Prof. Nationality and Government*. — 1918.

22) Doboszyński A. *Studia Polityczne*. — 1947.

23) Herzl T. *Pamiętniki*. — 1932.

24) Reich dr. *Wobec problemów sjonizmu*. — 1910.

24) Jabotinsky W. *Philister ueber dir, Samson*.

ko wyretuszowaną fotografię Żydostwa jak z trzeciorzędnego zakładu fotograficznego "Progress" w jakimś Łucku. Ale to się nie da zrobić. Temat jest — zbyt dramatyczny.

Czy nie u Żydów — pół klucza.

Zabawne jest to imputowanie, że "nie żywię zbytnej sympatii dla narodu żydowskiego". Nie żywić zbytnej sympatii można dla sztanc, wyprodukowanych właśnie w zakładzie "Progress". Można "nie lubić" przeretuszowanych fotografii, albo, odwrotnie, chwalić "jakie to ładne". Dla dramatu, jakim są dzieje żydowskie takie słowa są liczmanami bez pokrycia. Na przyszłość proszę P. T. krytyków o pisanie, że Kocham, albo, że nienawidzę Żydów. Nic mniej.

To jest patos usprawiedliwiony tematem. Bo właśnie chodzi o to, że sprawa żydowska nie leży poza egzystencją aryjską, tylko tkwi w niej samej. Tkwi nie przez "infiltrację Żydostwa", jego "międzynarodowe wpływy" itd. — tkwi w samej naturze dramatu ludzkiego, który idzie ku niewiadomym brzegom. W tym uniwersalistycznym narodzie, który zespala tak zupełnie rozbieżne cechy i którego trwanie jest zagadką, jakiej nie można rozwiązać zwykłymi dostępnymi metodami analizy, dostępnymi dla ludzkiego rozumu jest istotnie umieszczona dziejowa misja. Można ją wyjaśniać wybraństwem jak Żydzi, można walką szatana z Bogiem jak antysemita; te oba upraszczające twierdzenia są zapewne namiastką niewykrytego jeszcze i nie wymierzonego prawa socjologicznego. Do tego wykrycia zbliża nas epoka zrastającego się świata, narastająca w duszach ludzkich tęsknota do uniwersalizmu.

Więc jakże badacz rozsądny może, nim nie rozezna praw, które rządzi obiektem obserwowanym, pozwolić sobie na "nie żywienie zbytnej sympatii"? Wiem przecież dużo o antysemityzmie, ciągle ocieram się o niego, a przecież, kiedy mnie czasem odrywało od pracy dokuczliwe pytanie — "w jakim duchu pan pisze? Czy pan lubi Żydów?" — czułem się nagle jakby mój rozmówca "z byka spadał". Tak się czuć musi ogrodnik pracujący na grządce, kiedy go pytają, czy jest filopomidorowcem albo antyzpinakowcem, tak się musi czuć ktoś oderwany pytaniami nie na miejscu od mikroskopu.

Irytująca jest ta bezsiła pisarska, kiedy się rozumie, że wciąż nie jest się w stanie znaleźć słów tłumaczących wyraźnie to co się chce powiedzieć.

Brnąc przez tę własną nieudolność, biorąc się stąd, że już pewne rzeczy przeniknąłem instynktem za którym nie nadażają sformułowania, chcę powiedzieć, że sprawa żydowska jest sprawą nas wszystkich nie przez problematykę, że ktoś wśród nas cierpi, albo, że ktoś nam dokucza, ale przez to, że ten ktoś może ma klucz do poznania dolegliwości epoki, które nas tra-

pią, albo, że może ma on pół klucza, a pół klucza my mamy? Czy to nie jest stąd ten wstający z duszy aryjskiej głuchy antysemityzm, często nie mający żadnego rozumowego wytłumaczenia, czy to nie stąd ten piekielny izolacjonizm, rasizm, ekskluzywność żydowska? Czy to nie są czasem zmagania ludzkości na granicy cywilizacji jednej, która ginie i drugiej jaka się rodzi? Czy nie ma pod tymi zwałami nienawiści aryjskiej i czynnej obcości żydowskiej jakichś ogni tęsknoty ku sobie, tak ukrytych, że samo przypuszczenie tylko, że istnieją wydaje się ekstrawancją?

Poincaré mówił o obrazie Delacroix "Widzenie Jakóba", że w tym obrazie walczącego z Jakóbem anioła poza elementem walki, odpychania, fizycznego gwałtu, wyczuwa się miłość i przyciąganie. Czy nie jest to najgłębszym symbolem żydowsko-aryjskiego stosunku?

Czas na rewizję polskiego antysemityzmu.

Rozróżnienie Zabotyńskiego, który widział antysemityzm "of thing" i antysemityzm "of man" jest pewnym krokiem na drodze do poznania tych zawiłych spraw.

Nigdy nie skrywałem, że byłem antysemitą "of thing". To znaczy, że biorąc jasny zrozumiąły odcinek dziejów i przede wszystkim ceniąc sobie dobro swojego narodu, doceniałem bezmiar "krzywdy" (o ile obiektywne procesy można chrzcić tak subiektywnie emocjonalnym słowem), którą nam Żydzi przynieśli. Krzywdy te są liczone i przeliczane, rejestrowane i podkreślane po wszystkich inwentarzach antysemickich, nie wiekłą więc mam ochotę, ani widzę potrzebę ich wymieniania. Wskażę tylko na zasadniczą krzywdę duchową, którą zawdzięczamy obecności Żydów w Polsce. Na skutek zmarnienia stanu mieszczańskiego, który zastąpił Żyd, wysługujący się uprzywilejowanej i ssącej kraj szlachcie, w ciele narodu zaległ nieprzepuszczalny infiltrat nie dopuszczający do polaryzacji kultur szlacheckiej i chłopskiej. Chłopska kultura, nie mając szczybli pośrednich, marniała pod naciskiem przemagającej szlacheckiej, i zatruwała się produktami rozpadu, aż wreszcie wytworzył się wąty szlam kulturalny, który nie był syntezą, tylko szlacheckim derywatem — kulturą poszlachecką. To esperanto kulturalne, którym mówiła góra Polski stanowiło, że ta góra była zawsze mniej warta. Ratowały doły, w których trwał albo szlachecki sposób myślenia — syntetyczny, dedukcyjny, albo chłopski — analityczny, indukcyjny. W rządzącej górze ten pierwszy sposób myślenia przeważał, ale w bardzo parszywej jakości. W trudniejszych sytuacjach życiowych te kundle kultury cofały się, zabierali głos ludzie istotnie coś mający do powiedzenia, coś reprezentujący kulturalnie i tu widzieliśmy, że Polacy mają dwa języki, że się nie mogą dogadać. Kto śledził dyskusję o tym, czy powstanie było potrzebne, mógł na niej dokonać klasycznego laboratoryjnego preparatu unacczniającego moje sło-

wa. Kto ją przeoczył, niech weźmie dyskusję między Mieroszewskim i Samborem w sprawie zdrowego rozsądku, wywołaną moim "Klubem Trzeciego Miejsca". Może Mieroszewski, jak zwykle ten, który ma ostatnie słowo, wydaje się, że ma argumenty mocniejsze. Jestem jednak pewien, że nie zdobędzie stanowisk Sambora. Bo to są Polacy mówiący dwoma innymi językami. Oba języki są rdzennie polskie i różne. Za tę różność płacimy strasznymi klęskami. Pośrodku tej różności tkwił Żyd.

Pisząc, widzę zawsze przed sobą imaginowanego czytelnika. Czasem ten jeden przestaje rozumieć i pocynam wyobrażać drugiego. I zawsze wtedy znajduję słowa do kogoś bliskiego, słowa ułomne, ale które żywią i syca. Teraz rozpaczliwie szukam i czuję pustkę. To pewno moja nieudolność, ale kiedy nie mogę napisać lepiej, to muszę pisać tak. Może pomoże mi rozdziałek z "Kudlizmu" o wadach naszego myślenia. Ale pomoże niewiele. Tu nie zawiniła żadna głębia myśli autora tylko jego niedostateczne wykształcenie. I przeraźliwie, przeraźliwie zaklamany, zadrażliwiony i zaplątany temat.

O tym temacie w Polsce nigdy nie pisałem, z ulgą siebie rozgrzeszając z tego. Pisać bowiem mógłbym tylko, przyłączając się do walki narodu o odżyźnienie. Tej świadomości jednak nie trzeba było pobudzać, bo była zupełna. Pisać zaś dołączając do bijących — nie jest to zbyt pociągające zadanie.

Żydów w Polsce teraz nie ma. Żyd Wieczny Tułacz podlegnie w toku dziejów teraz prześladowaniom gdzie indziej. Na pierwszym sjonistycznym kongresie w 1897 r. Nordau, robiąc przegląd położenia Żydów na świecie, mówił, że tylko na Węgrzech im się dzieje dobrze i Węgry stawiał za przykład świata. Od 1918 r. reklamowali, że tylko w Czechosłowacji mają znośne stosunki. Od 1939 r. Anglia została wrogiem Nr 1, Anglia, którą Koestler oskarża nie o "expediency" nawet, tylko o "irrational bias". Na następnego prześladowcę są typowane St. Zjednoczone i wyobrażam sobie te kazania o ludzkości i niewłaściwym traktowaniu Żydów, jakich my, Polacy, słynący już wówczas jako wyjątkowy kraj, w którym nie ma antysemityzmu, nie będziemy szczydzili Amerykanom.

Należy baczyć, aby polskie "irrational bias" nadały za zmienianymi warunkami. Wolno każdemu ustosunkować się jak chce do sprawy żydowskiej w płaszczyźnie ogólnoludzkiej, ale niech nie robi z tego sprawy specyficznie polskiej. Widzimy u narodów dojrzałych dużą zwrotność przy zmianie frontów, widzimy jak Niemcy przerażają się w sojuszników mimo wczorajsze krzywdy. W pewnym zakresie w takich sojuszników mogą zamienić się Żydzi, których rankor na pełnych żaglach zwraca się w inne strony, a wspomnienie żalów polskich blednie. Powinniśmy pogłębiać ten proces i dlatego zagrożenie rzeziami żydowskimi w Polsce (patrz "List do braciśzków" w "Wiadomościach") jest niepotrzebne i szkodliwe. A jeśli umarł w N. Jorku Apenszlak, propagujący idee związku z kulturą polską

w Żydostwie, to znowuż nieobecność na jego pogrzebie przedstawicieli kolonii polskiej nie znaczy dobrze o naszej dojrzałości.

Antysemityzm w Polsce był rzeczą nieuchronną. Ale przyniósł nam samym tyle szkód moralnych, że tylko odetchnąć możemy z ulgą w tych ciężkich czasach, że choć on nad nami nie wisi. Że antysemityzm "of thing", szalejący jak szalała zaraza w wiekach średnich, wypaliwszy Polskę, przeniósł się gdzie indziej.

Żydowskie pewniki.

Ale co będzie z antysemityzm *of man*? To już zagadnienie całej ludzkości, której nie uda się od niego wykręcić. Jeśli ta ludzkość wyda o Żydach osąd negatywny, zostanie on wtłoczony do koryta antysemityzmu "of thing" — tym razem w skali uniwersalistycznej. Ale nie jest wykluczone że ten narastający uniwersalizm każe aryjskim społeczeństwom spojrzeć na Żydów jako na nadzwyczaj cenny składnik postępu ludzkiego.

Że Żydzi są potrzebni dla tego zbliżającego się czasu, nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości. Głównym jednak zagadnieniem w zamyleniu naszej międzyepoki jest rozróżnianie przejściowości i wieczystości. I hitlerizm i stalinizm, moim zdaniem były (lub są) czynnikiem posuwającym dzieje, ale czynnikiem rozbijającym i przejściowym. Jeśli osąd ludzkości (nie piszę świadomie "aryjski", bo to mało, bo aryjskość jest związana ze zmierzchającą cywilizacją, w osądzie wezmą udział wszystkie rasy świata), oceni walor żydowski jako przejściowy, jeśli go zaliczy do walorów rozbijających świat, wówczas możemy czekać nowych pogromów oraz żydowskiej Norymbergii. Jeśli jednak ten osąd wypadnie pozytywnie, wówczas Żydostwu będzie musiała być przydzielona bardzo poczesna rola.

Palestyna, która w oczach niektórych jest schamieniem, albo cofnięciem Żydostwa wstecz, okazać się może świadkiem koronnym Żydostwa, który przybył na sąd ludzkości na pięć minut przed dwunastą.

Okazało się, że naród, który uginał się pod zarzutem, że jest wcieleniem ośrodkowości i destrukcji dla otoczenia, że jest pożywką dla wszelkich miazmatów chorobowych, które opadają narody-gospodarzy — mieści w sobie niesłychane złoża tężyzny moralnej.

Nie dajmy się złudzić, że rozczochna "sabraczka" (młodzież urodzona w Palestynie) nie chce nic wiedzieć o świecie, ani o nauce i odsyła po skończeniu szkoły wieczne pióra. Bo kierownicy tego drobnego kraiku mówią głosami starohebrajskich proroków.

"Podjęliśmy tę wojnę (z Arabami — p. m.)" — mówił do prasy premier Palestyny, Ben Gurion — "nie w tym bynajmniej celu, aby się zadawała małym państewkiem. Dwa tylko były wielkie narody na świecie: Grecy i Żydzi. Może Grecy nawet byli większym od nas narodem, ale nie widzę śladów tej wielkości

u Greków współczesnych. Może, kiedy nasze zadanie zostanie ukończone — i my się zdegenerujemy, ale w chwili obecnej nie widzę oznak degeneracji żydowskiej. Mieliliśmy posłannictwo światowe, ale byliśmy przemożeni (*overhelmed*) i misja nasza została przecięta w połowie. Z czasem będą nas miliony, będziemy coraz to mocniejsi i dopełnimy posłannictwa światowego. Naszym celem jest połączona ludzkość”.

Poprzednik tego, już realnego, premiera, wymaginowany przez Herzla premier przyszłej Palestyny dr Eichenstam, patrząc na panoramę Jerozolimy, mówi: “Przypomina mi to Rzym; można by tu dźwignąć światową stolicę”²⁵⁾.

Zwywy pierwszy premier Palestyny idzie w te ślady... utopii? Ale już jedna utopia w naszych oczach stała się ciałem.

Aryjskie znaki zapytania.

Wojujące strony mają pewniki. Obserwatorzy jak ja mają znaki zapytania. To tak jak pojedynek, w którym “retiarus”, uzbrojony tylko w sieć występował przeciw zakutemu w stal gladiatorowi. Czasem pewniki okazują się słabsze, niż pytania. Zakończę te rozważania — pytaniem. Pytaniem w formie pewnego przeżycia.

Był to konsystorz papieski — uroczystość mianowania nowych kardynałów. Rzecz odbywała się w Rzymie, do którego weszliśmy jako do zgłodniałego zszarzałego miasta, weszliśmy po latach marszów i obozowań, w atmosferze konserw, namiotów, przydziału tygodniowego papierosów, w atmosferze najprymitywniejszych i obficie zaspakajanych potrzeb, jednolitości battledressów i bardzo sprymityzowanych: zainteresowań, potrzeb duchowych i nadziei.

Nagle żonie mojej kazano włożyć czarną do ziemi suknię i welon z czarnej koronki; powitały nas uroczystości konsystorza: gwardia szlachecka, szambelani w strojach kąpiących złotem, gwardia papieska w kostiumach pomysłu Michała Anioła; plac św. Piotra był brukowany kilkudziesięciu tysiącami głów; wewnątrz bazyliki, wysoko nad tłumem niesiony papież udzielał kłęczącym błogosławieństwa; płaszcze leżących na posadce kardynałów, rozpostarte przez ich przybocznych, łączyły się ze sobą i wyglądały jak pofalowane purpurowe morze.

Przed paru dniami byłem u Ojca Świętego na prywatnej audiencji. Przesuwając się przez sale Watykanu, czułem się drobinką dziejów, wirującą w opalizującej amplii wieków; dostojność siadała pod pałapem i zdawało się, że kawałek żywego drzewa, oddarty z jakiegokolwiek mebla, sączyłby, niby żywicę, jakąś prawdę płynącą przez wieki, wielką, nieomylną, nieogarniętą i jedną.

W tym nastroju znalazłem się w mieszkaniu jednego z kapelanów papieskich. Przy lunchu gospodarz o pięknej męskiej

uduchowionej twarzy opowiadał mi o tradycjach Watykanu, o zawikłanym języku bull papieskich, jak się ten język kształtował wiekami, aby z gąszczu zdań arabeskowych jak iluminacje średniowiecznej księgi błyskać nagle przeszywającym blaskiem młodej awangardowej myśli.

Wtedy spytałem:

— Jak to jest, księżę prałacie? My, katolicy, mamy hierarchię kościelną, podmurowaną sakramentem kapłaństwa, celibatem i karnością; mamy głowę widomą tej hierarchii, wspartą o dogmat nieomylności w rzeczach wiary; mamy szereg sakramentów, trzymających wiernych w ryzach — od chrztu począwszy, przez instytut spowiedzi, sakrament małżeństwa — aż do namaszczenia olejami przy śmierci i odpuszczenia grzechów. Żydzi nie mają hierarchii kościelnej — rabinem może być każdy Żyd, z reguły obarczony rodziną, który zgłębi dostatecznie zasady swojej wiary; nie mają głowy kościoła; nie mają nawet powszechnego Sanhedrynu, który by im zastępował chrześcijańskie sobory; równocześnie są zapaleni w sprawie kultu, kultura dyskusji na tematy talmudyczne jest chlebem powszednim najszerszych mas (w Polsce w pewnych okresach 60% ludności męskiej było poświęcone jedynie studiom talmudycznym); przy całej swojej jednak zapalności i kłótlivosti i rygoryzmie i drobiazgowości przepisów dochodzących do śmieszności dla postronnego obserwatora — przez trzy tysiące lat nie wydali właściwie ani jednej sekty, bo Samarytanie byli historycznym wytworem specjalnym mieszańców, którzy zanikli, Karaimi niemal zanikli, a misnagdyzm, chasydyzm czy kabalistyka są tylko stylami życia duchowego w łonie tego samego Mozaizmu. Podczas gdy u nas — ileż krwi w ciągu wieków wylały wzajemnie wyrzynające się sekty, na ileż kościołów podzielone jest chrześcijaństwo!...

Monsignor słuchał, stojąc przy oknie, zwrócony twarzą do zasnującego się zmierzchu. Kiedy skończyłem mówić, odwrócił się do mnie, a z odsłoniętego okna padł mu na głowę długi, niezmiernie wąski promień. I kiedy twarz mu szarzała w zmierzchu, a na czole palił się płomień (Mojżesz na górze Horeb — pomyślałem) powiedział cichym, skupionym głosem:

— Bo to jest naród przez Boga wybrany.

A widząc moje zaskoczenie, dodał pośpiesznie:

— Dla jakichś, Bogu tylko wiadomych, celów.

Tragedia Koestlera.

Można by książkę Koestlera wytknąć różne rzeczy. Palestynę w spadku po Turkach obiecano nie tylko Żydom deklaracją Balfoura, na którą ciągle i obszernie powołuje się Koestler, ale, już na dwa lata wcześniej — Arabom, nic nie słabszą deklaracją Mac Mahona, również wydaną imieniem rządu brytyjskiego. Tak więc Anglia wpisała pretensje żydowskie i pretensje arabskie do Palestyny na ten sam numer hipoteki. Ale jeśli

25) Herzl T. *Altneuland*. — 1902.

brać pod uwagę tylko wpis żydowski, to Koestler nie informuje, że deklaracja Balfoura obiecywała "Siedzibę żydowską w Palestynie", co nie przesądzało praw arabskich, nie zaś "Palestynę jako siedzibę żydowską". Usiłując wykazać, że Arabowie gotowi byli na ustępstwa, od czego ich powstrzymali Anglicy, Koestler cytuje zobowiązania "syna Kalifa", co robi wrażenie na czytelniku rozumującym, że kalifat, to władza naczelną świata mahometańskiego. W rzeczywistości jednak kalifat już dawno nie istniał, a operetkowy Hussein, który starał się przybrać ten tytuł i na którego Koestler się powołuje, był nawet w własnym pojęciu kalifem tylko przez dwieście dni, nim go Ibn Saud nie uprzętnął. Również należałoby się zastrzec przeciw pojęciu "Polish Pogroms" używanemu przez Koestlera w liczbie mnogiej, podczas kiedy w całej historii ostatnich lat dwustu mieliśmy zdarzenia we Lwowie zaraz po wyparciu Ukraińców po pierwszej wojnie, które były ruchawką odbywającą się niemal w nomanslandzie, potem Przytyk i zaraz po tej wojnie w Kielcach, kiedy Polska była pełną band i kiedy tyle dworów i zamniejszych chłopów padło również ofiarą anarchii.

Ale nie przedłużajmy tego rejestru, bo zamażemy sens książki na ogół obiektywnej i uczciwej. I główny walor tej książki — że się o sprawie żydowskiej pisze kategoriami nowoczesnymi, które zdobył sjonizm, aczkolwiek w stosunku do religii Koestler jeszcze się posługuje w sposób nieprzemysłany, szymmem jakim się zwykło pisać o tej sprawie w epoce Spencera. Jednak już na przykład w stosunku do wybujałego nacjonalizmu żydowskiego Koestler, wychowany na doktrynie materializmu dziejowego, ex-komunista w przeszłości, a pisarz lewicowy obecnie — umie znaleźć ton głębokiego zrozumienia. Wprawdzie naraża go to na perorę ze strony Herlinga, który gorszy się, że "wszystko to brzmiało co najmniej dziwnie w ustach człowieka, który przez całe życie walczył jako pisarz i rewolucjonista". Ale Koestler wzrusza ramionami na takie perory: "mogą perorować, bo nikt tego nie bierze poważnie" (str. 267).

Nieczuły na perory lewicowców, nieczuły na obrażanie się Żydów, Koestler, człowiek za którym nie stoi żaden obóz, i którego jedynym może bożkiem jest możliwość niezawisłego myślenia, oprowadza nas po temacie z coraz bardziej narastającym naszym zaufaniem.

Koestler — wstępuje w ślady Heinego, który przyjmując chrześcijaństwo uważał, że "kupuje bilet wstępu do towarzystwa".

Od dwu i pół tysiąca lat widzimy namiętne próby włączenia się Żydów w świat otaczający. Szturm asymilacyjny powtarza się w każdej epoce, która zdaje się stwarzać możliwości po temu. Te szturmy powtarzają się z regularnością przypływów i odpływów, które wysledzić możemy jeszcze w Persji na 500 lat przed Chrystusem i w Babilonie i w Aleksandrii i w każdym państwie Europy kolejno. Ostatnio mieliśmy taki szturm na

przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku, kiedy Kanta idea wiecznego pokoju, Lessinga walka o tolerancję, Schillera zachwyty nad wolnością, przekonania Goethego i Humboldta o jedności Kosmosu, Fichtego idealny obraz Państwa Rozumu zdawały się Żydom ziszczeniem epoki "już tym razem na prawdę" takiej, która da gwarancję ziszczenia ideałów asymilacyjnych. Cóż z tego zostało? Bezpośrednio po Kongresie Wiedeńskim judofobia objęła całą Europę.

I znowu 1848 r., "Wiosna Ludów", Manifest Komunistyczny... Żydostwo całe swoje nadzieje umieszcza w tym ruchu. Kiedy ruch doszedł do władzy, widzimy w Rosji antysemityzm błogosławiony z góry i gorzkie żydowskie rozczarowanie. Hess, prawa ręka Marksa, przewiduje, że i ta droga nie da Żydostwu wejścia i już wtedy pisze: "Nakładajcie tysiące masek, zmieniajcie imiona, przeciskajcie się przez świat incognito, żeby w was nie poznano Żyda — każde uderzenie w Żydostwo uderza w Was". Hess staje się promotorem sjonizmu, w Tel-Aviv mieszkałem na ulicy jego imienia. "Narody" — pisał — "nigdy nie uznają ludzi, których zasadą jest: "Tam jest moja ojczyzna, gdzie ja prosperuję".

Takie przykłady jak Hess można by cytować bez końca, jak Birnbaum w tym samym komunizmie, jak Nossig u nas, chodzący w czamarcze i kończący na sjonizmie. Wszyscy ci ludzie robili olbrzymie wysiłki, ale nie obliczali jednego — że przeniesienie się z jednego obszaru kulturalnego wymaga kosztów rozłożonych przynajmniej na dwa pokolenia. Oni gotowi byli ciężko za ten heinowski "bilet wstępu" płacić, ale chcieli, co jest ludzkie i rozumiałe, jednak wstęp ten, istotny wstęp, uzyskać jeszcze za swojego życia. Nie uzyskawszy tego, wracali do Żydostwa, albo kończyli życie w niedosycie. Siedemdziesięcioletni Auerbach, patriotyczny pisarz niemiecki, nagle pod koniec życia pisze wstrząsający list, że nie ma już drogi powrotnej do Żydostwa, że celu życia nie osiągnął, został za drzwiami u tych, którym całego siebie poświęcił i popełnia samobójstwo.

I znowu po Hitlerze przychodzą nadzieje, wzięte na grzbiecie fali rojeń o jedności światowej, o rządzie światowym i mimo, że jak zawsze nie brak głosów ostrzegających ("Żydzi mają dziwnie krótką pamięć" — pisze publicysta żydowski Jakow Leszczyński — "zapomnieli, że ich bito jeszcze przed Hitlerem") — rozpoczynają się nowe nadzieje.

Dlatego rozumiałe jest moje wzruszenie, kiedy nagle kończąc książkę Koestlera, natykam się na tłumaczenie, że cztery dobre lata poświęcił Żydostwu, ale teraz, kiedy już ono stanęło na nogi, ludzie tego pokroju co on "mają, nareszcie, możliwość zrobić to, czego przed tym zrobić nie mogli: żyć wszystkim dobrego i odejść. Odejść do narodu, z którym dzielić mogą jego kulturę bez zastrzeżeń, bez rozszczerzonego poczucia lojalności".

Ależ pełno takich słów człowiek naczytał się w dziejach Żydostwa. I nagle — taki eksponat; I to z czyjej strony? Tak su-

gestywnie, tak współcześnie rozprawiającej o Żydostwie. Tak znającej i rozumiejącej temat. Tak nie wykręcającej się zdawkowym frazesem, tak mężnie wyciągającym konsekwencje w myśleniu, wbrew sobie, wbrew nawykowi swego politycznego myślenia. Ten człowiek na pewno ze współczuciem by opisał i zanalizował tragedię Herzla, Nordaua, Hessa, Birnbauma, Nossiga, Auerbacha i tysiące tysięcy innych. "Oni uważali, że są ogólnoludźmi, albo że są Niemcami, Polakami, Węgrami, Austriakami...".

Jego protagonista, Heine, pisał o sobie: "Urodziłem się jako paradoks: niemiecki paryżanin i żydowski Niemiec".

Kiedy pierwszy raz wziąłem do ręki książkę Koestlera *The scum of the earth* i nic o nim nie wiedziałem, sądziłem, że to Żyd, który się zmikruje na Francuza. Teraz wiem, że jego dziecinne lata kształtowały się na Węgrzech, młodzieńcze w Niemczech, sława literacka we Francji, a ugruntowane powodzenie i dobrobyt na rynku anglo-saskim. Wiem, że to teraz węgierski Berlińczyk i żydowski pisarz anglo-saski kupuje bilet wstępu do towarzystwa.

Jest aż przerażający ten lot śmiertelny omy w ogień. Lot, który kończy się kalectwem albo zgubą, samobójstwami duchowymi aż do samobójstw fizycznych Tollerów i Auerbachów. Koestler sam pisze o Żabotyńskim, że został starty między ghettem i utopią i obiega trący walec tego co nazywa ghettem z innej strony, niepomny, że ten walec i tam trze te same ściany utopii.

A może tym razem, wreszcie, nadeszła taka epoka, która nie zawiedzie. Może senator polski, Żyd, lekarz, dr Dawidsohn nie miał racji dowodząc mi, że żydowskie zwoje mózgowie są inaczej ukształtowane niż aryjskie? Jeśli odrzucimy te przypuszczenia i jeśli przypuścimy, że nareszcie nadeszła epoka, w której można będzie dokonać nigdy dotąd nieosiągalny eksperyment, to musimy sobie, odrzucając wszelkie rasizmy i z góry powyższe teorie powiedzieć, że sadzawka w której zamierza prosperować Koestler diablo szybko będzie zamarać z jednej strony nacjonalizmem z drugiej komunizmem.

Jest ciasno na świecie. Takich zwolenników nieskrępowanej cyrkulacji będą bić i to bić mocno. Nie doczekamy epoki maksymalnie wolnego człowieka w maksymalnie wolnym świecie. Już dosyć ciężko jest oczekiwać tego co się robi, tkwiąc we własnej otoczy narodowej. A Koestler złął się Żydów Azjatyckich i wziął na swoje ramiona dodatkowe brzemie — tragedię Auerbacha.

Melchior WAŃKOWICZ.

P. S. Podaję adres: R.D. 3 Lakewood N. Jersey. U.S.A.

Ponieważ pracuję nad tematem żydowskim, bardzo będę ce- nił sobie wszystkie uwagi. Proszę o zaznaczenie, czy korespon- dent zezwala na powołanie jego nazwiska.

«Przyjaciele Moskale»

Adam Mickiewicz, wielki wódz duchowy emigracji naszych poprzedników, mimo bezspornego uznania za życia i po śmierci nie miał szczęścia do potomności. Nie zdołała ona bowiem dotychczas odtworzyć pełnego obrazu psychiki tego geniusza, pomniejszonego przez zapobiegliwą pamięć własnego syna i naśladowców jego metody.

W rezultacie do dziś dnia, mimo szeregu prac, nie mamy monografii godnej wielkiego poety, posiadając dwa tak różne wizerunki Mickiewicza jak ów pozostawiony przez syna i krańcowo odmienny Boya-Żeleńskiego, interesującego się zwłaszcza ostatnimi latami w życiu wieszczka.

Mimo olbrzymiej benedyktyńskiej pracy Stanisława Pigionia, który przeorał grunt nauki o Mickiewiczu, wzbogacając ją nie- bywale, monografia taka zapewne nie zostanie nigdy napisana z braku dokumentów z pierwszej ręki. Jedynie one bowiem pozwoliłyby utrwalić w sposób nie ulegający dyskusji główne zręby psychiki wielkiego poety-pielgrzyma.



Byłoby nielada zuchwalstwem kusić się po tyłu uczonych, ży- cie całe badających twórczość Mickiewicza o nową koncepcję czy wykładnię jego działalności poetyckiej i politycznej. Niemniej na podstawie badań ostatnich 20 lat, zwłaszcza dziś przy zmienionej zupełnie perspektywie dziejowej, gdy los postawił nas w warunkach podobnych, spróbujmy przyjrzeć się tej wielkiej postaci skupiając światło na niektórych fragmentach jej życia, zazwyczaj pomijanych.

Biografowie poety (ostatnio Juliusz Kleiner), wychodząc z założenia, że "młodość życia jest rzeźbiarką, co wykuwa ży- wot cały", starali się głównie zbadać pierwszych trzydzieści pięć lat poety; pomijali przy tym chętnie okresy niezwiązane wprost z twórczością lub genezą poszczególnego dzieła. W rezultacie powstawały luki, lub, mówiąc językiem wojskowym, "martwe pola", gdzie nie dociera wiedza badaczy.

A tymczasem życie całe poety jest jednakowo ważne dla zrozumienia jego twórczości, nawet okres, gdy przestaje on pisać, poświęcając się mystyce czy działalności politycznej. Po- znanie bowiem Mickiewicza z późnego okresu paryskiego, wło-

skiego czy tureckiego może rozświetlić wnętrze duchowe i przeszłość człowieka, co nigdy nie znał "uczuć i czynów rozdziału", co długo trawił w sobie myśli, zanim nieraz blaha podnieta, oddalona w czasie, stała się przyczyną twórczą wylewu namiętności przetopionej w poezję.

Podobnie naświetlenie życia i twórczości poety z jednego tylko punktu widzenia może dać ciekawe rezultaty.

Takim aspektem nie zawsze należyce zbadanym wydaje mi się stosunek Mickiewicza do Rosji i Rosjan.

Głębokie studia Spasowicza, a zwłaszcza Józefa Tretiaka, piękne szkice Lednickiego czy Blütha zajmowały się głównie pojedynkiem ideowym Mickiewicza — Puszkina lub obrazem Rosji w III części "Dziadów". Pomijano też poza wpływem kilku wymienianych przez poetę "przyjaciół-Moskali" stosunki twórcy na całej przestrzeni życia, ograniczając się do lat wygnania. Mam wrażenie, że warto przypatrzeć się nieco temu środowisku od strony wspomnień, listów i późniejszych badań uczonych a nie tylko poprzez dzieło poety.



Mickiewicz poznał po raz pierwszy Rosjan w latach wygnania, na ich ziemi. Wcześniejsze, przypadkowe zetknięcia z władzami w Wilnie czy w Kownie, w kraju gdzie okupant przybierał maskę przyjaciela, nie mogły wyrzeźbić silniejszego wrażenia. Od pobytu w więzieniu, a potem w Moskwie i w Petesburgu datuje się powolne poznawanie wschodniego zaborcy. Nieznajomość duszy wroga, w którego kraju przyszło mu przebywać — mogła odbić się tragicznie na życiu poety. Myślę o epizodzie odeskim i podróży na Krym. Młody, pełen życia twórca, wyrwany z Kowna, po przeżyciach więzienia pragnie odnaleźć powaby świata. Po "Wenerze kowieńskiej", Karolinie Kowalskiej, Karolina Sobańska ma dać rozrywaniem przez Rosjan poecie złudzenie szczęścia.

Głośny artykuł Filozofowa w "Przeglądzie Współczesnym" z 1934 r. zapoznał nas w sposób nieco przykry z głównymi postaciami sielanki krymskiej.

Karolina z Rzewuskich Sobańska (1794 - 1885) wyniosła najprawdopodobniej z domu rodzinnego przyjazne uczucia dla Rosji. Ojciec jej, Adrian, po rozbiorach był senatorem rosyjskim. Brat jej, Henryk Rzewuski, autor "Listopada" i współpracownik Paskiewicza pod koniec życia pozostał osamotniony ze swymi namiętnie głoszonymi teoriami o zbliżeniu do Rosji. Jedną z siostr, Ewelina Hańska — zdaniem francuskich badaczy — wpłynęła na zbyt gorący stosunek Balzaka do cara. Druga siostra, Paulina, wyjedzie za "nuworisza" Iwana Stiepanina Riznicza. Co do Karoliny Sobańskiej, posuwa ona najdalej swe sympatie rosyjskie. Jest kochanką i współpracownicą generała Jana de Witt, syna Zofii Greczynki (późniejszej Potockiej z Tulczyń) i Józefa de Witt, ongiś generała w służbie polskiej i twórcy katedry św. Jura we Lwowie. Generał Jan Witt, świato-

wiec-prowokator, słabo piszący lecz wścymienity "causeur", jest jednym z filarów III Oddziału (tajnej policji carskiej). Wraz ze swym zausznikiem i podwładnym Boszniakiem ma on za zadanie m. i. przyglądać się życiu Mickiewicza. Gdzież lepiej poznać młodego człowieka jak w czasie beztroskiej podróży?

W ten sposób wycieczka krymska, przyczyna twórcza wspólnych "Sonetów", mogła stać się sposobnością do zguby poety, wplątanego przez miłośćki z piękną arystokratką w pajęczkę sieci śledzących go z bliska agentów wywiadu. Na szczęście dla poezji i dla nas Mickiewicz nie bawił się wtedy w "Konrada Wallenroda"; przeżywał chwile odprężenia po więzieniu. Według mało wyzyskanego przez naszych badaczy wspomnienia o Mickiewiczu, pióra francuskiego przyjaciela poety, Edmunda Mainard (Fonville) rząd rosyjski polecił generałowi Wittowi użyć wszelkich środków, by "nawrócić polskiego buntownika" na zwolennika caratu. ("Adam Mickiewicz, sa vie et sa croyance", Paris 1862 p. 17).

Ani Witt ani zwłaszcza Boszniak, zapewne pomimo najlepszych chęci, nie znaleźli dowodów konspiracyjnej działalności poety. Za to przy śledzeniu Mickiewicza Boszniakowi udało się wpaść na trop przygotowani dekabrystów i powiązać ich działalność z polskimi organizacjami. Krwawo stłumiony spisek "przyjaciół - Moskali", w świetle dokumentów odnalezionych przez bolszewików w archiwach carskiej policji, a ujawnionych w okresie między dwiema wojnami światowymi — wiąże się w ten dość nieoczekiwany sposób z życiem Mickiewicza. Ponadto według przypuszczeń badaczy rosyjskich Karolina Sobańska stała się pierwszą przyczyną osobistego zatargu między Puszkinem a Mickiewiczem, zanim przeszedł on na szerszą, narodową płaszczyznę po powstaniu listopadowym.

Lecz to, co jasne jest dzisiaj dla nas, było nieznanie poecie, niepodejrzewającemu przez długi czas towarzystwa, w którym przebywał. Na podstawie dość przychyłnej opinii Witta z okresu odeskiego, dzięki usilnym staraniom Puszkina, ułatwiającego wyjazd przyjacielowi, choć sam miał zginąć w atmosferze uciążliwej opieki carskiej, dzięki poparciu Benkendorfa, szefa tajnej policji a zwłaszcza jego agenta, renegata Tadeusza Bułharyna, który nie cierpiał Nowosilcowa i płał mu niejednego figla — udaje się wreszcie Mickiewiczowi wydostać z kraju niewoli. Zachował się list poety z 12. VI. 1829 do Bułharyna, wydawcy "Pszczoly Północnej" w którym, nie podejrzewając jego bliskich stosunków z policją, twórca "Konrada Wallenroda" poleca jego pamięci los Zana oraz kolegów i stwierdza: "Dowody przyjaźni Twojej dla mnie głęboko w sercu zapisałem". Mickiewicz opuszcza kraj wygnania na 5 przed dwunastą, zanim cenzura w Rosji podchwyci sens "Konrada Wallenroda". Wyjeżdża, żegnany serdecznie przez grono przyjaciół, z którymi będzie nadal utrzymywał jak najlepsze stosunki i nie zrywając ich za granicami imperium.

Przypatrzmy się nieco tym postaciom, które opromienia za-
zwyczaj nimb przyjaźni z wielkim poetą.

We Włoszech spotkamy dwie kobiety Rosjanki, które odegrały pewną rolę w życiu poety oraz kilku Rosjan. Są to przede wszystkim księżna Zeneida Wołkońska i jej mąż oraz Anastazja Chlustin. Mickiewicz korzysta z gościny ks. Zeneidy w jej pięknej willi rzymskiej. Zaprzyjaźnia się z młodym wychowawcą jej dzieci, poetą Szewyrowem, znajomym jeszcze z Moskwy. Niebawem pojawia się w Rzymie drugi moskiewski druh Mickiewicza, Sergiusz Sobolewski (podobno polskiego pochodzenia). Gdy wieść o wybuchu powstania dotrze do Rzymu i Mickiewicz, nie mający złudzeń co do rezultatu zmagania, zaczyna rozmyślać o wzięciu w nim udziału, jedną z głównych przeszkód okaże się brak pieniędzy. Sobolewski odgrywa wtedy dość ciekawą rolę. Pożycza Mickiewiczowi pieniądze i jedzie razem z nim, opóźniając podróż, by poeta nie wziął udziału w rozprawie polsko-rosyjskiej. Dziwi nas nieco ta wspólna wyprawa dwóch starych przyjaciół-masonów, których nie rozdzieliło powstanie. Równocześnie jedzie z nimi przez północne Włochy dwóch młodych książąt Golicyn i ich matka (najprawdopodobniej żona księcia, który jako szef kancelarii w Moskwie okazał się prawdziwym przyjacielem poety). Młodzi Golicynowie pragną wziąć udział w wojnie po stronie swych rodaków. Nasuwa się przypuszczenie, że niezależnie od przekonania Mickiewicza o potędze Rosji, którą znał z "autopsji" i przeświadczenia o bezowocności walki, rozmowy i sugestie przyjaciół-Moskali musiały działać hamująco na poetę. Reszty dokona później hr. Konstancja Łubieńska, goszcząca niezwykle bezinteresownie Mickiewicza na granicy Wielkopolski.

Co do drugiej Rosjanki. Anastazji Chlustin, przebywa ona wraz z matką Wierą we Włoszech a potem w Szwajcarii w latach 1830 - 1832. Anastazja kocha się w poecie, zajęтым hr. Henrietą Ankwicą; parę miesięcy upłynie zanim czekająca na krok ze strony Mickiewicza Anastazja wbrew swej woli zaręczy się z hrabią Circourt, dyplomata francuskim, przyjacielem Alfreda de Vigny i Prospera Mérimée. Jest to okres ciężkich przejść psychicznych w życiu Mickiewicza, który nie umie wybrać między sympatią dla Anastazji, miłością do Henriety a obowiązkiem wobec ojczyzny. Przyjaźń z Anastazją, choć osłabnie nieco po jej zamążpójściu (w 1832 r.), odżyje później w Paryżu, gdy Anastazja przejdzie na katolicyzm w 1843 r. Świadczy o tym pakiet jej listów i odpowiedzi na nie Mickiewicza z lat 1830 - 1850. Korespondencja zaczęta jak z poddanym rosyjskim (na kopertach pisze wtedy Anastazja "officier civil de S. M. l'Empereur de toutes les Roussies"), kończy się uznaniem dla poety-Polaka, z którym razem czytała "Konrada Wallenroda" (choć zapewne nie metodą Franczeski z Rimini).

Anastazja Chlustin to jedna z najpiękniejszych postaci rosyjskich w życiu poety, bardziej interesująca niż Karolina Jaenisch-Pawłowa czy jego niedoszła żona Awdotia Michajłowna

Bakunin, ciotka znanego anarchisty. Mickiewicz zna również i ceni Adolfa Circourt, męża Anastazji, bywa częstym gościem u jej matki Wiery (zwykłe w czwartki na obiadach), z którą przez długie lata wymienia najczęściej pełne mistycyzmu listy. Wcześniej jeszcze przyjaźni się (krótko) z bratem Anastazji, Szymonem, który w okresie powstania — jedyny chyba z Rosjan — wskazuje poecie w sposób dość szorstki, że jego miejsce wśród walczących rodaków.

Długie lata pobytu w stolicy Francji są okresem, w którym przyjaźni i znajomości rosyjskie, mimo odgradzania się Mickiewicza od ambasady, odgrywają dość dużą i — powiedzmy otwarcie — nieco podejrzaną rolę. Przede wszystkim zastanawia nas postać owego przyjaciela z lat moskiewskich, Sergiusza Sobolewskiego. Winogradow, jego biograf, z którego dwu książek w języku rosyjskim: "Prosper Mérimée w listach k' Sobolewskomu" i francusko-rosyjskiej: "Prosper Mérimée: Lettres aux Lagrené" czerpie duży zasób wiadomości, podaje główne fakty z życia tego bibliofila i przemysłowca. Jeżeli nie dziwi Winogradowa, bardzo czulego na wietrzenie wszędzie agentów obcego wywiadu fakt, że Sobolewski spędza całe lata na Zachodzie, nam ów długi pobyt a zwłaszcza częste podróże wydają się dosyć tajemnicze. Liberał, związany przyjaźnią z Mickiewiczem, Walerianem Krasińskim i Lelewelem w czasach, gdy tak trudno wydostać się z Rosji, gdy "kurtyna żelazna" zwana wówczas kordonem oddziela ją od "zarazy" Zachodu, około 30 lat spędza na częstych wyjazdach do Włoch, Szwajcarii, Francji, Anglii i Hiszpanii, zaniedbując swą fabrykę, nie niepokojony przez ambasady i poselstwa rosyjskie. W roku 1837 (10. IV) jest on gościem Mickiewicza na skromnym obiedzie emigranckim. Wcześniej, bo w 1833 przewozi zakazane w Rosji poezje Mickiewicza Puszkiniowi, który pod wpływem wiadomości o polskim przyjacielem pisze sławne wiersze: "Nie daj mi Boże oszaleć", "On między nami żył" oraz większy utwór "Miedzianego jeźdźca".

W roku 1846 Sobolewski żegna się z Mickiewiczem przed wyjazdem do Hiszpanii. Przedtem jeszcze, w r. 1844, przywozi mu z Rosji sumę 5000 rubli, którą na wieść o ciężkich warunkach materialnych Mickiewicza zebrali jego rosyjscy przyjaciele. Nie zapominali oni o polskim poecie. I tak w 1845 na zebraniu u znanego "zapadnika" Granowskiego słowianofil Chomiakow wznosi toast na cześć wielkiego nieobecnego poety słowiańskiego, którego nazwiska nie może wymienić. Chodzi mu oczywiście o autora "Konrada Wallenroda". Bardzo kulturalny znajomy rosyjski i jego rola w życiu poety, rozluźniającego ostatecznie swoje kontakty z Sergiuszem około r. 1849 stanowią dość niejasny punkt. Rozwiązanie tej zagadki kryje się zapewne w niedostępnych nam archiwach rosyjskich.

Od czasu do czasu spotyka Mickiewicz któregoś ze starych przyjaciół-Rosjan. Jest nim np. książę Właziński. W okresie powstania listopadowego, który był najlepszym probierzem przy-

jaźni polsko-rosyjskiej, ks. Wiaziemski nie pochwała znanej, wrogiej nam kampanii Puszkina. W czasie gdy dekabryści Bestużew i Turgieniew dają dowody nienawiści do Polski (pierwszy prosi nawet cara o pozwolenie wzięcia udziału w wojnie), ks. Wiaziemski odnosi się do tej sprawy z udaną pobłażliwością. Uważa on mianowicie powstanie za rodzaj buntu poddanych chłopów przeciw swym panom. List do Mikołaja Turgieniewa (datowany z Warszawy z r. 1819) charakteryzuje najlepiej jego stosunek do Polaków: "Il y a des personnes qui ne supportent pas les souris, les araignées etc.; mon organisation physique comporte quelque chose de semblable, quelque chose qui ne peut s'entendre avec les Polonais. Le diable seul sait d'où ça vient! Je connais ici beaucoup d'hommes sages et bons; en leur absence, dans ma pensée, je m'apprête à me reprocher d'eux; quand je les rencontre tout s'engourdit en moi: la pensée, le sentiment, les paroles" (Lednicki: Alexander Pouchkine pp. 395 - 396). Książę Wiaziemski był bezwątpienia szczerym wielbicielem poezji Mickiewicza, wrażliwym na jego olbrzymi talent, ale bynajmniej nie polonofilem; imponował mu fakt znajomości głośnego poety.

Do szczerych przyjaciół (w okresie do 1830) r. zaliczyłbym jedynie starego poetę Kozłowa, Odojewskiego, Polewoja, Sobolewskiego i Puszkina, a w latach późniejszych rodzinę Chlustinych i, mimo dość luźnej znajomości, Hercena.

A jak długa jest lista Rosjan przewijających się przez życie poety!

Poza Sobolewskim spotykamy tam ludzi różnego autoramentu. Jest m. i. np. książę Gagarin, jezuita, ongiś towarzysz Puszkina, stary przyjaciel jednego z wielkich masonów hr. Ksawerego Branickiego, znanego dobrze Mickiewiczowi i pożyczającego mu pieniądze na "Trybunę Ludów". Jest pani Swetchine i jej przyjaciółka ks. Anna Golicyn, jest nawet dość przygodny znajomy Paweł Muchanow, przyszedłszy mąż pani Marii Kalergis, a nieco później szef policji carskiej w Warszawie.

Mimo iż Mickiewicz odciał się od ambasady, przypatrzmy się nieco oficjalnym czynnikiem, reprezentującym Rosję. W czasach pobytu poety w Paryżu ambasadorem rosyjskim jest najpierw Pozzo di Borgo, potem hr. Pahlen a wreszcie od 1847 jako "chargé de la direction d'ambassade", mianowany ambasadorem nadzwyczajnym w 1853 hr. Paweł Dmitriewicz Kisielew. Kimże był za młodu ów ambasador? Szefem sztabu gen. Wittgesteina, dowódcy drugiej armii, w której grupował się spisek dekabrystów. Podejrzewany sam o udział w sprzysiężeniu, Kisielew jako sekretarz ambasady w Paryżu od r. 1841 długie lata zasługiwał na zaufanie, zwłaszcza że ma na sumieniu drugi grzech; ożenił się z Polką, jeśli można za nią uważać córkę Szczęsnego Potockiego. Przebywa ona razem z mężem w Paryżu i utrzymuje stosunki z kolonią polską m. i. z Adaminą Kamięńską, żoną płk. Mikołaja Kamięńskiego, zaprzyjaźnionego z Mickiewiczem. Zachowały się jej listy do Kamięńskich. Siostra przyrod-

nia gen. de Witta (przez matkę, Zofię Greczynkę) i hrabiny z Potockich Naryszkin, Kisielew-Potocka, nie zapierając się polskości, pisze do rodaków po francusku. W ogóle jest to dość dziwna postać. Nie ma zaufania do ogłoszonej po wojnie krymskiej amnestii dla Polaków; ironizuje na temat braku zdolnych ludzi w Min. Spraw Zagr. Zdaniem jej, Rosjanie dlatego musieli mianować ambasadorem w Paryżu jej męża (mimo żony Polki). Równocześnie sprawia jej wyraźną przykrość niekorzystny dla Rosji pokój po wojnie krymskiej. Jest to typowy okaz kosmopolitki. (W jednym z listów zapytuje "po co narody"?) Pułkownik Mikołaj Kamięński, wróg Rosjan, który 16. II. 1845 w związku ze znanym listem towiańczyków do Mikołaja I zarzucił poecie: "spadliśmy aż do wielkiego monarchy i to w dzień 29 listopada jakby naigranie się z krwi polskiej" i jego żona (widocznie ze względu na polską krew) utrzymują z hrabiną Kisielew całkiem dobre stosunki. Jej brat, Aleksander, także piszący po francusku, znajomy Zygmunta Krasieńskiego i Anastazji Chlustin, nie był również nieznanym Mickiewiczowi. U Kisielewych bywa na przyjęciach dawna znajoma ambasadora z czasów odeskich, Karolina Sobańska, którą z kolei odwiedza Mickiewicz (m. i. spotyka tam Balzaka).

Jednym z urzędników ambasady jest hr. Jakow Tołstoj, ongiś przyjaciel Puszkina (nie wiem czy nie znał nawet Mickiewicza z rosyjskich czasów lub przez Wierę Chlustin z domu Tołstoj). Zadłużony po uszy grą w karty, pisuje raporty na nasze go poetę i Polaków do Benkendorfa. Istnieje wreszcie trzeci Rosjanin, utrzymujący kontakty z literaturą francuską a przysłany specjalnie przez cara Mikołaja I, by zmienić we Francji nieprzychylnie dla Rosji nastroje, książę Elim Mieszczerski, autor tomiku poezji francuskich "Les Boréales" oraz wydanego po śmierci w r. 1845 zbiorku "Les Roses noires". Nieoficjalne jego zadanie polega na szukaniu nie zawsze bezinteresownych przyjaciół Rosji wśród wielkich pisarzy francuskich. Próbował bezskutecznie namówić na tę przyjaźń Alfreda de Vigny, poszło mu lepiej z innymi, między którymi Balzak niepoślednio zajmuje miejsce.

Mickiewicz zdaje się dobrze orientować w tej robocie ambasady. Świadczyłoby o tym choćby zdanie z nekrologu Puszkina, gdy w roku 1837 napisze w "Le Globe": "Głęboko przekonany jestem, że ogromne sumy, jakie wydaje gabinet rosyjski na kupienie sobie tylu usłużnych obrońców poza granicami państwa, nie wystarczyłyby na opłacenie jednego z literatów rosyjskich, mających wziętość, choćby na pojedynczy artykuł dziennikarski, na najdrobniejszą pochwałę, nawet na słowo grzeczności". Podobnie wyraża się o carochwalcach zagranicznych w "Collège de France" w lekcji z 7. VI. 1842: "Rosja przedstawiała wtedy pod koniec rządów Aleksandra I) szczególny widok: monarcha potężny, któremu dosyć było posłać jakimś zagranicznemu pisarzowi pierścień lub tabakierkę, ażeby w najpoważniejszych dziennikach francuskich i niemieckich

pomieszczano artykuły, broniące jego polityki, sławiące jego osobę, monarcha ten nie mógł wytargować kilku choćby wierszy na żadnym poecie rosyjskim" (Dzieła Wszystkie, tom X s. 436).

Wśród urzędników ambasady znajduje się wreszcie Ksawery Łabiński (Labensky) z rodziny polskiej, zruszczonej w poprzednim pokoleniu, wydający swe poezje pod pseudonimem "Jean Polonius" a zaprzędany zupełnie chlebobdawcom.

W tych warunkach, gdy kolonia polska utrzymuje dobre stosunki z Rosjanami w rodzaju Turgieniewa (Aleksandra i Jana) i Francuzami, u których oni bywają jak np. w salonie pani Ancelot (Sobolewski i Wiaziemski) czy malarza barona Gérard, mimo ostrożności, a nawet podejrzliwości łatwo stać się ofiarą dobrze zorganizowanej obserwacji czy powtarzać wieści celowo kolportowane przez wroga.

Ambasada rosyjska, od czasów powstania listopadowego dbająca szczególnie o sympatie wśród Francuzów, posługuje się również — jakbyśmy dziś powiedzieli — "piątą kolumną". Zazwyczaj kolumną pięknych lub ongiś pięknych pań. Historykom znana jest rola "dyplomacji kobiecej" ks. Liewen i jej przemożny wpływ na Guizota.

Wspominaliśmy już o Karolinie Sobańskiej. Po wycieczce krymskiej spotykał ją poeta w Moskwie. Nieco później Sobańska zjawia się (jeszcze przed 1830 r.) we Włoszech. Po upadku powstania gen. Witt posyła ją jako swego agenta między Polaków do Drezna. W r. 1836 wychodzi powtórnie za mąż za kapitała Czyrkowicza, adiutanta gen. Wittta. Po roku 1850 Karolina osiedla się na stałe w Paryżu, widuje się z poetą i zajmuje mistyką. Wtedy to wychodzi zamaż za słusznie zapomnianego powieściopisarza Pawła Lacroix, brata "bibliofila Jakuba". Zasiłkuje ona na pamięć literatury, niezależnie od przykrych rewelacji rosyjskich, chociażby ze względu na fakt istnienia w dziele Mickiewicza pod postacią Hrabiny w "Konfederatach Barskich".

Lecz jest tych pań więcej. Maria Kalergis, choć kosmopolitka, powołuje się na polską krew (matka jej Tekla Górską umiera w Paryżu w r. 1884) zna Mickiewicza i wielu Polaków. Owa "biała czarodziejka", z domu Nesselrode, córka adiutanta w. ks. Konstantego, znana z nieszczęśliwej miłości Norwida i wielu innych, siostrzenica kanclerza Nesselrode, pisuje do niego listy, które figurują w archiwum Min. Spraw Zagranicznych rosyjskich bynajmniej nie jako pomniki miłości rodzinnej. Nie mówiąc już o tym, że — jak pisze Wiktor Hugo — cieszy się ona dużą sympatią Napoleona III jeszcze przed zamachem stanu. Nieco później, w czasie wojny krymskiej pozostanie w Paryżu dzięki specjalnym względom władcy.

Nawet tak niepodejrzana Delfina Potocka przyjmuje Turgieniewa, który mimo niełaski u cara nie zapomina nigdy, że jest Rosjaninem i odgrywa dużą rolę w szerzeniu wpływów rosyj-

skich we Francji. Zresztą wiemy, że ta "muza nieprzejednanych" jeździła do Petersburga.

I wreszcie trzecią bronią posługuje się Rosja w walce z polskimi buntownikami. Prowokacja. Badania jezuita krakowskiego, ks. Urbana, wykazały dowodnie, że Makryna Mieczysławska była agentką rosyjską, posłaną, by skompromitować kler polski i koła powtarzające jej opowieści. A wiemy, że obydwaj nasi wielcy poeci, Mickiewicz i Słowacki uwierzyli w prawdziwość jej rewelacji, które rozgłaszali głównie Towiańczycy, jak np. Walery Wielogłowski.

W tym świetle niedawne wywody Edwarda Herriota, który na podstawie raportów przedstawianych ówczesnemu ministrowi oświaty Salvandy'emu przez policję, uważa Towiańskiego za agenta rosyjskiego, wywierającego zgubny wpływ na Mickiewicza, nabierają cech prawdopodobieństwa. Zbiegają się one w dziwny sposób z innymi wcześniej znanymi raportami policji francuskiej a również z korespondencją Prospera Mérimégo, który równocześnie, zapewne inspirowany przez przyjaciół Rosjan, pisze o kobiecie kładącej się krzyżem na wykładach Mickiewicza i krzyczącej "vive Adam". Czy była nią owa tajemnicza rzekomo Żydówka z Wilna, skłonna do stanów epileptycznych Ksawera Deybel, posłana przez mistrza Andrzeja na opiekunkę chorej żony poety w latach 1842 - 45? Matka dziecka niewiadomo czyjego pojawia się znowu po r. 1850 w domu Adama a przedtem jeszcze — źródło intryg — rozbija zarysowujące się porozumienie Mickiewicz - Słowacki. Prawdopodobnie prototyp Judyty z "Księdza Marka" Słowackiego pierwowzór Ody i Pychy w "Królu-Duchu", zasługuje ona na studium, chociażby ze względu na tajemniczy wpływ, wywierany w epoce towianizmu na obu naszych największych poetów. Co do jej pochodzenia, wiadomo, że — wbrew posądzeniom — Ksawera nie była Żydówką. Córka nauczyciela tańców i kierownika wzorowej pensji żeńskiej w Wilnie, Ksawera Deybel, obdarzona pięknym głosem, w latach 50-tych wychodzi za mąż za Edmunda Mainard, przyjaciela naszego poety z lat mistycznych.

A sam mistrz Andrzej? Nieco tajemniczo wygląda jego wyjazd na pogrzeb Napoleona. List Chełchowskiego do Ignacego Domeyki z 9. X. 1841 wyjaśnia w jaki sposób nastąpiło poznanie z autorem "Pana Tadeusza". Towiański jeździł często leczyć się do Niemiec, m. i. przebywał już w latach 1836 - 37 w Dreźnie, poznał się z Odyńcem i był przez niego doskonale zorientowany w stosunkach domowych i przeszłości poety. Pojawia się u niego w czasie choroby żony, 17. VII. 1841, udaje, że nic nie wie o jej istnieniu, opowiada Mickiewiczowi jego przeszłość, rzekomo odgadując ją, a potem podejmuje się w cudowny sposób uzdrowić ją. Poeta powtarza żonie nieznanie nam słowa Towiańskiego i rzeczywiście Celina Mickiewicz zdrowieje na *bardzo krótki* okres. Niemniej wystarczy to, by mistrz Andrzej uzyskał przeogromny wpływ na poeetę i jego otoczenie. Dość szybko zjawia się we Francji żona Towiańskiego i szwa-

gier Ferdynand Gutt, który opowiada o przeszłości swego krewnego na Litwie, roztaczając około niego aureolę świętości.

Dalsze dzieje Towiańskiego i jego wpływu na Mickiewicza są na ogół znane. Historia niefortunnego listu do Mikołaja I, złożonego 15. VIII. 1841 w ambasadzie (zdaje poeta z niego sprawę swym "braciom" dopiero 29. XI. 1841), w wyniku którego Seweryn Pilchowski przechodzi na prawosławie, podobna sprawa Światopełk-Mirskiego w 1843, list Towiańskiego do Mikołaja I z 18. VII. 1844 i łączące się z nim wystąpienie z "Koła" Słowackiego i Kamińskiego — wszystko to zdaje się świadczyć, że towianizm był doskonałym sposobem, by rozładować antyrosyjską energię kolonii polskiej w Paryżu a specjalnie skompromitować Mickiewicza. Gdy nie udało się tego osiągnąć wpływami jedynie mistycznymi, Towiański próbuje działać na poetę za pośrednictwem Ksawery Deybel podwójną drogą i trzeba przyznać, osiąga rezultat.

Badacze Mickiewicza, jakby nie chcąc dopuścić myśli, że mógł on paść ofiarą Towiańskiego, wierząc w szczerą uczucia religijnego poety, uwierzyli również w świętość jego mistrza. Stąd studia rozpatrujące życie tego dość ograniczonego sędzię litewskiego — z punktu widzenia psychologii świętości jak podobna w założeniu legenda o Makrynie Mieczysławskiej.

W każdym razie stan wiadomości o Towiańskim pozwala nam z pewną podejrzliwością patrzeć na tę zagadkową postać.

Defetysta, odciągający od udziału w powstaniu 1831 roku, ujmuje się za chłopem, cierpiącym niewinnie a równocześnie stara się nawiązać za każdą cenę stosunki z rządem, który gnębi cały jego naród. Szanowany za swą dobroć nawet przez Moskali, "*religijnie poddany caratowi*" — jak się wyraża Mainard — od chwili pojawienia się na terenie paryskim jest podejrzany przez emigrację i jej prasę oraz policję francuską o współpracę z ambasadą. Rząd rosyjski skonfiskował mu majątek, jak przypuszcza Martial Perrier, ażeby wprowadzić w błąd Polaków, podejrzewających go już o stosunki z zaborcą. Dziwnym wydaje się jednak fakt, że człowiekowi, który swoim potajemnym wyjazdem włączył się do emigracji, pozbawionemu majątku w drodze konfiskaty, ambasada rosyjska stara się pomóc w chwili wydalenia go z Francji (18. VII. 1842), interweniując bez skutku wobec władz francuskich. Nie idąc bynajmniej za wszystkimi posądzeniami policji (np. podejrzewano go, że w lipcu 1848 rozdawał na barykadach Paryża złoto rosyjskie, za co przesiedział w "Conciergerie" przed ponownym wydaleniem) stwierdzić trzeba, że była to dziwna postać. Przepawy z policją francuską wpłynęły, że ów reformator życia religijnego wolał odtąd szerzyć swą naukę z daleka od Francji, nie narażając się na cierpienia dla idei. Najbliższym prawdy wydaje być francuski badacz Towiańskiego, Perrier. Sąd jego streszcza się w zdaniu: "Towiański był rodzajem wizjonera (Illuminé), obdarzonego wzruszającą wymową, lecz którego cała akcja

polityczna zasługuje na uzasadnione podejrzenia" (suspicion). (Mercure de France, I. V. 1929, p. 595).

Cytując te fakty, dobrze znane badaczom Mickiewicza, snuje raczej domysły, nie mając pozytywnej odpowiedzi. Znajdowała się ona może w papierach, które Adam Mickiewicz spalił przed wyjazdem do Turcji w Bibliotece Arsenau. Pewne ślady podejrzanej gry rosyjskiej istniały może w źródłach, którymi dysponował Władysław Mickiewicz. Sposób przekazania ich nauce polskiej nie odpowiadał, niestety, podstawowym wymogom wydania krytycznego. Dlatego błąkami się dziś w nocy domysłów.

Jakże tragiczna i wzniosła wydaje się na tym tle postać Mickiewicza!

Surowo oceniany przez recenzentów warszawskich — w Rosji szybko znajduje zrozumienie, uznanie i sławę. Uwierzywszy w dobre uczucia przyjaciół-Moskali i oceniając potęgę zaborcy, wodzony przez kochankę, będącą na usługach wroga, więziony przez przyjaciela, który robi wszystko, by opóźnić jego wyjazd, poeta szarpie się bezowocnie wśród tych sprzeczności. A gdy osiedli się w Paryżu, stanie się ofiarą Towiańskiego, który wyzyska jego skłonność do mistycyzmu, rozbudzoną nad Nową przez Oleszkiewicza. W zaklętym kręgu podejrzanych Polaków i Rosjan, których działalności na rzecz policji carskiej nie przeczuwa, wielki poeta żyjący w nędzy i trzeciorzędny urzędnik francuski w jednej osobie, obarczony chorą umysłowo żoną i liczną rodziną, staje się celem tajemniczych nacisków, w których mistycyzm i prowokacja, silna zmysłowość i szczerza przyjaźń do dawnych znajomych wiążą się w jedno.

Natchniony pielgrzym, bojownik o "sprawę", w którą włożył swe całe, ożywione prawdziwą religijnością serce, organizator wyprawy włoskiej, nie wróci z krucjaty przeciw Rosji. Może (jak przypuszczał Boy-Żeleński, choć mylnie szukał sprawcy wśród swoich) poeta nie umarł na cholera lecz otruty przez wroga, przeciw któremu organizował walkę? Nie tracący nigdy z oczu — mimo wszystkich tajemniczych wpływów — ostatecznego celu, jakim była dla niego Polska, Mickiewicz, którego tragicznej rozterki poprzednie pokolenie nie dostrzegało tak jasno jak my, urasta jeszcze w naszych wygnańczych oczach.

Zygmunt MARKIEWICZ.

Pisarstwo Wojciecha Bogusławskiego

Czarowne przywidzenie z powietrza i światła, przepływające przez scenę poczyna się osobno w słowie pisanym, długo i mierzalnie rodzi się w słowie kształtowanym i w słowie przeżyty. Ale co pewien czas ta na stopnie i specjalności rozłożona magia sztucznego snu — skupia się w jednym człowieku. Co pewien czas zjawia się on na świadectwo jedności teatru, jako wciele nie ostatecznej harmonii. Do rasy takich integralnych ludzi teatru, którzy naraz urzeczywistniają wszystko, co się na teatr składa, wszystko, czym teatr działa — liczy się Wojciech Bogusławski. Liczy się wespół z Ajkchylosem, Szekspirem i Moliere, mimo że nie dosięga im genialnością.

Aktor, śpiewak, reżyser, inscenizator, pedagog, organizator — jest także pisarzem teatru. Pewnie, jako pisarz z żadnym z tamtych Bogusławski nie może iść w porównanie. Pewnie, że wszystkich jego działań ta dziedzina najdalej została w czasie. A jednak zawód pisarski stanowi rys niezbędny w jego twórczym profilu, doniosły akcent w jego losie dziejowym.

Gdy po przebyciu wszystkich burz i walk wieloletnich sposobili Bogusławski 12-tomowe wydanie "Dzieł dramatycznych" (1820 - 23), pomieścił na czele wschodnią parabolę, która miała unaocznic przypadkowość jego pisarstwa. "Wolny od wszelkiej żądzy autorskiej sławy — mówi on sam — prawdziwy literat z biedy... przymuszony zostałem do pisania... "Ale to, co mu się zdawało zrzędzone przypadkiem, było w koniecznej zgodzie z przedsięwzięciem nie od razu dojrzanym w całej rozciągłości, ale urzeczywistnionym w ostatecznej pełni. Wzniesienie z przyciesi chwilnych, raz w raz padających przez zaniedbanie, raz w raz zrywanych przez burze — tej budowy, która miała go przetrwać i trwać do naszych czasów, najpewniej byłoby niemożliwe, gdyby w nim nie tkwiła także ta siła twórcza w zakresie literatury.

Bo trzeba sobie zdać sprawę, co zastał w polskim teatrze pażik księcia biskupa i "absztywany podchorąży", z oporem i determinacją poddający się osobliwemu swemu powołaniu? W roku 1765 ustanowiona scena narodowa zaczęła swoją historię od

przepolszczenia molierowskich "Natrętów" i — poza to do czasu Bogusławskiego nie wyszła. Pocziwina Bielawski jeszcze niejedną sztukę Moliera pracowicie przedukał, po krawiecku przykroił, przybrał w strój polski. Nie były to czyny nawet na tamte czasy zbyt wiekopomne, jeśli żóciowiec Węgierski polskiemu molierysty jeszcze za życia stawiał taki nagrobek:

"Tu leży Bielawski, szanujcie tę ciszę,
Bo jak się obudzi, komedię napisze".

Bielawskiego wsparł okrągłutki, pulchny i rumiany jak pomidor ksiądz Bohomolec, dobroduszny smarowacz konwiktowych komedii jezuickich, w których ustawy szkolne nakazywały ujednolicić pleć osób działających. W skutku takich nabożnych zabiegów "Pocieszne — najpocieszniejsze — wykwinłnisie" zmieniły się w dość pilowatych "Mędrków". Gdy scena warszawska zgłosiła żądanie, pisał Bohomolec komedie, utrzymujące już przyrodzoną równowagę płci, ale ciągle jeszcze mało oryginalne, ciągle jeszcze niezdolne przekroczyć kręgu, zakreślonego sugestią geniuszu Moliera. Zabłocki — pierwszy świadomy artysta komedii polskiej przed Fredrą — będzie uprawiał dalej tę metodę przetwórczą, co najwyżej satelitów i bezpośrednich następców Moliera włączy w strefę zapożyczeń.

A przecież rok 1778, w którym Bogusławski debiutował, jako pisarz i jako aktor, jest to moment nowych, potężnych napięć w literaturze dramatycznej Europy. Trzy lata minęły od "Cyrulika Sewilskiego" (1775), a od wielu lat przed nim powtarzają się we Francji objawy odporu na przewagę, jednostronność, życiową obcość tragedii klasycznej. Włochy przeżywają wielki rozkwit dramatu muzycznego. Szekspir dobyte z grobu przez Garrick'a, zaczyna ciążyć nad Europą literacką, jak groźne i wspaniałe widmo. Za jego przyczynieniem wszczął się już w Niemczech wulkaniczny ferment, rozłamujący tradycję klasyczną.

Nie świadomie zapewne, ale z planowością dynamiki wewnętrznej wielkich realizatorów, Bogusławski objął zakresem swego literackiego działania wszystkie objawy nowości. Z miejsca, niemal od pierwszego poruszenia piórem zaczął odrabiać zaległości kulturalne. W wyniku kilku dziesiątków lat pracy sprzął teatr polski z europejską literaturą dramatyczną, odebrał temu zetknięciu już raz na zawsze cechę sporadyczności i ułamkowości.

Zaraz po pierwszej, niewinnej robótce tłumackiej, podejmuje czyn o znaczeniu inicjatywy przełomowej. Od aktora i przedsiębiorcy francuskiego Montbrun wzięwszy pobudzenie w kierunku muzycznym, przerabia pod muzykę drobną sztukę Bohomolca: "Nędza uszczęśliwiona". Tworzy w ten sposób — jak sam to podkreśla — "najpierwszą, oryginalną, polską operę", "cudo — opowiada w "Dziejach teatru narodowego" — jak na-

ówczas wszystkich zadziwiająco, cudzoziemcom lekającym się wzrostu tej sztuki niemiłe, a rodakom mocno upodobane".

W ślad za tym idzie przedsięwzięcie trudniejsze, przekład włoskiej opery Sacchiniego: "Dla miłości zmyślane szaleństwo". I odtąd przez dziesiątki lat trwa przeszczepianie na grunt polski "dramma per musica" w wytworach wszelkiej jakości, we wszystkich jego odmianach, wszystkich gatunkowych odróżnieniach, które Bogusławski będzie później uczenie wykładał w uwagach do "Dzieł". Więc "Fraskatanka", "Szkoła zazdrosnych", "Włoszka w Londynie" aż do opery "Axur, król Ormuz" Salieri'ego, która stanowi szczyt i apogeum tego kierunku działania. Niebawem przychodzi kolej na operę niemiecką, mozartowską: "Flet zaczarowany" (1802). Zamknie ten krąg mniej wystawna, mniej okazała, ale rosnący głód realizmu zaspokajająca, werystyczna opera francuska z "Woźniwą paryskim" Cherubiniego (1804).

Nim dokona się ta cała aneksja dramatu muzycznego, starym trybem Bielawskiego i Bohomolca przysposabia, przetwarza Bogusławski komedie Moliera: "Szkołę kobiet" (1781), "Przekory miłosne" ("Ślub modny"). Poczyna sobie z nimi swobodnie: zmienia nie tylko wiersz na prozę, ale przeprowadza zmiany dramaturgiczne, prostujące linię akcji, wyrzuca pewne sceny, "jako płaskiej nader włoszczyzny naśladowanie", dodaje osoby, ale przede wszystkim przybiera postaci w nazwiska polskie i polskie obyczaje.

Niedługo jako "dyrektor widowisk królewskich", Bogusławski przerabiacz w dawnym duchu, poprawiacz Moliera w bardzo ortodoksyjnym smaku klasycznym, wystawia "Lanasę wdowę Malabaru" (1790), co prawda z francuskiego surowca, ale z niemieckiego odlewu — pierwszą w Polsce "dramę". Sentymentalna i egzotyczna historia wdowy po indiańskim dostojniku, którą od śmierci na stosie ze zwłokami męża ratuje zakochany Europejczyk, pociągająca widza w zupełnie nowe doznania. Ukazywała sprawy niby zwyczajnie ludzkie, a przesłonięte błękitną mgiełką idealizacji, dziejące się pod niebem nieznanym i osobliwym. Przyprawiała o palpitacje serca i sprawiała słodką ulgę, gdy perypetie groźne a nieprawdopodobne szczęśliwie się kończyły. "Nieznajome dotąd wcale — wspomina Bogusławski — nowego rodzaju widowisko, w którym chóry, marsze i bitwy widzieć się dały, uczyniło dosyć mocne wrażenie".

Rozszerzenie kręgu repertuarowego na Niemcy nie ogranicza się do tej wzruszającej awantury malabarskiej. W ciągu swojej działalności Bogusławski wyczerpał bodaj wszystkie odmiany tych "germanicznych sztuk", na które powstawał każdy prawowierny klasyk, jak na bluźnierstwo. Znalazły się w repertuarze Bogusławskiego i dramy "rycerskie", z szczykiem pożyczanych, muzealnych zbroic, z sztucznym księżycem, i dramy fantastyczne, i dramy grozy i wszystkie inne. Prym tu trzyma JPan Kotzebue, arcydostawca tych czasów, którego nietrafnie i nie mniej przesadnie nazywano "niemieckim Voltaire'em", a

najgroźniejszy z pstręgo, dziwotwornego korowodu dramy będzie "Abellino, wielki bandyt wenecki" Zchokkego, protoplasta schillerowskich "Zbójców".

Zetknięcie z współczesną literaturą niemiecką obejmuje wcześniej także sztukę istotniejszego znaczenia artystycznego: "Emilię Galotti" Lessinga (1790). Co prawda Bogusławski nie był pierwszym, który mu uTORował drogę w Polsce (przedtem wystawiono: "Minnę von Barnhelm"). Prawda też, że nasz dyrektor niezbyt był świadom roli twórcy "Dramaturgii" w przebijaniu drogi niemieckiej literaturze narodowej, nie bardzo sobie zdawał sprawę z różnicy skali między nim a Kotzebue'm, któremu "przypisywał nieograniczoną znajomość świata i skłonności serc ludzkich".

Ale nie mniej poprzez Lessinga, jak i kakofoniczną hałastrę dramy wdarł się na scenę polską gwałtowny, świeży powiew: nowa tematyka i nowa zasada kształtowania, odwołująca się do nowego widza. Pośrednio poprzez Lessinga i bezpośrednio przez przekłady takich utworów, jak "Taczka occiarza" Mercier'a — włączał się Bogusławski w linię napoczętą przez Diderota i Beaumarchais'ego. Żądali oni, aby dla warstw dochodzących do świadomości kulturalnej stworzyć odpowiednią formę dramaturgiczną, wypełnić bliską, własną ich treścią. Tak między koturnową, abstrakcyjną, etykietalną tragedią, a tarzającą się w jaskrawej szarży komedią stawał gatunek pośredni, "genre serieux", dramat mieszczański.

Bogusławski w rozmaitych formach, służy tej inicjatywie, w latach 1790 - 4 oddaje teatr sprawie, z którą tamta inicjatywa się wiązała: walce o prawa stanu trzeciego, walce o demokrację. W okresie Sejmu czteroletniego wystawia utwory Niemcewicza i Wybickiego, przeniknięte tym duchem i dwa własne: "Dowód wdzięczności narodu" i "Henryk VI na łowach". W pierwszym, który sam nazwał dopełnieniem "Powrotu posła", działają te same osoby, tylko odmienione do dna, przetworzone przez konstytucję 3-ciomajową, jak przez nawiedzenie. Bufon Szarmancki jest tu żołnierzem, stary zacofaniec Gadulski — demokratą. Dla propagandy idei stronnictwa patriotycznego, dla hołdu królowi — dramatyście tak upraszczał widok rzeczywistości i psychologię postaci scenicznych.

"Henryk VI", będący jakby szekspirowską dramatyzacją tekstu powieściowego inauguruje dramat społeczny, problemowy, walczący — o typie "Wesela Figara". W temacie przypominającym trochę czy przepowiadającym "Halkę" Wolskiego, ruskowskie potępienie miasta i dworu, naiwny sentymentalizm zespala się z dążnością humanitarną i demokratyczną, aż nadmiernie obciążającą utwór. "Czyliż masz być półbogiem dla mnie, dlatego, że jesteś bogatym?" — mówi ktoś niżej urodzony do zuchwałego panka, a Henryk VI, wystylizowany na Stanisława Augusta całą swoją postawą potwierdza ten śmiały demokratyzm. Pod względem formalnym ten utwór znacząco wyłamuje się z konwencji klasycznej.

Okres przedrozbiorowy szczytuje w "Cudzie mniemanym czyli Krakowiakach i góralach". Tu cała przygotowawcza, tłumacka czynność w zakresie dramatu muzycznego wieńczy się szczęśliwą próbą opery narodowej. Tu przedsięwzięcie demokratyzacji teatru wciela się najbardziej krańcowo w dramacie o ludzkiej wijskim, w pierwszy polski dramat mas, zbliżony do prawdy życia. Tu na koniec przyjęta przez teatr służba społeczna wyraża się najdobitniej, najtrafniej i — najskuteczniej. "Cud" rzuca hasło rewolucji kościuszkowskiej, pierwszej rewolucji ludowej, i ponad jej ponawiającymi się klęskami ton wiary poddaje całej demokracji polskiej XIX-go wieku, tej, która egzaltowała się jeszcze w wezwaniu Wielkiego Wychodźstwa: "wejść w lud i stać się ludem", tej, która brzmiała jeszcze aktem strzelistym w twórczości Stefana Żeromskiego.

"Cud" przez dziesięć lat idzie w zgodnym współrytmie z historią. Każde błysnięcie nadziei, każde umieszczenie radości zbiorowej znajduje wyraz w tym dziele ciągle przetwarzanym, uzupełnianym, żywym prawie żywością tworu przyrody, w dziele upowszechnionym, jak żaden dotąd utwór polski, odmienionym na krew, którą pulsuje, na powietrze, którym oddycha, czująca zbiorowość polska.

Gdy pierwszy raz zawodzą spodziewania, gdy wszystko obala się w gruzy, wieczny peregrynant, Ahaswer teatru polskiego, nosiciel bojującej złudy, oparty aż o Lwów — nie przestaje tkwić jak najczulej w najbliższej rzeczywistości życia i jednocześnie sięgać ponad nią w daleki krąg europejski. "Izkahar, król Peru", najeżanego przez Hiszpanów, utwór aluzyjny, paraboliczny rozdzwięknie nutą prawie mesjanistyczną, stanie się wzorem kryptopatriotycznej literatury, na jaką przez długie lata będą skazani pisarze krajowi. Jednocześnie — wraz z "Amazonek" — ten melodramat jest dalszym rozszerzeniem inwentarza form teatralnych, biorących początek w reakcji przeciwklasycznej.

We Lwowie bodaj już wyczerpany zostaje w sensie ilościowym ten proces uniwersalizowania repertuaru przez — tłumaczenie "Hamleta". Dokonał go Bogusławski z niemieckiej przeróbki Schroedera. Dzieło najosobliwiej zawile, wieloznaczne wyprostowano tu do architektonicznej linii, do nieskazitelnie spływającej fałdy. Odebrano Hamletowi jego — hamletyczność. Przecie zaś służył pierwszego w Polsce przekładu Szekspira — jeśli nie liczyć nieudolnego spolszczenia "Kumoszek z Windsoru" — nie jest czysto numeryczna. Od niego zacznie się dyskusja zasadniczo znacząca dla przedstawienia wrażliwości estetycznej. Po nim pójdą przekłady innych utworów: "Lir" — największa rola Bogusławskiego, "Makbet".

W najbliższym sąsiedztwie z "Hamletem" pozostaje komedia na pół oryginalna: "Spazmy modne". Jest ona ciekawa i znamienita przez swoją pograniczność: stanowi echo tradycji molierowskiej i usiłowanie o realistycznej dążności, napoczętej przez dramat mieszczański. Odkryte źródło włoskie pozwala śle-

dzić, jak tu przemagał się w Bogusławskim klasyk, który poczytywał komedię za "szkołę obyczajów" i realista z niesłychaną, jak na swój czas, zuchwałością stawiający sytuację życiową. To realista podsunął mu myśl, aby trójką małżeńską włoskiego, dość mdłego, niedomawiającego wzoru rozszerzyć do — czworokąta. To klasyk świetnie zawiązaną komedię, pełną żywych figur i odkrywczego komizmu w sytuacjach, przymusił rozwiązać w pobleźny, sztuczny, ale moralny sposób.

Żadna dziedzina twórczości Bogusławskiego nie nastęcza z tak nieodpartą siłą pytania, które melancholijnie zgrzyta w zgodnym szmerze uznania: czym mógł być Bogusławski i czym nie był? Cała jego działalność pisarska jest zadyszana aż do utraty tchu. Dokonywa się między jedną i drugą klęską pod groźbą bankructwa, prześladowania, konieczności zmiany miejsca i charakteru prowadzonej instytucji. "Szkołę obmowy" Sheridan'a przerobił i wystawił — jak sam zaświadcza — w dziesięć dni. A było to jeszcze za czasów króla Stanisława, który sam miłościwie skrypcę poprawiał, który może zamyslał wobec Bogusławskiego odegrać taką rolę opiekuńczą, jakiej wzór zostawił Ludwik XIV w stosunku do Moliera. Może i zamyslał, ale wprawdzie nie umiał, a potem już nie mógł.

W bezkrólewskiej Polsce zdany już tylko na siebie, w twardej walce o chleb i o słowo polskie, w zakonnej służbie sprawom społecznym i narodowym — nie mógł Bogusławski być czeladnikiem, odpowiedzialnym artystą, nie mógł pisać oryginalnie, ile by może, jakby może chciał i potrafił. Szło o inne, bardziej nagłe, bardziej doraźne, bardziej pozaosobiste sprawy. Stąd ta rzucająca się w oczy nierównowaga między twórczością własną i przekładową. Dopiero badanie, dotąd ledwie zaczęte, tekstu jego tłumaczeń, które sięgają cyfry osiemdziesięciu, odsłoni olbrzymi wkład inicjatywy dramaturgicznej, objawi, jak w bolesnym napięciu, zadyszeniu, pośpiechu — rozmiął, rozproszył swoją energię pisarską.

Gdy starość wprowadzi go wreszcie ze szlaku burz, zmagających przygód w zacisze dworku na Nowolipkach, stworzy Bogusławski swoje najbardziej skończone, autentyczne, trwałe dzieło: "Dzieje Teatru Narodowego". Pisane dojrzałym, przejrzystym, klasycyzowanym językiem, stanowią one jeden z najpiękniejszych okazów prozy pamiątkarskiej, jakie zna literatura polska. Dokument prostoty, prawości i wielkości zaiste klasycznej.

Alie choć słowo: klasyczny na kartach "Dziejów" powtarza się powielokrotnie, stosunek Bogusławskiego do tragedii tego imienia stanowi jedno z najbardziej tajemniczych i najbardziej istotnych zagadnień jego osobowości twórczej. "Dzieła" pełne są czolobitnych reweransów dla tego dostojnego, szlachetnie urodzonego gatunku literatury. Każdy utwór Bogusławski poddaje drobiazgowej ekspertyzie ze stanowiska klasycznej, boileau'owskiej estetyki, kilkakrotnie z wykrecozeń przeciwno nie sumituje się i usprawiedliwia. Mimo to darmo wśród dwunastu tomów szukać choćby jednego przekładu, jednej próby oryginalnej

w zakresie tragedii. W swoim uniwersalnym repertuarze Bogusławski uwzględnił ją późno i wyznaczył miejsce o wiele niegodne jej uznanemu dostojeniu.

Ta dwuznaczność zawiera istotę stanowiska i roli Bogusławskiego w dziejach kultury polskiej. Człowiek dwu wieków stał na rozstaju dwu epok. Tradycją wychowania w Collegium pijarskim, kultuwującym teatr Corneille'a i Voltaire'a ciążył do klasycyzmu. W ostatnich latach życia, w godzinach pracy nad "Dzielami" poddawał się złudnemu przeświadczeniu o zwycięstwie "dobrego smaku" nad wszystkim, co mu było przeciwne. Temu zmyleniu perspektywy spraw ulegał nie sam; dzielił je z nim o tyle młodszy Brodziński w warszawskich wykładach a literaturze. I to wszystko był jeden nurt osobowości Bogusławskiego. Drugi: skryty i głębszy przebijał się na pół bezwiednie w przeciwną stronę. Ciążył Bogusławski do romantyki tajnym instynktem, wyczuwającym nadchodzące prądy, ślepym czuciem, wietrzącym ów golfstrom, który miał odmienić kolor nieba, przejrzystość powietrza, wszystek wygląd świata. Był nieświadomym siebie romantyki, preromantyki. On, syn wieku oświecenia — przez całą działalność pisarską, przez "Krakowiaków i górali" — stał się prostowaczem ścieżek romantyzmu.

W roku 1816 przebywał Bogusławski w Wilnie, w ciągu krótkiego czasu wystawił tam: tragedię Alfieri'ego "Saul", komedie Goldoni'ego, "Króla Lira" i "Cud mniemany". Wśród widzów uboższego teatru wileńskiego, który co wieczora rozpłomieniał się żarliwym entuzjazmem, mógł być i był pewnie młodzieńczyk o płonących oczach, student pierwszego roku uniwersytetu — Adam Mickiewicz.

W ciżbie tamtego parteru wypatruje go nasze spojrzenie i pochwytuje niewidzialną więź, jaka się wiązała między starym, steranym aktorem, a młodzieńcem, który nosił w sobie całą nową epokę, cały osobny świat wielkości.

Tymon TERLECKI.

Wspomnienie o Ksawerym Pruszyńskim

Kiedyś, w czasie wojny, Ksawery Pruszyński zabawiał mnie opowiadaniem, jakiby o mnie napisał nekrolog. Zbytek dość sucho te wypowiedzi, nie gustowałem bowiem nigdy w makabrycznych dowcipach. Ale ani wówczas, ani nigdy potem nie przyszło mi do głowy, że właśnie ja będę pisał o Ksawerym wspomnienie. Cechowała go bowiem przede wszystkim niespożyta żywotność, jakaś animalna witalność. Ona to zrobiła go tym czym był: ona tkwiła u źródła jego talentu, ona była sprężyną jego energii pisarskiej, ona też, niedostatecznie hamowana refleksją, popchnęła go na tory, które zerwały dawne przyjaźnie. Chciałbym obiektywnie wyłożyć, jak sobie tłumaczę przedziwną karierę Zmarłego, chcę zachować cały szacunek i rezerwę, którą nakazuje zawsze majestat śmierci, tragicznej zwłaszcza i w kwiecie wieku, ale usprawiedliwiać go nie widzę sposobu.

Człowiek, pisarz, działacz. Te trzy elementy stapiają się w życiu wszystkich ludzi pióra, ale w różnych proporcjach. Flaubert np. był tak pochłonięty swoim zawodem, że jego biografowie z trudem mogą wydobyć jakiś szczegółik poza rozkładem jego godzin pracy. Innych, ludzi czynu, tak pochłania polityka, że poza nią trudno znaleźć najmniejsze zdarzenia dla podparcia i uwypuklenia ich sylwetek. U Ksawerego górował człowiek. Był on przede wszystkim sobą, Ksawerym Pruszyńskim, on był bohaterem powieści, której nie mogąc napisać, chciał ją przynajmniej przeżyć. Na pewno z innym finałem niż płaskim, mizernym, głupim, z kroniki wypadków; ale bohaterskim, romantycznym, niezwykłym. Ksawery kochał le panache.

Jego volty lat ostatnich nie zdołają przekreślić faktu, że był on nie chorążym czasów naszych, lecz epigonem czasów bardzo dawnych, zagubionych w XX wieku, dzieckiem kresowej szlachty, bałaguną ubiegłego stulecia. Wszystko co w nim było coś warte, co stanowiło jego urok, decydowało o jego popularności, jednało mu serca, nadawało mu piętno nieprzeciętnej indywidualności — było wrodzone; co było nabyte, było banalne, powierzchnowe, mierne. "Ils se sont donnés la peine de naître" mawiał o arystokratkach francuskich Beaumarchais; i to samo można by powtórzyć o Ksawerym. Po przodkach odziedziczył

temperament, rozmach, fantazję, z mlekiem matki wessał koloryt ukraiński, barwność słowa, zapach i jędrność polskiej mowy; bogaty z domu szafował talentem: gleba urodzajna, choć źle uprawiana, zachwaszczona, dzięki wrodzonej żyzności, długo hojny przynosiła plon. Ale warunki pokolenia, do którego należał Pruszyński, zaciążyły na nim fatalnie i już w dzieciństwie wyrobiły w nim kompleksy, które później doprowadziły go do tragicznych pomyłek. W 11-tym roku życia panicz kresowy znalazł się na bruku krakowskim, renty wołyńskie zastąpiły pomoc krewnych, stypendia czy korki i lekcje francuskiego udzielane przez znaną matkę. Pruszyński nigdy nie przestał być może najbardziej ziemiańskim pisarzem swego pokolenia, ale stosunek jego do warstwy, z którą wszystko go wiązało, był dziwną mieszaniną sentymentu dzieciennego i rankoru, wywołanego prostackim zachowaniem się galicyjskich półpanków do zdeklasowanych braci zza Buga. Te urazy lat szkolnych — a musiały być silne — tłumaczą, jak sądzę, niezwykle zaangażowanie Ksawerego na każdą, najmniejszą nawet krytykę: już brak entuzjastycznego uznania odczuwał jako ciężką, osobistą zniewagę. Ten człowiek, tak "męski" pod niektórymi względami, był wrażliwy jak panna: potrzebował podziwu, ciepła, przywiązania, lękał komplementy jak inni palą papierosa, chciał zawsze i wszędzie być "królową balu", być ośrodkiem zainteresowania, filarem rozmowy; każde zebranie, każda pogawędka towarzyska, w której brał udział musiała być jego popisem. Próżność? Może, ale to nie była ta próżność zimna, wyrachowana, która tak irytowała u Sikorskiego i Aleksandra Skrzyńskiego. Była tak naiwna, szczerą, dziecinna że aż rozbrajała. Gdy go nie chwalono, Ksawery się dąsał i bocył, jak mały chłopczyk, któremu nie dano cukierka. Skądinąd ta próżność sprawiła, że tak łatwo ulegał wpływom. Zdobyć go można było niesłychanie łatwo, używając do tego tylko — ale za to w nieograniczonych dawkach — pochlebstwa. Celował w tym prof. Kot, i on to przede wszystkim ponosi odpowiedzialność za zwichnięcie kręgosłupa nie tylko utalentowanego pisarza, ale i człowieka o wielu sympatycznych cechach i wielu szlachetnych instynktach.

Pruszyński był człowiekiem, w którym talent niezmiernie górował nad inteligencją, zdolności nad wykształceniem. Gdyby wydano wszystkie jego artykuły i broszury — a zebrałoby się tego zapewne z kilkanaście tomów — lektura ta byłaby na pewno nie do zniesienia, bo jej treść umysłowa, jej bagaż myśli byłby nikły. Pruszyński był człowiekiem pasji, miał namiętności, nie miał przekonań, miał koniki, nie miał poglądów, miał świetne obrazki, nie miał konstrukcji, miał oryginalne spostrzeżenia, żadnej linii. Nadawał się na reportera, na jakiegoś Pierre Loti, ale nigdy nie napisał żadnej powieści, bo nigdy nie wyszedł z siebie, poza nim samym nikt go bardzo nie interesował. A już wcale się nie nadawał na pisarza politycznego. Tu tkwi główna różnica między nim a Stan. Mackiewiczem, do

którego pod wielu względami (mam na myśli rodzaj uzdolnień) był podobny. Jak i Mackiewicz był zasadniczo człowiekiem wschodu: pamiętam jak kiedyś odwiedziłem Ksawerego w Londynie i zastałem go drzemiącego na łóżku z butami, w piąszczu i nawet furażerce; nie mogłem się nie rozeźmiać, tak mi przypominał Raskolnikowa na swym barłogu. Pruszyński, który pierwsze kroki stawił w Mackiewiczowskim "Słowie" pozostałby całe życie pod wpływem Cat'a, gdyby Mackiewicz w ogóle na kimkolwiek mógłby dłuższy wpływ wywrzeć: ale Mackiewicz jest zanadto paradoksalny, zmienny i kapryśny, by ktoś mógł stałe pozostawać w jego orbicie; systemy planetarne powstawać mogą dookoła słońca, nie komet. Ze wszystkimi swoimi dziwactwami i wyskokami, Mackiewicz jest umysłem politycznym: ma poglądy, w których zawsze obok paradoksów tkwią cząsteczki prawdy, i do swoich każdorazowych pomysłów potrafi zawsze dorobić rozumowania zadziwiająco finezyjne dla człowieka o tak wysokim ciśnieniu. Drogi Cata i Ksawerego wkrótce się rozeszły, les extrêmes se touchent, ale kuzyni się często wadzą.

Trwalszym się okazał wpływ śp. Adolfa Bocheńskiego, może dlatego że Bocheński był osobiście niezwykle skromny, nigdy nie chciał brylować, tylko przekonywać. Wpływ ten objawił się głównie w erze ukraińskiej Pruszyńskiego, erze która wyskakiwała nawet w czasie wojny, już w epoce gdy Ksawery wsiadł na konia "porozumienia z naszym wielkim sąsiadem": wszak jeszcze w 1944 r. ciskał gromy na endeków że zaprzepaścili kresy przez podjudzanie przeciw Ukraińcom. Ale o ile, nie dzieląc ich, rozumiałem pobudki ukraińszczyzny Bocheńskiego, o tyle ukraińszczyzna Pruszyńskiego wydawała mi się zawsze fanaberią kresowego paniątka, które nagle wyobraża sobie że jest ukochane przez swych ukraińskich chłopów. W praktyce prometejskie ideały Pruszyńskiego dostarczyły mu tylko pretekstu do rezygnacji z tych ziem wschodnich, z którymi był całą swą tradycją rodzinną najściślej związany.

Drużyna marotte'a Pruszyńskiego była dużo rozumniejsza i sympatyczniejsza: mam na myśli jego filosemityzm. Pierwszy jego dłuższy wypad zagranicę był do Palestyny i jego zapal dla sjonizmu stanowi piękną kartę w jego spuściźnie. Z czasów akademickich Pruszyński wyniósł abominację do burd antyżydowskich, którą całkowicie podzielałem; ale brak myśli politycznej sprawił, że nie potrafił rozróżnić oburzenia i stanowiska wobec endecji, która wywoływała w nim zawsze paroksyzmy antypatii, gdy już przyczyny do tej niechęci przestały dawno istnieć. Jak to często bywa, animozje polityczne Ksawerego były silniejsze od jego filo-ciągotek. Z jego pro-ukraińskich i pro-żydowskich sympatii jedynym trwałym elementem okazał się kompleks anty-endecki.

Innym kompleksem, który fatalnie zaciążył na Pruszyńskim, był jego uraz na tle oficerów zawodowych. Choć daleki od bałwochwalczej czci dla munduru, przyznając jednak że stanowisko Pruszyńskiego było (podobnie zresztą jak i mego brata) ata-

wistycznym przeżytkiem pospolitego ruszenia: rozumował jak "towarzysz pancerny", który dla hetmana był "panem bratem". Nie można wojska na tych fundamentach budować, i przy najbardziej krytycznym stosunku do różnych przywar naszego zawodowego korpusu oficerskiego, trzeba stwierdzić że cała wojna podjazdowa Pruszyńskiego przeciw naszym oficerom była szkodliwa i opłakana w skutkach dla dyscypliny wojskowej.

Pruszyński wstąpił się i inną kampanią, a mianowicie swą książką o Czerwonej Hiszpanii, w której spędził pół roku na początku wojny domowej. Książka ta zawiera wspaniałe opisy kraju i przyrody — Pruszyński miał talent ściśle malarski i celował zawsze w oddaniu pejzażu, tła, kolorytu — i mętne rozważania polityczno-społeczne. Można i takie mieć poglądy, tylko że w danym wypadku, to nie były poglądy Pruszyńskiego, lecz otoczenia, w którym się w Hiszpanii znalazł; gdyby trafił na tamtą stronę frontu byłby się zapewne entuzjazmował gen. Franco i jego spahisami: to co go bowiem entuzjazmowało, porywało — to nie była "sprawa", lecz sama wojna z jej elementem ryzyka, krwi, niebezpieczeństwa, dzikiej pierwotności bytu. Natomiast zabawne było, że Pruszyński zupełnie nie orientował się że jego reportaże z Hiszpanii najgłębiej były sprzeczne z sympatiami wszystkich jego dotychczasowych towarzyszy spod znaku "Polityki — Buntu Młodych". Gdy wrócił do Warszawy, Giedroyc urządził zebranie w redakcji, na którym Ksawery wygłosił długi referat: był wesolutki, figlarny, z góry oczekiwał owacji. Grad protestów, zarzutów, obiekcyj zaskoczył go, potem oburzył, uznał je nie za objaw innych poglądów, ale za złośliwą próbę zrujnowania jego pozycji i standingu. Od tego czasu zaczął się jego glissement. "Cóż tak ciągle zadajesz się z Singerem i Słonimskim?" — pytałem go wówczas. "Oni mnie chwala, a wy mnie krytykujecie" — odpowiadał naiwnie Ksawery. Skoro go chwalili oni mieli oczywiście rację, a inni to byli łobuzy.

Ksawery był na ogół ludziom życzliwy, był dobrym przyjacielem, każde zerwanie go bolało: wszak miesiąc przed śmiercią dopytywał się przez trzecie osoby czy nie byłem autorem pewnych notatek o nim w pewnym dzienniku (z którymi naturalnie nie miałem nic wspólnego). Ale był skrajnie podejrzliwy i w chwilach furii, gdy mu się zdawało że ktoś mu chce szkodzić, zapominał wszelkiej miary, zachowywał się skandalicznie. Przypominam sobie taki incydent: gdy Kot został ministrem informacji, Pruszyński popędził do niego z pewnymi żądaniem natury zresztą najzupełniej apolitycznej i, dodam, nie-finansowej. Kot mu odmówił, i przyznam lojalnie że w danym wypadku najzupełniej słusznie (sam mi później całą sprawę wyłożył). Trzęsąc się z pasji, Ksawery zleciał z jego gabinetu do mego pokoiku. "Jak myślisz, zawołał, czy Matuszewski by to dla mnie zrobił?" (Ksawery wiedział, że Matuszewski niezwykle cenił jego pióro, i stąd zawsze był wobec niego z reweransem). "Może by i zrobił", odpowiedziałem dyplomatycznie. "W takim

razie, zawołał Ksawery, już pędzę do Sikorskiego i powiem mu by tę świnię Kota wylał i na jego miejsce mianował Matuszewskiego". Nie potrzebuje dodawać jaki był rezultat tej interwencji. Ale sam fakt takich pomysłów w kwietniu 1943 r. był dowodem jaki był z tego biednego Ksawerego "polityk".

Matuszewski napisał kiedyś złośliwą notatkę o Stpiczyńskim, nazywając go Joachimkiem, dla którego jedynym celem jest "byle szum, byle szum". Otóż to właśnie można powiedzieć o całej działalności politycznej Pruszyńskiego. Chciał robić około swej osoby wieczny hałas, i nic więcej. Był statystą lukazkiem, który wiecznie chciał udawać, że kroczy w pierwszym szeregu. A dokąd — to mniejsza o to. Chciał błyszczeć, być podziwianym, za co, dlaczego ani nie wiedział, ani dbał. Chciał mieć wielkie stosunki, nie dlatego, by je wykorzystywać, czy choćby przez ciekawość, ale dlatego by podkreślać swoją ważność. Kiedyś przed wojną w Warszawie wpadł do mnie cały podekscytowany i zdyszany.

— Wiesz, dopiero co trzy godziny rozmawiałem z Sosnkowskim...

— To bardzo zajmujące, odparłem, cóż powiedział Sosnkowski?

— Więc ja mu powiedziałem to, wyłożyłem tamto, wyłuszczyłem owo, wytłumaczyłem coś jeszcze...

— No pięknie, przerwałem po raz dziesiąty, ale co mówił Sosnkowski?

Pruszyński, zdziwiony i zdetonowany, wreszcie bąknął:

— Wiesz, nie bardzo pamiętam.

Tak było zawsze z "kochanym Ksawerem" i kiedy opowiadał o swych rozmowach z Sikorskim, i z Mikołajczykiem, i z Andrzejem Januarjewiczem Wyszyńskim, i z ambasadorem angielskim w Moskwie, i z Aleksiejem Tołstojem itd., nie słuchał i w gruncie rzeczy się tym nie interesował. Rozmawiać, rzecz dziwna, umiał tylko z bardzo nielicznymi znajomymi i pamiętał co mówił np. Mackiewicz czy Kot.

Egocentryzm był podłożem jego akcesu do Warszawy, nie zwykle karierowiczostwo. Mogę w każdym razie stwierdzić z pewnością że za Kota mógł Pruszyński zrobić w Ministerstwie Informacji tzw. wielką karierę, wysadzić Drohojowskiego itd., ale jej nie zrobił, bo nie miał na to żadnej ochoty. Pruszyński był amoralny, bo i jego patriotyzm, i katolicyzm, i tradycjonalizm były tylko nastroskami, nie przemysłanym przekonaniem. Zdawało mu się, że nie są to wartości obiektywne, bezwzględne, ale jego, Ksawerego Pruszyńskiego, własność, jego osobiste "hobbies", które można każdej chwili rzucić, cisnąć, zmienić, jak się zmienia krawat czy stalówkę. Pruszyński był gotów zginać na wojnie, bo wierzył, że z tym będzie mu do twarzy, ale nie rozumiał znaczenia słowa "obowiązek". Pamiętam ostatnie moje z nim dłuższe spotkanie, w jesieni 1944 r., gdy leczył się z ran w szpitalu pod Liechfield. Był co prawda dość lekko ranny, lecz jednak cały w bandażach, i choć mocno

cierpiał, był uszczęśliwiony swymi ranami: tokował bez przerwy, grał rolę bohatera, radował się że jest ośrodkiem sympatii i zainteresowania, nigdy go nie widziałem w tak świetnym humorze. To że był ranny, było w jego zrozumieniu jeszcze jednym paszportem, który mu dawał prawo robić co mu się podoba, nie liczyć się z niczym zdaniami, z żadnymi hamulcami. On był tak wielkim indywidualistą, że aż zdołał trafić do najposępniejszego totalizmu.

Nie widziałem nigdy Pruszyńskiego po Jałcie; więc nie wiem czy się później nie zmienił. Raczej w to wątpię. Nie wierzę, by interesowność podyktowała mu dalsze postępowanie. Raczej wplątawszy się w sieci bolszewickie, brnął dalej z ducha przekory, z zarozumiałości: nic nie mogło być dla niego boleśniejsze niż przyznanie się do błędu. Myśl, że dawni przyjaciele przywitaliby go słowami: "a widzisz, kto miał rację" musiała być dla tej rogatej duszy, tak czupurnej, tak kozaczej, nie do zniesienia. Wolał brnąć dalej, co przyszło mu tym łatwiej, że Pruszyński nigdy nie zrozumiał, że polityka jest rzeczą serio, że to jest coś więcej niż przyjaźń z A. i waśń z B., i zwalczanie C., i porachunki z D. Mógł się utrzymać na stanowisku w Hadze właśnie dlatego, że nigdy nie miał przekonani politycznych, ambicji politycznej i absolutnie żadnej chęci władzy. Jestem przekonany, że w Hadze był zupełnym strohmanem, całym jego poselstwem rządził na pewno jakiś enkawudzista, a Pruszyński tego nawet nie wiedział. Taki Litauer np., nie do porównania z Pruszyńskim i od dawna dużo bliższy komunizmowi, miał jednak pewne własne zdanie i w małym zakresie chęć, ambicję rządzenia, narzucenia swej linii: toteż już po roku został zlikwidowany. Pruszyński był tylko Joachimkiem: byle szum, byle szum.

Nie wierzę też, by na postępowanie Pruszyńskiego wpłynęły honory lub pieniądze. Pragnął on tylko rozgłosu: tytuł ekscelencji bawił go zapewne przez tydzień — też dobry rozdział powieści, i tylu znajomych pęka na pewno z zazdrości — ale potem go musiał nudzić: to był człowiek bohemy, nie salonu, kawiarni, nie protokołu. Był próżny, ale nie nadęty. Gdy chodzi o pieniądze, Ksawery był typowym inteligentem szlacheckim, co miał to wydawał, nie oszczędzał nigdy, i budżet jego był zawsze elastyczny, potrafił każdej chwili swój standard życiowy obniżyć do poziomu żebraka. Nie pił, nie palił, a kobiety go nigdy nie kosztowały ani grosza.

Jako pisarz, Ksawery po śmierci nie będzie miał nigdy tej pozycji, którą miał za życia. To zemsta losu na tych, którzy chcą sukcesów chwili. Nie zostawił nawet żadnych "Szczęśliwych lat", choć jego artykuł w "Kraju Lat Dziecinnych" jest może najlepszą rzeczą, która wyszła spod jego pióra. W jego obszernej spuściźnie znaleźć można będzie łatwo perełki stylu, strony pachnące stepem czy gorącymi skałami Hiszpanii, strony niekiedy dorastające do przyrody Hiszpanii. Ale tego wszystkiego nie starczy na zapewnienie mu pierwszorzędnego

miejsca w literaturze. Jego rodzaj talentu był, moim zdaniem, czymś pośrednim między Zygmuntem Nowakowskim i Józefem Mackiewiczem. Od pierwszego miał bogatszą paletę, od drugiego większy rozmach i zasięg.

Lecz śmierć, ta wielka Pani, ta władczyni naszych losów, ma to do siebie, że wobec niej bledną i maleją nasze sprawy, nasze spory, nasze przewiny i błędy. Wobec niej, wracają właściwe proporcje, pozostaje tylko to co najważniejsze, to co decyduje o człowieku. I dlatego dzisiaj, gdy jeszcze szczątki Ksawerego w otwartej leżą trumnie, nie myślę o jego wadach czy winach, lecz o jego matce, siwej staruszczyce, która gdzieś na placu Floriańskim w Krakowie szeptem nieruchomymi wargami za swego pierworodnego pacierze, o jego bracie, bracie, który z ciężkim sercem zamyka grubą księgę wiernej braterskiej przyjaźni, o kobietach które go kochały, a wreszcie o jego trojgu drobnych dzieciach, które przerażone i oszołomione zdają sobie sprawę że ubył im ojciec i opiekun, podpora i obrona, i z przerażeniem patrzą na tę długą, czarną drogę, która wije się ciemno, ponuro i groźnie przed każdą sierotą.

Niechże Bóg dobrośliwy ześle im wszystkim pomoc i pocieszenie, i niech duszy biednego Ksawerego okazać raczy swe wszechmocne Miłosierdzie.

Secundum magnam misericordiam Tuam...

W. A. ZBYSZEWSKI.

Wariant I.

Odchodzę i przychodzę, przybliżam się i oddalam. Jest chwila kiedy jestem doskonale świadomy siebie a potem gubię się i rozdrabniam z otaczającym przestworem. Tu jestem, a nie ma mnie, bo wyszedłem na spotkanie wymyślonego.

Jest rano, majowe rano i spadek ogrodu do stawu, stawiska. Kończy się równa wesoła trawka ogrodu jak uciał i zaczyna dokładnie sitowie i podmokłe wodą stawisko. Trzciny ostre, tęgie, inne niż trawowe, odchodzą daleko. Można odważyć się i pójść nimi, woda wsiąka zaraz stopy po kostki i jest wstępnie i niespokojnie w tym wodnym marszu. Daleko, po drugiej stronie stawiska grunt znowu się podnosi i widać na tę odległość jakieś budynki, brudny komin cegielni, parę drzew i niebo. Jest to ni blisko ni daleko, ale na tyle ażeby ten nieosiągalny świat był obcy i odgradzony. Zawsze, codziennie widzę ten nieskomplikowany krajobraz, ten sam w swej prostocie, komin cegielni, parę chat, drzewa, parę pasących się krów. Ale nigdy tam nie byłem, nigdy tam nie będę. Pozostanie dla mnie nieznanym z bliska ten świat, który towarzyszył mi wiele miesięcy. Kiedy mieliśmy się wyprowadzić z tego miejsca to stałem w pokoju, w oknie wychodzącym na ten sam krajobraz i myślałem sobie wtedy, myślałem że już nigdy tego samego miejsca nie zobaczę, nigdy, że było ze mną i już go nie będzie. Ten ubogi krajobraz, komin cegielni, parę domów, pasące się krowy. Było tam rozmaicie, mogło to być pod deszczem, pod chmurami, albo niebo niebieszczące się, chmury letnie poukładane sobie tam, ale już tego nie będzie więcej. Tutaj blisko wszystko było znane dokładnością pokoju ślepca, tak było wymacane spojrzeniem. Trawa ogrodu spadającego łagodnie do stawiska, pokręcone drzewka wiśniowe, krzaki porzeczkowe i malinowe, porzeczkki były zawsze zakurzone, zwłaszcza te niżej, przy ziemi, a maliny trzeba było bardzo ostrożnie odrywać, patrząc czy wewnątrz nie jest nadjedzona przez wijącą się w swoim koralowym światku gąsieniczkę.

Tak samo na stacji kolejowej, czekając przed odjazdem pociągu. Jest wieczór, noc, siedzę przy oknie, twarda wagonowa ławka, już mi jest znane to wagonowe wnętrze, pachnące gazem świetlnym, który słabutko syczy w zbakierowanej siateczce auerowskiej w baniastym kloszu lampy. Upewniające się

spojrzenie, że walizka jest ciągle na swoim miejscu, stara poczciwa fibrowa walizka, domowa, kawałek własnego domu w podróży. Głupie napisy nad dźwignią od kaloryferu "ciepło 1/2 zimno" "Nie wychylać się" i "Nie pluć". A za oknem jest rozgwieżdżony w światłach lamp stacyjnych krajobraz torów kolejowych, szyny płaskie i proste, te bliżej szeroko rozstawione, te dalej z perspektywą zbiegające się ku sobie. Dziwny krajobraz mechaniczny stacji, torów, jakby kiedyś świat miał być tak przez ludzkie obrabiania wyrównany, podsypyany tłustym tłucznem. Dalej gdzieś idzie kolejarz wzdłuż torów, za każdym krokiem chwieje się jego latarnia niesiona za ucho w ręce, zniknie za wagonami i znowu wychynie, pajak i świętojański robaczek wpośród żelazno-stalowej pajęczyny. A w górze, na wysokich słupach kosmate, jarzące się żarliwie lampy elektryczne stacji, czuwające jak wieloraka opatrność. Czerwone światło sygnałów, czasem nie wiadomo kiedy, w nieuchwyconej chwili przeskoczy ze swego czerwonego koloru w zielony. Ten spokojny kolor że "wolna droga", kolor dobra, ale nie ma nic w tym intensywności i siły koloru czerwonego, że "stój!", że zło. Wszystko w tym krajobrazie wydaje się brudne od pyłu węglowego barierki żelazne przy jakichś urządzeniach blokowych, tępy koniec ambulansu pocztowego, rura gumowa od gazu, wleczona przez robotnika ku czekającemu zestawowi wagonów pasażerskich. I wszędzie wagony towarowe, niezgrabne pudła, malowane na kolor różu indyjskiego i jak wszystko przybrudzone, z niewidocznymi znakami i literami, grubaśne ich osie i obręcze kół lśniące i wypolerowane od toczenia się po piersi ziemi. A nad tym konstelacje lamp elektrycznych, chcących się wypowiedzieć w ich zodiakalnych łamiągówkach, i tylko czasem cień rzucony przez słup semaforu leży i uderza tak ostro, brutalnie, że po prostu dostaje się jakby uderzenie w ciemność.

Szyby okien wagonowych opalizują od tych nokturalnych światła. Para ucieka z sykem, kiedy szyny zastękaają pod manewrującym parowozem. Z daleka, wzdłuż zestawu naszego pociągu zbliżał się coraz wyraźniejszy głos, klangor, kiedy robotnik szedł wzdłuż toru i młotkiem osadzonym na długim trzonku uderzał kolejno w obręcz kół. Jego powolne zbliżanie się było jak ostrzeżenie, powolne, naprzód słabutki, metaliczny dźwięk, a potem coraz bliżej, perspektywa tonu. Wydawało się, że nie śpieszy się z tym objawieniem, że dzieje się to stopniowo, daje nam czas na namysł, na decyzję, na zrobienie rachunku sumienia, na stanięcie twarzą wobec obwieszczenia jakie będzie miał, kiedy znajdzie się przed nami. Słucham tego zbliżającego się odgłosu, w napięciu, w poczuciu tego, że jestem niegodny, że to jeszcze nie jest chwila właściwa, że nie jestem dostatecznie przygotowany. Ale znowu wydaje mi się, że kiedy taki honor ma być mi oddany, że jestem pomimo wszystko uznany za przyszłego piastuna tej wieści to sznuruję się wewnątrz siebie, zaciskam pięści i jestem gotowy, wyprostowany na przyjęcie tego. Klangor się zbliża, już tylko następny, sąsiedni wagon i zaraz

i już! I za chwilę, za moment wahania, uderzenie w obręcz koła, które nas ma unosić, ostre raz! potem chwila wahania i następna oś, raz! I już, to wszystko. I oddala się monotonnie, malejąc z oddaleniem. Obeszło się bez obwieszczenia. Zostało to sobie metaliczne, mechaniczne, rutynowane, jak puszczonego mechanizm, jak automat. Wielkiego spodziewałem się efektu od puszczonego gdzieś na krawędziach kosmosu wahadła, wbiłem oko w czarny przestwór, oczekując zbliżającego się wahadła. Wszystkie znaki na niebie i na ziemi zwiastowały mi jego zbliżanie. Miałem wiele czasu, mogłem się pogłowić, mogłem sobie nawyobrazić jak to będzie, mogłem się zaniepokoić, mogłem sobie perswadować. Mogłem patrzeć z zamierającym w gardle sercem jak ciężar wahadła z czasem, z przestrzenią, z prawami fizycznymi nabiera rozpędu, jak mi potem już niewiele pozostawało, jak wpośród skurczeń się w sobie pokory nie czułem się godny, jak z paroksyzmami ufności w sobie, nagle triumfującej pewności siebie stawałem się pewny i zawiadacki w oczekiwaniu na przyjęcie posłannictwa i przychodzi wreszcie wielki dzień, oczekiwany moment i nic, ale to nic, nawet nic z trywialnego dreszczu spotkania, z eksplozji uderzenia, nic z fajerwerku i temperatury starcia się tego czegoś i mnie, po prostu moment i znowu jestem wsłuchany w oddalający się dźwięk, malejący odwrotnie efekt, znajomy i niestraszny już głos, pozostaje tylko na dnie duszy cienki osad żalu za poprzednim wy-czekiwaniem, za rozhuśtaniem razem z tym wahadłem, za dreszczem.

Siedzę w wagonie, na półce znajoma walizka fibrowa, mam jak zwykle ze zdenerwowania podróżą niedyspozycję żołądka, zgałę w ustach, stacyjne, kolejowe pragnienie, powieki mi ciężą, ale w tym znaczeniu, że i tak spać nie będę, a przed sobą, w obramowaniu prostokątnym okna, księżycowy krajobraz torów, świateł, wizja świata, jakim ten świat zresztą nie będzie, noc, chmury niskie i jasne od świateł stacyjnych, cieniutkie kałuże po niedawnym deszczu pomiędzy progami kolejowymi, stukot buforów w przetaczanym pociągu towarowym.

Myślę sobie, a właściwie nie myślę, ale mam w głębi siebie przeświadczenie, że już takiego drugiego nie będę w życiu widział. Nie ma dwu takich samych rzeczy na świecie. Kiedyś znowu będę innym razem siedział w wagonie kolejowym, na stacji, po nocy, rozpalą się takie same światła i zajarzą w szynach wypolerowanych i w kałużach, ale nie będzie to samo. Jestem mały, głupi, niedoświadczony. Napastuję mnie pośród tego myśl, że to dlatego, że to ja sam nie będę już taki sam, nie będę miał w sobie tego samego zestawu kondycji fizycznych i psychicznych. Po prostu powiedziawszy może będzie to dlatego, że innym razem zamiast rozwolnienia będę miał zatwardzenie, może mnie zęb boleć albo głowa dokuczać, może będę miał jakies inne zmartwienie, może potrafi mi ktoś poprzednio, albo przedział wagonu będzie pełny i wulgarny i ktoś powie słowo, które nakieruje mój tok myśli w innym kierunku, może będę palił za

wiele papierosów i będę pod wpływem depresji nikotynowej, i co? I przyleci tamten krajobraz do mnie, przyjdzie w pośpiechu, ustroi się tak samo na spotkanie, zawtóruje tymi samymi drganiami, a ja będę i ślepy i głuchy na to. Może potrafiło coś powtórzyć się identycznie, może coś powtarza się stale i dobija do nas jak podróźny z wieścią dobija się po nocy do uspiętego domu, a ja nic nie będę wiedział o tym, nic, może takie dobijanie się, straszne, ważne sygnały palą się koło mnie od czasów, może dygocze coś i kołuje koło mnie, jedyne i prawdziwe wytłumaczenie, takie same, powtarzające się dydaktycznie, z uporem i z rozpaczą i wyczekiwaniem, kiedy mnie porwanemu przez czas i przemijanie, zmianę wariacką i błędną, wir szalony nie jest to do odebrania, kiedy ślepy na to dają się ciągnąć usypiany monotonią ruchu. A wydawałoby się, że wystarczyłoby tylko po dziecinny wyciągnąć rękę, powiedzieć — stój! chcieć, zatrzymać! I nie, i nie. I już jestem daleko...

Wariant II.

Najserdeczniejsze gusta to te, które zacierają się w nas kiedy jesteśmy jeszcze nieuporządkowani. Dziwne jest wtedy, w stanie tym niewinności i błazeństwa niedojrzałego czasu, wpatrywać się w ich powstanie w nas, ich pączkowanie, ich niedorozwinięte kiełki, wpatrzmy się w nie i obok nadziei budzą w nas odrzę, kaziroduczy wstręt, zażenowani jakby własną słabością.

O niepewności, o wahania! Co wybrać a co odrzucić? Jakie na to mam miary, jakie warunki, jakie prawdy. I co to jest prawda? Czy to to, że wszystko ma składać się jak w rachunku albo jak w logice, czy prawda jest zależna od mechanizmu czy od przypadku?

Tam gdzie żyliśmy wtedy to był kraj, który trudno określić i spreparować sobie określenie. Austriacy oficerowie wysyłani tam do pułków kawalerii na okręgowe staże, wiedeńskie fircyki, określali to jako "Arschhöle", więc już nie samo Arch więc określeniem najdalej idącym w przepadłości. Że niby wtedy nic nie pozostawało, wśród garnizonu w małym Żydz, fizyk miasteczkowy, kilku adwokatów, sąd powiatowy, miasteczku gdzie było wszystko w przepadłości i dalekie od Ringu, chłopie, popi, małe chude krowy po wygonach, ubogie stacyjki, gościńce rzadkie i drogi wiejskie, błotniste i życie płynące tak powoli i leniwie.

Wydawałoby się, że tak może wyglądać nicość. Nic się nie działo pośród tego krajobrazu, krajobrazu któremu nic nie było do pocztówkowej malowniczości innych dykasterii, Alp, Pa-sterzengletcherów, Lido, kanałów Rotterdamu, granitów fin-

landzkich, dzikiego brzegu Bretanii, gór-miast Hiszpanii, słodczy doliny Loary, zębów Apeninów, melancholii piasków Mazowsza. Ludzie żyli tam bardzo regularnie i ospale, na spokojnie przyjmując zdobycze i dobroczynności historycznego postępu.

Ale tak było po wierzchu i powiedzmy szczerze dla uprzedzonych. Ale popatrzyc po drzewach, w lecie powiedzmy po czereśniach, który stały tegimi gajami Hesperyd, olbrzymie drzewa czereśniowe, olbrzymie jak sekwoje kalifornijskie, pieniące się czarnym, albo czerwonym jak minia, albo wiśniowym owocem. Chłopcy, kilkunastoletnie drapichrośty, wynajmowani do obierania ich, było to na warunkach części zbioru, żyli w dzień pośród gałęzi i liści tych drzew, przyciągając ich obwieszane owocami gałęzie kluczkami i do teraz słyszę ich nawoływania do siebie, kiedy olśnieni, osłepieni mnogością, ilością tego wspianego dobra, zawieszeni pośród ich kul zielonych, nawoływali do siebie "Massa jagód, massa!" i to zabawne popisywanie się pańskim, niebywałym, niecodziennym, podchwyconym określeniem "masa" było największym hołdem i pochwałą mnogości, brzemienności, nośności tej kipiącej ilości darów owoców. Dość słyszę to "masa" prawie że aż monotonne, jak śpiew i nawoływania wilg, "masa", chłopców-ptaków zawieszonych wpośród przestworu głowami w dół (mam na myśli jak wszystko inne zwieszona głowami w dół, drzewa, domy w dół niebieskiego przestworu, przepaści strasznej i rozkosznej).

A weźmy inny dzień, kiedy pojechaliliśmy wczesnym ranem daleko, daleko, nazywało się to Popławy, gdzie leżały kwaśne łąki i to było do sianożęci. Dzień był deszczowy, słotny i nic się nie zmieniło po naszym przybyciu na miejsce i z bratem schowani byliśmy pod wyprzęgniętym wozem pod weretą przed deszczem a kosiarze szli i maleli po łąkach, przesłonięci smugą deszczu, i pokosy leżały krzywymi liniami i było najstraszliwiej pusto i beznadziejnie, nic tylko brudna zieleń traw, woda i wilgoć, ciurki deszczu spływające po wszystkim, i deszcz niesiony pochyło i zapyłający i zawiewający świat do najbeznadziejniejszej pustki, i zgrzyt brzękliwy kosy po trawach i kamień osetki toczący kosę i ten sam garb horyzontu i ten sam deszcz, deszcz i niebo szare jak woda w akwariu. Wydawało się pod mokrymi batami deszczu że świat już dosięgnął zapowiedzianego błogostanu entropicznego wyrównania, że rozpuścił się w nirwanie jednakowości, szarzyni oślizgłej i jednakowej, niebo zeszło do ziemi i zmieszalo się, wszystko stało się płaskie i dwuwymiarowe. Tylko trawy leżały pod deszczem, gęste i otulające w swym ścisku ziemię i tchu zdawało się braknie kontemplując tę beznadziejność łąk.

A inny dzień świąteczny, niedzielny, znowu w słońcu i dwie wieże kościelne, barokowe, białe i kanciaste od gzymsów i akroterii i kościelny zapach kadzidła wosku świec, szuwaksu wyczyszczonych butów i krochmalu spódnic i halek dziewcząt, niosących w procesji feretron, na niezgranych nosidłach, kiedy jedna ręka spocona przyciska do piersi książeczkę do nabożeństwa

okreconą różańcem a drugą przytrzymując drażek feretronu i gęsta zieleń drzew i wozy chłopskie ściśnięte na postoju koło kościoła, chabety mają głowy całkiem pochowane w napęczniałych sieczką karmiakach zawieszonych u dyszli i kupy nawozu końskiego i wściekle omiatające się przed muchami ogony, i gzy końskie i siwe od zaschłego błota szprychy kół. Nuda długą nabożeństwa, kiedy organy dudnią i złoci się promień słońca wbiegły przez okno i stacje Męki Pańskiej i zacheuszki na ścianach kościelnych, które są twarde i sterczące do góry jak dogmat. Ławka kościelna pokapana świecą, chór kobiecych głosów zanoszący wysoko i ponad organy pieśń o Pannie Niepokalanej. Szur butów i pokasywania w czasie Podniesienia, cieniutki brzęk dzwonek ministrantów i tego i złoto wyszywane ornat księdza kiedy rozłożywszy ręce czyta z mszału pośród palisady wysokich świec ozdobionych sztucznymi kwiatami.

Po wyjściu z kościoła ma się taki straszny ucisk i próżnię równocześnie serca, jakby wina za to, że brało się porcje wiary jak komunie i świętokradczo, kiedy nie można było w sobie wzbudzić prawdziwej wiary, i stał tęgi, barczysty dzień naokoło jak klucznik więzienia. Słońce już w zenicie i ponad głowami ludzi i nad parkanami gęste drzewa, smuga cienia, pszczoły ujadające wokoło kwiatów jak psy, dziewczyny, w ich halkach, z ich piegami na twardej, dziewczęcych głupich twarzach, kurz gościńcowy, butla z wodą sodową u drzwi sklepika.

Jak tu uchwycić istotę rzeczy, jak sobie zadać ten worek, który pomacać za futryną drzwi? Z wielkim przecuciem, z naiwnym rozmysłem macam nogą kładkę, kładeczkę prowadzącą na właściwą stronę. Pewnie, że się będę mylił, ale najważniejsza jest decyzja w takim wypadku, jedno co pozostaje, zdecydować się ostro.

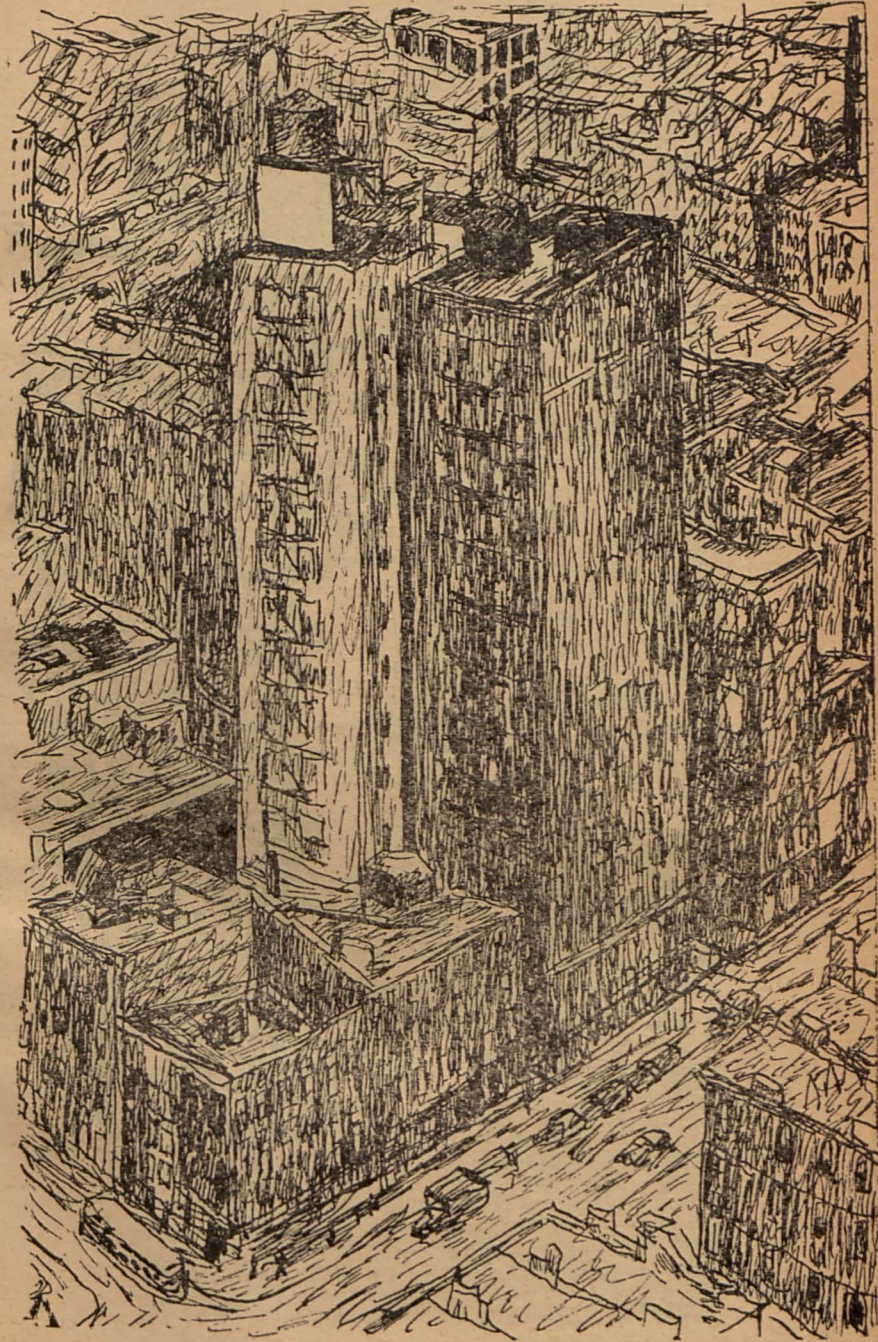
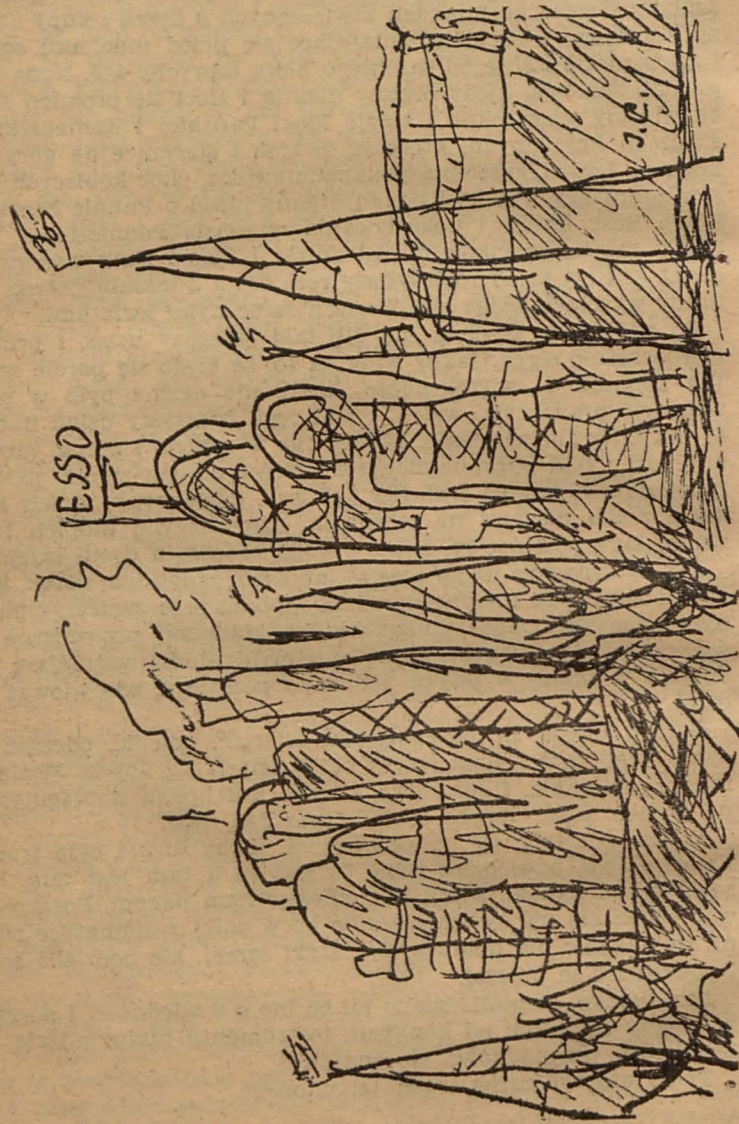
Bardzo trzeba się odseparować, odkroić, odlepić, odessać od cycka wiadomości, łona rzeczy omówionych i grubych. Myślenie musi być cienkie, filigranowe, kuche kruchością wyciągniętego na gorąco szkła. Trzeba sobie z tym dać radę.

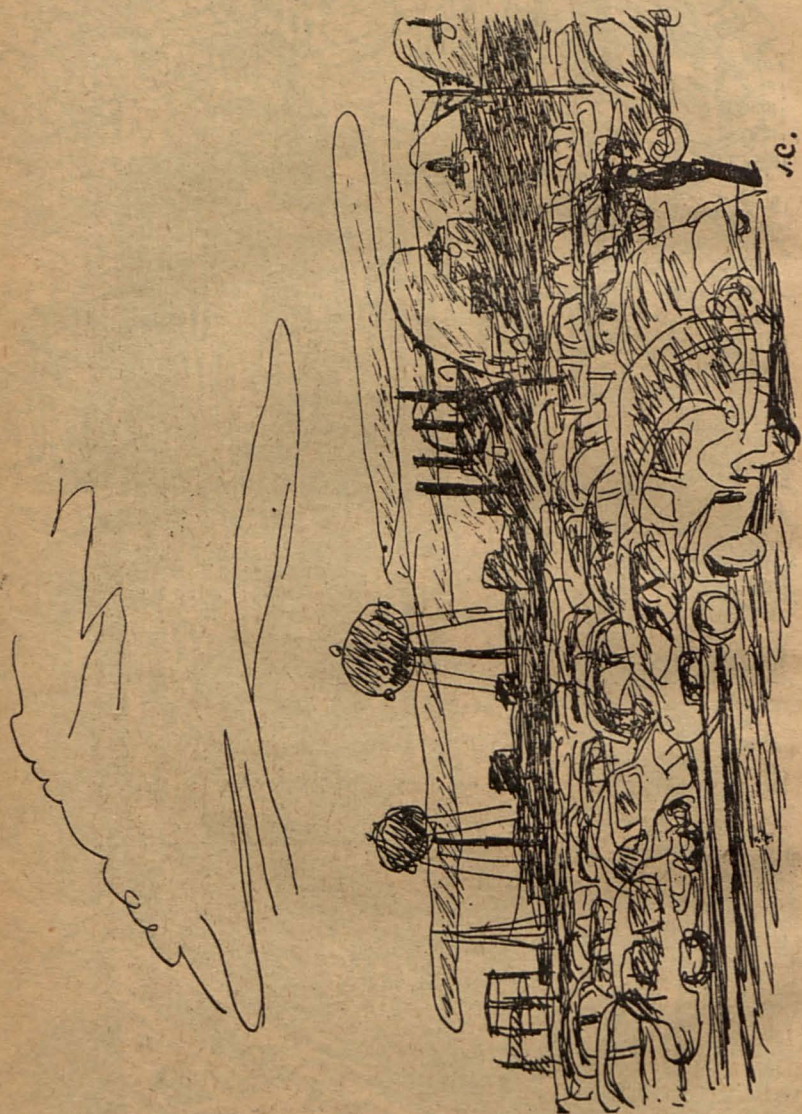
Trzeba oddzielić się od przestrzeni, jakby to nie było trudne i niemożliwe, powiedzieć sobie tu jest tu a tam jest tam. Być sobie takim panem, który jest obiektywnym panem. Posegregować sobie, ale nie systematycznie bo w całej systematyce można się zagubić dla dobra systematyki samej, ale podzielić sobie i powiedzieć że inaczej.

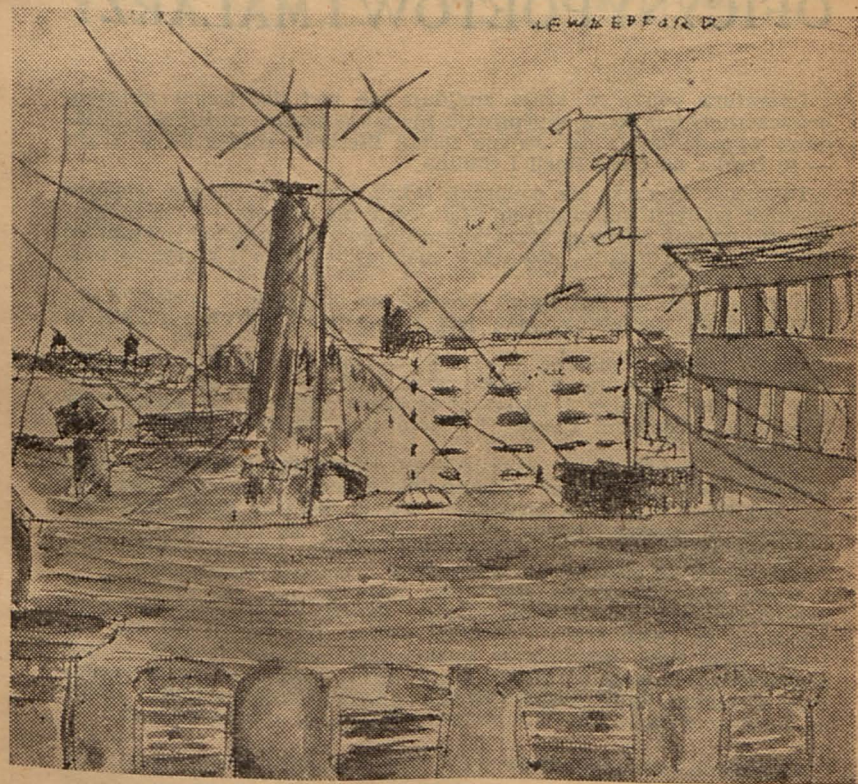
Nie dlatego, że powiedziano mi co ino o względności i porządku rzeczy zależnym od kondycji, instrumentu jakim mierzę, od tego gdzie przypadkowo się znajduję.

Tylko nie być zaraz trąbą jerychońską.

Zygmunt HAUPT.







SUBSKRYBCJA

Na fundusz wydawniczy OFICYNY POETÓW I MALARZY

Literatura polska w kraju znajduje się pod dławiającym terrorem bolszewizmu. Ani poeta, ani prozaik nie mają żadnej możliwości twórczego wypowiedzenia się. Jedyna forma literacka dozwolona w kraju — to laurka na cześć Rosji i Stalina.

Twórczość literacka na emigracji MUSI utrzymać ciągłość wielkich polskich tradycji kulturalnych. Nikt nam nie pomoże — jeżeli sami nie zrozumiemy potrzeby życia kulturalnego i nie poprzemy wysiłków indywidualnych poetów, prozaików, malarzy, aktorów i muzyków polskich na emigracji.

Zwracamy się do wszystkich Polaków na obczyźnie z apelem o poparcie naszej inicjatywy, jaką jest stworzenie OFICYNY POETÓW I MALARZY.

Grono poetów i malarzy zawiązało w Londynie spółkę samopomocową celem publikowania swoich prac. Jest to "oficina" wydawnicza, w której autorzy i wydawcy osobiście zajmują się artystyczną koncepcją wykonania książki, harmonizując elementy poezji z malarstwem.

Wspólna składka stała się początkiem skromnego funduszu wydawniczego, który pozwolił na wydanie zbioru poezji Jana Olechowskiego pt.: **CHWILA NOCNA** z rysunkami artysty malarza, Zygmunta Turkiewicza. W przygotowaniu obecnie znajdują się dwa tomy poezji: Czesława Bednarczyka pt.: **ŚCIEŻKA** i Mariana Czuchnowskiego pt.: **POLA MINOWE** oraz Album artystyczny Zygmunta Turkiewicza.

Mimo pesymistycznych nastrojów, jakie panują na emigracji w dziedzinie spraw kulturalnych, artyści "Oficyny", którzy w większości zarabiają na chleb pracą robotnika, wierzą, że znajdzie się 315 Polaków (tyle liczy egzemplarzy każdorazowy nakład) spośród tysięcy przebywających poza granicami kraju, którzy zgłoszą się bądź na stałych prenumeratorów, bądź wpłacą pewną, najmniejszą nawet kwotę na fundusz wydawniczy. Niniejszym rozpisujemy subskrybcje na

- Stąłych prenumeratorów,
- Fundusz wydawniczy "Oficyny poetów i malarzy".

Cena łącznie z przesyłką jednego tomu poezji z rysunkami:

W. Brytania — 7/6 sh.; Francja — 400 frs.; Włochy — 500 lir.; Szwecja — 5.25 kr.; Niemcy — 5.25 DM.; Szwajcaria — 4.50 sfr.; Argentyna — 10 peso; Kanada 1.50 cent.; U.S.A. — 1.50 cent.; Belgia i Kongo Belg. — 50 bfr.; Afryka Południowa — sh.; Brazylia — 40 cruz.; Australia — 8/- sh.

Wszelkie prenumeraty oraz dobrowolne ofiary na fundusz wydawniczy OFICYNY POETÓW I MALARZY prosimy kierować bezpośrednio na adres: "Oficina poetów i malarzy", Balham Hill, London, S. W. 12, England, lub za pośrednictwem czasopisma publikującego niniejszy apel.

Arkusze poetyckie

Współcześni poeci ukraińscy

NOTA TŁUMACZA: Niniejszy wybór nie rości sobie pretensji do pełnej reprezentacji współczesnej poezji ukraińskiej. Brakuje w nim poetów tak wybitnych, jak Ołeh Olżycz, a następnie Draj-Chmara, Jurij Kosacz, Leonid Mosendz, Bohdan Antonymcz, Mykoła Bażan i wielu innych.

Trudności z uzyskaniem tekstów spowodowały w niektórych wypadkach przypadkowy dobór wierszy: dotyczy to przede wszystkim Tyczyny i Rylskiego. Kiedy indziej tłumacz korzystał z tekstów przepisanych odręcznie: być może więc, że wkradły się pewne błędy czy odchylenia, które z czasem trzeba będzie sprawdzić i skorygować. Z tym wszystkim — jeśli wolno sądzić bezpośrednio zainteresowanemu — wybór ten dobrze oddaje główne tendencje, formalne i ideowe poezji ukraińskiej na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat. Kolejność autorów została ułożona chronologicznie według lat, w jakich występowała w literaturze.

Józef ŁOBODOWSKI.

PAWŁO TYCZYNA.

Oj, nie skrywaj przyrodo

Oj, nie skrywaj, przyrodo, nie skrywaj,
że to smutki, za latem tęskniące.
W gęstych mgłach śnisz inaczej... I dlatego puhacz
zapłakał na łacie.

Two warkocze od smutku, od sumu,
oj, okryta poztota, oj, krwawa.
Pewnie serce ci także ozłocił ten żal,
żeś do pieaszczot łaskawa.

A tyś była — jako burza i grom!
A tyś była — jak wieczór Kupaty...

I już smutek i cisza. Cisza patrzy ku snom.
Tylko gwiazdy w dół poleciały.

Oj, tam gwiazda zleciała jak myśl.
Roześmiało się serce tęskniące!
Znowu płaczą puhacze... Rzewnym płaczem się módl:
Chodzi jesień po łące.

Ktoś gładził niwy

Ktoś gładził niwy, ktoś gładził niwy,
i chodził w gniewie i w gniewnym śpiewie:
— Dajcież mi gromy, wichrów porwy! —
Niechaj złociste nie więdną grzywy.
Ktoś gładził niwy, czuły, pieściwy...

Z niebios głębiny chmurek drużyny...
Różane — niby usta dziecięcy!
Nabiegłe cienie — patrzą doliny.
Jak szumna fala — cień przebiegł siny:
Obce, dalekie płynęły chmury...

Ślepiące tony — dzika swawola!
Oj, ktoś zapłakał gorzko śród pola.
Dola złowieszcza, okrutna dola.
Śmiała się z dala smukła topola.
Ślepiące tony — i smutne kwiaty...

Tam topole na polu

Tam topole gdzieś wolne na polu
(Ktoś ofiarą widnokrag okrwawił)
z bujnym wiatrem, swawolnym i dzikim
wyrrywają się smutne przez step...

Idę w przestrzeń, strwożony i czuły
(Gaśnie dzień, oblatuje jak mak).
W sercu mym nawatnice i burze,
granie bandur straszących, jak płacz...

Chyli wiatr, kłoni żyła nad drogą
(Oj, tam chmura z południa ponura).
Śpiewa wiatr, śpiewa szumnie i sumnie,
i przepiórka mi dzwoni wśród zbóż.

Pieśni moja, ognista, szalona
(Groźnym niebem przetacza się gniew),
ach, na jasne akordy się rozbij,
w szlochu stań — i zacichnij, jak grom.

MYKOŁA ZEROW.

Skorpion

Błogostawione dni mej wsi ojczystej,
wołyńskiej ziemi czarnoziemne tony,
i zapach pól, i wiatr ponad balkonem,
kumkanie żab i nocnych płaków świsty.

A na uśpionych wód powierzchni szklistej
już się odbija wczesny znak Skorpiona
i Antaresu iskra mi czerwona
jasno zapala się we mgle przejrzystej.

Ruszając w podróż, okiem astrologa
pytałem gwiazd wysokich, jaka droga
prowadzi w dal i jakich losów zaznam...

I gości mi Skorpiona wróżby chmurne,
a ręka Strzelca unosiła w górę
swój srebrny tuk i była mi przyjazna.

Książę Ihor

Ku niebu książę Ihor podniósł oczy
i widzi: słońce ginie pod tumanem...
— Ojczysta ziemi, tyś — za szotomianem!
I czarny Diw żałobą serce mroczy.

Ale nie zważa książę na śpiew uroczny:
„Hej, ruską sławę przypomniemy ano...”

*I pokażemy prosty szlak poganom
do ponadmorskich pustek i uroczysk!"*

*A Donu lubo-by zaczerpnąć w szłomy!...
Dzielny władcyko, strach ci nieznamy;
zagrają dźwięczne gęśle wkóło ciebie,*

*ratując od niewoli i od zgonu.
W strzemionach stanął. Koń kopytem grzebie
i w nozdrza chwytła rzeźki powiew Donu.*

W stepie

*Wysoki, równy step. Zielone rzędy mogił.
I rozmarzona dal, co wola przez rozłogi
ku murom greckich miast i tęsknym głosem dzwoni.
Na widnokręgu widać mroczne cienie koni,
namioty, wozy i scytyjskich tłum ratajów.
Z klangorem głośnym ptactwo leci od wyraju,
a z morza wieje wiatr, upalny, niecierpliwy.
Lecz na cóż mi się zda ten klangor i porywy
mocnego wiatru i ten bujny wzrost zieleni?
Z jakąż radością serca wszystko-bym zamienił
na gwarny tłok przystani, morską dal bez kresu
i na kamienny bruk starego Chersonesu!*

Owidiusz

*Braterstwo dawnych dni! Przyjaciół lubę grono!
Odezwił się choć raz ostatni do Nazona,
banity, starca, co od wszystkich zapomniany
w tym kraju, gdzie wciąż chłód i śnieżne huragany,
i barbarzyńców tłum i morską toń się miota...
Ubogi, dziki kraj! Na wiosnę wieczna ślota;
a w lecie czarny step... Ani zacisznych sadów,
ni rozłożonych niw, ni gęstwy winogrodu.
Znowu nadchodzi mróz i niebo w smutku tonie.
I skrzypią wozy hord, kopyto skrzy na szronie,
Sarmata wdziera się i wśród zwycięskich krzyków
precz za dunajski brzeg wypędza niewolników.*

MAKSYM RYLŃSKYJ

Jak Odysseusz

*Jak Odysseusz, znużony podróżą
po sinych falach morza, tak znużony życiem
ległem pod cieniem starego sokora
i zapomniałem o wszystkim wśród liści.*

*Mysli — czy cienie ich — jakieś się snują
w drzemiącej ciszy. Smuży się listowie.
Na drzewny pień padł blady odbłask słońca
i drobna muszka wolno petźnie po nim.*

*Pod ten beztroski szelest liści usnę
z nadzieją, że śmiejąca się Nauzyka,
wysmukła córka feackiego króla,
bawiąc się piłką, ze snu mnie obudzi.*

Fragmenty poematu

I.

*Ciebie — od świtu, od poranka
aż do śmiertelnych dni ostatka —
nie jako dziecko, nie kochankę
i nawet nie jak starą matkę;*

*ciębie, jak słońce w ciemnym grobie,
jak wicher swobodny w czas niewoli,
jak ból, jak radość w jasnej dobie,
jak własną młodość, która boli;*

*jak bicie serca w dniu rozstania,
jak ciężar obolałych nóg,
gdy — opuściwszy mrok wygnania —
przekroczą znów ojcowski próg;*

*jako chorego płacz dziecięcia,
jak dal, cośmy jej zawsze głodni,
jak zjawę, której w swe objęcia
nie chwycisz i nie ujdiesz od niej;*

*jak wiosny dreszcz w miłosnej męce,
jak ogień w nieprzejrzanym mroku,
jako radosne tży dziewczęce,
jak chwilę błogostawionych spokój, —*

tak noszę Ciebie w piersi mrocznej,
pragnienie, myśl i serca tętno,
ze snów najdroższych sen uroczny
i miłość znojną i namiętą.

Tys jest, tys była, będziesz wieczna!
Niebo i grom i burza z chmur.
Tobie, ójczyzno ma serdeczna,
śpiewa nam w sercach głosów chór.

II.

Tys cała — poryw, cała — płomień,
tys — łuk i strzala i cięciwa,
widzenie, ukazane w gromie,
nad światem gwiazda migotliwa.

Nie raz męczarni czarnej skurczem
na usta nakładalas pęta
i szlas po wodę życiotwórczą,
o, wędrownico, moja święta!

I, osiagnawszy cel pomyślnie,
kiedys do domu szla z powrotem,
na wyprężonym koromyśle
niosąc ostrożnie konwie złote,

za rogiem napadł cię rozbójnik,
roztrzaskał wiadra, rozlał wodę
i ukrzyżował ciało bujne
i shańbił wieczną twą urodę.

Więc, rozruciwszy swe ramiona,
patrzyłas, jak na twoje dzieci
horda narzuca się szalona,
batogiem tnie i nożem świeci;

jako w popiołach i całunach
upada twój ojczysty świat
i chciwym węzem pełźnie łuna
sponad gotębich twoich chwał;

jak wiśnie ptoną w znojných sadach,
jak mrok opada potępieńczy
i tłumem biegną trwożne stada,
a pole od złorzeczeń jęczy; —

i nieme twe spojrzenie matki
nád ziemią rozebrzmiało grzmiaćco,

głusząc rozżarty grom armatni
i wszystkich synów w jedność tącząc;

poczęło się olbrzymie w dziejach,
znamieniem naznaczona pora,
choć jeszcze nie ma czarodzieja,
co by z jej sensem się uporał

i, pióro zaostrzywszy, czasem
manuskrypt pisał przez pożary
o tym, jak człowiek szedł sam na sam
chwytając nieludzką moc za bary.

Widzę wśród krwawych tun stuleci
postać, co z krzyża w męce wzywa,
lecz wiem: dopóki słońce świeci,
nie zczeżnie prawda sprawiedliwa;

i wierzę, wierzę aż do zgonu,
że zjeździe promień z niebosktonu,
jak złoty miecz, jak szabla chyża, —
i w promieniste, jasne rano,
w godzinę już zapowiadana
zjeździesz ,ojczyzno, z Twego krzyża!

PAWŁO FYLYPOWYCZ

Minęła noc

Minęła noc burzliwa i niestawna,
a wkolo stępy i za wrogiem wrogi.
Oh, kiedyz wyjdzie jasna Jarostawna
na ciemne wały rozpaczliwej trwogi?!

Wichr rozpętany niesie ostre strzały,
truczną słońce sieje wkrąg i znojem,
a ja nie widzę nigdzie rąk tych białych,
którym bym życie mógł powierzyć swoje.

Tylko Konczaka córka urodziwa
rzuca swój czar, aby się w jeńca weśnit,
i czarna miłość, dzika i zdradliwa
przemawia do mnie z cudzoziemskich pieśni.

JURIJ KLEN.

Na szlakach Odyssa

*Jest gdzieś wyspa samotna, zgubiona wśród fal,
której żeglarz żadnego imienia nie nadał;
tam się morze na skałach urwistych spowiada
i śpiew syren z wiatrami unosi się w dal.*

*I szczęśliwy pielgrzymom uśmiecha się los
tam, gdzie Cyrce urodna czaruje u grotty.
Jako piach, senna fala podmywa tęsknoty
i ku brzegom letyjskim unosi bez trosk.*

*I nieznany za morzem tym czeka cię kraj,
kiedy lotos dojrze pod słońcem dalekim,
co cię gotów od wspomnień uleczyć na wieki.
— Wszystkim złudom, wędrowcze, zachwyć się daj!*

*Lecz do wyspy syreniej zbliżając się, każ,
nim na śmierć zaczarują zwodnicze te słowa,
towarzyszom silnymi sznurami skępować,
by cię w próbie obronił wędrowny twój maszt.*

*Odwiedź Cyrce urodną i chwilę z nią spędź,
zachwyć swój jej wypowiedz i zapatrzyć się w oczy,
lecz pamiętaj: niech długo sen nie trwa uroczy,
by do dalszej podróży nie znikła ci chęć.*

*A gdy w innej przygodzie ogarnie cię czar
logofagów krainy, kojący i cichy,
ty, ku ustom kwiatowe schylając kielichy,
całą przeszłość w swej duszy zachowaj, jak skarb.*

*Na baczności się miej i, gdy zerwie się wiatr,
szybkie żagle pod ostrym podmuchem rozpinaj.
Twe samotne marzenie — to twoja dziedzina,
dawna miłość — to cały twój świat.*

*Pomnij: dym się znad domów unosi nad łany
zbóż dojrzałych i rosa opada na makach
tam, gdzie czeka na ciebie ojczysta Itaka
i majestat twój zaniedbany.*

W drodze

*Szliśmy w tę noc. Po nieboskłonie
tumany mroczne wicher włócił
i tchem swym pędził stada wronie
na skrzyżowania naszych dróg.*

*Drgnęły powieki chmur i żmije
błyskawic szły naprzeciw burz.
Wicher oszalały dziko wyje
w pustkowiach naszych dusz.*

*Gdzieś z mgieł i mroku się wynurza
szczytami wież najświętsze z miast,
jak kwietny pąk, jak złota róża,
rozkwitła w blasku tun i gwiazd.*

*Idziemy, ufni, że wśród zorzy
zabrzmiał nam świątyni wszystkich dzwon
i złotą bramę nam otworzy
warta, strzegąca tamtych stron.*

Okrutne dni

*Okrutne dni. I lęk i smutek
w udreńce narodzonych lat,
i słońce z miedzi kute,
przyświecające nam w nieznany świat.*

*I wściekłość wichur, które góry zgnioty,
podziemny grzmot z głębinnych ton,
i meteorów złote mioty,
opadające w gniewny grom.
Tak nasze życie, jeszcze nie zaczęte,
ten wiek powitał głosem złym...
Tak bliskich burz tętentem
zjawia się sercom poprzez czarny dym.*

*A w naszych duszach wyciem wicher urastał,
niosąc w przestrzenie czad i strach,
ale nie weszła nam ta gwiazda,
która Trzem Mędrcom przyświecała w mgłach.*

*Błogosławione dni kłóły i kary!
My, którym czas wśród burzy zbiegł,*

zahartowani na pożarach,
zorzę przejdziemy w nadchodzący wiek.

Nieście gorący popiół, co w pożarze
zasypał nasz namiętny ślad,
aż przyjdzie śpiewak i przekaże
przyszłości wielkość strasznych lat.

JEWHEN MAŁANIUK.

Ojczyzna

I.

Zielona Siewierszczyzna. Wiatrów chór
zawodzi głosem tysiącletnim S ł o w a.
Drużyną zwartą idzie rycerz-bór,
a jego pieśń wysoka i sosnowa.

Od dróg nieznanymi i śródleśnymi ech
ku naddnieprzańskim wzrok skierujesz wzgórzom.
A tam uderzy wiatru ostry dech
i krew i piotun cię odurzą.

I pójdzie przestrzeń w dziki rozpęd, w bieg...
O, zguba widnokręgów, chyży lot bez granic!
Chciwy niedosyt twój za wiekiem wiek
żywi i traci, kocha — i ma za nic.

Próżno pontyjskie słońce znojących ust
złotemu ciału, żyłkom rzek nie szczędzi
Demetry bujnej, aby czar jej rósł
na nieobjętych, dzikich pól krawędzi.

I biały grom podetnie wątłe źdźbło,
i czarna spali pełny kłos posucha.
Narodzi się kalekie, ślepe zło
i wśród klujących ostów cisza głucha.

A ziemia — już nie złoto, jeno miedź,
i niebo — jak w żelazie zimnym kute,
i pod żelaznym niebem będzie grzmieć
proroczy krzyk.

Na kłutwę i pokutę!

II.

A tak władczy ów pęd ku szafirom spienionego Pontu
dźgnięty nożem wichur stepowych, musi upaść i lec:
— To przedziera się Azja zdradliwa przez dal horyzontu
i zatracą się ziemia w przestrzeni bez granic i miedz.

Przehuczwały porohy, podcięto księżące korzenie
i na wiatry rozstajne rzucono resztki ich sił...
A tam morze, tam morze uderza w pontyjskie kamienie,
nieśmiertelna uroda, co wzywa byś powstał i był.

Żywy marmur tam wciąż z wawrzynowych uśmiecha się pnączy,
białe sosny kolumnad niebieski wspierają gmach.
I tam duszy, do życia zbudzonej, nikt nie rozłoczy
z wiecznym słońcem Hellady, w scytyjskich wznoszącym się
mgłach.

Stąd ten poryw, ten pęd, co powtarza się w śmierci uparcie,
ta tęsknota do mety, co w stuleci wrywa się krąg:
gloria Nike bezgłowej, niezmiennie trwającej na warcie,
bezwaład skrzydeł i wierność na ślepo splecionych rąk.

Oda do idącego

Skaleczone zwisty dni Twych skrzydła,
poprzez mgłę majaczą widma met.
Podejrzana stawa Ci obrzydła
i samotność przygarbiła grzbiet.

Wyję — pies na martwym polu bitwy,
biednych kości i popiołów stróż.
Bóg rozsądzi nas i me modlitwy:
styszę — budzą się nasiona zbóż.

Biała stypa mroźnym wichrem dymi,
ślepi biel, chłód na równinę legł,
lecz żelaznych przyjdzie czas ozimin,
ozimina wstanie ponad śnieg.

Widzę ich — wyniosłych i wysokich,
całkiem innych, niżli dzisiaj my,
kierujących w stawę swoje kroki,
nienawistnych mroku, krat i mgły.

Krzepkie dłonie, jasne ich oblicza,
jako rozkaz grzmi ich twardy głos,
zimny wzrok, co tarczy im użycza
wobec bólu, wobec krzywd i trosk.

Spadkobiercy walki, burzy dzieci!
Przez cmentarze naprzód, w bój i w ruch!
Kiedy wielka chwila Wam zaświeci,
śmiało zdepczcie próchno naszych trucht.

By bez hołdów i bez akademii,
w krwi nie szcędząc nieminionych kar,
uderzała stal o serca krzemień,
wykrzesala młodej sily żar!

Żeby zimne, jasno-sine oczy
tylko wtedy ciemny płomień zwiódt,
gdy widnokrag burzą się zamroczy
i do boju wezwie zbrojny lud.

Żelaznymi gdy Twój czas słowami
będzie w sercu ciężkim jambem grzmiat,
Wyrok Boży gromko się oznajmi
dytyrambem przebudzonych dział.

Epoka

Rodzina — to okręciak kruchy
wśród skał podwodnych, w mroku, w mgłach.

Spod zwistych chmur Beethoven głuchy
smutek i twogę, jęk i strach
potężnym gestem w jedność zmienia,
i grzmi muzyka wściekłych burz,
płomień krzesząc na grzebieniach
spienionych fal...

Na siebie spojrz...

Two życie — niczym. Ból — to chwila,
co cię musnęła po powiekach.
Z czerpakiem w dłoni się nachylaj.
Módl się i steruj. Nie narzekaj.

Odysseusza szlak przejdziemy
i, nim staniemy na krawędzi,

dzień jednookim Polifemem
w jaskinię nocy nas zapędzi.

I ty, coś w sobie nosił płomień,
zaciwniesz wpośród zawieruchy,
gdy wiek nasz — to oślepy Homer,
gdy wiek nasz — to Beethoven głuchy.

BOHDAN KRAWCIW

Żórawie

Rozsrebrzyła się już jesień na trawie
i jesiennym las liściem się oztocił,
nawołują, krzyczą w chmurach żórawie
w swej odlotnej za słońcem tęsknocie.

Odlatują w dni bujne, w dal nieznaną,
w sile skrzydeł, ponad polem, nad knieją,
ni na chwilę wołać światel nie przestaną,
co na piersiach blaskiem im goreją.

Tam, gdzie czarna noc szykuje nocleg
— matka, czuła na żórawie sygnały, —
cała w dreszczu od tęsknoty ich mocnej,
od ich snów namiętnych i zuchwałych.

Jak ptaki w dal

Jak ptaki w siwą dal, pod gromem i na burzy
straciwszy gniazda swe, od dawna już w podróży...
Powodnią płomień rwał. W popiołach runął dom
i kres jednaki przyszedł planom, chęciom, snom.
Jak ptaki w mroczny świat, na burzy i pożarze...
A każdy w sercu swym choć cień minionych marzeń
zachować jeszcze chciał, choć najniklejszy cień
ojczystych naszych stron!

I zawsze chmurny dzień
silą porywał nas w oddale niewiadome...
Straciliśmy nasz wiek, zgubili ślad do domu.
I znów czekamy wichru, jak na groźny cud,
by do ojczystych miedz choć dzieci nasze wiódt.

Wilkołak

W sukmanie szarej po świecie się stania,
gniewny, ponury jak wilk i kryjomy,
i, milczkiem chłopskie wymiŝając domy,
nie zazna nigdy słowa powitania.

Więc każdy progu swojego mu wzbrania,
i strach opada ludzi niewiadomy,
gdy idzie, tropów zwierzęcych świadomy,
by czarną nocą błędzić do świtania.

Aż któreś nocy nagły skurcz się rzuci
ku wyszczerzonym zębom — i zapłonie
w białych żrenicach żar niesamowity —

i człowiek w wilka nagle się obróci
i będzie pędził przez zziębnięte błonia,
spragniony krwi i ludzkich mąk niesyty.

IWAN BAHRIANYJ

Z celi śmierci

I.

Północy ptak skrzydłami bije w ciszę,
trzepoce ptak
o stal więziennych krat...
Ty nie wyrzucaj mi, pochmurny towarzyszu,
że tak umierać nam wyznaczył świat.

Na wrzawnym rynku, od Kainów i Judaszów
za garść srebrników wydani w ręce wroga,
lśniące ordery krew splamiła nasza
i nie wierzymy w sąd straszno Boga.

Za miłość i za prawdę, za nędznych i skrzywdzonych
męczeńskie słupy na Golgocie wzniosą nam —
i będzie wołał: „Ukrzyżuj!” —
rozjuszony,
triumfujący w pysze cham.

II.

O, Homo Sapiens! — synu niewolników!
O, Homo Sapiens! — nieznanych matek płód!
Do twardej doli przeklęty czar cię przykuł,
na targowisku stoisz, w bajorach, pośród krzyku,
pozbyty wszelkich złud...

Dlaczego? Po co? Kto i kiedy skazał?
Kto i dlaczego wyznaczył ci ten los?
Grzbiet objuczyszy ciężarem łez i trosk,
kazał przez światy nieść męczeński słup z żelaza...
Za co pokuta, czemu taki los?

Czemuś ten ciężar na chętne barki kładł?
Po cóżes schodził na ziemię kłamstw i zdrad?

III.

O, Homo Sapiens! — skrecone głodem tona,
twe krwawe mięśnie — tysiącleci piach!
Któż w tobie wzbudził miłość, ból i strach?
Kto cię nauczył za innych ogniem płonąć?

Po co ci serce buntownicze dali?
Po co do swego serca przywiązali?

Na wieki przywiązali! I taka twoja dola!
Dlaczego ta niewola?
— Dlaczegoż ta niewola?

IV.

Północy ptak skrzydłami bije w mury,
skrzydłami bije ptak,
spoziera spoza krat...
Dawno zasnęli ludzie. Zasnął cały świat...
A On spogląda,
patrzy w mrok ponury
przez rdzawe pręty krat,
w bezdenną otchłań, w przestrzeń nieodgadłą.
Ni gestu, ni oddechu, okryta chmurą skroń —
tylko, ty myśli, po nocy, jak widziadło,
tylko, ty serce,

po wolnej ziemi goń!
Oczami zbolatymi wybiega znad kamienic,
strzałami brwi przecina nocny czas, —
z ptakami swobodnymi
wyrwa się z tych cieni,
hen, w młodość,
w szczęście, w blask...

V.

Północy ptak trzeпоce w ciszy trupiej,
trzeпоce skrzydłem ptak...

Do celi owad wpadł,
zwabiony światłem przez rdzawe pręty krat,
przyleciał owad głupi...

I wplątał się, szalony, w beznadziejny tan,
jak człowiek zaplątany w poniewierce!
W rozpacz szarpie się porwana wirem ćma
i tłucze się,
obią się od ścian,
jakby się tłukła o zbolące serce.

VI.

Odzewu nie ma. Noc milczy obojętna.
Wezbrane serce próżno czeka rady.
Daj rękę, druhu! Znow chcę czuć jej tętna!
Kochałeś przecie świat fałszu, też i zdrady.

VII.

Nędznej nicości ludzkiej nie wymierzyć
i pychy ludzkiej nie przeskoczyć.
Daremnie składać życie swe w ofierze.
Na próżno dręczyć się nad grząskim bagnem!

I tylko serce, przepaści patrząc w oczy,
w piekielnym ogniu będzie wołać:
— P r a g n ę ! —

A wtedy przyjdzie On — Twój ból ostatniej nocy,
two Troska, Piękno, Miłość, którąś rósł, —
i zbliży się, utkwivszy żądla oczu,
i gąbkę hojnie w cierpkim occie zmoczy
i ostrzem kopii przyciśnie do twych ust!

O, Serce, Serce!...

P i j !

I znow pod światłem wiary,
rozumu i miłości zakwitnie świat uroczny...

Na nicość ludzką nie wymierzyć miary,
ludzkiej podłości nie przeskoczyć.

VIII.

Czemuż ten ptak tak tłucze się o ciszę?
Czemuż uderza w kraty ptak ten niemy?!
Oh, towarzyszu, pochmurny towarzyszu,
a jeśli dziś umierać nie zechcemy?!
My nie umrzemy!
Nas z ziemi nikt nie zetrze!
My ożyjemy w burzy, w ogniu, w grzmocie.
My jeszcze będziemy

chamów

krwawym mieczem

przed Świętą Zofią

tracić na szafocie!

OŁENA TELIHA

Mężowi

Kwiat geranii w oknie się nie żarzy —
senny symbol cichej codzienności.
Cały czas stoimy na straży
dórog, co w przyszłość wiodą najprościej.

A dlatego, iż w żadnej godzinie
dom nas czarem swym nie owinął,
ni na chwilę w duszy nie stygnie
pożądanie młodzieńcze czynu.

Więc domowa cisza nie zdoła
w swych objęciach utrzymać dłużej —
może jutro już nas wywoła
kanonada huczącej burzy.

I żrenica, krąg gdy zatoczy,
pragnie znaleźć w głębokim mroku
fanatyczne błyskawic oczy,
a nie srebrny księżycyca spokój.

Bez nazwy

To nie miłość, nie zryw, nie przygoda, —
już zabrakło imion i nazw!
Toż nie zawsze na głębokich wodach
sięgniesz ręką do twardego dna.

A gdy dusza twa znów się uniosła
i w natchniony podrywa się bieg,
po cóż pytać, czyje dumne wiosta
odepchnęły mroczniejszy brzeg.

To nie miłość, nie zryw, nie utuda,
serce-orzeł wzlatuje na bój!
Więc zaczerpuj z bezimiennych źródeł,
pij iskrzący, szklisto-mroźny zdrój!

ŚWIATOSŁAW HORODYŃSKYJ

Epoka

Epoki naszej dni wyzwaliśmy do boju,
z upadku powstawali, padali znów w gruz...
Naprzeciw nam płynęły w niepokoju
żelazne gromy chwil. A luty wichher niósł

ochrypte krzyki, jakby z lat dalekich;
konało stońce, w prochu nie miał głuchy ład
i były o pontony okrwawione rzeki
i wzdęte trupy toczył mętny prąd.

W ognistym syku conocnych meteorów,
w szaleństwie burz i w kanonadzie dział,
w konwulsjach zwijał się i szedł nasz wiek upiorny
i szarpał i płomieniem ciała nasze rwał.

Taki nam wyrok był. A oł, nim zmilkły spiże,
łachmanem ocierając z twarzy zdarzeń kurz,
widzimy coraz pewniej, widzimy coraz bliżej
przez szczyrby czarnych ruin blask idących zórz.

Niech oczy ślepi mgła. Niech kłębią się tumany,
złowrogi niech nad stepem rośnie cień!
Lecz nam, pijanym pędem niewstrzymanym
drogowskaz wstaje z tun i z serca drzeń.

I szarpie wiatr i rzuca nas pod chmury,
podczas, gdy już kielkuje zemsta z czarnych bruzd,
więc unosimy przeciw wyciu wściekłych furyj
tarcze gorących czoł i skurcz ściśniętych ust.

Te słowa — bryły rudy — wiąże łaodem rytmu,
niechaj przetapia je w swej kuźni duch,
abym nim burza przeszła i huragan zgłuchł,
potrafił godnie spotkać nowy płomień świtu.

Apokalipsa

Nad żyzną ziemią z burz powiewem
budzi się strach i męka,
siedmiu aniołów wzniosło w groźnych rękach
czary z okrutnym Pańskim gniewem.

I wylewają krew na świat,
na władców, ciemną pychę pjanych,
na fałsz, na kłam, na wszystkie stany,
na skarby ich, na zmysłów czad.

I kamień na kamieniu się nie ostał,
wszystko rozwała Boży grom,
i nawet niewinnego dom
dosięga niebios chłosta.

A czarne tłumy tratują własne niwy,
i każdy szarpie się, jak w ogniu płak...
Języki gryzą: Gorze nieszczęśliwym!
Gdzie znak, ratunku znak?

Lecz są wybrani. Przez piekielną toń
dane im będzie czyste dusze wynieść.
O, duszo moja! Czyliż w tej godzinie
naznaczy ciebie Boża dłoń?

Przełożył Józef ŁOBODOWSKI

"ORZEŁ BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: **GRYF PUBLICATIONS LTD.**
59/61, Hatton Garden — London E.C.1.
Tel. CHAncery 5094.

ADRES REDAKCJI: c/o **R. PIESTRZYŃSKI,**
32 Blenheim Gardens — London N.W.2.

*Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji,
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce
w Stanach Zjednoczonych.*

● **Cena egzemplarza:**

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● **Pre numerata:**

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● **Prenumeratę przyjmują:**

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.
W BELGII: *J. Roskiewicz*, 44, Rue Vinçotte — Bruxelles
nr. konta pocztowego 3172.28.
W ARGENTYNIE: *Składnica Książki Polskiej*, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

CARLTON BERRY LTD.,
Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

Archiwum polityczne

List z wyspy

(Od londyńskiego korespondenta **Kultury**)

I.

"Państwo na Emigracji"

Nie wiem czy Polakom we Francji, Brazylii, Argentynie czy w Australii — wyjaśniają cokolwiek komunikaty i wzmianki prasowe, jakie ukazały się po bezowocnych próbach zlikwidowania politycznego kryzysu na emigracji. Większość pism polskich jest "za kimś" — jedno za Radą Polityczną, drugie za Rządem, a inne, najmniej liczne, za Komitetem Demokratycznym p. Mikołajczyka. Przypuszczam więc, że obserwatorowi oddalonemu od londyńskiego środowiska trudno jest na podstawie omówień prasy emigracyjnej wyrobić sobie obiektywny pogląd o całej sprawie.

O obiektywności można mówić w polityce tylko w przybliżeniu. Nie ma obiektywnych ocen politycznych, jak nie ma idealnie obiektywnej Historii. Również i niniejsza korespondencja jest obiektywną tylko w przybliżeniu. Staralem się jednak przedstawić w niej wynik rozmów z przedstawicielami życia politycznego, oraz rezultat moich osobistych badań w ten sposób, aby doborem argumentów nie przesądzać racji jednych lub winy drugich. Po obu stronach "kryzysowej barykady" są ludzie zasłużeni i dobrej woli.

Jeżeli zanalizujemy listę punktów spornych, które w wyniku doprowadziły do upadku rokowań — to przekonamy się, że istotą sporu nie są tylko "pakta paryskie" czy osoba Prezydenta (i interpretacja jego urzędu). Różnice poglądowe obu grup posiadają bez porównania szerszą płaszczyznę. Są to po prostu dwie różne koncepcje "Państwa na Emigracji". Poniżej przytoczony schemat ułatwi Czytelnikowi porównanie:

I.

1. Prezydent R.P.

2.

3. Rada Narodowa
(w połowie z wyborów)

II.

1. Prezydent R.P.
Żądanie zmiany na urzędzie Prezydenta)

2. Rada przy Prezydencie

3. Rada Jedności Narodowej (złożona z osób delegowanych przez stronnictwa a także z osób zaproszonych nie związanych ze stronnictwami. — Tak jedni jak i drudzy nie pochodziliby ani z wyborów ani z nominacji Prezydenta).

Schemat powyższy przedstawia punkt wyjściowy rozmów. Rozmowy trwające około dwóch miesięcy prowadzili przywódcy z ugrupowań Rady Politycznej z przedstawicielami Ligi Niepodległości i Stronnictwa Pracy. Na co się zgodzono? Przedstawiciele reprezentujący Obóz I zgodzili się na: 1) Oparcie kierownictwa politycznego o system stronnictw, 2) obowiązek konsultowania przez Prezydenta R.P. przedstawicieli ugrupowań politycznych przed każdorazowym wysuwaniem kandydata na premiera, a także zasięgania opinii stronnictw przed mianowaniem Naczelnego Wodza oraz Prezesa Najw. Izby Kontroli Państwa. 3) Delegowanie przez ugrupowania polityczne członków do Rady Jedności Narodowej na okres jej kadencji.

W gruncie rzeczy nie zgodzono się jednak na nic. Czynione wzajemne ustępstwa nie zostały uznane ani przez jednych ani przez drugich za wystarczające.

Jest rzeczą zrozumiałą, że "Państwo na Emigracji", choć jest legalną kontynuacją państwa niepodległego — nie może być wierną kopią autentycznego państwa. Podobnie jak "Państwo Podziemne" z epoki okupacji niemieckiej, tak i "Państwo na Emigracji" przystosowuje się do zmienionych warunków. Nie możemy mieć Sejmu — mamy Radę Narodową. Mamy Skarb Narodowy, a w niepodległym państwie mieliśmy tylko Ministerstwo Skarbu itd. Stąd płyną różnice w zapatrywaniach jak to legalne "Państwo na Emigracji" powinno być zorganizowane.

Może to w pewnym sensie zaskoczy Czytelnika, gdy powiem, że koncepcją która dzieli obie grupy jest — legalizm. Jeżeli przez legalizm rozumiemy ciągłość mandatu, ciągłość reprezentacji politycznej wywodzącej się jeszcze z Kraju — to większymi legalistami są reprezentanci Rady Politycznej niż przedstawiciele kół Rządowych.

Z tym zagadnieniem wiąże się istotna różnica w poglądach obu grup na rolę Emigracji.

Przedstawiciele Rady Politycznej są zdania, że "Państwo na Emigracji" winno być jak najściślej związane z partiami politycznymi, które choć w Kraju jawnie nie istnieją — żyją i trwają zapewne w przekonaniach i sercach ludzkich. Przywódcy historycznych partii politycznych jak PPS, czy Stronnictwo Narodowe uważają, że reprezentują nie tylko członków partii przebywających na emigracji — lecz przede wszystkim te rzesze w Kraju, które jutro oddałyby za nimi swój głos, gdyby możliwe były swobodne, demokratyczne wybory. Na przykład Prezes Dr Bielecki był wybrany przez swe stronnictwo w Kraju i uważa, że reprezentuje na emigracji tych wszystkich w Polsce, którzy trwają w przekonaniach Stronnictwa Narodowego.

Wychodząc z takich założeń przedstawiciele Rady Politycznej wysunęli w swych projektach utworzenie Rady przy Prezydencie oraz Rady Jedności Narodowej. Rada przy Prezydencie składać by się miała z osób delegowanych przez stronnictwa, a celem jej miałyby być "wykonywanie ustawy konstytucyjnej w sposób demokratyczny, wykluczający samowolne sprawowanie władzy przez Prezydenta". Rada Jedności Narodowej, wyposażona w prawo kontroli nad rządem, składałaby się z osób delegowanych przez stronnictwa, a nie powołanych drogą nominacji, a także z osób nie związanych z żadnym stronnictwem.

W myśl tej koncepcji ustrój "Państwa na Emigracji" byłby w całości oparty o stronnictwa polityczne — nie zaś o emigrację. Zwolennicy tego poglądu uważają bowiem, że misja kontynuowania państwowości polskiej oparta być winna o mandat Kraju na który powołać się mogą partie historyczne. Udział emigracji wyraziłby się w ustroju tego typu jedynie w tym, że w skład Rady Politycznej wchodzi również i NiD, który powstał na emigracji, oraz w powołaniu do Rady Jedności Narodowej osobistości nie związanych z żadną partią.

Słabym punktem tej koncepcji jest izolowanie "Państwa na Emigracji" od emigracji. Przedstawiciele Rady Politycznej odrzucają ideę powołania jakiegoś organu reprezentacyjnego (Rada Narodowa, czy Rada Jedności Narodowej) na drodze wyborów przeprowadzonych na emigracji. Sądzą bowiem, że emigracja jest fragmentem narodu polskiego i reprezentacja wyloniona z emigracji nic by właściwie nie reprezentowała...

Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę, że np. na terenie Wielkiej Brytanii na 160 tysięcy Polaków zarejestrowanych członków partii politycznych jest około 4 czy 5 tys. najwyżej — pozostaje nam 155 tysięcy emigrantów poza nawiasem. Każdy emigrant z tych 155 tysięcy może powiedzieć, że mimo, iż nie jest członkiem żadnej historycznej czy nowszej partii politycznej to jednak pozostał na obczyźnie jako emigrant polityczny i w tym charakterze ma prawo domagać się wpływu i kontroli w stosunku do "Państwa na Emigracji" którego idei pozostał wierny.

Gdyby emigracja nasza była obliczona na krótką metę —

zastrzeżenie powyższe straciłoby może na ostrości. Gdyby jednak emigracja miała trwać jeszcze wiele lat to należałoby się obawiać, że koncepcja wysunięta przez Radę Polityczną mogłaby istotnie odizolować "Państwo na Emigracji" od bezpartyjnej masy stanowiącej 98% naszego uchodźstwa.

Rozważając te sprawy należy stale mieć w pamięci, że szczęśliwego rozwiązania problemu "Państwa na Emigracji" w ogóle nie ma. Każdy projekt będzie miał mnóstwo wad i będzie budził tysiące zastrzeżeń.

Ugrupowania polityczne, skupione wokół Rządu — to znaczy Liga Niepodległości, Stronnictwo Ludowe "Wolność" oraz Stronnictwo Pracy na rolę emigracji zapatrują się odmiennie. Projekt ordynacji Wyborczej do Rady Narodowej, który przyjęty został przez Komisję Ordynacji Wyborczej w dniu 10 maja br. a w dniu 9 czerwca wszedł pod obrady Rady Narodowej — przewiduje, że połowa ustawowego składu Rady Narodowej będzie wybierana na podstawie ordynacji wyborczej. Druga połowa mandatów byłaby przyznana reprezentantom stronnictw oraz osobom powołanym przez Prezydenta.

Plusy tego projektu to umożliwienie Emigracji kontroli nad gospodarką finansową z funduszy publicznych, związanie ośrodków uchodźczych z centralną instytucją "Państwa na Emigracji", i możliwość większego oddziaływania politycznego na masy uchodźcze.

A jakie są minusy? Najgroźniejszym minusem jaki kryje się w tym projekcie to niebezpieczeństwo przemiany "Państwa na Emigracji" w... Państwo Emigrantów.

Sądę jednak, że plusy przewyższają minusy. Już z czysto praktyczno taktycznego punktu widzenia jest rzeczą niemożliwą odsuwać masy uchodźcze ponieważ na ofiarności tych mas oprze się w całości finansowa podstawa "Państwa na Emigracji". W chwili gdy piszę te słowa (pierwsza dekada czerwca) Skarb Narodowy wydał 78.000 legitymacji. Gdyby Skarb Narodowy był stowarzyszeniem, mógłby stwierdzić, że posiada z wszystkich polskich emigracyjnych stowarzyszeń największą ilość członków. Cyfra ta, która jest daleka od ostatecznej — dowodzi, że masy na uchodźctwie czują się współodpowiedzialne za los "Państwa na Emigracji".

Ugrupowania polityczne skupione wokół rządu powołują się ustawicznie na konstytucję i konstytucyjność, która pozwoliła "zachować legalny ciąg państwa mimo Jałty itd". Zachowując cały szacunek dla Konstytucji trzeba stwierdzić, że "Państwo na Emigracji" czerpie swój mandat legalizmu nie tylko z ortodoksji konstytucyjnej — bo to by nie wystarczyło — lecz również z woli Polaków. Rząd polski na emigracji będzie tak długo rządem legalnym jak długo będą Polacy, którzy za legalny będą go uznawać. Ponieważ Polacy w Kraju nie mają możliwości wyrażać jawnie swej opinii — opinia Polaków na emigracji odgrywa tu rolę decydującą. Najbardziej purystyczno-konstytucyjny rząd gdyby przez Polaków na emigracji uważany był

za nielegalny — byłyby de jure i de facto rządem nie legalnym. Dlatego uważam, że projekt odrzucający wybory jest w warunkach emigracyjnych koncepcją nie życiową. Rząd na obczyźnie nie jest w innej sytuacji niż — powiedzmy — Dr Bielecki, który powołuje się na mandat datujący się z Kraju. Rząd na emigracji musi się oprzeć na tych, którzy podobnie jak i rząd, zdecydowali się ze względów zasadniczych pozostać na obczyźnie.

Przywódcy historycznych partii politycznych reprezentują może rzesze Polaków w Kraju — tu jednak na emigracji nie reprezentują nawet 4% uchodźstwa. Ile dusz reprezentują w Kraju — tego nikt nie wie. Nikt również nie wie jaki byłby wynik wolnych i demokratycznych wyborów w Polsce. Pod tym względem Kraj z każdym rokiem staje się coraz większą niewiadomą. Jak długo jesteśmy na emigracji nie możemy tych faktów lekceważyć. Wszystko na tym świecie odbywa się zawsze w ramach pewnego układu; rząd na emigracji jest zjawiskiem układu emigracyjnego. Stronnictwa polityczne reprezentują zbyt drobny odsetek uchodźstwa, by koncepcja Rady Politycznej, opierająca w całości strukturę "Państwa na Emigracji" o system stronnictw, była koncepcją życiową.

Osobiście wypowiadam się za reprezentacją wyłonioną z wyborów przeprowadzonych na emigracji, trzeba bowiem raz skończyć z rządami, które nie ogłaszają zamknięć rachunkowych, które nie podają do publicznej wiadomości preliminarzy budżetowych, które legalnie marnotrawią pieniądze publiczne, które dziesiątki tysięcy funtów topią na "propagandowe wydawnictwa" w okresie gdy naczelnym wskazaniem jest ratować kulturę polską na emigracji i bronić młodzież przed kulturalnym wynarodowieniem. Obserwacja uczy, że emigracja polska wykazuje bardzo wiele "Common sense", bardzo wiele nauczyła się na Zachodzie (znacznie więcej niż zawodowi politycy!) i nie ulega wątpliwości, że dopuszczenie reprezentantów pracującej emigracji do wpływu na bieg spraw publicznych — przyniesie tylko korzyść. Przeprowadzenie wyborów umożliwi również zrealizowanie w ramach nam dostępnych fundamentalnej zasady ustroju demokratycznego — to jest kontroli społeczeństwa nad gospodarką publiczną.

Sądę, że gdyby przywódcy partii historycznych jak PPS czy Stronnictwo Narodowe — zechcieli zrewidować swój pogląd na tę właśnie sprawę, tj. rolę Emigracji w "Państwie na Emigracji" — gdyby zechcieli uznać, że w układzie emigracyjnym, w miarę jak oddalamy się od września 1939 — oparcie o masy uchodźcze i apel do nich z konieczności odgrywać muszą coraz potężniejszą rolę — być może, że inne różnice byłoby łatwiej wyrównać i znaleźć formułę kompromisu.

Trzeba bowiem stwierdzić, że żadna z omawianych dwóch koncepcji nie jest dobra. Formuła kompromisowa wiążąca w organiczną całość obie koncepcje byłaby rozwiązaniem najlepszym.

II.

Polityka Skarbu Narodowego.

Jak wygląda sprawa takiego czy innego pana, który dysponował, czy dysponuje na kontynencie polskimi publicznymi funduszami, co stało się ze statkiem o którym "mówi się", że go kupiono za 35 tysięcy funtów przed kilkoma laty — tego obawiam się, nikt się nie dowie. Zdaniem tym nie usprawiedliwiam winnych — wypowiadam jedynie rezygnację w imieniu tych wszystkich, którzy podobnie jak ja, sądzą, że prawdy na ten temat nie dowiemy się nigdy. To są pasywa kłeski.

Skarb Narodowy z pasywami kłeski nie ma już nic wspólnego. Powstaje z dobrowolnych składek, działa jawnie jako instytucja zarejestrowana w rozumieniu przepisów brytyjskich, i co pół roku — jak informował mnie Gen. Anders — ogłaszane będą szczegółowe sprawozdania kasowe. Skarb Narodowy to są dosłownie pieniądze Emigracji.

Komu przysługuje inicjatywa w wydatkowaniu ze Skarbu Narodowego? 70% dochodów ma być przekazywane do dyspozycji rządu. 30% stanowić ma rezerwę. Rezerwę można też naruszyć częściowo lub w całości w takim jednak wypadku uchwała Głównej Komisji Skarbu Narodowego wymaga zatwierdzenia przez Prezydenta.

Innymi słowy, gospodarka Głównej Komisji Skarbu Narodowego, a tym samym gospodarka i rachunkowość Skarbu Nar. jako instytucji "Limited" kończy się w momencie prawidłowego przekazania 70% dochodów rządowi. Skarb Narodowy "Limited" odpowiada tylko za zebranie funduszy i przekaz rządowi po uchwaleniu działu budżetu p. n. "Skarb Narodowy" przez Radę Narodową. Istotnym dysponentem pieniędzy jest zatem rząd, a jedynym czynnikiem reprezentującym "wołę ludu" Rada Narodowa, której obecny skład daleki jest od ideału reprezentatywności.

Jak mnie poinformowano w kołach Rady Nar. w okresie najbliższych trzech tygodni preliminarz budżetowy na rok 1950 podany zostanie do publicznej wiadomości. Budżet ten będzie już zawierał dział p. n. "Skarb Narodowy". Ze względu na to, że obecna Rada Narodowa nie odzwierciedla w pełni opinii Emigracji, a rząd postanowił w najbliższym budżecie wydatkować pieniądze ze Skarbu Narodowego — winno się wszcząć dyskusję na szerokiej płaszczyźnie na temat celowości wydatków ze Skarbu Narodowego.

Ktoś może zauważyć, że nie warto wszczynać dyskusji, bo przecież chodzi o niewielkie stosunkowo kwoty. Nie podzielam tego poglądu i myślę, że im mniej będzie pieniędzy w Skarbie Nar. tym krytyczniejsza dyskusja winna poprzedzić wydatkowanie każdego z 100 funtów.

Przed wszystkim winniśmy sobie zdać sprawę, że pewne nasze poglądy winny ulec reorientacji. Jeszcze rok temu w pew-

nym biuletynie wydawanym w Londynie czytałem dosłownie czarno na białym: "Nie interesują nas angielskie posady ani domy (!) bo runą one pod bombami, a wówczas chwycimy za broń... itd. itd."

W naszym aparacie politycznym jest jeszcze dość sporo takich kataleptyków politycznego "wishful-thinking" oraz gentlemenów, których kieszonkowe zegarki od 10 lat biją jedynie "dziejowe godziny".

A przecież inną musi być polityka rządu na obczyźnie, który liczy się z wojną, walką i powrotem w niedalekiej przyszłości — a inną będzie polityka rządu, który na podstawie obiektywnej oceny sytuacji dojdzie do przekonania, że prawdopodobny niestety jest nie powrót, lecz przeciwnie, dłuższy pobyt na obczyźnie.

Wydaje się, że polityczna sytuacja międzynarodowa nie upoważnia do traktowania emigracji jako zjawiska przejściowego. Przeciwnie, w wymiarach ludzkiego życia i praktycznej polityki uznać musimy emigrację jako zjawisko długofalowe i planowanie w oparciu o inne przesłanki byłoby krótkowzrocznością.

Trzeźwe uświadomienie sobie, że skazani jesteśmy na dłuższy pobyt na obczyźnie, doprowadzić nas musi w konsekwencji do stwierdzenia, że jednym z kardynalnych naszych celów winno być zachowanie pełnego potencjału polskości Emigracji. Rozumiem przez to ochronę kultury polskiej, która na obczyźnie zastępuje Ojczyznę.

Starsze pokolenie, które trwa przy "sterze" naszych spraw publicznych — wywoziło w sobie zapas polskości, który starczy na całe życie. Panowie, którzy po wieloletnim pobycie w Anglii nie umieją wydukać w autobusie: "Thank you" — to właśnie ci, którzy nie widzą i nie doceniają niebezpieczeństwa. Reszty dopełniają gromkie frazesy, że ogół jest patriotyczny, że dzieci śpiewają po polsku, że trwamy, że dojdziemy, itd.

Rzeczywistość wygląda nieco inaczej. Nie wiem jak jest gdzie indziej i mogę mówić tylko o tym, jak jest w Anglii.

Polska młodzież w szkołach średnich, na wyższych uczelniach i na uniwersytetach znajduje się pod przemożnym wpływem wspaniałej, tolerancyjnej i atrakcyjnej kultury brytyjskiej. Nie byłoby w tym naturalnym zresztą zjawisku nic niepokojącego, gdyby wpływ ten równoważony był kulturą polską.

To jest temat olbrzymi i może być rozpatrywany pod różnymi kątami widzenia. Są tacy, którzy romantycznie wierzą w atmosferę i wpływ polskiego domu. Inni w polskim katolicyzmie widzą główną narodową ostoję. To wszystko jest słuszne i prawdziwe, ale oba te potężne czynniki nie tworzą nowej polskiej inteligencji. Trzeba jeszcze czegoś więcej.

Przed paru dniami rozmawiałem z młodym polskim studentem, który w bieżącym roku kończy wydział ekonomiczny na londyńskim uniwersytecie. Mówiliśmy o książkach — m. in. o świeżo wydanej pracy A. J. Taylor pt. "From Napoleon to Stalin". W książce tej jest garść uwag o Polsce z okresu dwudzie-

stolecia, o min. Becku, o stosunku do Rosji itd.

Mój znajomy jest dość typowym przedstawicielem swojej klasy. Z niesłychanym krytycyzmem odnosi się do Anglii i do Anglików nie zdając sobie równocześnie sprawy w jak znacznym stopniu jego perspektywa myślowa jest angielska. Wśród młodych ludzi obserwowałem to zjawisko wielokrotnie. Krytykują wszystko co angielskie i w tym (ale tylko w tym!) podobni są do starszych wiekiem rodaków. Powierzchnowy obserwator, najczęściej taki, który sam nie zna języka angielskiego i kultury brytyjskiej i dlatego nie umie ocenić wpływu tej kultury na innych — owo "polskie psioczenie" bierze za objaw krzepy i świądomoego poczucia narodowego. Gdy się jednak z takim krytycznym młodzieńcem zacznie rozmowę o literaturze czy historii przekonujemy się natychmiast, że poglądy naszego młodzieńca są znacznie bardziej angielskie niż polskie.

Mój młody znajomy, o którym powyżej wspomniałem — w pewnym momencie dyskusji nad jedną z politycznych książek angielskich postawił sprawę na ostrzu miecza i zapytał: "Czy może pan autorowi zarzucić fałsz, kłamstwo, nieścisłość historyczną?" Odpowiedziałem: "Nie, nie mogę". "Więc"?

Odpowiedziałem inaczej. W zeszłym roku czytałem doskonały artykuł historyka angielskiego, którego osobiście wysoko cenię, prof. C. A. W. Manninga na temat obiektywizmu w historii. Manning jest zdania, że prawdziwie dramatycznymi sytuacjami w historii są nie konflikty białe-czarne — brutalny agresor i niewinna ofiara, lecz konflikty: słuszność contra słuszność. Przyjmując możliwość konfliktów historycznych; słuszność przeciw słuszności trzeba w konsekwencji przyjąć możliwość równoległe istniejących dwóch obiektywnych punktów widzenia. Pewne poglądy Taylora są obiektywne, lecz angielskie, a istnieje jeszcze na te same wydarzenia nie mniej obiektywny punkt widzenia, ale polski.

Polski inteligent musi być wychowany w historycznym obiektywizmie polskim. W odpowiedzi na te uwagi mój rozmówca zapytał mnie czy mógłbym mu podać tytuł polskiej historii obejmującej okres 1918 - 45. Niestety, książki takiej nie ma.

Na emigracji są historycy, którzy by mogli opracować nowoczesną historię Polski — być może jednak, że autorowi, czy autorom, trzeba by finansowo umożliwić podjęcie takiej pracy.

W ostatnich kilku latach wydało się dosłownie kilkadziesiąt tysięcy funtów na "wydawnictwa propagandowe", ale nie było pieniędzy na dobry polski periodyk dla młodzieży szkolnej w wieku 14 do 18 lat, kiedy kształtują się młode głowy. Ktoś powie, że do takiego pisma trzeba by dużo dopłacać. Oczywiście — prawdopodobnie dosyć dużo. Ale tylko do zarobkowej emigracji nie potrzeba nic dopłacać — przeznaczeniem jej jednak na ogół jest wsiąknąć w obczyznę. Emigracja polityczna musi mieć kulturę na wyrost, kulturę ofensywną, kulturę chronioną, kulturę finansowaną.

Wydawałoby się, że są to zagadnienia proste i jasne. Emigra-

cja pracuje, zarabia nie grozi jej zatem wyniszczenie biologiczne. Co jej zagraża? Młodym, którzy nie tkwią korzeniami wspomnień w polskości, których psychikę kształtują obce szkoły — zagraża oddalenie od polskości, stopień instynktu narodowego. Tym, którzy żyją i pracują z dala od ognisk myśli i kultury polskiej zagraża "emigracyjna blednica". Wspomnienia szarzeją, rośnie pragnienie ustalenia i poprawy bytu — emigrant sięga po obcy paszport i epopea skończona. Umiera polityczny emigrant — rodzi się nowy naturalizowany Brytyjczyk.

Ludzi rzuconych w obce środowisko nie wiąże się konstytucyjnymi symbolami — tym mniej frazesami. Ludzi na obczyźnie cementuje w grupę narodowościową żywa kultura: prasa, książki, teatr.



Rozpatrując zagadnienie naszej polityki kulturalnej na obczyźnie — zarówno wobec kardynalnej wagi jak i złożonego charakteru tego problemu, powinniśmy skorzystać z wzorów demokracji brytyjskiej i powołać komisję, która wszechstronnie zbadałaby tę sprawę i wyniki swych badań oraz wskazania podała do wiadomości ogółu.

Taka polska "Royal Commission" powinna składać się z fachowców — pisarzy, redaktorów pism, przedstawicieli nauki, pedagogów, aktorów, itp., dobranych nie według klucza partyjnego — lecz obiektywnych kwalifikacji. Ludzie ci badając całość obrazu kultury polskiej na obczyźnie mieliby najwięcej danych do sprecyzowania jasnych i obiektywnych wskazań w jaki sposób powinniśmy zorganizować politykę kulturalną na emigracji w oparciu o te szczupłe środki finansowe jakimi dysponujemy. Mamy bowiem zbyt mało pieniędzy, aby improwizować.

Są pewne punkty bezporne, których mimo to nie realizujemy. Historia Polski Niepodległej — 1918 - 45 nie zostanie sfinansowana przez "Czytelnika" w Warszawie, tylko musi być opracowana i wydana na emigracji.

Ze Skarbu Narodowego należałoby ufundować specjalne stypendia dla młodych i wybitnych naukowców polskich, którzy ukończyli studia — by umożliwić im specjalizację, względnie start w karierze naukowej. Na emigracji mamy tak mało wybitnych jednostek, że nieprzeciętni ludzie winni być wspomagani wysiłkiem ogółu w interesie ogółu.

Należałoby również ustalić stałe państwowe nagrody: literacką, publicystyczną, aktorską i malarską, oraz nagrodę za najlepszą książkę okresu (roku czy dwulecia). Za książkę nie wydaną, która ukazałaby się nakładem państwowym.

Również bezspornym punktem każdej rozsądnej polityki kulturalnej winno być staranie by nie dopuścić do pomniejszania stanu kultury naszej na obczyźnie. Punkt ten dotyczy pism i periodyków. O ile w normalnych warunkach można, a nawet trzeba, być przeciwnikiem subsydiowania prasy, jako procesu

niezdrowego — o tyle w warunkach emigracyjnych pisma zasłużone dla kultury polskiej i kulturę tę istotnie reprezentujące winny być w imię wyższej konieczności — subsydiowane i chronione. Likwidacja np. "Wiadomości" byłaby ciosem dla kultury polskiej na emigracji i żaden program polityki kulturalnej nie mógłby nad tym faktem przejść do porządku dziennego.

Pozostaliśmy na emigracji z pewnym określonym wyraźnie celem politycznym. Otóż jest już najwyższy czas, aby przywódcy nasi i "sternicy" uświadomili sobie głęboko, że jeżeli nie zachowamy pełnego potencjału kultury polskiej na obczyźnie — nie wypełnimy i innych wyższych zadań, które na nas ciąży. Braknie nam ludzi i sił. I jeszcze jedno. Przywódcy nasi winni pamiętać, że w tym dziwnym tworze jakim jest "Państwo na Emigracji", które nie ma żadnej egzekutywy, nie ma ministerstwa spraw wewnętrznych ani policji — rządzić można naprawdę jedynie w sensie "rządu dusz". W takim państwie ministerstwo kultury winno być pierwszym ministerstwem. O ile bowiem rząd na emigracji zastępuje nam Państwo — kultura polska na obczyźnie jest częścią żywej Ojczyzny.

Juliusz MIEROSZEWSKI.

Zagadnienie celowego wydatkowania pieniędzy z Skarbu Narodowego na cele kulturalne, które poruszył p. Mieroszewski w swojej korespondencji, jest niewątpliwie jednym z najważniejszych, zwłaszcza ze względu na szczupłość tych pieniędzy. Dla zorientowania się w opinii przedstawicieli życia kulturalnego emigracji rozpisujemy na ten temat ankietę, której wyniki omówimy w jednym z najbliższych numerów.

„POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym
tygodnikiem społeczno-religijnym
Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza 15 Frs.

Prenumerata kwartalna 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1^{er}

C.C.P. 4955-03

Żelazna kurtyna i europejska równowaga gospodarcza

W maju rb. ukazały się dwa dokumenty, poświęcone europejskim zagadnieniom gospodarczym, które zasługują na szczególną uwagę, gdyż ogłoszone zostały przez dwie międzynarodowe instytucje bezpośrednio do tego powołane, aby w sposób miarodajny przedstawić znaczenie Europy Wschodniej dla europejskiego systemu gospodarczego. Mamy na myśli memoriał "Ruchu Europejskiego" (Mouvement Européen), opracowany przez komitet międzynarodowy pod przewodnictwem członka parlamentu angielskiego H. Macmillana oraz raport Europejskiej Komisji Gospodarczej (Commission Economique Européenne) w Genewie, przygotowany na tegoroczne plenarne posiedzenie tej komisji. Oba te dokumenty, poświęcają wiele miejsca zagadnieniom gospodarczym wschodnio-europejskim, albo ściśle mówiąc dotyczącym Bułgarii, Czechosłowacji, Jugosławii, Polski, Rumunii i Węgier, oba uzupełniają się wzajemnie, na obydwóch ciążą ich ojcostwo. Raport Macmillana opracowany został przez komitet powołany ad hoc spośród reprezentantów emigracji wschodnio-europejskiej i składał się przeważnie z przedstawicieli różnych ugrupowań politycznych; czynniki "zachodnie", wchodzące w skład komitetu były — poza przewodniczącym i generalnym referentem E. Beddington-Behrens — stosunkowo nielicznie reprezentowane. W tym stanie rzeczy nie mógł komitet przeprowadzić pogłębionej analizy istotnej wagi Europy Wschodniej dla gospodarstwa europejskiego; tym bardziej nie mógł opracować programu współpracy między Europą Zachodnią i Wschodnią i należycie uwypuklić kluczowego znaczenia tego zagadnienia dla wszystkich poczynań europejskich. Każde pogłębienie tego tematu doprowadza mianowicie do wykazania beznadziejności programu modnego dzisiaj na zachodzie, według którego równowaga Zachodniej Europy może być osiągnięta bez subwencji amerykańskiej nawet przy istnieniu i zachowaniu "żelaznej kurtyny". Tezy zbyt jasne i wyraźne z trudem tylko mogłyby się ukazać w ramach wydawnictw "Ruchu Europejskiego" i osoby biorące w imieniu Wschodniej Europy udział w opracowaniu tego dokumentu miały zapewne do wyboru ogłoszenie memoriału niepogłębionego lub całkowite prze-

milczenie zagadnienia, powszechnie dziś stosowane na terenie zachodnim. Tym sobie tłumaczymy, że raport zawiera wyłącznie tezy i informacje na ogół znane i pozbawione tendencji do polemizowania z programem dziś oficjalnie głoszonym i zajmującym się wyłącznie "równowagą zachodnią" lub "atlantycką".

Jeżeli autorzy memoriału Ruchu Europejskiego krępowani byli, przy opracowaniu ich tekstu, przez względy ogólnopolityczne, to to samo odnosi się, dla innych powodów, do Europejskiej Komisji Gospodarczej. Pamiętać trzeba, że jest to jeden z nielicznych organów Zjednoczonych Narodów, w składzie którego rządy wschodnio-europejskie, nie wyłączając ZSSR, nadal współpracują. W tego rodzaju urzędowych instytucjach międzynarodowych ostrożność jest niemal warunkiem istnienia. Z drugiej strony warunkiem istnienia Komisji europejskiej jest jej fachowość. Instytucja ta nie może ograniczać się do formułowania tez ogólnych, lecz musi "orać głęboko". Metoda przyjęta przez kierowników instytucji genewskiej wydaje się jedynie słuszną i faktycznie możliwą. Nie mogąc stawiać kropek nad "i" daje ona niemniej niezwykle cenny materiał informacyjny, który przedstawia równocześnie najbogatszy materiał dowodowy dla wykazania absurdalności istnienia "Żelaznej Kurtyny". Wyciąganie wniosków z tego materiału pozostawia komisja czynnikom bardziej od niej do tego powołanym.

Opinia publiczna posiada zatem obecnie, dzięki równoczesnemu ukazaniu się politycznego elaboratu Macmillana i fachowego raportu genewskiego, wyjątkową okazję, aby zaznajomić się z zagadnieniem, które od trzech lat pragnęłyby się zbywać milczeniem, ale którego ciężar gatunkowy jest tak wielki, że trwale przemilczać go nie można. Z punktu widzenia narodów zamieszkujących za "Żelazną Kurtyną" — sprawa jest szczególnie ważna.

Gdyby można było istotnie zapewnić Europie Zachodniej w ramach systemu zachodniego lub atlantyckiego trwałą równowagę i zwolnić równocześnie Stany Zjednoczone A.P. od konieczności trwałego subsydiowania tak pojętej "Europy" za pomocą coraz to nowych planów Marshall'a, nadzieje na uwolnienie Wschodniej Europy byłyby nikłe. Powtórzyłaby się na wielką skalę tragedia Polski przeżyta na Kongresie Wiedeńskim: wszyscy współczuli Polsce, ale wszyscy byli zadowoleni że znaleziono podstawę nowej równowagi europejskiej na jej grobie. Dzisiaj idzie jednak o obszar tak olbrzymi i obejmujący między Bałtykiem a Morzem Czarnym tak ważne składowe części Europy, że Europa bez nich normalnie żyć nie może. Nie ma zatem obecnie problemu polskiego, czeskiego, węgierskiego, a choćby niemieckiego, lecz istnieje wielki nierozwiązany problem ogólnoeuropejski. W fakcie tym tkwi najważniejsza broń wszystkich tych, dla których obecne położenie narodów mieszkających między Rosją a Łabą jest nie do przyjęcia.

Europa Zachodnia objęta planem Marshalla stanowi nie tylko teren przeludniony, jednostronnie przemysłowo rozwinięty,

ale teren którego struktura gospodarczo-finansowa uległa w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat olbrzymim przeobrażeniom. Z obszaru, który posiadał nadwyżki w obrocie z krajami zamorskimi w zakresie wszelkich niehandlowych pozycji bilansu płatniczego tj. z obszaru, który mógł sobie pozwolić na bierny bilans handlowy z tymi krajami, stała się Europa Zachodnia krajem biernym we wszystkich niemal pozycjach "obrotu niewidzialnego". Kapitały jej inwestowane w krajach zamorskich przeszły niemal całkowicie do rąk nowych zamorskich właścicieli, dawni wierzyciele stałi się dłużnikami, marynarki handlowe europejskie stopniały w czasie wojny i Europa musi obecnie korzystać z usług statków zamorskich, zamiast obsługiwać na swych statkach kraje zamorskie, Europa płacić musi Stanom Zjednoczonym większe sumy z tytułu wszelkiego rodzaju patentów, licencji itp. niż sama z Ameryki otrzymuje. Jedynie w zakresie ruchu turystycznego dawne i nowe ruiny europejskie przyciągają zza morza więcej podróżników, niż zbiedzona Europa wysyłać może do krajów zamorskich.

W tym stanie rzeczy Zachodnia Europa nie może utrzymywać z krajami zamorskimi biernych obrotów handlowych, a przeciwnie wygospodarowywać winna w zakresie obrotu towarowego nadwyżki dostatecznie wielkie, aby wyrównywać inne bierne pozycje bilansu płatniczego. Na razie gospodarstwo zachodnio-europejskie kręci się, bo plan Marshalla oraz plan zbrojeń atlantyckich dostarcza, podobnie jak bezpośrednio po wojnie UNRAA, dolarów potrzebnych dla dokonywania niezbędnych wypłat zamorskich, a zwłaszcza dla przywozu towarów amerykańskich. Jednakże tego rodzaju jednokierunkowy ruch świadczeń nie może trwać wiecznie i Europa musi prędzej czy później zacząć żyć samodzielnym życiem. Będzie to możliwe jeżeli Europa Zachodnia zdoła zatrudnić swą olbrzymią ludność przemysłową, a zwłaszcza ludność zatrudnioną w jej rozbudowanym przemyśle inwestycyjnym i jeżeli zdoła inaczej niż za darowane dolary uzyskać niezbędne surowce i artykuły żywnościowe.

O tym, aby zachodnia Europa mogła konkurować w krajach zamorskich, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, z tamtejszymi przemysłami i umieszczać na tych rynkach odpowiednio wielkie ilości swych artykułów mowy być nie może. Europejskie przemysły konsumpcyjne mogą oczywiście część swej produkcji za morzem sprzedawać, zwłaszcza w zakresie niektórych artykułów luksusowych, ale trudno wystawić sobie, aby europejskie stocznie budowały okręty dla Stanów Zjednoczonych lub europejskie fabryki sprzętu elektrotechnicznego — centrale elektryczne; nawet samochody europejskie, mimo odrębności typów europejskich, przeważnie oszczędniejszych w użyciu, praktycznie nie mogą wytrzymać konkurencji amerykańskiej. Wystarczy wskazać na to, że przemysł amerykański ma do dyspozycji węgiel, co najmniej czterokrotnie tańszy od wewnętrznych cen francuskich lub belgijskich, aby wykazać niekonkurencyjność Zachodniej Europy na

tamtejszych rynkach. Trudno też liczyć na to, aby kraje afrykańskie, jak to się obecnie nieraz bez cyfr planuje, nagle mogły zatrudnić europejskie przemysły inwestycyjne i dostarczać wzamian dostatecznej ilości potrzebnych Zachodniej Europie produktów. Praktycznie istnieje zatem jeden obszar, który faktycznie może przez swe obstalunki zachodnio-europejskie przemysły w poważnym stopniu zatrudnić, a równocześnie płacić własnymi artykułami za dostarczone mu dobra, a obszarem tym jest Wschodnia Europa. Gospodarstwo europejskie, kończące się na Łabie lub Odrze będzie zawsze zagrożone bezrobociem i brakiem podstawowych artykułów żywnościowych i surowcowych, gospodarstwo europejskie obejmujące wszystkie kraje poza Zw. Sowieckim posiadać może wszelkie elementy równowagi.

Teza ta jest tak prosta, że pozornie nie wymaga uzasadnienia, ale to jest tylko pozór. Złudzeniu temu ulegli nawet w pewnym stopniu autorzy memoriału Komisji Macmillana, gdy jako jedyny materiał dowodowy dla poparcia swych zasadniczo słusznych tez, dołączyli materiały statystyczne, porównujące wywóz krajów wschodnio-europejskich do Zachodniej Europy w latach przedwojennych 1934/38 oraz w roku 1948, wykazując, że wywóz ten zmalał skutkiem istnienia żelaznej kurtyny kilkakrotnie. Materiał ten nie trafia w sedno rzeczy. Amerykanie dawno już opracowali tego rodzaju zestawienie w sposób dużo bardziej kompletny opierając się również na przedwojennych statystykach handlu zagranicznego i doszli do przekonania, że rola Wschodniej Europy jest... całkowicie podrzędna. Fakt, że nawet niewielkie przedwojenne obroty międzyeuropejskie były kilkakrotnie większe niż obecnie, jest w tych warunkach argumentem całkowicie bezwartościowym, a nawet niebezpiecznym, gdyż wywołuje mylne wrażenie, że stan przedwojenny uchodzić może za normalny. W uwagach wstępnych memoriału Macmillana powiedziane jest dosłownie: "Przed wojną Europa Wschodnia i Zachodnia były ściśle powiązane ze sobą. Jedna dostarczała drugiej większości brakujących jej produktów". Stwierdzenie to jest oczywiście nieścisłe, gdyż przeciwnie cała gospodarka europejska była między dwiema wojnami wypaczona i anormalna, ponieważ Europa Zachodnia obróciła się tyłem do Europy Wschodniej i do wschodnio-europejskich rynków dostawczych i za morzem kupowała artykuły, w zakresie których zaopatrywała się do r. 1914 przeważnie w Europie Wschodniej. W tych warunkach przedwojenne cyfry obrotów między Europą Zachodnią i Wschodnią odzwierciedlają jedynie stan chorobowy, ale w żadnym razie stan normalny. Pierwszy z brzegu przykład odzwierciedla tego rodzaju stan rzeczy. Europa Zachodnia sprowadzała w zakresie zbóż chlebowych identyczne nieomal ilości globalne w ciągu pierwszego dziesięciolecia XX wieku i w latach 1919/1938; na początku wieku jednak 90% przywożonego zboża pochodziło z Europy Wschodniej, a tylko 10% z krajów zamorskich; między dwiema wojnami natomiast stosunek ten został niemal dokładnie odwrócony. Ktokolwiek miał

między dwiema wojnami do czynienia z zagadnieniami gospodarczymi wschodnio-europejskimi wie, że nawet bez większych wysiłków mogły kraje, położone między Rosją i Niemcami, wywozić wielokrotnie większe ilości zboża, produktów hodowlanych, drzewa itp., niż wynosiły przyznawane im przez Europę Zachodnią kontyngenty przywozowe. Faktyczny wywóz lat przedwojennych odzwierciedlał zatem nie możliwości wywozowe krajów Europy Wschodniej, lecz sumę z trudem wywalczonych kontyngentów przywozowych, a to są rzeczy całkowicie różne. Przedwojenne cyfry są zatem wynikiem braku jakiegokolwiek przedmyślanego planu gospodarstwa ogólnoeuropejskiego, a bynajmniej nie odzwierciedlają roli, jaką Europa Wschodnia odgrywać mogłaby w ramach takiego programu. Sztucznie skurczony wywóz zmusił państwa wschodnio-europejskie do niemiejsz sztucznego skurczenia własnych zakupów i zamówień w Europie Zachodniej, co stało się jedną z ważnych przyczyn zachodnio-europejskiego bezrobocia.

W tych warunkach jest rzeczą jasną, że chcąc należycie przedstawić potencjalną rolę krajów wschodnio-europejskich w przyszłym gospodarstwie europejskim oderwać się należy od cyfr przedwojennych i podjąć trzeba żmudne i pogłębione studia na temat, jak wyglądać mogłaby gospodarka europejska, dziś, gdy brak dolarów uniemożliwia nadal Europie Zachodniej sztuczne eliminowanie towarów wschodnio-europejskich na rzecz zamorskich i gdy można by traktować gospodarkę tę jako nie-rozerwalną całość, gdyby... nie istniała żelazna kurtyna.

Raport Komisji Europejskiej w Genewie porusza delikatnie to zagadnienie, ale wobec obecności przedstawicieli rządów komunistycznych pogłębić go nie może, raport komisji Macmillana porusza je, ale przedstawia w nieodpowiednim świetle. Niemniej wykazanie **potencjalnej** roli krajów wschodnio-europejskich dla równowagi scalonej gospodarki europejskiej stanowić musi najpotężniejszy argument, który przekonać może o tym, że w interesie świata zachodniego stan obecny długo trwać nie może. Obowiązek systematycznego opracowania tego zagadnienia obarcza oczywiście w pierwszym rzędzie czynniki wschodnio-europejskie, przebywające zagranicą.

Raport genewski zawiera natomiast pod innym jeszcze względem materiał niesłychanie ważny, oświetlając jasno rolę jaką Kominform odgrywa, aby nie dopuścić do intensyfikacji obrotów między Zachodnią i Wschodnią Europą. Wiadomo, że po 1945 roku, w ciągu którego obroty międzyeuropejskie spadły do minimum, a obrót handlowy krajów obsadzonych przez wojska sowieckie wykazywał wyłącznie jednostronny kierunek na wschód, wydawało się, że naturalne czynniki gospodarcze przewyżczą różnice ustrojowe, i że między Europą Wschodnią i Zachodnią obroty handlowe będą szybko wzrastały. W okresie tym Kominform nie działał jeszcze i kraje wschodnie, nie obarczone ciężarami reperacyjnymi na rzecz ZSSR, a w pierwszym rzędzie Czechosłowacja i Polska, zawarły bardzo liczne umowy handlo-

we z krajami zachodnimi. Dzięki temu wykazują lata 1946, 1947 a nawet 1948 stały wzrost obrotów z Zachodem, a równoległe znaczny, procentowy spadek obrotów z Rosją. Według Rocznika Statystycznego wynosił np. wywóz z Polski do ZSSR 93,4% globalnego wywozu polskiego w r. 1945, 49,4% w roku 1946, około 33,3% w roku 1947 i można było spodziewać się, że w latach następnych ustabilizuje się około 25%, tj. spadnie do rozmiarów gospodarczo uzasadnionych, skoro Rosja dostarczać może wzajemian za dostarczane jej produkty polskie liczne niezbędne dla Polski artykuły z bawełną i rudą na czele.

Wywóz z krajów wschodnio-europejskich do Zachodniej Europy wykazywał istotnie jeszcze w r. 1948 tendencje rozwojowe, natomiast r. 1949 stanowi, jak wynika z raportu genewskiego, punkt zwrotny. Pod dyktandem utworzonej na początku tego roku w Moskwie kominformowskiej Rady Gospodarczej państwa satelickie zaczynają wycofywać się z obrotów z Zachodem, przyjmują w swej polityce handlowej program wschodnio-europejskiego i możliwe autarkicznego bloku, nie wykonują nawet dawniej zawartych umów lub programowo je kurczą, bez względu na to, że tracą najważniejsze dla nich rynki zbytu i pozbawiają się możliwości nie tylko kupowania na zachodzie niezbędnych dla szybkiej realizacji ich planów uprzemysłowienia dóbr inwestycyjnych, ale nawet licznych niezbędnych artykułów konsumpcyjnych z lekarstwami na czele. Ogromne obniżenie poziomu życia, wynikające z tego faktu zwłaszcza w Czechosłowacji, w Polsce i na Węgrzech, nie wzrusza oczywiście dzisiejszych czynników decydujących o kierunku wschodnio-europejskiej polityki handlowej.

Cyfrы genewskie są jednak pod jeszcze jednym względem rewlacyjne: na zewnątrz głosi się za żelazną kurtyną hasło wzmoczenia obrotów między wszystkimi krajami Wschodniej Europy; z analizy cyfr wynika jednak, że trudno jest mówić o poważniejszym ożywieniu obrotów między "satelitami". Faktycznie zaznaczył się w r. 1949 jedynie wzrost wywozu z państw satelickich do Rosji, która wyłącznie korzysta z narzuconej przez Kominform polityki handlowej. Ponieważ równocześnie zaczęto zawierać wszystkie umowy z ZSSR w rublach sowieckich, ponieważ umowy te są tajne, a stosunek cen ustalonych przy wywozie i przywozie jest zupełnie dowolny, w ogóle nie można sobie zdać szczegółowo sprawy z tego, na jakich warunkach dokonują się obroty między Rosją sowiecką a jej satelitami. Na zasadzie dostępnych informacji wnioskować jednak można, że zastosowane zostały zasady organizacji Marshallowskiej, ale na opak. W ramach Planu Marshalla dostarczają Stany Zjednoczone, czyli inicjator organizacji marshallowskiej, olbrzymich ilości towarów krajom zrzeszonym, bez wzajemnych świadczeń, czyli darmo. W organizacji narzuconej przez Kominform kraje zrzeszone dostarczają olbrzymich ilości swych towarów bez widocznych wzajemnych świadczeń inicjatorom całej akcji, tj. Rosji Sowieckiej.

Zagadnienia wyżej omawiane nabierają szczególnego i bezpośredniego znaczenia na tle największej dotychczas próby oparcia gospodarki europejskiej na nowych podstawach, która przejdzie zapewne do historii pod nazwą "planu Schumana". Reperkusje tego planu mogą być dla sytuacji wschodnio-europejskiej olbrzymie, choć na razie prasa zachodnia starannie pomija milczeniem ścisły związek, istniejący między planem Schumana a istnieniem żelaznej kurtyny. Aby uprzytomnić sobie ten związek wystarczy przytoczyć kilka faktów.

Powojenna ewolucja w zakresie produkcji przemysłowej kształtowała się bardzo różnie we Francji i krajach Beneluxu z jednej, a w zachodnich Niemczech z drugiej strony. Wskaźnik produkcji przemysłowej wynosił przykładowo, jeśli produkcję w 1937 roku przyjmiemy za 100:

	w końcu r. 1946	w końcu r. 1948	w końcu r. 1949
w Belgii	74	97	100
we Francji	73	102	110
w Niemczech Zach.	34	79	87

Z cyfr tych wynika, że powojenne załamanie produkcji było w Niemczech bez porównania głębsze i dłuższe niż w Belgii i we Francji. Załamanie to było szczególnie silne w ciężkim przemyśle niemieckim. Miesięczna produkcja węgla, która w r. 1938 doszła na terenie Niemiec Zachodnich do 11,5 milionów ton, spadła po wojnie do 3 milionów — miesięczna produkcja lanego żelaza spadła z około 1,2 miliona ton do 147 tysięcy w r. 1946 i 188 tysięcy w r. 1947. W zakresie stali załamanie było jeszcze głębsze, gdyż produkcja w 1946 r. wyniosła zaledwie 2.549 tysięcy ton wobec 20 milionów ton w r. 1938. Regeneracja przemysłu niemieckiego wykazuje natomiast od r. 1948 olbrzymie postępy i obecny wskaźnik produkcji przemysłowej dochodzi zapewne do 100 w stosunku do przeciętnego okresu przedwojennego; jedynie w zakresie stali nie osiąga ona sztucznie rozdętych i anormalnych cyfr, dotyczących lat szczytowych zbrojeń niemieckich. Wiadomo jednak, że rząd zachodnio-niemiecki prowadzi obecnie ostrą kampanię w celu uzyskania prawa przekroczenia cyfr produkcji, na razie ustalonych przez władze okupacyjne, i doprowadzenia ich do średniego poziomu przedwojennego (około 15 milionów ton).

Jest rzeczą jasną, że zanik niemieckiej produkcji wywołać musiał po wojnie pewnego rodzaju vacuum w Europie, której spóżyte wszędzie doraźnie wzrosło skutkiem powszechnych zniszczeń wojennych. Okres ten dobiega jednak teraz końca i proces odbudowy jest na zachodzie w szerokim zakresie dokonany, podczas gdy podaż niemiecka wciąż rośnie. W związku z tym ważne staje się pytanie dokąd zachodnio-niemiecka produkcja kierowana była przed wojną. Na pytanie to odpowiada niezwykle interesujące studium, zawarte w wydawanym przez Komisję

Geneeską "Bulletin Economique pour l'Europe" (r. 1949, zeszyt 3). Sekretariat Komisji Europejskiej zadał sobie olbrzymi trud, aby obliczyć jaką rolę odgrywała zona sowiecka oraz ziemie odstąpione przez Rzeszę na wschodzie w wykonaniu uchwał poczdamskich, jako partner gospodarczy trzech zon zachodnio-niemieckich. Okazuje się, że zona sowiecka stanowiła dla całego zachodnio-niemieckiego przemysłu niezwykle ważny rynek zbytu, zwłaszcza w zakresie zachodnio-niemieckiego ciężkiego przemysłu metalurgicznego i przemysłów pokrewnych, które według planu Schumana poddane być mają w szerokim zakresie wspólnej gospodarce z przemysłem innych krajów Zachodniej Europy. Po wojnie wywóz odnośnych przemysłów zachodnio-niemieckich do zony sowieckiej spadł do cyfr znikomych i wyniósł w r. 1948, w zakresie żelaza i stali 7%, w zakresie przemysłu mechanicznego zaledwie 3% cyfr przedwojennych.

Póki cyfry produkcji zachodniemieckiej były niske i wybitnie odbiegały od przedwojennych, strata rynku zony sowieckiej nie była groźna, gdyż rynki zachodnie odbierały z łatwością całość tej produkcji. Obecnie jednak, gdy poziom wytwórczości zbliża się na zachodzie Niemiec do przedwojennego poziomu, zacznie się w Zachodnich Niemczech albo bezrobocie, albo też inne rynki zastąpią przemysłowi Niemiec Zachodnich utracone skutkiem istnienia "żelaznej kurtyny" rynki wschodnio-europejskie. Mamy wrażenie, że te "inne rynki" mogłyby być tylko rynkami dla których dotychczas pracował przemysł francuski lub przemysł krajów Beneluxu, na co te kraje na pewno się nie zgodzą.

Dlatego wydaje się nam, że plan Schumana z konieczności zaktualizuje sprawy wschodnio-europejskie i ad oculos wykaże, że obecny podział Europy przy pomocy żelaznej kurtyny utrzymany być nie może, — że jest zbyt sztuczny i zbyt bezsensowny, aby mógł być długo tolerowany. Wydaje się nam, że świat zachodni wnet się przekona, że nie znajdzie równowagi tak długo, dopóki w stosunku do problemów wschodnio-europejskich kontynuować będzie politykę strusia. Problematy te są zbyt wielkie i zbyt ważne, aby mogły być zbyt długo ignorowane.

Ł. MAŁECKI.

Uwagi o podłożu polityki amerykańskiej

Znany sprawozdawca wojenny i redaktor wojskowy "New York Times", Hanson W. Baldwin, tymi słowami rozpoczął swój artykuł pt. "Nasze najgorsze błędy podczas wojny", drukowany w miesięczniku "Atlantic" za styczeń 1950 r.:

"Można twierdzić, że w lutym 1945 r. w Jałcie i 6 czerwca 1944 w dniu wyładowania Sprzymierzonych w Normandii, przegraliśmy pokój. Polityczne i strategiczne błędy Ameryki, popełnione podczas wojny przyczyniły się zapewne do jej przedłużenia, z pewnością natomiast utrudniły ją i są w znacznej mierze odpowiedzialne za trudności i kryzysy, przez które przechodzimy od czasu wojny". Baldwin twierdzi, że "nasze najcięższe błędy wojenne wynikły z naszej politycznej nie-dojrzałości. Nie pamiętaliśmy, iż wojny są jedynie przedłużeniem polityki przy pomocy innych środków, że wojny mają cele do osiągnięcia... i że osiągnięcie celów politycznych jest tym co wygrywa pokój".

W tym krytycznym nastawieniu co do wyników osiągniętych przez wygranie wojny, Baldwin nie jest odosobniony. Wystarczy, że przytoczę drugiego znanego publicystę — Waltera Lippmanna. W artykule drukowanym w tymże samym "Atlantic" w lutym 1948 r. dał on wyraz takiemu pogładowi:

"Wiek dwudziesty był świadkiem wzniesienia się Stanów Zjednoczonych na szczytowe między narodami stanowisko, pociągające za sobą niezmierną odpowiedzialność za kształtowanie losów ludzkości. Z drugiej strony jednakże, droga na ten szczyt usiana jest szczątkami wzniosłych i pełnych nadziei deklaracji politycznych".

Na dowód przytacza Lippmann Deklarację o Neutralności prezydenta Wilsona, jego 14 Punktów, Pakt Kelloga o nieuciekaniu się do wojny, Akt Neutralności prezydenta Roosevelta, ogłoszony przed wybuchem Drugiej Wielkiej Wojny, Kartę Atlantycką itd. Przyczyną niepowodzeń amerykańskiej polityki, zdaniem Lippmanna, są "przesady, urazy i koncepcje zakkrojone według naszych życzeń (wishful thinking), które zniekształcają naturę rzeczy i które wykoślawiają nasz sąd o wypadkach i uniemożliwiają sformułowanie realnej polityki". Podobne poglądy wypowiada też np. prof. James Burnham w swej książce "The Struggle for the World" i w ostatnim swym dziele, które ukazało się na początku tego roku "The Coming Defeat of Communism".

Powyższe sądy nie są jedynie podzielane przez zamknięte koło specjalistów; są one szeroko rozpowszechnione. Kiedy po raz pierwszy przybyłem do Ameryki w 1919 roku, często słyszałem skargi zawodzionych Amerykanów, że zostali "naciągnięci" przez dyplomatów europejskich, a w szczególności przez Anglików. Pragnęli urządzić świat według zasad sprawiedliwości, którym dał wyraz Wilson w licznych solennych deklaracjach, stworzyć warunki dla zabezpieczenia rozkwitu demokracji, a tu te same stare targi gabinetów europejskich w duchu imperiaлизmu, zaprzeczanie zasadzie samostanowienia narodów itd. Skargi te streszczały się w takim powiedzeniu jak np. "nasi dyplomaci nie mają najmniejszych danych, by dać sobie radę z Anglikami". Obecnie Anglicy zostali zastąpieni przez Stalina. Ci sami jednak zawiedzeni ludzie są w pełni świadomi olbrzymiej materialnej potęgi Stanów Zjednoczonych. Te wyznania, często połączone z uczuciem gorzkiego rozczarowania są zatem wynikiem błąjącego się w świadomości uczucia, że chociaż Amerykanie rozporządzają wielką siłą, to jednakże nie umieją jej użyć dla przeprowadzenia swych ideałów. Jest też oczywiście, że to pesymistyczne nastawienie nie wynika, ani nie jest w najmniejszym nawet stopniu związane z przekonaniem, że Amerykanie nie są dostatecznie inteligentni, by rozumieć zagadnienia polityki zagranicznej. Amerykanie są dalecy od tego, by myśleć, że ustępują jakimkolwiek narodowi pod tym względem. Wchodzą w grę inne zupełnie cechy. Powstaje pytanie skąd biorą się te urazy i uprzedzenia, "które wykoślawiają sąd o wypadkach", co je wytworzyło i dlaczego są one zakorzenione w amerykańskiej psychologii? Krótko mówiąc powstaje pytanie dlaczego Amerykanie inaczej rozumują w sprawach polityki międzynarodowej niż Europejczycy.

Ignorancja jest oczywiście czynnikiem odgrywającym w tym wypadku najważniejszą rolę. Na ten temat nie ma jednak potrzeby zbytnio się rozwodzić. Wiadomo, że Amerykanie nie znają historii Europy, ani nawet jej geografii. Ignorancja ta nie jest jednak jednostronna, bowiem Europa też nigdy nie grzeszyła znajomością Ameryki. Nie byłoby więc w tym nic szczególnego, gdyby nie jedna okoliczność. Europa już od początku XIX wieku nie starała się wpłynąć na bieg wypadków w Ameryce ani też nigdy nie była powołana na stanowisko arbitra w sprawach amerykańskich. Ameryka zaś jest obecnie czynnikiem decydującym w sprawach europejskich. Zdawało się więc, że przynajmniej ta część inteligencji, która zajmuje się polityką, powinna mieć podstawowe wiadomości o Europie i sprawach polityki światowej. Tymczasem właśnie członkowie Kongresu, nie wyłączając Senatu, wykazują największą ignorancję tych spraw, nie są od niej wolne nawet najwyższe czynniki rządowe, jak tego dowiodła historia ostatniej wojny i polityka powojenna.

W cytowanym już wyżej artykule Baldwin pisze, że polityczne błędy Ameryki wynikły z nieznaności Rosji. Twierdzi on, że

Roosevelt wierzył, iż Politbiuro w czasie wojny ostatecznie porzuciło ideę światowej rewolucji i pragnęło szczerze utrzymać przyjacielskie stosunki z rządami kapitalistycznymi. Cytuje on ambasadora Bullitta, któremu Roosevelt powiedział: "Mam wrażenie, że Stalin niczego nie chce jak tylko bezpieczeństwa dla swego kraju i myślę, że jeżeli dam mu wszystko co tylko można i nic wzamian nie będzie żądał, to noblesse oblige, on nie wejdzie na drogę aneksji i będzie współpracował ze mną nad budową świata demokracji i pokoju". Po 25 latach polityki Kremla, po wydrukowaniu dzieł Lenina i Stalina, po kongresach, odezwach i machinacjach Kominternu, po napaści na Finlandię i Polskę, po aneksji państw bałtyckich, po zorganizowaniu i ujawnieniu potężnej piątej kolumny we wszystkich krajach, nie wyłączając Stanów Zjednoczonych, prezydent Roosevelt ciągle jeszcze myślał, że noblesse oblige na Kremlu! Ale nie tylko Roosevelt i Hopkins tak myśleli. Z wyjątkiem paru ludzi, którzy osobiście zetknęli się z Rosją Sowiecką i komunizmem, jak np. ambasador Bullitt i kilku byłych, rozczarowanych komunistów, wszyscy tak myśleli. Głos tej niewielkiej garstki był głosem nie tyle wołającego na puszczy, ile, w pojęciu ogółu, głosem zdrajców lub uprzedzonych z góry zwolenników Trockiego. Sekretarz stanu Cordell Hull był w stanie napisać następujące zdanie w swych pamiętnikach, ogłoszonych w 1948 r.:

"Miałem nadzieję, o ile zdrowie pozwoliłoby mi pozostać na stanowisku, że przekonam Rosję, by przyjęła politykę współpracy i nie-interwencji, która była polityką Zachodniej Półkuli, a to w celu uczynienia z niej mocnej polityki światowej, do której przyłączyłyby się wszystkie narody. Ta polityka Pan-Amerykańska przeszczepiona do Europy, pozwoliłaby Rosji utrzymać najprzyjaźniejsze stosunki polityczne i najwyższą wymianę gospodarczą z sąsiadami, jednocześnie powstrzymując ją od mieszania się do ich spraw wewnętrznych".

Takie to nadzieje miał nie misjonarz, czy też przeciętny, poczciwy obywatel amerykański, lecz minister spraw zagranicznych i prezydent wielkiego, największego mocarstwa. Hull bowiem pisze dalej: "Prezydent i ja mieliśmy te same zapatrywania na Rosję". Jest zbyteczne przypominać tutaj co myśleli inni ministrowie, a także senatorowie, prasa, bankierzy itd., jeżeli wiemy już co myślał o Rosji i Stalinie człowiek, mający dostęp do najlepszych informacji i tak inteligentny jak Roosevelt.

Panuje ogólna zgoda co do tego, że działalność gospodarcza, czyli "business", odgrywa dużo ważniejszą rolę w życiu amerykańskim, niż w życiu innych narodów. Tak było przynajmniej dotychczas. Obecnie Europa amerykańizuje się szybko pod tym względem, a w Ameryce dają zauważyć się zmiany w odwrotnym kierunku. Ogólnie można powiedzieć, że Amerykanin nie tylko jest kształcony w szkole i uniwersytecie na *homo economicus*, czyli mówiąc po amerykańsku na "businessman'a", lecz, że silnie rozwinięta działalność gospodarcza modeluje go pod każdym innym względem. Metody, przy pomocy których Ame-

rykanin rozwiązuje swe zagadnienia życiowe, wzorowane są na ogół na metodach stosowanych w interesach. Ma więc podejście do życia, które można by nazwać merkantylnym. Filologia w takich wypadkach jest niezawodnym sprawdzianem. Szczętem pochwały jest w Ameryce powiedzieć o kimś, że ma "business-like approach to life". W pojęciu Amerykanina człowiek, który stoi na czele dobrze rozwijającego się interesu, który zrobił czy też robi pieniądze, wykazał, że posiada lepszy sąd o rzeczach i charakter niż inni, i dlatego jest do użycia wszędzie, z wyjątkiem pola ściśle naukowego. Stąd też powszechne przekonanie, że dobry kupiec czy przemysłowiec ma wszelkie kwalifikacje, by być np. równie dobrym dyplomatą. Oczywiście, wypadki takie zdarzają się, z reguły jednak tak nie jest, jak wielokrotnie wykazało doświadczenie. Niestety, nie jest wystarczające być fabrykantem skarpetek, który zrobił miliony, lub wielkim hurtownikiem towarów kolonialnych czy też bankierem, by mieć dobry sąd o sprawach polityki międzynarodowej. Amerykanin jest skłonny przeoczyć, że w tych dziedzinach istnieją poważne różnice.

W interesach rokowania mają na celu osiągnięcie korzyści gospodarczej przez dojście do umowy, zadawalającej obie strony, na podstawie wzajemnych ustępstw, czyli na zasadzie *quid pro quo*. Amerykanie zapominają, że w życiu międzynarodowym polityka ma za zadanie osiągnięcie także celów niegospodarczych i to w wielu wypadkach bez *quid pro quo*. Za każdym razem kiedy Kreml zgłasza gotowość rokowań, przez Amerykę przebiega fala optymizmu. Zgodnie ze swą psychologią "businessu", Amerykanin jest przekonany, że kompromis da się osiągnąć, chociażby nawet za cenę dużych ustępstw, które w oczach przeciętnego obywatela, a nawet polityków, maleją wobec majaczącej im możliwości osiągnięcia trwałego pokoju. Któż traciłby czas na rozpoczynanie rokowań, bez chęci dojścia do porozumienia? Z powodu swego nastawienia psychologicznego jest on skłonny do zapomnienia, że w stosunkach międzynarodowych nierzadko jedna ze stron zaczyna rokowania i ciągnie je bez końca bez najmniejszej chęci dojścia do porozumienia i że rokowania w jednej sprawie mogą być zasłaną dymną dla działania w innej.

Amerykanin jest także zbyt skłonny do wierzenia, że korzyści natury handlowej czy finansowej są głównym motorem polityki. Wiara ta była uzasadniona w odniesieniu do polityki amerykańskiej, która wbrew twierdzeniom komunistów i oczywiście prawdziwie nie ma na oku celów politycznych w imperialistycznym rozumieniu.

Człowiek interesów o psychologii uformowanej przez ten świat wierzy w kompromis, jako najskuteczniejszy środek działania i jest z natury rzeczy, oportunistą. Dlatego zbyt wielką wiarę pokłada w magię ustępstw, jednocześnie nie zdając sobie sprawy z ich wagi dla następstw w dalszej przyszłości. Uważa on, że zawsze można dojść do porozumienia, jeżeli zro-

bi się odpowiednio duże ustępstwa i zjedna się partnera okazaniem dobrej woli i gotowości do kompromisu. Politycy amerykańscy byli przekonani, że poświęcając, wbrew głoszonemu przez siebie zasadom, Polskę wraz z resztą Europy Wschodniej, dadzą dowód najdalej idącej dobrej woli w stosunku do Rosji i zjedną Stalina dla polityki współpracy pokojowej w ramach Narodów Zjednoczonych i w ten sposób zapewnią sobie względnie trwałą pokój. U tak "ostrzelanego" i sprytnego człowieka jakim był Roosevelt trudno jest podejrzewać "wishful thinking", padł on po prostu ofiarą kupieckiej psychologii amerykańskiej. Rosja wszystko zainkasowała, ale towaru nie dostarczyła. Zapomniano, że w stosunkach międzynarodowych nie można pojąć do sądu.

W tym wszystkim było też dużo mniej złej woli niżby się zdawało na pierwszy rzut oka. Jestem pewien, że tak zacny człowiek jak Cordell Hull, a z nim cały legion innych, był przekonany, iż wiele krzywd da się naprawić kiedy dostanie się Rosję w tryby Narodów Zjednoczonych, gdzie demokracje zachodnie miały zabezpieczoną większość, nawet kwalifikowaną.

Zgodnie ze swym nastawieniem kupieckim, Amerykanie nie są skłonni do ważenia skutków politycznych pociągnięć na dłuższą metę, tj. w perspektywie dalszego historycznego rozwoju. Wyniki umowy handlowej dają się odczuć bardzo szybko, za parę dni, za parę miesięcy, najdalej za parę lat. Nikt nie zawiera umów, które mają przynieść zyski za sto lat. Nie zadawano więc sobie pytania jak zaważą na przyszłym pokoleju koncesje robione Rosji na taką skalę w Europie i Azji. W danej chwili chodziło o to, by pobić Hitlera kosztem najmniejszych strat w ludziach i wciągnąć Rosję do współpracy międzynarodowej nad ucieleśnieniem "Wielkiego Planu" Roosevelta, stworzenia w ramach Narodów Zjednoczonych silnego systemu bezpieczeństwa. Spodziewano się więc ni mniej ni więcej, że Rosja sama na siebie nałoży kaganiec; nie było to zaiste pozbawione "wishful thinking".

Upodobanie do intensywnej i szeroko rozwiniętej działalności gospodarczej przyniosło Ameryce wielkie bogactwa i pozwoliło osiągnąć nieznaną dotąd nigdzie i nigdzie poziom ogólnej możliwości. Ameryka jest krajem, gdzie zawiść jest najmniej rozpowszechniona, ale gdzie jest najostrzejsze współzawodnictwo na każdym polu. Jest to zdaje się jedyny kraj na świecie, gdzie człowiek, któremu źle się powodzi, jest skłonny do winienia siebie samego, a nie drugich, czy ustroju społecznego. Niestety, zachodzą pewne zmiany pod tym względem ostatnio, nie bez wpływu agitacji komunistycznej. Ludzie z natury są chciwi i samolubni, im więcej więc zaznają nędzy, tym bardziej są skłonni do poprawiania swego losu kosztem drugiego. Już Jefferson, pisząc do Madisona w 1787 r. zauważył: "Kiedy (tak się rozmnożymy, że) będziemy siedzieć jeden na drugim, to staniemy się tak zepsuci jak w Europie i zjadać

będziemy jeden drugiego tak jak oni to tam czynią". Z powodu wspaniałego rozwoju produkcji i wzrostu potrzeb ludności, w Ameryce nie ma jeszcze przeludnienia i dlatego kraj ten pozostał prawdziwie pokojowy. Imperializm w znaczeniu dawnego angielskiego, czy obecnego rosyjskiego jest nadal w Ameryce niemożliwy. Na ogół Amerykanin jest z siebie zadowolony i przychylnie z tego powodu nastrojony do bliźniego. Będąc od dawna przyzwyczajony do wysokiego standardu życia, nie może pojąć, że narody jak np. Rosja, które uważają siebie i są przez Amerykanów uważane za cywilizowane, są pozbawione, jako masa, takich środków do życia i dóbr, które w Ameryce są dostępne literalnie dla wszystkich bez wyjątku. Do dnia dzisiejszego przeciętny Amerykanin nie uwierzy, że większość ludności rosyjskiej chodzi boso, a co najwyżej w łapciach lub owijaczach. Jak słusznie mówi rosyjskie przysłowie — syty głodnemu nie towarzysz. Amerykanin nie jest też w stanie pojąć, że ludzie, którzy mają maszyny, radio, prasę itd. mogą się tak różnie od nich zachowywać. Kiedy podczas wojny ambasada polska w Waszyngtonie urządziła konferencję prasową, na której ktoś przybyły z Polski podziemnej po raz pierwszy w Ameryce donosił o paleniu Żydów w Majdanku, korespondenci prawie gremialnie opuścili salę, gdyż uważali podobne historie za grubą propagandę polską, skierowaną pod adresem bądź co bądź cywilizowanego narodu. Położenie ekonomiczne chłopów chińskich wydaje się Amerykanom tak okropne, że w swoim czasie z największym zadowoleniem przyjęli wyjaśnienie, iż komuniści chińscy wcale nie są komunistami, lecz tylko masowym ruchem biednych chłopków, pragnących reformy agrarnej. Mimo, że wydaje się to wprost nieprawdopodobne, to jednak ta wiara jest jedną z najważniejszych przyczyn błędów polityki amerykańskiej w Chinach. Obecnie już się spostrzeżono, iż komuniści zreszcie wyzyskiwali naturalne pragnienie każdego wieśniaka na świecie do posiadania własnego kawałka ziemi, ale że byli też czymś więcej jak reformatorami rolnymi. Pomyślność gospodarza i poczucie osobistego bezpieczeństwa ekonomicznego jest czynnikiem, który silnie wpłynął na psychologię amerykańską i wytworzył pewne kompleksy, podobnie jak nędma wytworzyła kompleksy u drugich.

Historyczny rozwój Ameryki i jej początek jest też związany, jak tego należałoby się spodziewać, z powstaniem pewnych przesądów czy urazów. Fakt, że Ameryka uzyskała niepodległość dzięki rewolucji przeciw królowi, miał ważki wpływ na kształtowanie się umysłów i pojęć. Wyrazy "król" i "rewolucja" nabrały specyficznego znaczenia wskutek wpływu wywartego nauczaniem historii w szkołach powszechnych. Pojęcie "król" jest kojarzone z czymś co jest złe, a "rewolucja" z czymś co jest dobre. Król jest osobnikiem, który profesjonalnie jest od tego, by uciskać porządnym ludzi, jest nieodmiennie tym co w fabule kinowej nazywa się "czarnym cha-

rakterem"; rewolucja zaś — to wolność, to demokracja, czyli to co według wykładu historii, zrobiło z Ameryki największą potęgę na świecie. Jeszcze dzisiaj przeciętny Amerykanin musi zastanowić się przez chwilę, by uprzytomnić sobie, że nie każdy król jest złowrogą osobistością. Zdarzało mi się, że dyrektorowi jednego z dużych towarzystw asekuracyjnych nie mogłem wytłumaczyć, że Anglia jest demokracją — twierdził, że jest to niemożliwe skoro ma króla. Rewolucja zaś do dnia dzisiejszego, we wszystkich okolicznościach, jest zbawienna. Stąd też skłonność Amerykanów do wypowiedzenia się *prima facie* przeciwko każdemu królowi i za każdą rewolucją. Nie dawno mieliśmy dobre przykłady takiego nastawienia we Włoszech i Grecji.

Po okupowaniu Włoch przez armię amerykańską wyteżono wszystkie siły, by pozbyć się króla i dynastii oraz marszałka Badoglio, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że tak radykalny krok w obliczu chaosu wywołanego upadkiem Mussoliniego, może wynieść do władzy nie demokratyczne czynniki, lecz komunistów. Zarówno król jak i marszałek notorycznie znani byli ze swych sympatii dla Ameryki. Niestety, Victor Emanuel był królem, a Badoglio — monarchistą. Niewiele zaiste brakowało, by komuniści, najzaciętsi wrogowie Ameryki, nie owdłoneżyli krajem, który oswojony został przez wojska amerykańskie. Pamiętam osłupienie jakie ogarnęło Europejczyków różnych narodowości, zamieszkałych w Ameryce, kiedy Amerykanie przystąpili do zniszczenia jedynej, jaki pozostał, ośrodka władzy, nota bene przychylnego i to szczerze Ameryce. W powyższym oświetleniu sprawa przedstawia się logicznie. Tout comprendre s'est tout pardonner.

Jak już wspomniałem, rewolucja jest w Ameryce wprost magicznym słowem. Tą magią tłumaczą się jedynie bardzo szerokie sympatie dla rewolucji bolszewickiej w kraju, w którym nie było aż do niedawna piątej kolumny i w którym do parlamentu nie można było wybrać nawet umiarkowanego socjalisty. Wystarczy, że jakkolwiek ruch proklamuje się rewolucyjnym, by natychmiast pozyskał sympatie Amerykanów. W Grecji tylko cudem po prostu (któremu pomogli Anglicy) komuniści nie doszli do władzy z powodu początkowych wątpliwości i niezdecydowania Amerykanów. Zaczęła się tam rewolucja i to przeciw królowi. Wyobrażono sobie, że lud zapragnął wolności tak jak Amerykanie w XVIII wieku, a to, że rewolucja była popierana przez Kreml i że jej przywódcami byli komuniści, to był to tylko nieprzyjemny zbieg okoliczności. Kosztowna Doktryna Trumana była ceną, którą Ameryka potem musiała zapłacić za ten uraz. Tylko od bardzo niedawna daje się zauważyć pod tym względem pewna zmiana w opinii. Ludzie zaczynają podejrzewać, że naród z królem może być demokratyczny i liberalny, a że republika może być najstraszniejszą tyranią.

Mocna wiara, że republikańska forma rządu, liberalne i demo-

kratyczne instytucje uczyniły z Ameryki wielki i bogaty kraj, w połączeniu ze szczodrym usposobieniem i ludzkim sercem, skłania Amerykanina do żywienia pragnienia, by tym samym systemem politycznym uszczęśliwić inne narody. Amerykanie są przekonani, iż nie ma powodu dla którego instytucje tak zbawienne dla nich, nie miałyby być równie dobre dla Włochów, Greków czy Chińczyków. Ten kompleks "misjonarski" praktykowano także w polityce. Mamy na to niezliczone dowody. Dość przypomnieć wyżej przytoczone przykłady polityki we Włoszech lub Grecji lub dzisiejszą politykę zupełnie sztucznego demokracjiowania Japonii. Przykładem na ogromną skalę jest rewolucja Sun Yan Tsena w Chinach, zrobiona pod amerykańskim wpływem i za amerykańskie pieniądze. Dzisiejsze położenie w Chinach, jest skutkiem pragnienia zaprowadzenia republikańskiego ustroju wśród 400 milionów ludzi, dla których instytucje demokratyczne i liberalne są nie tylko obce, ale zupełnie niezrozumiałe. Naprawdę były w tym szaleństwie tylko najlepsze chęci. Wyobrażano sobie, że nędza mas i ciemnota skończy się jak za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki, skoro tylko Chińczycy pozbędą się najokropniejszej formy króla — bo cesarza (w tym wypadku oczywiście cesarzowej). Nie było w tej polityce najmniejszego nawet śladu imperializmu. Chciano uszczęśliwić Chińczyków. A takie hasła jak np. "uczynić świat bezpiecznym dla demokracji", "wojna by skończyć wojny", Pakt Kelloga i inne podobne mgliste programy polityki, które złośliwi nazwali polityką "pracownika społecznego" (social worker's policy), czyż nie są krzyczącymi manifestacjami kompleksu misjonarskiego?

Praktycznie rzeczy biorąc, Ameryka składa się wyłącznie z emigrantów, względnie z ich potomków. Przybyli oni do Nowego Świata z różnych powodów; w mniejszości z powodu prześladowań religijnych czy politycznych, w ogromnej większości — dla chleba, czyli z biedy. Krytyczne nastawienie więc do instytucji politycznych i społecznych starego świata jest logicznym wynikiem takiego właśnie składu ludności. Mamy tu do czynienia z pewnym kompleksem "emigracyjnym", mający sporo przejawów w życiu Ameryki. Jednym z nich jest niechęć Amerykanów do idei narodowościowej i wyraźne skłanianie się do idei międzynarodowej. Wcale nie jest przypadkiem, że to właśnie pierwszy Wilson urzeczywistnił Ligę Narodów i że "Wielkim Zamiarem" Roosevelta było oparcie pokoju świata na organizacji bezpieczeństwa w ramach Narodów Zjednoczonych z udziałem Rosji. Roosevelt jeszcze na początku ostatniej wojny wierzył, że Rosja w dalszym ciągu wyznaje hasła międzynarodowe, głoszone na początku rewolucji bolszewickiej i będące jednym z kanonów marksizmu. Wynikło z tego moc nieporozumień z których najważniejszym są Narody Zjednoczone, gdzie Rosja jest główną przeszkodą do współpracy międzynarodowej, idei tak drogiej sercu Amerykanina. Mieszanina narodowości całego świata, stopiona w tyglu amerykańskim (mel-

ting pot), musiała upatrywać z natury rzeczy w nacjonalizmach przeszkodę do zlania się tych różnych narodowości w nowy twór, jednocześnie też, nie bez pewnej słuszności widząc w nich przyczynę odwiecznych sporów starego świata, prowadzących do ustawicznych wojen. Czyż osłabienie i zanik tych nacjonalizmów w tyglu amerykańskim nie doprowadziły do zgodnego współżycia wszystkich tych narodowości i do ich bajecznego rozkwitu gospodarczego? Filologia znowu przychodzi nam z pomocą. Niechęć do idei narodowościowej przejawia się także w języku. Oto Amerykanin ani w piśmie ani w potocznej mowie nie używa wyrażenia "naród amerykański" (American nation). Zamiast "naród amerykański" mówi się "lud amerykański" (American people) lub po prostu "Amerykanie", czy "Ameryka". Powyższe objawy były też dalszą przyczyną pewnych sympatyj dla rewolucji bolszewickiej, o której już wspomniałem, gdyż rewolucja ta głosiła zasady międzynarodowe i wyrzekła się początkowo nacjonalistycznej polityki carskiej Rosji. Amerykanin nie rozumie lub też nie ma sympatii dla pretensji terytorialnych, opartych na przesłankach narodowościowych lub historycznych i dlatego nie rozumie dlaczego Polacy np. upierają się przy Lwowie czy Wilnie i tym psują sobie stosunki z silniejszą i sąsiadującą o miedzę Rosją. Jest w tym, oczywiście, także nastawienie umysłowości kupieckiej, o którym mówiłem poprzednio.

Do połowy XIX wieku przybysze do Ameryki składali się prawie łącznie z emigrantów pochodzenia anglo-saskiego z drobną przymieszką Holendrów osiadłych w XVII wieku w New Yorku (New Amsterdam). Wszyscy oni jednak byli protestantami. Dopiero w drugiej połowie XIX wieku zaczęła napływać fala katolików, żydów, prawosławnych itd. Jednocześnie pod wpływem wychowania szkolnego, pozbawionego nauki religii, zaczęła się szerzyć obojętność w stosunku do religii, tak, że obecnie jest zapewne w Stanach Zjednoczonych około 60 milionów ludzi niechrzczonych. Najbardziej na tym musiały ucierpieć kościoły protestanckie, gdyż początkowo prawie cała ludność do nich należała. Pomimo, że protestanci wszelkich denominacji są ciągle liczniejsi, to jednak kościół katolicki przedstawia dzisiaj największą organizację religijną. W tych warunkach protestancka i anglosaska większość poczuła się zagrożona w swym stanie posiadania. Stąd też nieufność i niechęć do kościoła katolickiego, przy zachowaniu wszelkich prawideł tolerancji religijnej, bowiem w Ameryce protestanci szczególnie dbają o reputację prawdziwych liberałów. Po rewolucji bolszewickiej protestanci amerykańscy postawieni byli wobec sytuacji w której z jednej strony Sowiety likwidowały kościół katolicki u siebie, czyli osłabiały wielce niebezpiecznego przeciwnika, z drugiej Papież wypowiedział walkę komunizmowi. Dzisiaj protestanci amerykańscy zdali sobie już sprawę, że walka z kościołem katolickim w Sowietach była walką z religią w ogóle, wahają się jednak czy

zdecydowanie i otwarcie wypowiedzieć się przeciw Kremlowi i w ten sposób pójść na drogę wskazaną przez Papieża. Jest aksjomatem, że w Stanach Zjednoczonych polityka zagraniczna jest tylko funkcją polityki wewnętrznej. Tak było zawsze i tak jest do dnia dzisiejszego. Zarówno rząd jak i obydwie partie interesują się, w gruncie rzeczy tylko pytaniem czy zajęcia takiego czy innego stanowiska przysporzy czy też odejmie głosów przy następnych wyborach, które odbywają się co dwa lata. Najbardziej zbawienne dla interesów Stanów Zjednoczonych pociągnięcie polityki zagranicznej będzie zawsze zaniechane, jeżeli przywódcy partii sądzą, że może ono ujemnie wpłynąć na ilość głosów przy wyborach. Jest również pewne, że nie można prowadzić w Ameryce żadnej polityki, która jest niepopularna w kołach protestanckich, reprezentujących liczną bardzo i wpływową grupę ludności. Zajęcie zdecydowanego stanowiska przez rząd w stosunku do Sowieców było zatem utrudnione przez powyżej naszkicowane nastroje, panujące wśród protestantów posiadających wyraźne tendencje lewicowe i pacyficzne, a także antykatolickie. W tych warunkach rząd obawia się wszelkich pociągnięć, które by mogły dać powód do oskarżenia, iż nie jest dostatecznie pokojowy lub, że idzie na pasku Rzymu.

Nakreślone powyżej pewne, dosyć jednak charakterystyczne, cechy politycznego nastawienia, mają swe źródło w krótkiej, bo zaledwie 150 lat trwającej historii Stanów Zjednoczonych. Trzeba pamiętać, iż kraj ten powstał i rozpoczął życie równocześnie z powstaniem systemu kapitalistycznego i że bajeczny rozwój Ameryki szedł równoległe z jego rozwojem. Polityczna, społeczna i ekonomiczna historia tego kraju toczyła się zatem jedynie i wyłącznie w ramach państwowego ustroju republikańskiego i systemu kapitalistycznego, oraz jego odpowiednika — liberalizmu. Ameryka nie zaznała żadnego innego doświadczenia, bowiem nie przeszła praktycznie przez żaden inny ustrój czy system. Doświadczenia politycznego Amerykanina żadną miarą porównać nie można z doświadczeniem Anglika czy Włocha. Tak zwana naiwność amerykańska, o której często mówi się w Europie, jest raczej niedojrzałością polityczną Stanów Zjednoczonych.

Należy przypuszczać, że pod obuchem ostatnich doświadczeń te kompleksy, urazy i skłonność do polityki "pracownika społecznego" powoli zaczynają zanikać i z dużym prawdopodobieństwem niepopelnienia błędu można przewidzieć, iż w stosunkowo niedługim czasie umysłowość amerykańska ulegnie zmianom, zgodnie z nowymi doświadczeniami na polu polityki międzynarodowej. Należy jednak jednocześnie życzyć sobie, by zmiany te nie poszły zbyt daleko, by polityka amerykańska, realna i trzeźwa nie została pozbawiona tej nuty idealistycznej, która zawsze dźwięczała w wystąpieniach jej mężów stanu.

Leon ORŁOWSKI.

Sprawy Krajowe

Nocna z rodakiem rozmowa

Usiadł w fotelu, w kącie, w pobliżu okna i parę chwil patrzył ciekawie na również otwarte okna moich sąsiadów — w jednym poczciwy starowina pomrukiwał nad płachtą wieczornego dziennika, w drugim — o piętro wyżej — młoda panienska stuknęła pracowicie czcionkami maszyny.

— Mam ci szczerze opowiedzieć o kraju? — zwrócił się do mnie, odrywając szybko wzrok od okna. — Niełatwe zadanie!... Życie w kraju — jak wszędzie zresztą — to splot wielu problemów, z których każdy ma w dodatku co najmniej parę aspektów. W Polsce dzisiejszej jest to na pewno jeszcze bardziej skomplikowane, niż gdzie indziej, i dlatego o wiele trudniejsze do analizy i oceny. W naszych warunkach, gdy mamy przed sobą zaledwie parę godzin — całokształtu się nie ogarnie. Zwarta synteza jest też chyba niemożliwa, a gdyby nawet — to miałyby mocne piętno subiektywne. Dokonać wyboru? Czymże jednak różniłby się taki wybór od niedoskiej syntezy? Szukałem drogi i myślę, że będzie najlepiej, gdy powiem ci przede wszystkim o objawach, które każdemu dziś w Polsce rzucać się muszą w oczy i które — gdybyś jakimś cudem znalazł się tam nagle — uderzyłyby cię od razu i jak najmocniej...

— Od czegoż zacząć? Ano — chyba od tego otwartego okna. Wiem, że jestem dziś w Paryżu, wiem, że tu, we Francji, nikt pod ścianami nie podsłuchuje, a jednak... jednak czuję w tym otwartym oknie jakiś hamulec wewnętrzny!...

— Ach, nie! — powstrzymał mnie — daj spokój, nie zamykaj, tu — we Francji — ściany nie mają jeszcze uszu!... Chciałem tylko dać ci przykład, może bardzo jaskrawy, ale jak najbardziej prawdziwy. Czupurna postawa społeczeństwa?... Ulica warszawska, tramwaj, kawiarnie, rozbrzmiewające dwoicpem, kpinami, "pyskowaniem" na rząd? Tak było istotnie przed trzema, przed dwoma jeszcze laty. Od roku jednak jest cicho, jest coraz ciszej. Zanika, a raczej zanik już zupełnie warszawski

styl bycia, wyrażający się w szybkiej a ciętej reakcji. Jeszcze przed rokiem w tramwaju warszawskim mógłbyś usłyszeć przynajmniej tyle, że ktoś na czyjeś narzekania na łok odpowiadział: a, no, za to żyjemy w demokracji!.. Dziś i tego już nie ma. Dziś w tramwaju cicho jest i smętnie, chyba że wybucha chamska przeważnie awantura o nadeptnięty w ścisku nagniotek, o zgubiony pantofel, o oddarty guzik czy pęknięty w rękawie szew, bo i to się zdarza w tym nieprawdopodobnym szturmie o miejsce wewnątrz wozu!... Dziś — jeśli ktoś publicznie i głośno narzeka, krytykuje, pyskuje — to na pewno prowokator. Oto nie tak dawno jeden z moich kolegów w pociągu z Warszawy do Krakowa, w natłoczonym przedziale, wyciągany przez nieznanego towarzysza podróży na "rozmówkę" — odburknął niechętnie, a nieostroźnie: "e! i co tam gadać o tym psim naszym życiu!" Konsekwencje — wcale nie wesołe. Bo w odpowiedzi — odchyliła się kłapa marynarki z ukrytym pod nią znaczkiem agenta Bezpieki. Kawiarnie — mówię o warszawskich. Nie ma tam dziś kawiarni o typie przedwojennym, takich jak "Ziemiańska" czy "Europejska", gdzie zbierał się i siedział godzinami świat literacki czy politykujący. Dzisiejsze kawiarenki — to lokaliki małe, szczupłe, nieraz miłe i czyste, częściej — brudne i niechlujne. Jeden, dwa pokoiki. Ciasno tu, tłocznie, nawet gwarne — ciągły ruch, stale ktoś wchodzi i wychodzi, bo jest to jedyne dziś miejsce spotkań dla omówienia czy załatwienia bieżących, życiowych spraw. Siedzi się krótko, tyle tylko, ile sprawa wymaga — żadnych przy tym rozmów "zasadniczych", żadnej wymiany politycznych poglądów, bo nie wiadomo, czy przy stoliku obok nie siedzi agent Bezpieki lub jakiś gorliwiec reżimu.

Tłumaczenie tych zmian tylko lękiem przed Bezpieką byłoby niewątpliwym uproszczeniem problemu. Działają tu jeszcze inne siły i inne wpływy. Odzywa się przede wszystkim fizyczne zmęczenie. W obrazie ulicy warszawskiej uderza nie tylko szaryzna w strojach, lecz także brak uśmiechu na ustach i twarze zmęczone, raczej z wyrazem apatii zmęczonego zwierzęcia. Wyjątkiem jest tu może młodzież, ale też nie zawsze i nie wszędzie. Rzucone przez reżim hasło wyścigu pracy miało na celu, oczywiście, nie tylko wykrzesanie maksimum sił dla przyspieszenia odbudowy czy to stolicy, czy innych zniszczonych przez wojnę miast i dziedzin życia. Człowiek w dzisiejszej Polsce — urzędnik, robotnik, student — po żmudnym dniu pracy — i to w ciężkiej atmosferze, przy coraz głębszej i ostrzejszej wzajemnej nieufności — musi jeszcze brać udział w zebraniach, mających wykształcić go społecznie, musi, czy chce czy nie chce, w oznaczonym dniu iść całym biurem czy fabryką do teatru czy kina, a po przedstawieniu — nieraz nazajutrz — słuchać jeszcze musi długiej, parogodzinnej dyskusji. W rezultacie — wraca do domu tak już zmęczony, tak wyżęty z sił, że nie chce mu się już ani mówić, ani myśleć...

...I w dodatku każdy dziś w Polsce ma swego mola, który gryzie. Mola znacznie większego i potężniejszego niż kiedykolwiek.

Bo każdy, niemal co dzień, ma do rozstrzygnięcia jakiś ciężki problem moralny. Mówię tu o pokoleniu starszym i średnim. Młodzież takich moralnych problemów nie ma. Nie cała młodzież oczywiście, ale jej duży, bardzo poważny i stale rosnący odłam. Powiem o młodzieży więcej, ale później. Tymczasem — wracając do tych ciężkich problemów moralnych... Oto w moim najbliższym rodzeństwie siedmioletnia dziewczynka wraca ze szkoły do domu z pocztówkowym portretem Stalina i żąda od rodziców, by ten portret zawieszono nad jej łóżeczkiem obok obrazka Bozi. Cóż mają robić biedni rodzice? Wydrzeć portret z rąk dziecka, podrzeć go, wrzucić do kosza, a dziecku — gdyby się upierało — dać parę klapsów? Ale... czy to nie jest podstęp Bezpieki? Ale... jeśli dziecko, niechcący nawet, wygada się w klasie, że portretu nad jej łóżeczkiem zawiesić nie pozwolono?... Co mają robić biedni rodzice? Wbrew przekonaniu zawiesić portret — czy wyłumaczyć dziecku, uczyć je przy tym kłamstwa i obłudy i potem żyć w lęku przed możliwością wykrzycia tej tajemnicy rodzinnej? Reżim wymaga od obywateli nie tylko biernego poddania się, ale też i czynnego udziału w tworzeniu nowej rzeczywistości. Stąd właśnie, jak grzyby po deszczu, ciężkie konflikty moralne. Oto np. urzędnik, od którego szef wymaga i oczekuje poufnej relacji o politycznych przekonaniach kolegów. Co ma ten biedak robić? Ulec — czy odmówić i narażać się na wszystkie skutki takiej odmowy? Albo sędzia, który musi wydać wyrok skazujący nie w oparciu o poczucie sprawiedliwości, lecz pod naciskiem obowiązującej dziś "racji stanu"? Prokurator, który musi wydać nakaz aresztowania, choć widzi, że żadnych podstaw prawnych do tego nie ma? Literat czy artysta-muzyk, którego gwałtem wcieli się w skład jakiejś delegacji czołobitnej, wysyłanej na jakąś uroczystość do Moskwy? Mógłbym ci przytoczyć wiele takich naprawdę głęboko tragicznych wypadków, z datami i nazwiskami. Ale nazwisk w druku nie podasz, fakty zaś, szerzej przedstawione, byłyby również wskazywaniem palcem wprost...

...Droga do oportunistów? Oczywiście. Jest w dzisiejszej Polsce oportunistów i jeszcze gorszych od nich gorliwców więcej niż kiedykolwiek. Ale czy w każdego rzucić można kamieniem potępienia? Pytasz się, np. o aresztowania. Oczywiście, że są — i nawet liczne. Ale nie ma łapanek ulicznych, które były dla nas taką zmorą za okupacji niemieckiej. Nie ma też aresztowań na chybił-trafił. Biorą tylko tego, kto z reżimowego punktu widzenia rzeczywiście "zawinił". Donosicielstwo w Polsce, niestety, kwitnie. Ale znam wypadki takie, że Bezpieka nie reaguje na otrzymywane anonimy czy donosy, bo ocenia je za bezpodstawne, albo błahe. Zdarzają się też wypadki zwolnienia aresztowanego, jeśli się okaże, iż jest "niewinny". Nie często to — ale bywa. Stąd dla szarego obywatela praktyczny wniosek: jeśli będę siedział cicho, jeśli nie będę robił nic przeciwko reżimowi, to będę mógł pracować, zarabiać i spokojnie żyć!... Podobnie jest ze sprawą korespondencji z zagranicą. Oficjalnego zakazu w tej

dziedzynie nie ma, panuje jednak powszechne przekonanie, że nie jest to dobrze widziane przez władzę; ludzie nie chcą się narażać, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże, i pisują coraz rzadziej, lub przestają pisać w ogóle. Obserwuje się zresztą w życiu polskim skłonność — pędem tego nazwać nie można — ale skłonność do przystosowania się do rządzącego otoczenia. Coraz częściej np. widzi się ludzi, którzy usiłują przekonać kolegów w biurze, przyjaciół, znajomych, czy nawet szefów, że właściwie zawsze nosili w sobie ukryte tylko, czy zagłuszone uczucia sympatii dla komunizmu i Rosji i że tylko warunki, tylko okoliczności życiowe, nie pozwalały tym uczuciom wypłynąć na wierzch, tak, jak wypłynęły dziś. Niejeden w tych próbach okłamania otoczenia zaczyna sam przede wszystkim wierzyć w ten swój wymysł. Znam wypadki — dość liczne, — kiedy taki "wyzwoleniec" usiłuje przekonać nawet własną żonę, z którą żyje od 20 czy 30 lat i która zna go przecież na wylot. To, co mówię, nie powinno na niczych ustach tu, na emigracji, wywoływać uśmiechu pogardliwego politowania. Jest tu więcej elementów tragedii niż farsy. Oportunizm? Nie! — raczej prawo mimikry!... Czyż można nazwać oportunistą biednego zająca, który w strefie północnej, w obronie przed czyhającym niebezpieczeństwem, zmienia dwukrotnie w ciągu roku kolor futerka, w zimie dostosowując się do śniegu, w lecie — do szarobrazowych pól i pni drzewnych?... I żeby z tą sprawą skończyć. Pytasz się, czy aresztowanych biją, czy stosowane są tortury, czy więźniów i skazanych wywozi się do Rosji? Nie ma chyba kraju, w którym policja dla wydobycia zeznań nie bilaby aresztowanych. Cóż mówić o Polsce dzisiejszej! Reżim, który jest tak posłusznym i tak wiernym narzędziem w ręku Moskwy, nie może też nie stosować wypróbowanych przez nią, niezawodnych metod i środków badawczo-śledczych. Świadczą o tym publiczne "pokajania" — świadczą procesy sądowe, gdzie ludzie nie tylko przyznają się do wszelkich win, ale w samooskarżaniu idą dalej nawet, niż prokurator. Macie tutaj dość bogatą już literaturę o metodach NKWD. Szczegóły bliższe o ich polskim wydaniu mógłby podać ten tylko, kto przez to przeszedł. A w rzeczywistości polskiej dzieje się tak, że człowiek aresztowany ginie najczęściej, jak kamień w wodzie. Nie wiadomo, za co go wzięto i nie wiadomo — gdzie siedzi, nie wiadomo o co będzie oskarżony, gdzie i kiedy będzie sądzony. Mogą być tylko mniej lub bardziej trafne domysły. Za czasów niemieckich, mimo czujnego aparatu Gestapo, zawsze znalazło się drogę do nawiązania kontaktu z aresztowanym, zawsze można było wysłać i otrzymać od niego bodaj krótki gryps. Dziś mowy o tym nie ma. A jeśli nawet, w jakichś wyjątkowych wypadkach, rodzina czy przyjaciele dowiedzą się o miejscu pobytu aresztowanego czy skazanego, to i tak stać będą tylko przed niemym i głuchym murem, przez który nie przeciętnie się żadna wieść...

... Mówiliśmy o oportunizmie. Są w dzisiejszej rzeczywistości polskiej objawy stokroć gorsze od oportunizmu. Gdy się o tym

mówi — nie wolno zapominać o olbrzymiej stracie w ludziach. Policz, ilu zostało tu, na emigracji, nie chcąc czy nie mogąc do kraju wrócić. A przecież jest to tylko drobny ułamek straty. Któż to i kiedy zliczy poległych we wrześniu, w walce otwartej na zachodzie, w podziemnej w kraju, w powstaniu warszawskim? Ileż ofiar pochłonęły Katyń i Oświęcim, różne niemieckie obozy i sowieckie łagry, niemieckie łapanki i sowieckie deportacje? Chodzi tu zresztą nie o ilość tylko. Jak zawsze, tak i tu, ginęły jednostki najbardziej ofiarne, najbardziej gorące, dzielne, energiczne. Kraj pozbawiony został miazgą najbardziej wartościowego, nie zupełnie, rzecz jasna, ale w olbrzymim stopniu. Głos i przewagę w życiu uzyskały ocalałe elementy słabsze, albo i zupełnie lichy. Tych nawet zachęcać nie trzeba do kompromisów z sumieniem. Robią to sami — bez zachęty. Poza tym — pamiętaj, że kraj, w ciągu sześciu lat wojny przeżył kilka wielkich katastrof i że każda z tych katastrof połączona była z głębokim załamaniem się wiary w coś czy w kogoś. Najpierw nagła, nieoczekiwana, oszołamiąca klęska wrześniowa. Nie rozumiano istotnych powodów klęski i nawet nie szukano ich. Wystarczył skutek — wielkie państwo po trzech tygodniach walki rozsypało się w gruzy! Po wrześniu całą olbrzymią wiarę i wszystkie nadzieje przeniesiono na Sikorskiego. Nikt nigdy w polskiej historii nie skupił dokoła siebie tylu polskich serc z ich cudowną gotowością do największej ofiary i z ich również chyba jedyną w świecie naiwnością polityczną. Przyszła jednak chwila, gdy ujrzeli wszyscy, że Sikorski nie dorósł do zadań, jakie tak zachłannie brał na swoje barki, że nie potrafił osłonić Polski także i przed ciosem z rąk aliantów zachodnich. Roosevelt! Churchill! Wierzono w nich w Polsce mocniej nawet niż w Boga! Polska natchnieniem świata, i karta atlantycka i cztery wolności! A przecież przyszła chwila, gdy dwa te bożyszczka Polskę oddały w ręce sowieckie. I wreszcie wstrząs zapewne największy, powstanie warszawskie! Przycichł już i osłabł, ale dotąd przecież żyje w kraju głuchy żal — i czy żal tylko? — do Sikorskiego i jego następców, za to, że tak długo i tak systematycznie okłamywali społeczeństwo, ukrywając przed nim prawdę o stosunku Rosji do Polski i o stanie sprawy polskiej w stosunkach międzynarodowych. Rozpoczął się też gwałtowny proces rewizji poglądów i pojęć. Po raz pierwszy spotkałem się z tym bodaj nazajutrz po kapitulacji Bora, w rozmowie z uczestnikiem powstania, chłopcem 15-letnim, który przychodził do przekonania, że w okresie konspiracji głupio robił, zrywając gdzieś tam flagę niemiecką, bo nie warto było ryzykować własnym życiem, ani tym bardziej narażać otoczenia na krwawą represję niemieckie. Zaczęto poddawać coraz surowszej krytyce wszystko, co się mieściło w ramach tradycyjnego polskiego romantyzmu. Szerzyła się pogarda dla efekciarstwa, dla pięknego gestu, dla szlachetnych odruchów. A że w polskim temperamencie leży potrzeba gestu, fanfaronady, zrodził się więc — przez przekorną reakcję — jaskrawy cynizm. Nie ma już nic

świętego, i nie ma żadnych hamulców! Tu też potworzyły się legiony bardziej umiarkowanych oportunistów, tu wreszcie urodził się i dzisiejszy filister, który machnąwszy ręką na wszystko, myśli już tylko o dachu nad głową i o kęsie chleba.

... Nie zacieśniajmy jednak problemu do jednego tylko jego aspektu. Są inne. Zapewne i tu powiem rzeczy dobrze znane i tobie, i całej emigracji. Leżą one jednak u podstaw prawdy dzisiejszego życia w Polsce i dlatego trzeba zawsze o nich pamiętać. Chcę tu zwrócić uwagę na olbrzymią różnicę w metodach obu okupantów: niemieckiego i sowieckiego. Niemcy w tej wojnie swoimi metodami zjednoczyli przeciwko sobie cały naród. Znasz chyba to angielskie powiedzenie: jeden mały chłopak może zaprowadzić konia do wodopoju, ale dwudziestu dorosłych mężczyzn nie zmusi tego konia do picia, jeśli nie chce. Polska pod Niemcami to taki właśnie koń. I dlatego była krajem bez Quislinga. A Sowiety? Czego Niemcy nie potrafiliby dokonać najbrutalniejszą siłą, sowieciarze osiągnęli swoją znajomością psychologii człowieka i narodów. Po koszmarze niemieckiej okupacji sowieckie "wyzwolenie" wydawało się niewątpliwą zmianą na lepsze. Pojawiła się prasa, ukazywać się zaczęły książki, odżyły teatry, zmartwychwstały szkoły — wszystko to przy hałaśliwym łopocie biało-czerwonej chorągwi. Pootwierane urzędy pociągnęły ku sobie nie tylko oportunistów czy prostactwo, przyjmujących za dobrą monetę deklamacje o Polsce "niepodległej" i "silnej". Wielu pchał tam twardy mus życiowy, troska o byt rodziny; nie pozwolono im zresztą siedzieć bezczynnie. Wielu, idąc na współpracę, ludziło się, że za cenę zależności politycznej od Moskwy i lojalnego do niej stosunku uda się zachować jakąś niezależność w dziedzinach życia wewnętrznego. Wiele najbardziej wartościowych jednostek porwało się ze szczerym zapałem do pracy nad odbudową Warszawy i zniszczeń wojennych w ogóle, bo w ich przekonaniu była i jest to praca dla Polski. Reżim nie ograniczał dopływu, przyjmował raczej wszystkich, bo potrzeba mu było rąk, gdyż swoich miał jeszcze zbyt mało. Ale dziś...

... Dziś, w miarę dojrzewania młodzieży i tworzenia młodych kadr, pokolenie starsze coraz wyraźniej usuwane jest poza nawias. Starsze, to nie tylko ludzie 50-letni powiedzmy. Eliminuje się stopniowo wszystkich, pamiętających dobrze czasy przedwojenne. Na stanowiska nieraz bardzo wysokie wysuwani są coraz częściej ludzie młodzi, odpowiednio już w nowych warunkach urobieni i widzący czasy przedwojenne w najgorszym razie w gęstej mgle.

... Między dorastającą i dorosłą w ostatnich paru latach młodzieżą a pokoleniem starszym istnieje rozdźwięk tak wyraźny i tak głęboki, że niebawem już trzeba będzie nazwać to przepaścią. Młodzi obarczają starszych odpowiedzialnością za wszystko: i za wrzesień, i za okres konspiracji, i za powstanie warszawskie. Nie zdali egzaminu, a raczej zdali go w sposób jak najbardziej fatalny, więc jakimżeż być mogą dla młodzieży

autorytetem? Słyszy się nieraz — i to coraz częściej — jak młodzież lekceważąco, pogardliwie wyraża się o starszych.

... Reżim zręcznie i umiejętnie w swoim interesie rozdźwięk ten — poszerza i pogłębia. Ma na to i sytuację ułatwioną, i cały arsenał środków.

... Przede wszystkim nie zapominaj, że od chwili wybuchu wojny minęło już dziesięć, prawie jedenaście lat. Wielki już dziś, i stale rosnący odłam młodzieży, czasów przedwojennych nie pamięta zupełnie. Jest jak kanarek, urodzony w klatce, nie tęskni za tym, czego nie zna. Nowe formy ustroju, stosunek państwa do jednostki i jednostki do państwa, przyjmuje bez obiekcji, jako rzecz naturalną. Wszystko w porządku! — tak ma być!... Jest nawet przekonana, że w Polsce pod każdym względem lepiej jest niż było przed wojną i niż jest gdzie indziej. Starszym nie wierzy, w najlepszym razie niechętnie ich słucha. Bo "jeśli przed wrześniem było aż tak dobrze, to dlaczego skończyło się dla was aż tak źle?" Zagranicą? na Zachodzie? Może, kiedyś przed wojną, było lepiej. Ale dziś? — "policja francuska jest gorsza od Gestapo", "powojenny kryzys wywołał powszechną nędzę". Zagranicę wyjeżdżają nieliczni, najpewniejsi i jakżeż drogo za to płacić muszą. Ot, był tu niedawno, w Paryżu, Jarosław Iwaszkiewicz. Nie mógł przecież nie widzieć tego wesołego tempa, odurzającej obfitości wszystkiego, bogactwa, uśmiechniętych, zadowolonych twarzy. A jednak zaraz po powrocie, bo wczoraj właśnie przeczytałem w jakimś piśmie krajowym, ogłasza wiersz: W Paryżu głodno, w Paryżu chłodno, w Paryżu ludzie chodzą w żebraczych strzępach!... Jest to wprawdzie tłumaczenie z poety francuskiego z r. 1942 ale daty się nie podaje. Młodzież polska w kraju to czyta i święcie wierzy!... Cóż chcesz? Kropla, uparcie padając w jedno miejsce, wywiercić może dziurę w najtrwalszym kamieniu.

...Szkoly i nowy w nich system wychowania i nauczania dają rezultat taki, że nawet w rodzeństwie tworzą się dwa jeszcze nie obce sobie, ale już nie rozumiejące się i wzajemnie zdumiewające siebie światy. W wyższych zakładach naukowych, niezależnie od tego, co kto studiuje, głównym tematem dla wszystkich jest materializm dialektyczny. W szkołach średnich przedmiotem głównym jest *nauka o Polsce współczesnej*, podana oczywiście w jak najbardziej reżimowym sosie. Obowiązują trzy egzaminy z tej nauki: przy maturze, przy wstępowaniu na uniwersytet i przy magisterium. Pozwala to nie tylko wbić nowe prawdy w młode głowy jak najgłębiej, ale daje też łatwą możliwość wyeliminowania elementów niepożądanych, boć nie trudno tu postawić pytanie, na które każdą odpowiedź uznać można za błędną czy niewystarczającą. Elementem najmniej pożądanym i gęsto przesiewanym jest młodzież inteligentna; reżim stara się przyciągnąć i zasymilować tylko "najlepszą część" tej młodzieży. Celem głównym jest "wykucie kadr nowej inteligencji" spośród warstwy

robotniczej i chłopskiej. Niech tu mówią cyfry, ogłoszone w ostatnich dniach pobytu mego w kraju. Ilość szkół wyższych w porównaniu ze stanem przedwojennym wzrosła prawie trzykrotnie bo z 28 na 73, ilość studentów z niecałych 50 na prawie 120 tysięcy. W pierwszym roku "wyzwolenia" młodzież robotnicza stanowiła tu zaledwie 4%, chłopska — 11%, dziś te cyfry wzrosły w pierwszym wypadku do 33%, w drugim do 25%, co w sumie daje już zupełnie wyraźną przewagę nad młodzieżą inteligentką. Jeśli chodzi o wyniki, to według oceny profesorów, tych przynajmniej, z którymi nieraz o tym mówiłem, synowie robotników, jako element miejski, na ogół i nawet w olbrzymiej większości dotrzymują kroku młodzieży inteligentkiej. Gorzej z młodzieżą wiejską. Pomijam tu sprawę poziomu naukowego w tych szkołach, kwestii tej nie zamknę się w paru zdaniach. Nie popełnię błędu, gdy stwierdzę, że poziom się obniżył. Młodzież mimo to pracować musi dużo; nie jeden studia swoje łączyć musi z pracą zarobkową na swe utrzymanie. Otoczona jest ta młodzież nader "czułą" opieką ze wszystkich stron. Nie szczędzi się jej przy tym pochlebstw. Pewniejsi, a w praktyce — gorliwi mają szereg poważnych awantaży: przywileje w studiach, stypendia, przydziały do domów akademickich, co, w Warszawie zwłaszcza, ma wielkie znaczenie, dobrze zorganizowane wakacje i obozy letnie, po dyplomie zapewnioną dobrą pracę, awans społeczny, szybką, ułatwioną drogę do stanowisk wyższych.

... Tu, wśród tej młodzieży, oportunistów jest już niewiele, kto wie? — może nie ma ich wcale. Wprzęga się ona do reżimowego wysiłku co najmniej tak samo, jak wchodziła w pracę państwową młodzież nasza przed wojną. Obserwuje się tu nawet coraz częściej siłę przekonania, szczery zapał, nawet entuzjazm. Bo młodzież to mimo wszystko polska! Jeśli wyszydzą, potępiani, wyklinani z życia tradycyjny polski romantyzm żyje jeszcze, to właśnie tu, podobnie jak żyje w wysiłku zbiorowym nad odbudową stolicy. Osiągnięcia reżimu nie mogą tej młodzieży nie imponować, tym bardziej, że właściwej skali porównawczej brak. Propaganda reżimowa w hałaśliwej reklamie osiągnięć nie uznaje ani przerw, ani umiaru. Po przyjeździe do Paryża zainteresowałem się sprawą odbudowy zniszczeń wojennych we Francji. Porównawczo rzeczy biorąc, stwierdziłem już, że tu zrobiono w tej dziedzinie, jeśli nie więcej, to co najmniej tyle, co w Polsce. A jednak prasa tutaj — szła albo wcale o tym nie pisze, albo rzadko i mało. Reżim zresztą nie dopuściłby do kraju dodatnich wiadomości o życiu i osiągnięciach Zachodu. Skalą porównawczą może więc być albo wypaczony obraz życia na zachodzie, albo statystyka z Polski przedwrześniowej. I chcesz czy nie chcesz, ale stwierdzić musisz, że w wielu, w bardzo wielu dziedzinach rozmach w inicjatywie i osiągnięty rezultat jest wielokrotnie większy. Wymienię tu choćby walkę z analfabetyzmem, rozbudowę szkolnictwa na wszystkich szczeblach, stworzenie gęstej

sieci bibliotek, upowszechnienie teatru, olbrzymie nakłady i prasy codziennej i wydawnictw książkowych.

... Imponuje to nie tylko młodzieży. Weź dla przykładu architekta ze starszego pokolenia. Przed wojną biednyzydent Starzyński w swym dążeniu do pięknej Warszawy spotykał się co krok z przeszkodą nie do pokonania. Dziś architekt może skrzydła rozwinąć tak szeroko, jak chce. Nie tylko dlatego, że Warszawa leży w gruzach i że przestało działać prawo własności prywatnej. Dziś architekt w tydzień po zatwierdzeniu projektu już go może realizować, już ma pieniądze, ludzi, materiał, ma wszystko. Znam wypadek, gdy na żądanie architekta uruchomiono specjalnie dla niego, i to w ciągu paru dni, nieczynne kamieniołomy. W ostatnich dniach pobytu mego w Polsce prasa z hałaśliwym entuzjazmem przyjęła zapowiedź wybudowania pod Krakowem nowej huty i wielkiego "stutysięcznego miasta socjalistycznego". Jedni, nie rozumiejąc wewnętrzno-politycznych motywów takiego wyboru, dziwią się: dlaczego Kraków? Inni, martwią się o Wawel i Barbakan — jak "czuć się" będą w nowym otoczeniu? Ale nikt w Polsce nie wątpi, że reżim to zrobi. Może z opóźnieniem, może nie w 100%, ale robi na pewno.

... Nie chcę wywołać wrażeń, że w tej wyprawie na krajową łakę umiem zbierać tylko jednobarwne kwiatki. Nie odwracam oczu i od strony odwrotnej medalu. Imponujące ogółowi osiągnięcia reżimu przetkane są aż nazbyt gęsto niepowodzeniami, błędami i brakami, których ludność nie może nie dostrzegać i które musi mniej lub bardziej dotkliwie odczuwać. Mówiłem o architekcie, dla którego uruchomiono nieczynne kamieniołomy. Znam jednak wielu innych, którzy nawet skromne projekty realizować mogą tylko w zółwim tempie: tu nie ma na czas potrzebnych materiałów, tam nadchodzi materiał w lichym gatunku lub zgoda nieodpowiedni, gdzie indziej miesiącami czekać trzeba na techniczne środki czy fachowych pomocników lub pracować w warunkach jaskrawego prymitywu i dyktantyzmu. Niejeden architekt czy inżynier, już w trakcie opracowywania swych projektów, szarpany jest przez męczące wątpliwości. Władza lubi wysoki lot i szeroki rozmach. Projekt skromny, dostosowany do realnych warunków i możliwości, będzie na pewno odrzucony. Dwa, trzy takie niepowodzenia — to już bieda, klęska, niebezpieczeństwo. A projekt śmielszy stwarza sytuację jeszcze groźniejszą. Bo w wypadku trudności i przeszkód w realizacji tak łatwo narazić się można na zarzut "niedołężstwa" — "świadomej złej woli" — "szkodnictwa". Nikt w Polsce nie jest pewny jutra, nikt nie może spać spokojnie. Dyrektor fabryki zawędrować może do kryminału nie tylko za "niewykonanie" wygórowanego planu — ale też "za brak dozoru" — np. za brak gaśnic przeciwpożarowych, choćby się wykazywał przy tym rozległą korespondencją, że pamiętał, starał się, zabiegał, ale wszędzie bezskutecznie. Administrator majątku państwowego, tzw. "sowchozu", może być aresztowany,

sądzony i skazany za... nieurodzaj lub za wybuchłą epidemię wśród trzody...

Zdarzają się dość często i "skandale". Nie mało np. szumu wywołała sprawa nieprzygotowania w zeszłym roku na czas książek szkolnych i podręczników uniwersyteckich, co oczywiście musiało pociągnąć za sobą niemożliwe do ukrycia konsekwencje w toku i w wynikach nauczania. Zresztą — o niedociągnięciach, błędach, brakach mówi się co prawda głośno, pisze się nieraz gwałtownie, ale trwa to krótko. Ale za to osiągnięcia otacza się reklamą nieustanną, krzykliwą, nie uznającą umiaru. Działa ona tym skuteczniej, że uderza w strunę uczuciową. A stąd już prosta droga do zbiorowej sugestii. Brak przy tym ludziom i tu jakiegokolwiek skali porównawczej. Jeśli nawet ktoś — odporniejszy na sugestie — dostrzeże gdzieś jakieś błędy, wady, niedociągnięcia — np. w tak reklamowanej trasie W-Z, — to, słysząc dokoła siebie same tylko zachwyty — zaczyna nie wierzyć samemu sobie, zresztą w takich wypadkach siedzi cicho, bo krytyczna ocena nie należy do rzeczy bezpiecznych. Mimo to nastroje nieufności, niechęci, nieprzejednanego, a nawet wrogiego stosunku do reżimu rozlane są w kraju szeroko i nawet głęboko. Muszę tu stwierdzić i nawet mocno podkreślić fakt, zapewne przykry, ale w kraju rzucający się w oczy na każdym kroku. Robotnik i chłop i w ogóle tzw. doły społeczne w postawie swej wobec sowieckiego okupanta i narzucanych przez niego nowych form życiowych, wykazują znaczenie więcej niż inteligent, odporność, znacznie więcej niezłomności i odwagi. W urzędach, na niższych szczeblach, obsadzonych przez "pół" czy "ćwierć" inteligentów pochodzenia robotniczego i chłopskiego, zdarzają się dość często wypadki nie powiem sabotażu, ale obchodzenia reżimowych przepisów, patrzenia przez palce, robienia małych rzeczy nowym władcom "na złość"... Znaczenie gorzej jest z inteligencją. Już i za polskich czasów wyróżniała się ona serwilistycznym stosunkiem do rządu-chlebobdawcy. Dziś nie tylko w przypochlebnej swej postawie, ale i w płaszczeniu się dochodzi do granic, do których nigdy nie posunie się żaden robotnik i żaden chłop... Inteligencja nasza w kraju jest w ogóle bezbronna i bezradna wobec nowej rzeczywistości. Cóż chcesz? W Polsce, w kraju o tak płytkim stosunku nawet do katolicyzmu, bez głębszej kultury filozoficznej, inteligencja nie ma po prostu nic, co by przeciwstawić mogła filozoficznej bądź co bądź doktrynie marksizmu.

... Pytasz się o stosunek do przeszłości. Dla młodzieży problem ten tak dobrze jak nie istnieje. A starsze pokolenie? Ludzie w kraju przeżyli tyle katastrof, tyle wstrząsów, tyle zmian tak głębokich i zasadniczych, że ta przedwojenna Polska wydaje się już epoką niezmiernie odległą. Cóż? Przyjeżdżają ludzie do Krakowa, idą na Wawel, stoją nad trumną Piłsudskiego, ale jest on dla nich tak już daleki, jak leżący obok Kościuszko czy książę Józef. Zatraciły się też przedwojenne

linie podziałów. Namietności wygasły. Nie ma oddźwięku dla spraw przebrzmiałych i umarłych. Myślę, że nas — ciebie i mnie — w Polsce niepodległej nici żywsze łączyły z treścią walki "białych" i "czerwonych" przed powstaniem stycznym. Tym zanikiem łączności tłumaczyć możesz fakt, że reżim nie robił i nie robi procesów politycznych, w których aktorami i ofiarami byłiby ludzie Polski przedwrześniowej. Reżim walczy o teraźniejszość i przyszłość. Po co grzebać się ma w przeszłości, jeśli w masach nie ma z tą przeszłością niebezpiecznych dla niego związków. Prawda, — są postacie, o których się nie mówi — Piłsudski np., są wydarzenia, jak rok 1920, spychane w zapomnienie, są zagadnienia zakazane — jak sprawa kresów wschodnich. Jest ze strony reżimu w ogóle olbrzymi wysiłek w kierunku zakłamania całej naszej przeszłości. Ludzie, przybyli z zewnątrz, — starają się wykazać, że nie są czymś obcym, że przeciwnie, są krwią i kością z kości polskiej. No bo był przecież przed trzema stuleciami Kostek Napierski, był przed wiekiem ksiądz Ściegienny, byli "komunardzi" paryscy Dąbrowski i Wróblewski... Przy reżimowej metodzie kłamstwa historycznego czy tendencyjnej interpretacji w walce o dusze, poprzednikiem dzisiejszych bierutowców jest i Kościuszko i Mickiewicz i Konopnicka i setki innych. Do swoich "poprzedników" zalicza reżim np. i Okrzeję i Mireckiego, choć ginęli na szubienicy z okrzykiem: "precz z moskiewskim najazdem!"... Sikorski również wprzagnięty został do tego rydwanu... Sieć reżimowa zagarnia wielu, by łagodzić i zabić w czasie panujące dłań w masach poczucie obcości. Nie każdego to przekona, ale też nie wszyscy są na to odporni i bardzo wielu — młodzież zwłaszcza — jak ryba, połyka ten haczyk...

...Zanikowi zainteresowania do przedwojennych linii podziałów towarzyszy podobny proces w stosunku kraju do emigracji. Przypominasz sobie, z jaką furją walczył reżim z wami w początkowym okresie. Dziś nie przywiązuje już do was większego znaczenia. Nie dlatego, abyście zmarnieli tutaj. Ale dlatego przede wszystkim, że nie jesteście już dla kraju, dla dwóch starszych w nim pokoleń, tym czym byliście przed pięć laty.

... Nawet w wyborze metod walki z wami kierowano się uczuciami, jakie grały w masach w kraju. Przypomnij, ile było hałasu z tego powodu, że nie chcecie wracać i nie chcecie pomóc w odbudowie kraju. Dziś pretensje te zelżały. Ogół w kraju uważa was teraz raczej za gałąź uciętą i skazaną na zeschnięcie. W możliwość, a zwłaszcza w skuteczność waszego politycznego działania nie wierzy. Odzywają się tu wszystkie wojenne rozczarowania i zawody. Jest w tym coś z krajowego stosunku młodych" do "starych": emigracja w czasie wojny tak fatalnie pokierowała sprawami Polski, więc cóż lepszego zrobić mogą ci sami, zgrani, ludzie w nowych, znacznie trudniejszych warunkach?... Kraj nie wiele wie o was. Nie zrozumiałby nikt w kraju ani waszych tu podziałów na

walczące obozy, ani waszych zacietrzewionych sporów. Absolutnie nikogo to nie obchodzi: żyje się tam w zgoła nowych warunkach i każdy ma wyżej głowy swoich codziennych spraw, trosk, kłopotów. Nowa rzeczywistość narzuciła zgoła inne problemy, wykreśliła nowe kierunki dla myśli. Mówi się o was mało, a raczej nie mówi się wcale. Oczywiście, że istnieje zrozumienie dla potrzeby istnienia poza krajem, w wolnym świecie, ośrodka niezależnej myśli polskiej i politycznego działania. Tylko, że kraj nie sądzi, aby wasz powtórnny egzamin był mniej fatalny... Reprezentacji swoich spraw nie powierzyłby wam na pewno, tym bardziej, iż bardzo często widzi, jak dalece przestaliście go rozumieć, jak dalece nie wyuczucie tego, co on myśli i czuje.

... Skąd kraj o tym wie? Z waszej prasy, z waszych wydawnictw. Czy docierają? Słowo drukowane nie uznaje dla siebie ani sieci, ani kordonów. Nie wiem, jak to się dzieje, nie wiem jakimi drogami, ale docierają jednak wasze wydawnictwa. Niewiele tego, ale zawsze jest. Ludzie nie chwalać się tym, nie powtarzają treści, nie pożyczają, chyba tylko najwierniejszym, wypróbowanym przyjaciółom. Ogół jednak dowiaduje się o waszych publicystycznych wystąpieniach tylko z przedruków w prasie reżimowej, przedruków — muszę stwierdzić — nie fałszowanych i nawet w wyjątkach cytowanych w zasadzie uczciwie. Oczywiście, przedrukowuje się tylko to, co jest waszym poślizgnięciem się czy potknięciem, co was może ośmieszyć, ukazać w jakimś farsowym świetle. Jeśli chodzi o pisma, które miałem w kraju w rękę i o których z przyjaciółmi nieraz mówiłem, to z wdzięcznością przyjmowane są i uważnie czytane artykuły np. Hostowca o Niemczech, sprawozdania z książek ukazujących się zagranicą, zwłaszcza M. Sokolnickiego, bo w kraju takiej literatury nie ma, i przyczynki do najnowszej historii Polski. Pamiętnik Sławoja zadziwił nie tyle swoją treścią, co ukazaniem się w ogóle. To samo — wiersze Rydza. Nikogo nie zainteresowało szastanie się Wańkowicza po małym, ciasnym podwóreczku emigracyjnym, "zmartwienia pesymisty" Zbyszewskiego przyjęto jako żywy dowód, że emigracja wcale kraju nie rozumie i nie odczuwa. Jak najgorsze wrażenie zrobił w kraju artykuł — nie pamiętam dobrze — zdaje się Terleckiego, dający bilans cierpień Polaków podczas wojny. Do wściekłości doprowadzają ludzi artykuły, wałkujące pokłócone sprawy waszego tu Grajdołka. W kraju mieć wasze pismo w rękę — to nie żarty. I mają ludzie się narażać na to, by w te wasze martwe spory wchodzić?! Przypomina to — toutes proportions gardées — czasy niemieckiej okupacji, kiedy ludzie pod groźbą śmierci zbierali się w piwnicy by słuchać radia polskiego z Londynu, a słyszeli — bzdury!...

... Czy radia słucha się dziś? Owszem, nawet chętnie. To nie jest ani zakazane, ani karane. Ale niewiele tylko ma dobre, silne odbiorniki, ci zaś co mają, nie zawsze mogą słuchać, bo czasu brak. Najchętniej słuchają Londynu, "Głos Ameryki" oce-

nia się powszechnie jako nudny i robiony nieporadnie. Radio madryckie upaja starszych wiekiem i najbardziej nieprzejednanych wobec reżimu. Ludzie, słuchając, szukają przede wszystkim wiadomości ze świata, od którego są odcięci. Niewielu się orientuje w tym, że nie jest to głos polski, lecz głos angielskiej, amerykańskiej czy hiszpańskiej propagandy. Radio londyńskie, cieszące się największym powodzeniem, jest prawie powszechnie uważane za dalszy ciąg wojennych audycji polskich... Oczywiście — o radiu, jak i o waszych pismach — mówię tylko o wrażeniach z ograniczonego zasięgu moich osobistych stosunków i znajomości.

... Wojna... ta, która wisi nieuchronnie nad światem i niewiadomo tylko, kiedy wybuchnie. Kraj na pewno jej nie chce i myśli o niej z lękiem. W lęku tym odzywają się zbyt jeszcze świeże wspomnienia przeżytych koszmarów. Nie odbudowuje się Warszawy po to, by była świeżym, ładnym celem dla lotnictwa i artylerii. Dochodzi tu do głosu i instynkt samozachowawczy. Kraj wie i czuje, że po tak straszliwym upuszcie krwi, nowy jej przelew, to już tyle, co samobójstwo. Poza tym cóż oprócz nowych zniszczeń i nowych ofiar dać może ta wojna?... Paniuje w kraju powszechne, głębokie przekonanie, że świat anglosaski chce i będzie robił tę wojnę niemieckimi przede wszystkim rękami, a Niemcom za ich udział zapłacić można tylko kosztem Polski. Kosztem jej zachodnich ziem, w które, choć świeżo odzyskane, włożono już tyle serca!... To także odbija się na stosunku do zagadnienia. Zresztą — kraj równie dobrze rozumie, że i Rosja także — w razie konfliktu — będzie kosztem Polski przeciągała Niemców na swoją stronę. Więc — cóż dać może wojna?...

...Słuchałem z tobą wczoraj czyjśgo przemówienia radiowego z Londynu. Ktoś mądry wzywał kraj do rozwagi i ostrożności. Cóż za dziwaczne nieporozumienie. To raczej kraj do was powinien zwracać się z takim apelem. Byście nie byli tak skorzy do szafowania polską krwią — na pierwsze skinienie obcych, jak w latach wojny! Mówiłeś mi wczoraj o ukutym tutaj, u was, terminie: "czechizacja". Myślę, że raczej przywędrowało to tu z kraju. Mówi się tam istotnie dużo i często o zachowaniu się Czechów w tej wojnie, jako wzorze do naśladowania. Czechizacja! Po co takie noowtwory — jeśli w swoim słowniku historycznym mamy: pozytywizm warszawski i postycyzniową ugodę. Po co Benes czy Hacha — jeśli — pamiętasz? — ze swych studiów oczywiście — ową delegację szlachty, która w r. 1867 — po zamachu Berezowskiego na cara w Paryżu — pośpieszyła do Petersburga nie tylko z "wyrazami oburzenia" — ale i z "zaproszeniem" cesarza do Warszawy, aby tam go za ten zamach przeprosić. A hrabia Plater, a biskup Zwierowicz — i Kulwiński, i Suchecki — asystujący tak gorliwie w Wilnie przy odsłonięciu pomników Murawiewa i Katarzyny!... I trójlojalizm postycyzniowy, i ta nasza dumna Warszawa, w sierpniu roku 1914? I pamiętasz Legiony? I ten straszliwy — w ca-

łym rosyjskim zaborze — mur obojętności, niechęci, lęku, nawet wrogości dla tej garstki żołnierzy Piłsudskiego. Tak było! — skutki klęski styczniowej. Murawiew, który wżarł się w mózgi polskie jako “bezprzykładny” okaz “sadyzmu politycznego” — czegoż dokonał? Tylko w poezji martyrologicznej, tylko w łązawej deklamacji szubienice jego stały “gęściej na Litwie, niż krzyże mogilne”. W rzeczywistości wydzwignął tych szubienic tylko 360 i tylko 70 tysięcy osób deportował!... Cóż to jest w porównaniu z tym, co kraj cały i naród przeżył w tej wojnie: Katyń, deportacje z kresów... Po co mówić o “czechizacji”, kiedy stoją otworem stare, dobrze przez nas wydeptane szlaki postyczniowe.

... Więc jeśli stan dzisiejszy jest duszącą niewolą, a lęk budzi się na myśl o wojnie, która przynieść może wolność, — to czegoż kraj chce? Pytanie strasznie trudne. Ale myślę, że najlepiej jeszcze odpowiedzą na to dwa słowa: trwać i przetrwać!...

WŁ. POBÓG-MALINOWSKI.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönau
US Zone, Germany.

Ustawa o socjalistycznej dyscyplinie pracy

Warszawski Dziennik Ustaw z 5 maja br. zawiera niedawno ogłoszoną ustawę o “zabezpieczeniu socjalistycznej dyscypliny pracy”, w streszczeniu znaną już z różnych komunikatów prasowych i radiowych. Zasluguje ona niemniej na bliższe omówienie ze względu na światło, jakie rzuca na ustosunkowanie się reżimu komunistycznego do społeczeństwa w ogóle, a do świata pracy w szczególności. Pod kątem widzenia prawnym ustawa stanowi dziwną mieszaninę przepisów prawnych i frazesów ideologicznych, mających przysłonić fakt, że stworzono nowy, wyjątkowo niebezpieczny, instrument dla pozbawienia świata pracy praw, które wywalczył sobie na całym cywilizowanym świecie, a które polega m. in. na tym, że pracodawca nie może być równocześnie sędzią uprawnionym do wymierzania kar za przekroczenie służbowe. Równocześnie jest to jawne przekreślenie prawa strajków, które od roku 1945 co prawda i tak tolerowane nie były, ale którego przekreślenie w żadnym razie nie mieści się w ramach przepisów konstytucji z 1921 r. teoretycznie wciąż jeszcze obowiązującej.

Zacznijmy od frazesów czyli od wstępu ustawy, które podajemy w dosłownym brzmieniu: “W Polsce Ludowej klasa robotnicza, świadoma swych praw i obowiązków gospodarza kraju, nadaje dyscyplinie pracy nową socjalistyczną treść.

“Przytłaczająca większość pracowników i robotników przemysłowych pracuje sumiennie i z zapałem, daje wyraz swojemu socjalistycznemu stosunkowi do pracy i przyczynia się do wzmocnienia sił ludowej Ojczyzny.

“Są jednak jednostki, które — naruszając dyscyplinę pracy — postępowaniem swoim obniżają skuteczność ofiarnej pracy swych współtowarzyszy i wpływają hamująco na dalszy ciągły wzrost dobrobytu i kultury mas pracujących. Do szczególnie szkodliwych naruszeń dyscypliny pracy należy opuszczanie dni pracy bez usprawiedliwionej przyczyny.

“Mając na względzie, że przestrzeganie socjalistycznej dyscypliny pracy jest nieodzownym warunkiem realizacji planu pięcioletniego, zgodnie z interesami i postulatami klasy robotniczej, stanowi się co następuje:

art. 1. Każdy pracownik fizyczny czy umysłowy bez względu na zajmowane stanowisko i rodzaj wykonywanej pracy, zatrudniony w uspołecznionym zakładzie pracy, instytucji lub urzędzie, powinien być pociągnięty do odpowiedzialności w/g przepisów niniejszej ustawy za naruszenie dyscypliny pracy, przez nieusprawiedliwione opuszczenie dni pracy”.

Dalsze przepisy precyzują, że spóźnienie równa się opuszczeniu dnia pracy i zapowiadają rozporządzenie Rady Ministrów,

w którym wyliczone będą przypadki kiedy nieobecność może być uznana za usprawiedliwioną. Przewiduje się kary porządkowe i sądowe.

Kary porządkowe polegać mogą na naganie, na potrąceniu z wynagrodzenia za każdy opuszczony dzień pracy, przeciętnego zarobku za jeden lub dwa dni pracy, oraz na przeniesieniu do pracy "niżej szeregowanej" na okres nie dłuższy od miesiąca.

Kary najwyższe stosuje się jeżeli opuszczono częściowo lub całkowicie nie więcej jak trzy dni w ciągu roku.

Począwszy od opuszczenia czterech dni stosowane będą kary sądowe, mogące polegać na tym, że pracownikowi potrącać można przez 3 miesiące do 25 proc. zarobku z tym, że nie może w okresie karnym opuszczać miejsca pracy.

Kary porządkowe są wymierzane i wnioski sądowe o ukaranie pracownika są stawiane przez kierowników zakładów pracy, którzy działają po zasięgnięciu opinii przedstawiciela zarządu zakładowej organizacji związkowej, czyli Partii Komunistycznej. Kierownik zakładu, który w przekonaniu władzy traktować będzie sprawę zbyt liberalnie, karany będzie "karą aresztu do trzech miesięcy lub, grzywną do 150.000 złotych". Tej samej karze podlega kto umyślnie poświadczając nieprawdę co do okoliczności usprawiedliwiających opuszczenie pracy. Według oświadczeń wiceministra zdrowia ten ostatni przepis dotyczyć będzie również lekarzy, stwierdzających zbyt liberalnie niezdolność do pracy ze względu na zły stan zdrowia.

Po streszczeniu najważniejszych przepisów ustawy zastanowić się trzeba nad mechanizmem jej wykonania. Mechanizm ten jest prosty i polega na zorganizowanym donosicielstwie. Robotnicy, którzy nie doniosą władzy o oddaleniu się ich kolegi od pracy mogą być pociągnięci do odpowiedzialności karnej, kierownicy zakładów zbyt ludzcy ryzykują swój byt, lekarze, stwierdzający chorobę stoją przed groźbą, że ich partyjni kolezdy wydadzą odmiennie od nich fachowe opinie. Tego rodzaju ustawa mogłaby, nawet w normalnych warunkach gospodarczych, zamienić każde miejsce pracy w obóz koncentracyjny. Ale tych normalnych warunków pracy w Polsce nie ma. Żaden robotnik nie może przy dzisiejszych zarobkach utrzymać siebie i rodziny — musi dorabiać, — żona musi przyjmować pracę zarobkową bez względu na to, że w domu są dzieci oraz bez względu na to ile czasu spędzać musi w ogonkach przed sklepami. Urzędnicy wszelkiego typu mają i muszą mieć po kilka posad, aby żyć, — całymi dniami pędzą z jednej na drugą, spóźniając się wszędzie. Dodajmy do tego, że w większych miastach istnieją nieobliczalne warunki komunikacyjne. Jest rzeczą oczywistą, że o całkowicie regularnej pracy w tego rodzaju stosunkach mowy nie ma i że z ustawą czy bez ustawy nie zdoła się jej zapewnić. Nowa ustawa zawieszona natomiast

nad każdym pracownikiem groźbę kary, każdego zmusza do potulności, bo nie będzie takiego, który będzie bez winy. Nowa ustawa zmierza nadto do wbicia klina między przedstawicieli inteligencji, do której należą przeważnie kierownicy zakładów, lekarze itp. i rzeszą robotników oraz zmusza do szukania ochrony u partyjnych przedstawicieli zakładowej organizacji związkowej. Jak dla ironii stwarza nowa ustawa nie tylko bicz, który uderzyć może każdego, ale i cukierek który przypaść może w udziale najgrzeczniejszym: art. 2 przewiduje, że "Pracownicy wyróżniający się nienaganną dyscypliną pracy w ciągu trzech lat kolejnych powinni być przedstawieni do odznaczeń i nagród, corocznie ustalanych przez Radę Ministrów za wzorową dyscyplinę pracy".

Gdyby świat zachodni potrafił prowadzić propagandę, tłumaczenie ustawy winno być rozplakatowane we wszystkich miejscach pracy w krajach zachodnich. Tłumaczy ona lepiej niż liczne kosztowne wydawnictwa na czym polega życie za Żelazną Kurtyną.

M.

Nowe prawo rodzinne w kraju

Nowe prawo rodzinne, którego wprowadzenie pod nazwą "Kodeksu Rodzinnego" jest w Kraju przygotowywane, zaskługuje na uwagę z punktu widzenia formalno-kodyfikacyjnego (nowe prawo obejmować będzie całokształt stosunków rodzinnych, odpowiadając co do swego zakresu czterem obowiązującym obecnie dekretem: o prawie małżeńskim, prawie małżeńskim majątkowym, prawie rodzinnym i prawie opiekuńczym), ale i z punktu widzenia merytorycznego, — projektowane prawo wprowadza bowiem wiele interesujących innowacji. Niektóre z tych zmian mają być zgodne, jak pisze prasa reżimowa, z "wymogami społeczeństwa budującego socjalizm", ale po przyjęciu się im bliżej, widzimy, że niektóre z nich mogą być przyjęte nawet przez niesocjalistyczne społeczeństwo.

Rozwody

W porównaniu z prawem małżeńskim z 1945 r. projekt dąży do zmniejszenia liczby rozwodów. Zasada jest trwałość związku małżeńskiego, a rozwód nastąpić może tylko wtedy, gdy "między małżonkami nastąpił z ważnych powodów zupełny i trwały rozkład pożycia małżeńskiego". Jak powiedział prof. Jan

Wasilkowski w referacie swym na I Sesji naukowej wydziału prawa Uniwersytetu Warszawskiego w styczniu 1950 r. "prawo socjalistyczne broni trwałości związku małżeńskiego, jakkolwiek nie uznaje nierozzerwalności związku małżeńskiego".

Minister sprawiedliwości Świątkowski oświadczył, że kodeks ten jest wzorowany na ustawodawstwie sowieckim.

W Rosji dawne prawa z zarania rewolucji o wolnych związkach, o ułatwionych rozwodach przeprowadzanych przed urzędami stanu cywilnego, — należą do przeszłości. Nowy sowiecki kodeks rodzinny z 1944 r. przyniósł poważne utrudnienia w zakresie rozwodów. Kodeks ten skasował właściwie instytucję "małżeństw de facto", wprowadził trudne do przezwyciężenia przeszkody rozwodu, obciążył strony rozwodowe wygórowanymi wpisami sądowymi, wreszcie przekazał sądom wydawanie wyroków rozwodowych (poprzednio sprawy te należały do właściwości urzędów administracyjnych).

Tendencje usiłujące utrwalić życie rodzinne, datują się jeszcze od 1936 r. i niewątpliwie kryje się za nimi dążenie do powiększenia ludności w państwie. Populacyjne względy natury państwowej musiały wziąć górę nad tak modnymi w zaraniu rewolucji teoriami pani Kołontaj (przepracowanymi później przez Wolfsona i Swiętłowa) w zakresie wolności seksualnej i wychowania dzieci przez państwo jako reguły¹⁾

Forma cywilna małżeństwa w Polsce (wprowadzona w 1945 r.) pozostaje niezmienną. Jak wykazuje statystyka, wiele małżeństw korzystało i korzysta nadal z możliwości rozwodowych, choć z drugiej strony, jest faktem bezspornym, że przeważna część społeczeństwa uznaje sakralną formę małżeństwa i jego nierozzerwalność.

Stosunki majątkowe między małżonkami

Prawnym systemem stosunków majątkowych między małżonkami (tzn. w wypadku nie zawarcia intercyzy), jest tzw. wspólność mienia dorobkowego. System ten stanowi, że wspólny majątek obojga małżonków stanowią przedmioty majątkowe nabyte przez któregokolwiek z małżonków w czasie trwania małżeństwa. System wspólności mienia dorobkowego, zdaniem prawników reżimowych, chroni interesy kobiety w małżeństwie znacznie lepiej, niż wszystkie inne znane nam systemy²⁾.

1) Również względy polityki populacyjnej skłoniły rząd sowiecki do krytycznego ustosunkowania się do koedukacji oraz do skasowania poważnego procentu szkół koedukacyjnych. W rok później wprowadzono zasilki dla liczniejszych rodzin oraz dla niezamężnych matek z większą ilością dzieci. (Por. "Soviet Legal Theory" by Dr Rudolf Schlesinger, London 1946, str. 104, 232 - 234).

2) Prof. Jan Wasilkowski w powoływanym wyżej referacie na I sesji naukowej wydz. prawa U.W. (ogłoszonym w "Państwie i Prawie", kwiecień 1950), — pt. "Stosunki prawne między małżonkami w prawie socjalistycznym", wypowiada się przeciwko pozostawianiu w

Patrząc na te sprawy obiektywnie, należy ocenić rząd (system) wspólności dorobku małżeńskiego za najwłaściwszy w czasach obecnych. Jednak objawem najwyższej megalomanii, żeby nie powiedzieć zakłamania, jest twierdzenie pp. warszawskich "kodyfikatorów", jakoby te pozytywne fragmenty i postępowe idee, jakie znajdujemy od czasu do czasu w ich opracowaniach, były przez nich stworzone czy wynalezione. W okresie międzywojnymi, nasi najświetlejsi prawnicy długo a sumiennie pracowali nad tym, by stworzyć projekt, z którego obecnie, jak z gotowego, reżim może korzystać. Projekt prof. Lutostańskiego, jeśli chodzi o majątkowe problemy małżeńskie, był najnowszym słowem nauki i postępu, i gdyby nie wojna, byłby już na pewno dawno wprowadzony w życie".

Z innych ciekawostek nowego prawa wspomnieć należy o usunięciu z kodeksu instytucji zaręczyn, jako "instytucji będącej pozostałością ustroju kapitalistycznego".

Z innowacją tą można się zgodzić, przede wszystkim dlatego, że chodzi tu o instytucję przestarzałą i obecnie nieużywaną. Nie wiem, czy na przestrzeni ostatniego 30-lecia choć raz jeden była w użyciu forma zaręczyn jako aktu uroczystego w obliczu prawa. Mówimy oczywiście o zaręczynach przewidzianych w przedwojennych kodeksach, uwarunkowanych specjalną formą uroczystą, a nie o zaręczynach zwyczajowych, będących raczej uroczystością familijno-towarzystwą, świętowaną w najbliższym gronie rodziny i przyjaciół, czy też tylko między narzeczonymi.

Równouprawnienie kobiety?

Przy zachwalaniu w Kraju nowego projektu, wyjątkowo wiele się mówi o równouprawnieniu kobiety, które rzekomo tylko w "nowym ustroju" będzie mogło mieć miejsce. Powoływane przez prasę reżimową zrównanie płacy kobiet i mężczyzn, tworzenie żłobków i przedszkoli dla dzieci, nie jest niczym innym jak pogarszaniem sytuacji kobiet pracujących, którym jednocześnie przydziela się pracę zdatną właściwie tylko dla mężczyzn. Dwa miesiące temu delegaci brytyjskich związków zawodowych spędzili po kilka dni na wizycie w Moskwie, gdzie oprócz różnych rzeczy, specjalnie im podsuniętych, widzieli również kobiety pracujące ciężko w zawodach, które według pojęć angielskich

Kodeksie Rodzinnym instytucji małżeńskich umów majątkowych, jako wytworzonych "historycznie w interesie klas posiadających, które ze zrozumiałych powodów traktują małżeństwo... jako transakcję majątkową". Ciekawe, że referat prof. Wasilkowskiego, jak sam autor jego przyznaje, ma "w pewnym zakresie charakter samokrytyki". W dyskusji, jaka się wywiązała po referacie, prof. Wasilkowski przyznał, że referat jego "nie wykazał dostatecznego opanowania metody dialektycznej", natomiast, jak dalej prof. W. twierdzi, "to co jest obowiązkiem najbardziej podstawowym i najtrudniejszym w dziedzinie prawa majątkowego, a mianowicie klasowe ujęcie poszczególnych instytucji — zostało w ... w referacie jasno postawione" (podkreślenia moje).

(delegaci w wywiadach prasowych po powrocie wyraźnie to stwierdzili), absolutnie dla kobiet się nie nadają.

Według statystyki sowieckiej, kobiety stanowią w ZSSR 40% ogólnej liczby pracowników zatrudnionych w przemyśle i transporcie. Praca tych kobiet na pewno nie jest łatwa, obowiązki zaś rodzinne stawiają pod dużym znakiem zapytania tezę o lepszej sytuacji gospodarczej kobiety w państwach socjalistycznych.

Zapatrowanie się reżimu w tej dziedzinie na Moskwę, może tylko pogorszyć warunki egzystencji kobiet, w wyniku czego slogan o równouprawnieniu staje się zwykłą propagandą i demagogią.

Jak wynika z najnowszej książki dr R. Schlesingera, znanego badacza społeczno-ekonomicznych i prawnych stosunków w Sowietach ("Changing attitudes in Soviet Russia: The Family, London 1949), pracująca kobieta sowiecka z dziećmi, pod każdym względem obciążona jest ekonomicznym handicape'm, skoro przydzielane z funduszy publicznych zasiłki absolutnie nie wystarczają na utrzymanie dzieci.

Mamy przeto poważne wątpliwości, czy nowy ustrój w Polsce przyniesie kobiecie polepszenie. Warunki ekonomiczne, które według Marksa i Engelsa miały w państwach kapitalistycznych sprzyjać doborowi ekonomicznemu w małżeństwie, mogą obecnie w innych okolicznościach i w innej konfiguracji ważyć fatalnie na małżeństwie w państwach "demokracji ludowej".

Dzieci nieślubne

Projekt wprowadza po prostu rewolucję w tradycyjnym ujęciu tej części prawa osobowego. Krótko mówiąc, instytucja i nazwa dzieci nieślubnych została zniesiona. Co prawda reżimowe prawo z 1946 r. zrównało w zasadniczych prawach dzieci ślubne z nieślubnymi, jednak nowy projekt w ogóle nie zna terminów — "dziecko z małżeństwa" i "pozamałżeńskie". Projekt stanowi, że dziecko nosi nazwisko ojca, — jeżeli ojciec nie jest znany, dziecko nosi nazwisko matki. Jeżeli oboje rodzice nie są znani, nazwisko nadają władze opiekuńcze. "Kodeks rodzinny" znosi też jakąkolwiek różnicę w prawach dziedziczenia między dzieckiem ślubnym a nieślubnym.

Analizując tę zmianę, zważmy, jak opornie postępowała w Polsce, (zresztą tak samo w całej zachodniej Europie), akcja tzw. polepszenia sytuacji prawnej dzieci nieślubnych. Dyskryminacja tych dzieci istniała u nas rzeczywiście w wysokim stopniu na parę lat przed I-szą wojną światową aż do roku 1913, kiedy to na terenie b. zaboru ros., rząd carski wprowadził znaczną poprawę w tej dziedzinie. Później, za czasów Polski Niepodległej, mimo wprowadzenia wielu drobnych pozytywnych modyfikacji, nie zdecydowano się na radykalne cięcie i zniesienie jakiegokolwiek dyskryminacji (np. dziecko nieślubne na

terenie b. Kongresówki, na mocy obowiązującego jeszcze w międzywojniu Kodeksu Napoleona, uczestniczyło w spadku po rodzicach tylko w połowie do tego co by brało, gdyby było dzieckiem prawnym). Wpływały na to względy na spójność rodziny, na powagę związku małżeńskiego. Przez wprowadzenie różnic, chciano może przestrzec ewentualnych rodziców, że dziecko poczęte z nielegalnego lub zgoła kazirodczego związku, nie będzie korzystać z wszystkich praw cywilno-rodziny. Jednak ostrzeżenia te nie miały widocznie odpowiedniego walu, skoro ilość dzieci nieślubnych w Kraju na pewno nie malała. Niestusznna kara spadała w całej pełni na dziecko, które nie było winne swego przyjścia na świat.

Wydaje mi się, że ten fragment nowej kodyfikacji reżimowej, pomijając stronę demagogiczną tego zagadnienia, wykorzystywaną jak zawsze przez reżim bez skrupułów, należy oceniać pozytywnie. Projektowana zmiana na pewno trwałości ani powadze związku małżeńskiego nie zaszkodzi, natomiast z punktu widzenia elementarnych zasad ludzkości i sprawiedliwości, istnienie i forytowanie przez państwo sui generis piętą nieprawnego urodzenia lub też kultywowanie w dokumentach osobistych i metrykach tego rodzaju zapisów i wzmianek, jak "urodzony z ojca NN", wołało o radykalną zmianę.

Jeśli chodzi o prawo alimentarne, to procesualistów zainteresuje zmiana tradycyjnego przepisu, że powództwo o alimenty wytacza się przed sąd zamieszkania pozwanego (actor sequitur forum rei). Według projektu istnieje możliwość wytoczenia roszczenia alimentacyjnego w miejscu zamieszkania powoda. A więc powódka, zamieszkała np. w Zakopanem, będzie mogła w sądzie zakopiańskim wytoczyć powództwo o alimenty dla dziecka przeciwko ojcu, zamieszkałemu np. w Gdyni, co dawniej było niedopuszczalne. Również ułatwieniu stronie poszkodowanej poszukiwania winnego alimentów, służy przepis, stwierdzający, że sąd sam (a nie zainteresowana, jak dotychczas) prowadzi dochodzenie, celem ustalenia miejsca zamieszkania pozwanego, który, jak to często w życiu bywa, mógłby się przed powódką ukrywać.

Wacław SZYSZKOWSKI.

U źródeł samokrytyki

Nie można przypisywać polskim komunistom zasługi wynalezienia terminu "samokrytyka", ani uważać ich za pionierów w zastosowaniu tej "instytucji" w praktyce. Ocena samego siebie, swej własnej twórczości literackiej lub działalności politycznej, była znana przed tysiącami lat. Ale nigdzie chyba (wbrew powiedzeniu, że "wszystko to już było"), nie uczyniono z samokrytyki instytucji prawnej, socjalnej, literackiej, a głównie politycznej, w tym stopniu, jak to się przedstawia obecnie w krajach za żelazną kurtyną. Od kilku lat zapożyczają się w Warszawie ideologię samokrytyki od ZSSR, gdzie typowe "pokajanie się" było nieodłącznym akcesorium sądowych procesów starej gwardii bolszewickiej (Zinowiewa, Rykowa, Bucharina i tyłu innych).

Nie jest jednak nigdzie powiedziane, że samokrytyce towarzyszyć mają stale czystki, procesy i wyroki śmierci. Technikę samokrytyk w Rosji czy obecnej Polsce, do tego stopnia udoskonalono, że jak to coraz częściej jesteśmy tego świadkami, sam fakt przeprowadzenia samokrytyki pozwala "dewiacjonistom" na dalsze utrzymywanie się na powierzchni życia publicznego, co prawda już w dalszych szeregach przeważnie, ale w każdym razie bez natychmiastowej groźby likwidacji. Wiemy dobrze, jak liczba "samokrytyk" w Polsce powiększyła się znacznie, — i to w każdej dziedzinie — społecznej, politycznej, artystycznej i in.

Biorę do ręki kwietniowy (1950 r.) zeszyt "Państwa i Prawa" — miesięcznika, organu Zrzeszenia Prawników Demokratów. Dawny komitet redakcyjny w dużej części rozpadł się, a tym, którym udało się pozostać, nakazano *samokrytykę*. "Kaja się" więc w tymże numerze Stefan Rozmaryn, dotychczas najprawnomysłniejszy z grona specjalistów w dziedzinie prawa państwowego. Okazuje się, że świeżo (w r. 1949) wydana książka tego gorliwego marksisty pt. "Polskie Prawo Państwowe", jest już zbiorem niedopuszczalnych herezj, skoro p. Rozmaryn w referacie "O istocie konstytucji" wygłoszonym na sesji naukowej Wydziału Prawa U. W. rozwija *nowe* poglądy o charakterze samokrytycznym.

Są w tym "szczerem" przyznaniu się do winy "drobnostki", — jak odróżnienie pojęcia ustaw w znaczeniu materialnym i formalnym, które służą rzekomo jako niebezpieczna broń przeciw proletariatu (dlaczego?), ale są i rzeczy "poważniejsze", jak nie uwypuklenie, że rewolucja antyimperialistyczna, jaka dokonała się w Polsce i innych krajach demokracji ludowej, była rewolucją socjalistyczną i proletariacką, albo że Polska obecna, "choć nie jest nadbudową nad ustrojem socjalistycznym (bo socjalizm jeszcze nie został u nas zbudowany), ma charakter państwa socjalistycznego".

Ale powróćmy do źródeł samokrytyki jako nieodzownej towarzyszącej ustroju.

Jeszcze na XV zjeździe WKP(b) (grudzień 1927 r. — na zjeździe tym wykluczono opozycję trockistowską), powiedział Stalin: "... Jeżeli my bolszewicy, którzy krytykujemy cały świat, którzy mówiąc słowami Marksa, szturmujemy niebo, jeżeli my dla świętego spokoju tych czy innych towarzyszy wyrzekniemy się s a m o k r y t y k i, to czyż nie jest jasne, że nie prócz kłęski naszej wielkiej sprawy z tego nie wyniknie? Marks mówił, że rewolucja proletariacka tym się różni m. in. od wszelkiej innej, że sama się krytykuje, a krytykując krzepnie". (Cytuję z "Nowych Dróg", Nr. 12/1948, str. 272).

Stalin utrafił tutaj w sedno rzeczy, bo powiązał sowiecką praktykę samokrytyk z podstawami filozoficznego systemu marksizmu. Materializm w ujęciu Marksa, Lenina i Stalina posługuje się dialektyką jako metodą poznania (diament, czyli dialektyczny materializm). System ten rozpatruje wszystkie zjawiska świata jako znajdujące się w stanie ciągłego ruchu, przemian i rozwoju, z jednoczesnym ujmowaniem walki przeciwieństw wewnętrznych, walki starego i nowego, jako wewnętrznej treści procesu rozwojowego. W ślad za Leninem, który dialektykę uważał za naukę o sprzecznościach (p. Filozofskie tetrady, str. 263), a w walce tych sprzeczności (kontradycjy) widział główny element rozwoju i udoskonalania się, powyższe określenia dialektycznego materializmu przeszły do najbardziej popularnych wydawnictw reżimowych, co specjalnie pragnęlibyśmy uwypuklić, jako stronę agitacyjną, nie gabinetową program, dawanego do "przepracowania" masom, a tym samym nadającego kierunek praktyce (por. np. Kalendarz Robotniczy, wydawnictwo "Książki", 1948, str. 399).

W jednym ze szkiców, przeznaczonych dla szerszych mas, pt. "Krytyka i samokrytyka dźwignią rozwoju socjalistycznego" ("Polska Zbrojna", Nr. 282, 13. 10. 1948), bezimienny autor nawiązując do "procesu ruchu dialektycznego", dochodzi do pojęcia „*samorozwoju*, dokonywanego się pod wpływem nie tylko otaczającego świata, lecz również pod wpływem własnego rozwoju — rozwoju w walce własnych wewnętrznych przeciwieństw". I dlatego "samokrytyka jest niczym innym, jak tylko uświadomionym procesem własnego rozwoju dialektycznego. Jest ona pojęciem tożsamym z własnym rozwojem politycznym i umysłowym. *Nie może rozwijać się inaczej, jak tylko samokrytycznie. Oto sens ruchu dialektycznego*".

Komunistom nie wystarcza jednak proces żywiołowy, bez dokładnego uświadamiania sobie tego, co się dokonywa. Samokrytyka musi być świadoma (a może dlatego i publiczna), bo wówczas dopiero autor krytyki kontroluje swoją świadomość, swój stopień wiedzy, dążąc jednocześnie do jego podnoszenia.

Komuniści w Polsce przejęli się wypowiedzianą niegdyś przez Marksa opinią, że człowiek w nowym ustroju udoskonaląc się będzie stale w ruchu postępującym w górę, którego końca i granic Marks nie przewiduje.

Z naszego "zachodniego" punktu widzenia nie mielibyśmy w

zasadzie nie przeciw samokrytyce, jako zjawisku samorozwoju obywatela.

Ale na podstawie mnóstwa dowodów mamy prawo twierdzić, że jak dotychczas w Polsce, samokrytyka, która tzw. "górze" służy do nadawania niższym komórkom partyjnym i administracyjnym kierunku działania, ostrzegając przed odchyleniami, — u samokrytykujących się ma charakter nieszczerzy a wymuszony, będący funkcją nacisków dyktatorskiego ośrodka dyspozycyjnego. Ponieważ ustroj polityczny i społeczny Polski nie został spetryfikowany (rewolucja w ruchu), ponieważ ulega ciągłym przemianom — w akcji "realizowania socjalizmu", — samokrytyka jest koniecznością życiową pisarzy czy polityków, którzy nie nadążają w porę z tempem wydarzeń i narzucanych z góry teoryj.

Te czynniki właśnie, a nie "dążność do samorozwoju" są dźwignią krytyki i samokrytyki.

Spostrzegamy przy tym, co za olbrzymie różnice — mimo podobieństwa pozorów — zachodzą między pokutą i przyznaniem się do grzechów przed konfesjonałem, a bolszewickim samoponizaniem się czy to na publicznych zebraniach, w prasie lub co gorsza dla samokrytyka, na procesie sądowym. Tam w kościele, mamy do czynienia ze szczerą, subiektywną, mającą wszelkie cechy „*aktu woli*”, — skrucną w obliczu Boga, tu — w ustroju bolszewickim widzimy strach przed natychmiastową reakcją góry partyjnej, — strach, nakłaniający do gruntownej zmiany przekonań bez głębszych a ideowych ku temu powodów, lub do przyznania się do grzechów popełnionych lub niepopełnionych.

Marksiści szczerzą się, że marksizm jest najbardziej "krytycznie twórczą ideologią, jaką zna historia ludzka, "ale jednocześnie zastrzegają się, że "krytyka musi być słuszna, naukowa i postępowa" i że dla krytyki fałszywej, wychodzącej z punktu widzenia obrony kapitalizmu, z punktu widzenia zatrzymania rozwoju historycznego, nie ma miejsca w ruchu marksistowskim" (z cytowanego wyżej szkicu o samokrytyce).

Jak trafnie zauważył Thierry Maulnier (La pensée Marxiste, Paryż, 1948, str. 8 i nast.), marksizm jest właściwie antyfilozofią, bo nie przyjmuje on elementów wiedzy naukowej do konfrontacji tychże z wyższą kryteriologią. Marksizm traktuje filozofię jako produkt historii i filozofię poddaje obserwacyjnym i obiektywnym kryteriom naukowym.

Stąd wniosek oczywisty, że dla marksisty to co jest *subiektywnie*, nie ma żadnej wartości. "Subiektywność" w marksizmie jest "zobiektywizowana", a ponadto uważana za produkt li tylko społeczny. Stąd zrozumiałe są gwałtowne ataki marksizmu na egzystencjalizm J. P. Sartre'a i innych, którzy zakładają swój światopogląd na subiektywnym zrozumieniu człowieka przez siebie samego. Czy to będzie egzystencjalizm Husserla, Kierkegaarda, Heideggera, Jaspersa, Sartre'a czy Gabriel Marcela, — systemy tych myślicieli traktują jedynie o człowieku i tylko do niego się zwracają. W marksizmie natomiast nawet

wolności nadano ujęcie społeczne, a jednocześnie jakże ograniczone, — wolności od ucisku ekonomicznego klasy panującej.

Stąd samokrytyka w ujęciu diamentu wtłoczona została jednostce raczej mechanicznie, raczej na zewnątrz niż od wewnątrz, a przede wszystkim o tyle o ile utrzymuje ona masy w ustalonych z góry kierunkach.

W "Kapitale" napisał Marks, polemizując z Heglem, że dla Hegla proces myślowy przemieniony jest pod nazwą Idei w podmiot absolutny, dla marksisty zaś idee są tylko rzeczami materialnymi przedstawionymi i przetłumaczonymi w głowie ludzkiej. Takie podejście stawia bolszewicką samokrytykę na całkiem innej płaszczyźnie w porównaniu ze szczerym przyznaniem się do winy jednostki nie hołdującej materializmowi.

Utarło się powiedzenie, że w walce z komunizmem trzeba mieć stale na uwadze, że nie jest on ot taką zwykłą, jedną z wielu, teorią społeczno-ekonomiczną, ale *religią*. Powiedzenie to nie jest ścisłe, ale wskazuje trafnie na dogmatyzm zasadniczych punktów programu komuny. Nie wiem, jakie jest nasilenie szczerości tak licznych wypowiedzi różnych dygnitarzy w Kraju, odwołujących jeszcze wczoraj głoszone poglądy. Myślę, że wśród licznych szeregu karierowiczów, szczerłość ta osiąga niesłychanie niski stopień. Ale, gdy z biegiem czasu, przyjdzie nowe pokolenie wychowane i wykształcone w kanonach "socjalizmu" — gdy "zagrają" zbliżone do fanatyzmu religijnego uczucia ZMP-owców, — może się znacznie powiększyć liczba świadomych, nie-przymuszanych terrorem, a szczerych samokrytyk.

Jeszcze na kongresie zjednoczeniowym PZPR (20. 12. 48) — mówił Zambrowski i słowa jego są nadal aktualne, że komuniści dalecy są od traktowania krytyki i samokrytyki jako kampanii przejściowej. Z naszej zaś strony byłoby wielkim błędem widzenie w samokrytyce tylko jednego z objawów terroru, a nie uwzględnianie jej źródeł, tkwiących głęboko w systemie filozoficznym marksizmu, udoskonalonym przez praktykę leninizmu-stalinizmu.

Wacław SZYSZKOWSKI.

Najnowsza historia Polski

Pamiętny lipiec w Lublinie

Ogłaszając — jako skromny przyczynek do najnowszej historii Polski — garść wspomnień z okresu wypadków chełmsko-lubelskich z lipca-sierpnia 1944 r. — podać muszę już na wstępie pewne ostrzeżenia i wyjaśnienia.

Wspomnienia te pozbawione są świadomości i celowo znacznej części ich „życia” i atrakcyjności. W trosce o los ludzi w kraju zrezygnować muszę z wymienienia większości nazwisk, podawania nazw niektórych miejscowości, a nawet przemilczeć pewne ważne momenty i zdarzenia.

Zdecydowałem się nawet nie szkodzić i tym nieszczęsnej pamięci Polakom z tej Drugiej Targowicy i nie ujawniać faktów i fragmentów ze szczerých rozmów z niektórymi członkami ówczesnego P.K.W.N-u czy też sztabu Berlinga, — które by dziś jeszcze zaszkodzić im mogły.

Chciałbym, by ludzie ci — i tak już dziś bez głosu i znaczenia — mogli kiedyś zdać sprawę ze swych czynów przed rzeczywistym polskim sądem i polską opinią publiczną.

Wykorzystując w dużej mierze strukturę organizacyjną silnie rozbudowanego w terenie Stronnictwa Ludowego — Okręgowa Delegatura Rządu oparła się aż o gminy i gromady. Zimą 1943/44 funkcjonowały już nie tylko konspiracyjne starostwa (Powiat. Delegatury Rządu), ale nawet wójtowie i sołtysi. Jako naczelnik Wydz. Bezpieczeństwa Okręg. Delegat. Rządu odpowiedzialny byłem m. inn. za tzw. kwaterymistrzostwo i łączność. Mimo różnych ograniczeń ruchu (okresowe zakazy podróży koleją, brak komunikacji autobusowej) — wiosną 1944 nie mogliśmy się już uskarżać na niepunktualne zgłoszenie się na odprawy starostów, względnie powiatowych referentów bezpieczeństwa czy też na nieterminowe nadsyłanie obowiązujących sprawozdań.

Dzięki własnej sieci łączności polecenia i zarządzenia nasze docierały w ciągu 24 godzin do najodleglejszych zakątków województwa. Scalenie z A.K. b. silnych ilościowo i organizacyjnie B. Ch. (Bataliony Chłopskie), stworzyło w ręku komendanta okręgu prawdziwą armię podziemną. Już zimą 1943/44 Niemcy złagodzili znacznie stosowany dotąd terror; nie opłacał im się, gdyż zbyt drogo zań płacili w naszych akcjach odwetowych.

Większość żołnierzy nielicznych dotąd oddziałów leśnych, podporządkowanych centrom komunistycznym (PPR) — byli to ludzie przypadkowi, pałający tylko chęcią walki z okupantem a nic z komunizmem nie mający wspólnego. Z chwilą zbliżenia się frontu wschodniego do Bugu (marzec 1944) — oddziały te otrzymywać zaczęły coraz liczniejsze kontyngenty tzw. „zrzutek” sowieckich. W czerwcu 1944 postanowiliśmy wspólnie z Komendantem Okręgu (zmarł w Rosji 4 lipca 1947 przy protestacyjnej głodówce 1 i pół tysiąca wywiezionych żołnierzy Polski Podziemnej) oszacować wpływy komunistyczne na terenie województwa.

Oba nasze szacunki dokładnie pokrywały się z sobą. Ilość przekonanych lub przypadkowych zwolenników czy też sympatyków ewentualnej próby komunizowania przyszłej Polski nie mogła przekraczać 3 do 3 i pół proc. ogółu ludności.

Mimo, że front pod Kowlem trzeszczał już od marca — nie spodziewaliśmy się zmian zbyt nagłych. Licząc się jednak z możliwością ogólnej branki mężczyzn w momencie zbliżenia się armii sowieckiej — możliwie najwięcej młodzieży konspiracyjnej kierowaliśmy do punktów leśnych, polecając reszcie unikać sypiania w domu.

◆
Piękny sobotni poranek, dnia 22 lipca 1944 pozostanie na długo w pamięci znękaney prawie już pięcioletnią okupacją niemiecką ludności Lublina i województwa. Dworce kolejowe obłożone były ewakuującą się w popołudniu cywilną ludnością niemiecką. Pakowały się w pośpiechu urzędy i różne instytucje niemieckie, pałac w podwórzach stosił akt. W murach Zamku lubelskiego rozgrywały się od rana koszarne sceny rozstrzeliwania części więźniów.

Wszystkimi drogami od strony Bugu walić już zaczęły na zachód coraz bardziej stłoczone kolumny wojska. Panikę i rozprężenie spowodowane zbliżaniem się do Lublina silnego klina bolszewickiego od strony północno-wschodniej powiększała jeszcze rozpowszechniona już wśród wojska wiadomość o ostatnim zamachu na Hitlera.

Szef Delegatury Rządu bawił od kilku dni w Warszawie. Z własnej inicjatywy zwołałem posiedzenie obecnych członków Delegatury. W tym momencie łączniczka przywiozła nam z Warszawy decyzję, że w wypadku wkroczenia armii sowieckiej ujawnić się i rozpocząć normalne urzędowanie winna cała Delegatura i podległe jej urzędy (Starostwa, Gminy).

Przygotowaliśmy tekst odezwy ujawniającej Delegaturę Rzą-

du i władze podziemne oraz omówiliśmy potrzebne zarządzenia w dziedzinie bezpieczeństwa, ochrony zbiorów (okres żniw!) oraz aprowizacji ludności. Zapoznałem obecnych z tymi ustępami instrukcji dla naczelników Wydz. Bezp., która dawała mi specjalne, rozszerzone uprawnienia na moment zrzucania okupacji i na tzw. okres przejściowy. Po podaniu zebranym miejsca urzędowania Delegatury oraz sposobów łączności w czasie ewentualnych dłuższych walk w mieście — w towarzystwie Okr. komendanta P.K.B. udałem się do przewidzianego od dawną drukarza mianując go tzw. komisarzem zakładów drukarskich na terenie wyjewództwa i wręczając mu do odbicia w wskazanym momencie tekst odezwy Delegata Rządu.

O wszystkim tym poinformowałem Komendanta Okręgu A.K., który — dla stałej koordynacji poczynań — przydzielił nam od siebie stałego oficera łącznikowego.

Około godziny 17-tej stała się rzecz nieoczekiwana i w owej chwili przez niewielu zrozumiana. Oto wojska niemieckie w znacznym już bezładzie i popłochu... wracały do miasta od strony zachodniej, dusząc się wprost po ulicach, placach i podwórzach łącznie z tymi, co coraz bezwładniejszą masą napływali ze wschodu. To *Podziemna Polska* doczekała się upragnionej chwili. Nie tylko liczne oddziały leśne, ale w tempie wprost alarmowym postawione na nogi terenowe placówki, plutony i kompanie — zagroziły Niemcom drogi odwrotu.

W ten sposób armie niemieckie zmuszone wprost zostały do rozpaczliwych walk... w obronie Lublina. Sami Niemcy pomagali teraz naszym ludziom gasić wznieczone przez siebie niedawno pożary i rozminowywać obiekty.

Już o zmierzchu przednie kolumny czołgów sowieckich dosięgły północnwschodnich krańców Lublina. Zaczęły się zażarte walki w obrębie miasta.

W dwudniowych zażartych walkach ulicznych miejskie i napływające stale z terenu oddziały A.K. i P.K.B. oddają bolszewikom olbrzymie usługi; likwidują szereg ważnych punktów oporu rozpaczliwie broniących się Niemców, udaremniają wysadzenie przez nich wielu obiektów, gaszą pożary, zabezpieczają składy, wyłapują wielu ukrywających się w przebraniu dygnitarzy niemieckich.

Dowódcy sowieccy zachwycają się głośno odwagą, duchem, postawą i dyscypliną chłopięcych często naszych żołnierzy. Wieczorem drugiego dnia walk pewien pułkownik sowiecki oznajmia mi, że... już są w drodze przeznaczone dla nas najwyższe ordery, że wszyscy ci żołnierze dostaną... dożywotnie pensje!

Rankiem 25 lipca (wtorek) likwidowano już ostatnie punkty oporu Niemców. Ludzie wyszli na ulice.

Więść o tym, że przy ul. N. jest polska centrala rozniosła się dziwną pocztą już w czasie walk. Przeżyliśmy wówczas najbardziej wzruszające momenty w życiu. Do prywatnego mieszkania, gdzie w otoczeniu kilku oficerów P.K.P. i przybocznego per-

sonelu wykonawczego oczekiwałem na zjawienie się zastępcy Delegata Rządu — od świtu już nadciągając zaczęły liczne delegacje od różnych, przedwojennych jeszcze instytucji i zrzeszeń.

Wszyscy ze łzami radości w oczach prosili o akceptację uruchomienia już dziś pracy instytucji, o polską flagę, a przede wszystkim — o wyciśnięcie polskiej pieczęci z orłem na jakimkolwiek zaświadczeniu.

Przed domem zatrzymywały się gromady ludzi, odkrywając głowy przed polską flagą.

Z zastępcą Delegata Rządu zdecydowaliśmy, by na pomieszczenie Urzędu Wojew. zająć gmach dawnego Sądu Apelacyjnego. W uroczystym momencie wywieszenia przez nas na balkonie flagi państwowej — zjawił się wśród nas Delegat Rządu, któremu udało się przedrzeć z Warszawy.

Od momentu wywieszenia flagi zjawiać się zaczęli w gmachu dość liczni oficerowie sowieccy, żądając pomocy w zakwaterowaniu, oddając do naszej dyspozycji cywilnych jeńców niemieckich, a przede wszystkim domagając się przydziału... wódki.

Dziwiliśmy się, że do chwili obecnej nie tylko, że nie ujawniają się jakikolwiek ośrodki dyspozycyjny PPR'u, ale że nawet w mieście — choć już po walkach — nie pokazywały się oddziały G.L. względnie A.L. (Gwardia Ludowa, Armia Ludowa).

Zgodnie z otrzymaną instrukcją, by współdziałać z wkraczającą armią czerwoną, pomagać jej w walce ze wspólnym wrogiem i odnosić się do niej jak do... "sojusznika naszych aliantów" — usiłowaliśmy dotrzeć do właściwych dowódców.

Kilku generałów sowieckich wymieniło mi jako właściwego niejakiego gen. Pankowa. Przy poszukiwaniu go dowiedzieliśmy się od innych generałów, że takiego w ogóle nie znają. Żaden z zaczepionych generałów nie czuł się upoważniony do omawiania z nami jakichkolwiek spraw, każdy odpowiadał, że on "maleńki" lub że jego to nic nie obchodzi itp. Często była odpowiedź: "My do rządów *uwalnianych* nie naszych ziem — nie mieszkamy się, zarządzajcie się sami. Gdy będziemy czegoś potrzebować — zwrócimy się do was".

Jeden z generałów prosił mnie tylko, by mu w ciągu kilku dni przygotować... listę oficerów, żołnierzy i funkcjonariuszy w kolejności... zasług, a to dla rozdziału wysokich... orderów i nagród pieniężnych. — "Przecież taka praca, gdzie pomyślano nawet o zabezpieczeniu prywatnych aptek — nie może być zapomniana".

Na ulicach wielu sowieckich oficerów i żołnierzy prosiło ludność o tłumaczenie im na język rosyjski naszej ulotki o przychylnym ustosunkowaniu się do armii czerwonej.

Po południu napływać zaczęły do miasta zmieszane ze spadochroniarzami sowieckimi (w cywilnych ubraniach) PPR-kie oddziały A.L. Już przed wejściem do miasta oddziały te powiększały się, dołączając do swych szeregów gapiącą się po drogach młodzież, a nawet starszych. Zauważono, że te same oddziały

po kilka razy "wkraczały" do miasta, odpowiednio przegrupowane i zmienione nieco zewnętrznie (zmiana czapek, inne sformowanie oddziału itp.).

Po południu zgłosił się do mnie starszy wiekiem major sowiecki. Oznajmił, że od komendanta miasta dostał rozkaz zameldowania się z autem u naczelnika bezpieczeństwa "polskich władz" jako oficer do dyspozycji i pomocy. Był tak grzeczny i ujmujący na isticie wschodni sposób, że nie odważył się usiąść nawet przy rozmowie ze zwykłym gońcem P.K.B., a przy pytaniu go o cokolwiek — wypręzał się ustawicznie na baczność. Wyjaśnił, że nie jest żadnym oficerem łącznikowym, on "maleńki", *nic nie znaczący*, ma tylko rozkaz ślepo wykonywać nasze polecenia i życzenia.

Znaczący uśmiech najbliższych mi współpracowników i podwładnych upewnił mnie, że wszyscy zrozumieli jego rolę i zadania.

Ponieważ, mimo chorągiewki państwowej na dużym urzędowym aucie trudno mi było poruszać się po zawałonych wojskiem ulicach i chcąc wyprowadzić "gościa" z gmachu — wykorzystałem go i jego zwinnie samochód dla zwiedzenia miasta.

Z satysfakcją stwierdziłem, że skierowani przez mnie w ciągu dnia do oczyszczania miasta cywilni jeńcy niemieccy (w tym sporo dygnitarzy) pracują z zapalem, wkładając na auta ciężarowe rozkładające się już w gorącym powietrzu liczne trupy ciężkich koni niemieckich. Funkcje dozorców ochotniczo spełniali pozostali przy życiu Żydzi.

W tym czasie wisiała już na murach miasta nasza podstawowa odezwa o objęciu władzy w imieniu Polskiego Rządu Emigracyjnego w Londynie. Wszędzie ryczały zainstalowane przez Sowietów megafony, że do miasta wkracza... polskie wojsko. Chodniki i brzegi jezdní zatłoczyły się ludnością, lecz opustoszały znacznie już po przejściu pierwszych oddziałów. Dalsze maszerowały bez kwiatów już i wiwatów, żołnierze w osłupieniu patrzyli w smutne, zawiedzione twarze coraz mniej licznych gapiów. Na chodnikach pozostało sporo porzuconych przez ludność, a przygotowanych w pośpiechu dla... polskiego wojska bukietów.

Starszym ludziom wystarczyły twarze tych "polskich" oficerów, młodzi pytali co znaczy "spasibo" (za pierwsze kwiaty!), muzykalniejsi dziwili się głośno, dlaczego tak dziwnie brzmi śpiewana do marszu melodia "Jeszcze Polska nie zginęła", młodzież na próżno szukała polskich, tak dobrze sobie nawet w czasie okupacji znanych orzeków. Było bardzo przykro patrzeć w te pocziwe, przedwcześnie postarzałe polskie twarze maszerujących szeregowych i niektórych — rzeczywiście polskich — oficerów, którzy — mimo wszystko — innego spodziewali się powitania na polskiej ziemi. Przy ul. Fabrycznej usłyszałem z tłumu donośny okrzyk: "A dlaczego nie zabraliście po drodze z Katynia choćby kości polskich oficerów?"

W tym momencie mój sowiecki major zdradził się mimo wo-

li, że rozumie po polsku. Przy okrzyku tym drgnął, powstał w nieruchomym w tej chwili naszym aucie i gorączkowo szperał wzrokiem w tej części tłumu, skąd okrzyk pochodził.

Pod wieczór pojawiły się na murach miasta olbrzymie odezwy z małym orłem bez korony.

To tzw. PKWN z Chełma prezentował się Narodowi! Mimo zatłoczenia ulic wojskiem — wkrótce nie można było spotkać arkusza całego, względnie bez odpowiednich dopisków i uwag.

Mimo wydanego zakazu chodzenia nocą po ulicach przed każdą odezwą PKWN-u stały na wszelki wypadek kilkuosobowe nierzaz posterunki ochronne.

W nocy wzmożnione sowieckimi patrolami grupki A.L'u usiłowały zastępować nasze posterunki ochronne przy magazynach, opuszczonych sklepach niemieckich itp. Dość silny oddział A.L. wyrzucony został z jednego z naszych komisariatów — przy pomocy wezwanego na pomoc oddziału... sowieckiego.

Przed południem 26 lipca (środa) pojawiły się silne posterunki A.L. przed gmachem b. niem. Starostwa Grodzkiego naprzeciw naszej siedziby. Instalowała się tam tzw. WRN (Wojewódzka Rada Narodowa), działająca z ramienia PKWN. Był to w dniu tym i następnych urząd bez interesantów. Podczas gdy do naszego gmachu cisnęły się tłumy, gdy my musieliśmy z braku czasu najważniejsze przyjęcia i audjencje (organizacja pracy, powierzenie kierownictwa nieobsadzonych dotąd przez Warszawę stanowisk dyrektorów banków, Dyrekcji Poczty i Telegrafów, Ubezpiec. Społ. itp.) ograniczać do kilku minut, gdy nie było wprost mowy o przyjmowaniu interesantów prywatnych — do gmachu urzędującej naprzeciw WRN poza nielicznymi oficerami sow. i A.L. nikt prawie nie wchodził. Powodowało to co chwila dość zabawne sceny. Oto masy oficerów i żołnierzy sowieckich, orientując się po ruchu ludności — zwracało się z szeregiem spraw urzędowych i prywatnych do nas, a nie do opustoszałego z zewnątrz budynku WRN.

I w dniu tym też żaden z generałów sowieckich nie uważał się za kompetentnego do rozmów zasadniczych. Dziś operowali już innym nieco na pamięć wyuczonym wyjaśnieniem. — Radzili nie oglądać się na nikogo, do nikogo się nie zwracać, gdyż wszyscy sowieccy dowódcy otrzymali rozkaz... nie mieszania się do spraw miejscowych. — "My mamy tylko... uwolnić Europę, a wszyscy niech rządząją się sami".

Mimo wszystko mnożyć się zaczęły wypadki faktycznego przeszkadzania nam w urzędowaniu, następowały pierwsze nasze starcia z samowładnymi organami PKWN i WRN. Już z rana zakomunikowano nam, że nie rozplakatowano mych zarządzeń z zakresu bezpieczeństwa, gdyż mieszany patrol "aelowców", "berlingowców" i oficerów sowieckich zajął w drukarni cały ich nakład razem ze złożonymi czcionkami.

Komendant Okręgu A.K. zawiadomił nas, że również nie może znaleźć żadnego dowódcy sowieckiego, który by się czuł kom-

petentny do rozmów zasadniczych. Niepokojący był również brak wiadomości ze sztabu jednej z formujących się dywizji okręgu.

Po południu zreferowałem Delegatowi Rządu szereg otrzymanych już z terenu województwa meldunków o ujawnieniu się i pierwszych pracach poszczególnych Delegatur powiatowych. Wszędzie podkreślano niezwykle entuzjazm ludności, deklarowanie licznych ofiar na rzecz "skarbu", gotowość do wszelkich prac.

Z powiatów gdzie ukazały się już przejawy jakiegokolwiek inicjatywy miejscowych komórek PPR — proszono o dyrektywy.

Wieczorem do Warszawy i Londynu przesłaliśmy meldunek o sytuacji, prosząc też... o dyrektywy.

Czwartek 27 lipca formalnie nie zmienił naszego położenia. Nie usiłowaliśmy już szukać kontaktu z ukrywającymi się w sposób widoczny przed nami dowódcami sowieckimi i w szybkim tempie organizowaliśmy dalej życie województwa, montując nowe i uzupełniając już uruchomione urzędy i instytucje...

Tak w Lublinie jak i na terenie większości powiatów starostwa nasze, komisariaty i placówki PKB urzędowały prawie normalnie, nie zważając na drobne przeszkody ze strony grup AL i uwijających się już po terenie specjalnych misji armii Berlinga.

W Lublinie zdarzyło się kilka wypadków usunięcia siłą 1 — 2 osobowych posterunków PKB przez grupki włączających się po mieście partyzantów AL. W wypadkach oporu naszych ludzi — ingerowały po stronie AL oddziały berlingowców, specjalnie do tych zadań kompletowane i dobierane, z reguły pod dowództwem oficerów — Rosjan w polskich mundurach. Na szeregu przykładów zrobiliśmy w dniu tym dość interesujące spostrzeżenie. Oto oficerowie i żołnierze sowieccy respektowali posterunki P. K. B. więcej niż własne i nie odważali się w jakikolwiek choćby sposób naruszać chronionych obiektów. Bywały wypadki, że nawet po przydział różnych materiałów z zabezpieczonych przez PKB niemieckich magazynów wojskowych — oficerowie sowieccy lojalnie zgłaszali się do nas.

Z chwilą jednak "zlurowania" naszych posterunków — sowieccy oficerowie i żołnierze rabowali bez skrępowania chronione obiekty (magazyny, rozbite sklepy niemieckie itp.), współzawodnicząc z reguły z nowymi strażnikami.

Mimo wszystko sowieccy oficerowie i żołnierze przyprowadzali w dalszym ciągu do naszej dyspozycji cywilnych jeńców niemieckich, z nami rozstrzygali wątpliwe wypadki, gdy np. wskazany przez ludność Volksdeutsch podawał się za Polaka itp.

Na odcinku naszych sił zbrojnych (A.K.) — zaszły smutniejsze i bardziej już niepokojące wypadki. Jak grom spadła na nas wiadomość o podstępnym (w czasie honorowej defilady przez szpaler pułków sowieckich!) rozbrojeniu maszerujących w kierunku Lublina z lasów lubartowskich oddziałów 27 Dyw. Woł.

A.K. Dywizja ta, wślawniona szeregiem legendarnych już wyczynów na Wołyniu, oddawszy tam armiom sowieckim olbrzymie usługi — przed kilku zaledwie tygodniami przedarła się w mistrzowski sposób przez linię frontu i Bug na tyły niemieckie, w lasy Lubelszczyzny. Zdobyła ona już pod Kowlem głośne pochwały Komendy armii czerwonej, dowódcy jej podani byli już wówczas do najwyższych orderów i odznaczeń sowieckich.

Komendant Okręgu A.K. zakomunikował nam, że na terenie województwa zaszły i inne wypadki podstępne również rozbrojenia mniejszych oddziałów. Rozbrojonym mówiono, że wkrótce dostaną nową, jednolitą broń i że walczyć będą w całości pod komendą swych dotychczasowych dowódców.

W południe, pod nieobecność Delegata Rządu zgłosił się do nas nieznanym mi dotąd generał sowiecki. Oznajmił, że w imieniu Komendy armii czerwonej przychodził podziękować nam za zapewnienie spokoju i porządku na terenie całego województwa, za serdeczne przyjęcie i wszechstronną pomoc dla oddziałów armii czerwonej, a przede wszystkim za sprawne zorganizowanie już w czasie walk dostatecznej ilości dodatkowych szpitali i zajęcie się rannymi Krasnoarmiejcami. Pytał, jak to zrobiliśmy, że mimo częściowych zniszczeń, spalenia budynku i akt zarządu miejskiego — zarząd ten od pierwszego już dnia funkcjonuje, że od pierwszego dnia jest gaz i światło itp. Jako główny intendent armii chciałby wiedzieć, jakim sposobem zorganizowaliśmy już aprowizację, kartkowy rozdział żywności, a zwłaszcza — skąd mamy już zboże, które tu i ówdzie Delegatury powiatowe i poszczególne gminy proponują jednostkom armii czerw. Odpowiedziałem, że o tym wszystkim pomyśleliśmy już w swej pracy konspiracyjnej, że dla uniknięcia dezorganizacji życia zakazaliśmy samowolnego porzucania pracy w instytucjach użyteczności publicznej, że oparliśmy się przejściowo na zorganizowanym już niemieckim systemie rozdziału żywności (obowiązek dostawy mleka, sprzedaży chleba na kartki itp.), a rezerwy zboża gromadziła nasza administracja podziemna już w czasie okupacji niemieckiej.

Słuchając, co chwila trącał łokciem towarzyszącego mu młodego majora, a przy wyjściu rzekł do niego półgłosem: "Widzisz! Zawsze uczyć się trzeba! A "tamci" co zrobili?"

To "tamci" oznaczało bez wątpienia PPR i jego resorty. Za chwilę bowiem doniósł mi jeden z woźnych, że generał ów stoi przy stole we frontowej sali WRN, głośno coś wykrzykuje i co chwila wali pięścią w stół. — Przytoczyłem ten fragment, gdyż owego generała wspomnę jeszcze później.

Ponieważ od władz naszych nie nadchodziły żadne zarządzenia — wysłaliśmy nowe dwa raporty sytuacyjne, prosząc dobitnie o dyrektywy.

Podobnej treści meldunki wysłał też od siebie Komendant Okręgu A.K.

Pod wieczór Delegat Rządu polecił mi reprezentować go na pogrzebie pomordowanych bestialsko przez Niemców więźniów. Od prac przygotowawczych do urządzenia tej uroczystości odepchnęli nas berlingowcy już uprzednio, biorąc kierownictwo w swe ręce.

W towarzystwie Woj. Komendanta PKB udałem się pod Zamek. Ogołocona przez Niemców z zabudowań mieszkalnych pochyła płaszczyzna przed murami Zamku jak też sąsiednie wyloty ulic, a nawet przyległe łąki — wypełniały już masy ludzi. Bardziej wyniosła część płaszczyzny z przygotowanym już wspólnym grobem — chronili żołnierze przed naciskającym tłumem przy pomocy specjalnych sznurów. Nie widziałem sposobu przedostania się do środka. Towarzysz mój zawołał: "Proszę zrobić przejście dla przedstawiciela Polskiego Rządu w Londynie!". Złożony z tej strony w dużej części z żołnierzy Berlinga tłum rozstał się natychmiast, tworząc nam wygodny szpaler. Ludzie odkryli głowy, część żołnierzy stanęła frontem i salutowała nas.

Wewnątrz ogrodzenia, naokoło wykopanej mogiły — stało już sporo świeckiego i zakonnego duchowieństwa, przedstawiciele różnych przedwojennych instytucji i zrzezeń oraz kapelani i oficerowie berlingowscy. Żołnierze, w maskach i ubraniach przeciwiwiperytowych, — znosili z dziedzińca Zamku rozkładające się już mocno zwłoki ofiar i układali je warstwami we wspólnej mogile. Gdy oficerowie berlingowscy dowiedzieli się, że zamierzam wystąpić publicznie w zastępstwie Delegata Rządu Emigracyjnego — odciągali mnie od tego zamiaru, uważając, że narażam się niepotrzebnie.

Przybył Berling ze świtą, sporo starszyny sowieckiej i jacyś nikomu z nas nieznanymi cywile. Ustawili się na wzniesieniu, nieco dalej od zapamiętanego już zwłokami ofiar grobu. Ja ze swym towarzyszem stanąłem nieco na uboczu, przy samej mogile. Znany z bohaterskiej postawy w czasie okupacji niemieckiej miejscowy ksiądz — odprawił przepisowe modły i przy głośnym szlochu tłumów wygłosił płomienne, patriotyczne kazanie. Przy powtarzających się czasem słowach: "na falach eteru z Anglii", — "nasz Rząd w Londynie" — grupka ludu na wzniesieniu niecierpliwiła się w sposób widoczny, niektórzy nie mogli ukryć swej wściekłości.

W obawie, bym ja nie przemówił pierwszy — przerwał prawie ostatnie słowa księdza Berling, w ten sam sposób wsunął się wprost w jego ostatnie zdanie — nikomu dotąd nieznanymi niejaki Żoła, przewodniczący WRN. Obaj mówili dużo. Berling, wyraźnie nie panując nad sobą — miotał się wprost, wygrażał pięścią na Zachód i kilkakrotnie powtarzał, że — mszcząc ofiary niemieckiego faszyzmu — razem z niosącą Polsce wolność armią czerwoną idzie na zachód, by wbijać w Odrę słupy graniczne.

Wskoczyłem na sterczący nad mogiłą wał ziemi. Wśród otoczenia Berlinga nastąpiło małe zamieszanie. Podrażniony częstym wspomnianiem przez obu mówców Związku Sowieckiego,

czerwonej armii itp. — tłum — kołysał się nerwowo, kaszlał i chrząkał. Jakiś słaby głos z oddali spytał: "dlaczego nie przeżegnaliście się przy modlitwie za pomordowanych?" —
Ktoś blisko mnie rzucił półgłosem: "Uwaga, przedstawiciel... Polskiego Rządu!"

Po chwili skupienia zacząłem wolno i dobitnie: "W imieniu Delegata Polskiego Rządu Emigracyjnego w Londynie..."

Nie mówiłem długo. Ustały wszelkie pokaszliwania i szmery, tłum zda się oddech wstrzymał. Gdy skończyłem — stała się rzecz niezwykła na tego rodzaju żałobnych uroczystościach. Rozległa się długo niemilknąca burza oklasków; ku wściekłości grupki ludzi na wzgórkach fala ta naprzemian słabła i znów wzbierała. Z głębi tłumy dochodziły okrzyki: "Niech żyje! Niech żyje Rząd Polski w Londynie! Niech żyje Premier Mikołajczyk! Z grupy młodzieży ktoś dorzucił: Niech żyje gen. Bór!" —

Takie były nastroje mas Lublina i okolicy w pamiętne, radosne i smutne zarazem dni lipcowe 1944 r. Dla zagłuszenia okrzyków i oklasków — grób obległa gromada berlingowców i oficerów sowieckich, strzelających beładnie w górę przez czas dłuższy. Dziwne to były salwy honorowe, po tym a nie innym przemówieniu...

Muszę tu zaznaczyć, że choć łącznie z innymi filmowany był nad mogiłą przez kilkunastu operatorów w mundurach — ta część taśmy nie ukazała się nigdy w późniejszych licznych sprawozdaniach filmowych w kinach.

Piątek 28 lipca był dla Lublina dniem żałoby nie tylko dlatego, że rozpoczął się nabożeństwem za pomordowane na Zamku ofiary. Dzień ten przypieczętował już właściwie los A.K.

Żałobne nabożeństwo w Katedrze miało w sobie coś symbolicznego. Gdy wspólnie z towarzyszącym mi dziś również Woj. Komendantem PKB zajęliśmy przygotowane dla nas dwa fotele w środku olbrzymiego prezbiterium — nawa katedry pełna była już nie tylko ludności cywilnej, ale i różnych osobistości spod znaku Berlinga. Żadna z tych figur nie weszła jednak do prezbiterium; zdawało się, że ludzie ci instynktownie obawiają się zbliżyć do przybranych w barwy państwowe foteli.

Targowica weszła na drogę poważniejszych już faktów dokonanych. W ciągu nocy oddziały wojska Berlinga (choć Rola-Zymierski mianowany był już tzw. wodzem naczelnym — nie mówiło się o nim zupełnie) — zajęły nasz gmach, rozlokowując się po salach i korytarzach. Rano nie dano nam nawet zabrać naszych maszyn do pisania. Nosząc w tych warunkach większość akt urzędowych w tekach — rozpoczęliśmy urzędowanie w pobliskiej kamienicy, zabezpieczonej od początku przez PKB jako była siedziba niemieckiej Schutzpolizei. Też w nocy wydarto posterunkom PKB ochronę punktów z niem. aktami, zabrano z komisariatu ważne zdobyte akta (część akt Gestapo, ostatnią urzędową listę Volksdeutschów itp.). Snujące się

dotąd beładnie po mieście grupki AL — przybrały już oficjalną nazwę i opaski tzw. milicji.

W ciągu przedpołudnia mieliśmy szereg wizyt oficerów berlińskich — Polaków. Przepraszali za zajęcie gmachu, usprawiedliwiali się swą bezsilą, zapewniali, że razem z większością swych żołnierzy duszą i sercem są z nami.

Do Lublina przybyli już z Chełmna niektórzy z członków PKWN. Największą ruchliwość wykazywał Drobner. W szkolenie tego wszystkiego co ma związek z Londynem wkładał całą swą duszę. Urządzał wiece i zebrania. Rzucając się jak opętany — wykrzykiwał, że prędzej mu włosy wyrosną na dłoni niż ktośkolwiek z "reakcji londyńskiej" tu się kiedykolwiek zjawi. Zapewniał, że nawet nad lotniskiem zestrzelą każdy samolot z Londynu.

Komendant Okr. A.K. wezwany został na konferencję do dowództwa sowieckiego. Końca tej konferencji i jej wyników oczekiwaliśmy z niecierpliwością.

Po południu oficer łącznikowy zakomunikował nam, że komendant zmuszony został do podpisania rozbrojenia A.K. i że wrócił w towarzystwie oficera sowieckiego, który go nie opuszcza.

Wkrótce było już wiadome, że jest on w pewnego rodzaju areszcie domowym na czas tzw. zdawania broni.

Pod wieczór wybrałem się osobiście do Komendy A.K. Nowa rzeczywistość widoczna była już i z zewnątrz gmachu. Przed siedzibą komendy i na podwórzach przyległych domów rozlokowały się niby przypadkowo oddziały żołnierzy sowieckich, na pustej zazwyczaj ulicy stały auta wojsk. i grupki oficerów sowieckich. W dużej tzw. sali odpraw i przyjęć zostało sporo oficerów sztabu okręgu, a wśród nich przybyłych już do Lublina dowódców rozbrojonej 27 Dyw. Woł. Miny były grobowe.

Spytałem: co z Marcinem (Kmdt. Okręgu). Skinieniem głów wskazano mi jedne z przyległych drzwi. Nagle w drzwiach tych ukazał się młody kpt. sow. ze słowami: "Naczelnik Zych, pożałujcie!" —

W głębi pokoju powstał z fotelu Marcin, postarzały od wczoraj o lat 10.

— "Usłyszałem wasz głos i poprosiłem was" — powiedział cichym, zupełnie zmienionym głosem. Kapitan sow. wyprężył się i spytał, czy nam nie przeszkadza. Po naszym zaprzeczeniu usiadł w najdalszym kącie pokoju, udając, że czyta gazetę. Z sali ogólnej dochodził gwar głosów. Gdy usiedliśmy obok siebie "Marcin" zaczął przyciszonym głosem: "Czy przez wasz aparat nie ma też żadnych dyrektyw z Londynu lub Warszawy? — Więc jesteście królikami doświadczalnymi! — Jak wiecie przewidziałem. Było tam sporo generałów sowieckich. Główny przedstawił się jako gen. Kołpak, czy coś podobnego. Mój anioł-stróż wyjaśnił mi później, że jest to zastępca Bułganina. — Nie chcieli się zgodzić nawet na to, byśmy jako odrębna ca-

łość weszli w skład tzw. wojska polskiego pod naczelne dowództwo sowieckie. Na wyraźne polecenie musiałem podpisać rozkaz rozbrojenia A.K. Niby dla mego bezpieczeństwa, dla uniknięcia zamieszek itp. — mam do jutra w południe być pod specjalną strażą... Niech moi oficerowie uważają, by rozżalona młodzież nie zrobiła jakiegoś głupstwa, jakiegoś aktu rozpaczyny... Nie będziemy przecież walczyć przeciw armii czerwonej, bo winniśmy być dla niej przyjaźni i pomocni. — Nie uważacie, że pozostawieni samym sobie — staliśmy się w tych ciężkich chwilach, z województwa i okręgu niby oddzielnym państwem? — Pozdrówcie Delegata i do końca z godnością reprezentujcie Rząd Rzeczypospolitej!" —

Odrzekłem, że osobiście tak będę się starał wpływać na tok spraw, by — ulegając z polecenia i konieczności woli armii sow. — lekceważyć w ogóle istnienie PKWN.

Sow. kapitan wyprężył się znowu i z uśmiechem oznajmił, że mogą zostać jeszcze i porozmawiać sobie z generałem. Muszę tu zaznaczyć, że władze sow. nie chciały wierzyć, że Komendant Okręgu jest tylko pułkownikiem i tytułowano go generałem. Gdy protestowałem — powiedziano mi i obecnym przy tym jego podwładnym, że... on jeszcze tego nie wie, ale im już wiadomo, że w tych dniach właśnie Londyn awansował go na generała.

Wychodząc, poradziłem zebranych oficerom, by porozchodzili się nieznacznie. Zewnętrzna ochrona domu była jeszcze silniejsza.

W okolicy Komendy A.K. czynne już były punkty tzw. zdawania broni. Żołnierze lojalnie, choć ze łzami w oczach, wykonywali rozkaz swego dowódcy.

Na ulicach miasta panowało wyraźne ożywienie. Z ust do ust podawano sobie wiadomość, że Premier Mikołajczyk jest już w drodze do Moskwy. Wiązano z tym duże nadzieje. Osobiście nie miałem już złudzeń.

Mimo rozbrojenia A.K. żołnierze podległego bezpośrednio Delegaturze PKB — spełniali jeszcze swe funkcje organów bezpieczeństwa. Ludzi z opaską PKB — jeszcze nie rozbrojono. W sobotę około południa zjawił się w Delegaturze znany mi już kapitan sow., wczorajszy "opiekun" Komendanta Okr. A. K. W sposób uniżenie grzeczny oznajmił nam, że komenda sow. prosi na konferencję Delegata Rządu, Woj. Komendanta PKB i mnie. Auto stało już przed domem.

Przyjęto nas z honorami i przesadną aż grzecznością. Pułkownicy a nawet generałowie czerw. armii powstawali przy naszym przejściu, na wysyci podbiegali z ogniem do papierosa, przepraszali, że musimy kilka minut poczekać. Do gabinetu "komendanta" poproszono jako pierwszego Delegata Rządu. Wychodząc po 15 — 20 minutach oznajmił nam, że podpisał rozkaz rozbrojenia PKB.

Gdy wszedłem jako drugi — wokół stołu stało kilku generałów. Środkowy wskazał mi fotel, który obecny w pokoju opa-

sły pułkownik odkurzył olbrzymią chustką do nosa. Za stołem usiadł tylko "komendant", reszta generałów stała. Podał mi do przeczytania podpisany przed chwilą przez Delegata rozkaz rozbrojenia PKB i wskazując na leżący na stole, dobrze mi znany egzemplarz naszego pełnomocnictwa z pieczęcią Rzeczypospolitej — rzekł: "Ja tylko żołnierz i dowódca. Moje myśli i serce już są nad Wisłą przy mych wojskach. Mnie nie obchodzi sprawy i spory polityczne. Sami jednak rozumiecie, że nie mogę dopuścić, by na zapleczu frontu istniały dwie równoległe władze cywilne i to z uzbrojonymi organami bezpieczeństwa. Delegat waszego Rządu złożył mi tu posiadane pełnomocnictwo i podpisał — na me żądanie — rozkaz rozbrojenia PKB. Pełnomocnictwo to ja prześlę swej władzy i niech ona rozstrzyga lub godzi wasze polskie spory. Tymczasem jednak żądam, by i pan, jako bezpośredni przełożony PKB — podpisał też rozkaz jego rozbrojenia.

Mój upór byłby już w tej chwili bezcelowy. Komendant PKB, wezwany jako trzeci, — podpisał rozkaz i od siebie, zobowiązując się nadto asystować osobiście przy przekazywaniu poszczególnych komisariatów w obrębie miasta.

Podkreślano dość znamienny fakt, że funkcje od PKB przejmowały oddziały wojskowe sow. i że na ten czas znikła jakby z miasta milicja A.L. — Już w ciągu kilku godzin jednak milicja ta wprowadzona została w swe funkcje, luzując wojsko. Procedura ta oszczędziła nam — przyznać muszę — wielu moralnych przykrości.

W ciągu niedzieli wezwano mnie na kilka jeszcze konferencji z generałami sow. Chodziło im o scharakteryzowanie przez nas wziętych do niewoli wybitniejszych Niemców z Lublina. Żądano nadto, bym wspólnie z Komendantem PKB towarzyszył poszczególnym generałom względnie pułkownikom sowieckim przy objęździe powiatów dla zakończenia rozbrojenia korpusu. Wymawiałem się złym stanem zdrowia. Po kilku godzinach koncepcja ta upadła.

Według ostatnich meldunków sytuacja na terenie województwa przedstawiała się niejednolicie. Były powiaty, gdzie nasze władze i organy bezpieczeństwa sprawowały swe funkcje bez żadnych prawie przeszkód; w niektórych — powstały już PRN, złożone czasem z ludzi odkomenderowanych z innych powiatów i na miejscu zupełnie nieznanymi. Tak np. najbardziej niebezpiecznym w województwie pow. biłgorajski nie posiadał prawie zupełnie miejscowych komunistów.

Ukazały się już pierwsze numery miejscowej prasy niezależnej (niekomunistycznej); w ciągu niedzieli zaczęto je jednak wyrwać z rąk ludności i niszczyć.

W poniedziałek (31 lipca) rano wezwano nagle do Komendy sow. imiennie: Delegata Rządu, jego zastępcę i mnie. Wobec nieobecności chwilowej w mieście wice-delegata — jako trzeci

poszedł z nami doradca organizacyjny Delegatury, a to ze względu na lepszą od nas znajomość języka rosyjskiego.

Czekający już na nas generałowie sow. wystąpili z szeregiem pretensji co do opornie idącego rozbrojenia, ukrywania broni itp. Operowali ogólnikami, bez konkretnych przykładów i czuło się wprost, że inny jest powód naszego wezwania. Delegat Rządu był dnia tego mocno niedysponowany, tygodniowa nadludzka praca wyczerpała go całkowicie, toteż prosił mnie, bym sam odpowiadał na pytania i prowadził rozmowy.

W pewnym momencie zjawił się w pokoju nieznan nam dotąd generał sow. o wybitnie gabinetowej powierzchowności. Choć był młodszy wiekiem i z jedną tylko gwiazdką — obecni zamilkli i przyjęli postawę jak wobec przełożonego. Przedstawił się jako gen. Bielajew i powiedział wprost, że zostaliśmy tu wezwani, gdyż pewni panowie — Polacy chcą z nami porozmawiać o sprawach zasadniczych. — Domyślając się, że chodzi tu o panów z PKWN — odpowiedziałem, że nam wystarczy rozmowy z armią czerwoną, że nic do żadnych panów nie mamy i z nikim rozmawiać nie chcemy. Bielajew uśmiechnął się i spytał: "no, a jeśli ja sobie tego życzę?". Nie czekając na naszą odpowiedź — zwrócił się krótko do obecnych w pokoju dwu uzbrojonych pułkowników: odprowadzić. Pierwszy z nich otworzył drzwi, drugi wskazał nam ręką kierunek, postępując za nami. Przeszliśmy do części budynku zajmowanego przez WRN.

Idący przodem pułkownik otworzył drzwi dużej sali, odstępując na bok. Z przeciwnych drzwi wchodził jednocześnie do sali trzej inni panowie. Byli to — jak się później okazało — Drobner, Kotek-Agruszewski i Minc. Gen. Bielajew wszedł za nami i wskazał nam miejsca po dwu stronach eliptycznego, dużego stołu. Sam usiadł pośrodku, w pewnej odległości od stołu. Delegat Rządu spytał: "Czego sobie panowie życzą, gdyż przyprowadzono nas tu pod eskortą... Drobner poderwał się. Zaprzeczył, wywodząc szybko i nerwowo, że już kilka dni temu powinniśmy byli wspólnie rzeczowo porozmawiać, że oni wszyscy usilnie nas szukali itp. Na powtórne pytanie, czego sobie dziś od nas życzą — Kotek-Agruszewski posunął w naszą stronę zapisany arkusz. Podniosłem go i przeczytałem. Blankiet "firmowy" PKWN wypełniony był taką mniej więcej treścią: Chełm Lub. dn.... Do kolegów ob. ob.: Kotka-Agruszewskiego, Drobnera i Minca w Lublinie! ...Doszło do naszej wiadomości, że niejacy obywatele (tu następowały w przypadkowej kolejności pomieszane z pseudonimami nazwiska: Delegata Rządu, jego Zastępcy, Komendanta Okr. A.K. i moje) — usiłują uchwycić władzę na terenie województwa. Prosimy pouczyć tych ob. ob., że na podstawie art... umowy z dn... jedynie PKWN jest uprawniony... itd."

Drobner spytał, co my na to. Odpowiedziałem, że my jesteśmy tutejsi, że znikąd nie przychodzimy, że władzę w imieniu Rządu Polskiego sprawujemy tu nie od dziś. Drobner wybuchnął z uwagami o marzycielstwie, poezji, braku realizmu itp.

Uspokoił go i przejął faktyczne kierownictwo rozmową — Minc, pełniący jednocześnie funkcję tłumacza gen. Bielaiewa. Choć nie był on jeszcze — jak mi się zdaje — oficjalnym kierownikiem żadnego resortu w PKWN — widać było jego przewagę nad kolegami i fakt, że odgrywa tu rolę zasadniczą. Tłumaczył nam, że powinniśmy realnie i z poczuciem odpowiedzialności spojrzeć na rzeczywistość, zapomnieć o swych mocodawcach z Londynu i przystąpić do pracy razem z nimi. — Odpowiedziałem, że nie jesteśmy niezależnym rządem ani żadną władzą naczelną i nie mamy prawa pobierać na własną rękę decyzji w tego rodzaju sprawach zasadniczych, że — zresztą — wiąże nas przysięga wierności. Dodałem, że Premier Mikołajczyk na pewno dotarł już do Moskwy i do jego zarządzeń, jako Szefa Rządu Polskiego lojalnie się zastosujemy.

Przy słowach "przysięga" i "Rząd Polski" — Bielaiew uśmiechnął się. Chcieliśmy już odejść, Bielaiew zatrzymał nas skinieniem ręki i zamienił po cichu kilka zdań z Mincem. Nagle zwrócił się do nas i oznajmił, że życzy sobie, byśmy natychmiast pojechali do Chełma. Na naszą uwagę, że z nikim w Chełmie mówić nie chcemy i nie mamy potrzeby — odrzekł, że pewne osoby z Moskwy tam nas oczekują. W widoczny sposób zdenerwowany już naszą postawą śpiesznie dodał, że on sobie tego życzy i rozkazuje nam jechać... Dla pośpiechu mamy jechać samolotem, który czeka już na lotnisku. Delegat Rządu oświadczył, że samolotem nie pojedzie, ja dodałem, że jest to przecież nie daleko.

"Wobec tego... poszukamy auta, proszę za mną" — rzekł Bielaiew. Czekający na korytarzu uzbrojony pułkownik postępował za nami.

Przed domem stało już duże auto a przy nim jakiś sow. kapitan i berlingowski porucznik. Przy wydawaniu im poleceń w naszej obecności Bielaiew chciał stworzyć wrażenie, że są to ludzie przypadkowi.

Dla zorientowania się w stopniu naszej wolności — wtrąciłem, że my za chwilę zgłosimy się, gdyż musimy się ogolić i przebrać do drogi. Odpowiedziano, że auto nas podwiezie, a to dla... pośpiechu. Bielaiew dawał na boku jakieś ustne instrukcje porucznikowi.

Mimo pośpiechu oddzielnie podjeżdżano pod nasze mieszkania, czekając na każdego z nas.

Dwaj nasi "adiutanci" prześcigali się w grzeczności, nie pozwalali nam nawet osobiście znosić do auta naszych płaszczy i teczek.

Jechaliśmy dość długo. W Chełmie zatrzymaliśmy się na ulicy Hrubieszowskiej, zatłoczonej mnóstwem aut. Z gromady stojących pod domem oficerów sow. podszedł do nas jakiś generał i prowadząc nas przez zatłoczone generałami i pułkownikami sow. korytarz i poczekalnię oznajmił, że gen. Żukow już na nas czeka.

Żukow przyjął nas w pokoju, będącym jego sypialnią i gabi-

netem zarazem. Uśmiechnął się słodko, podsunął nam pudełko z różnymi papierosami i wyjął z biurka odebrane przedwczoraj Delegatowi Rządu pełnomocnictwo z pieczęcią Rzeczypospolitej. Łamaną polszczyzną oznajmił nam, że nic go nie obchodzi spory Polaków o władzę, ale teraz jest wojna i sami chyba rozumiemy, że na terenach przyfrontowych dwóch władz być nie może.

Rząd sow. za reprezentanta sprawy polskiej uznaje PKWN, z którym zawarł już umowę co do sposobu administracji ziem polskich, uwalnianych przez armię czerwoną. On właśnie jest pełnomocnikiem i przedstawicielem rządu sowieckiego przy PKWN. Jeśli chcemy — możemy przystąpić do współpracy, on wie, że nawet w łonie samego PKWN znajdują się dla nas odpowiednie miejsca. Musimy jednak zrezygnować z prób samodzielnej administracji.

Coś mnie skusiło, by zażądać jego decyzji na piśmie, a to celem okazania naszym podwładnym oraz kierownictwom czterech głównych partii politycznych, na których się opieraliśmy. Zaskoczyło go to i zdenerwowało w sposób widoczny. Odpowiedział, że jest to zbędne, że cały tekst umowy między Zw. sow. a PKWN podany jest już dziś w gazetach i oświadczaniach itp.

Oświadczyłem, że w tych warunkach wracamy do Lublina, komunikujemy jego decyzję swym kolegom oraz czynnikom społecznym (partie polit.) i stajemy się prywatnymi ludźmi. Chcieliśmy się pożegnać. — Żukow powstał też i już po rosyjsku oznajmił nam, że czekają na nas i chcą z nami mówić pewni panowie z PKWN. Na naszą uwagę, że z żadnym z tych panów rozmawiać nie mamy potrzeby i nie chcemy — wycedził przez zęby: "No, a jeśli ja wam rozkazuję?"

Odprowadzono nas do auta i zawieziono przed główny gmach Dyrekcji kolejowej. Przy wejściu stały słabe posterunki żołnierzy berlingowskich, na obszernym zaś placu pod gmachem odpoczywało (dowiedziałem się później, że stale!) kilka większych oddziałów żołnierzy sow. Jak przed gmachem tak też w obszernym hallu i na korytarzach nie spotkaliśmy żadnych interesantów. Gdy uśmiechnięta panienska otworzyła nam drzwi do dużej, pustej sali — z drzwi przeciwnych wkraczali do niej jednocześnie z nami — Osóbka-Morawski i Andrzej Witos. Zagajenie rozmowy było również podobne. Na nasze pytanie, po co przyprowadzono nas tu wbrew naszej woli i pod strażą — obaj panowie z drugiej strony stołu zerwali się z miejsc mocno zmieszani. Witos wykszusił tylko: "ależ to niemożliwe", Osóbka zaś zapewnił, że to jakieś przykre nieporozumienie z naszej strony, że niewłaściwie oceniamy dobrą wolę czynników sowieckich, chcących nam ułatwić tak pożądane i konieczne wprost spotkanie itp.

Urzędowa część rozmowy była krótka. Na moje powtórne pytanie, po co nas tu przywieziono i czego sobie właściwie od nas życzą — Osóbka poderwał się wprost jak oparzony — Czy my

też nie jesteśmy Polakami? Przecież on wie, że Delegatura opiera się na demokratycznych zasadach, że Delegat Rządu jako stary działacz spółdzielczy i ludowy dobrał sobie do współpracy podobnych ludzi. — Jako demokraci więc — musimy wszyscy złączyć swe siły, ludzi dziś brak, dla takich jak my zawsze znajdzie się miejsce. Przecież i skład PKWN nie jest jeszcze kompletny i nie ostateczny. Trzeba poderwać ludzi, "ujednoczyć" opinię społeczeństwa itp.

Delegat nie miał już sił do rozmowy, musiałem go wyręczyć. — Tok słów Osóbki przerwałem uwagą, że myśmy już w czasie okupacji niem. zjednoczyli siły całego społeczeństwa dla walki z okupantem i późniejszej budowy demokratycznej Polski, że jednolita już dawno jest opinia tego społeczeństwa skupionego poprzez cztery główne stronnictwa polityczne wokół Delegatury Rządu Emigracyjnego, uznawanego przez cały obóz aliancki i państwa neutralne z wyjątkiem Rosji. Reprezentujemy ten Rząd na tym skrawku Polski, jemu składaliśmy przysięgę i zaprzestajemy wykonywania powierzonych nam funkcji tylko na wyraźne polecenie władz sowieckich, którym nie tylko nie kazano nam się sprzeciwiać i przeciwstawiać, ale odwrotnie — być pomocnymi.

Osóbka stracił panowanie nad sobą.

Rząd Polski w Londynie nazwał gniazdem reakcji, nas zaś ślepięciami. Oznajmił, że Premier Mikołajczyk nic w Moskwie nie zdziała, bo... *nie mieszający się do polskich spraw wewnętrznych* rząd sowiecki odesłał go najwyżej do rozmów z PKWN. — z grupy "londyńskich Polaków" mogą przyjąć do współpracy tylko niektórych. (Tu wymienił 3 nieoczekiwane przez nas nazwiska). — Licząc na Anglię i Amerykę — nie orientujemy się — jak i nasi mocodawcy w Londynie — ani w układzie sił, ani w faktycznym nastawieniu i planach tych dwu mocarstw. Oświadczył nam, że dopiero w tych dniach przeprowadził w Moskwie b. przyjazne rozmowy z ambasadorami Anglii i Ameryki i że postawa tych panów jest zupełnie inna niż my sobie wyobrażamy i życzymy.

Widoczne było, że chce się przed nami popisać swą orientacją polityczną i wymową. Toteż, gdy oświadczył, że szczęściem Polski jest i będzie, iż ta właśnie potężna Rosja jest jej wielkim przyjacielem i sojusznikiem i że "wszystko nas łączy a nic nie dzieli" — zadałem mu pytanie: "A jak wygląda sprawa naszych granic wschodnich?" Odpowiedź przewodniczącego PKWN zatkała nas po prostu. Usłyszeliśmy bowiem, że fakt iż PKWN przyjmuje nas dziś w Chełmie — jest rezultatem jego pierwszego wielkiego zwycięstwa dyplomatycznego. Musimy bowiem wiedzieć, że i do *tych terenów* Rosja rościła sobie pretensje.

Na dowód ustępliwości i wspaniałomyślności Związku Sow. wobec PKWN podsunął nam poprzez stół oryginał podpisany ostatnio z Kremlem umowy, zaznaczając, że jeszcze podpis Mołotowa na nim nie wysechł, a PKWN obejmuje już administra-

cję uwolnionych terenów. Dowiedzieliśmy się też, że Stalin jest największym przyjacielem Polski i Polaków.

Nie mogłem się powstrzymać od zadania mu pytania, jak pogodzą swój "sztandarowy demokratyzm" z faktem, że ponad 95 proc. tak ludności naszego terenu jak i całej Polski twarzą stoi przy Polskim Rządzie w Londynie i że Stronnictwo Ludowe jako bezspornie chyba postępowe i demokratyczne partia Premiera Mikołajczyka bardzo mocno wzrosło w teren wsi w czasie okupacji niemieckiej i ma dziś za sobą przytłaczającą większość ludności wiejskiej.

Odpowiedział bez namysłu, że rychła już reforma rolna bez odszkodowania przekona chłopą, kto jest prawdziwym jego opiekunem, a na potrzebne ewentualnie uspokojenie terenu przygotowuje już też skuteczny sposób. Tu wyjął z szuflady teczkę wyjaśniając, że znajduje się w niej projekt przygotowywanego już dekretu mobilizacyjnego.

Witos mało mieszał się do rozmowy, kiwał tylko potakująco głową, gdy Osóbka zwracał się do niego z retorycznym zwrotem: "Prawda, obywatelu?"

Temperatura wzrosła raz jeszcze, gdy stwierdziłem, że to musi być jednak niezbyt przyjemnie obejmować w swym kraju władzę przy pomocy obcej armii i to takiej, która z zasady "nie miesza się do spraw wewnętrznych innych państw i narodów".

Ze względu na trzymającego się ostatkiem sił Delegata Rządu i dla zakończenia nudnej już i bezcelowej rozmowy rzekłem: — Zajmujecie sobie panowie zbyt dużo drogiego zapewne czasu. Jesteście górą, bo armia sow. pierwsza wkracza do Polski, — my bylibyśmy w lepszej jeszcze sytuacji — bo mielibyśmy za sobą i wolę społeczeństwa — gdyby to pierwsze wkraczały, np. od Bałkanów — armie zachodnich aliantów.

Witos bąknął jeszcze coś w rodzaju, że jednak tak nie możemy się rozejść, że jesteśmy przecież jednej krwi itp.

Odprowadzając nas do drzwi obaj przepraszali, że z powodu nawału pracy nie mogą towarzyszyć nam przy przygotowanym już dla nas obiedzie. Obiad winniśmy jednak zjeść koniecznie, gdyż "nie wiadomo, czy zaraz odjedziemy, a w mieście restauracje jeszcze nieczynne".

Znana nam już panna zaprowadziła nas do pobliskiej willi, gdzie podano nam bardzo skromny — nawiasem mówiąc — obiad. Z widocznych z okna werandy dwu stron willi — przechadzały się uzbrojone posterunki sowieckie. Pod koniec obiadu oznajmiła nam nasza znajoma, że prosi nas jeszcze "pan minister" Radkiewicz ("może i nie wiadomo czy zaraz odjedziemy? — rzekłem do swych towarzyszy).

Radkiewicz przyjął nas w swym małym, pustym zupełnie gabinecie. Z uwagi na jedno tylko krzesło dla interesantów — my i on staliśmy podczas krótkiej tej audiencji. "Pan minister", jakby umyślnie nie zważając na obecność mych towarzyszy — zwrócił się tylko do mnie z zapytaniem, dlaczego roz-

brojenie A.K. nie poszło jak należy, że zdano znacznie mniej broni niż było w terenie, że młodzież — podobno — chowa broń, a nawet gromadzi się sama w lasach Krasnystawskich itp. Okazało się przyzwyczajony już do b. młodych nieraz wojennych generałów — wziął mnie omyłkowo za "Marcina", komendanta Okręgu A.K. — Zaprzeczyłem faktom i obiecałem powtórzyć pretensje tego delegata NKWD "Marcinowi".

Na zakończenie nie omieszkał także Radkiewicz pokazać nam teczkę z projektem dekretu mobilizacyjnego, który na pewno uspokoi teren. — "Jeśli będzie trzeba — to mamy i skuteczniejsze jeszcze sposoby" — dorzucił jakby na pożegnanie.

Na zwołane nazajutrz (1 sierpnia) rano zebranie naczelników Wydz. Delegatury i przedstawicieli stronnictw polit. poprosiłem też "Marcina". Zdaliśmy obecnym sprawozdanie z wczorajszych rozmów i zakomunikowaliśmy im decyzję władz sow. odnośnie zaprzestania przez nas urzędowania. Wynikające z tego odpowiednie zarządzenia Delegata Rządu — poleciłem natychmiast rozesłać do poszczególnych powiatów. W czasie konferencji adiutant zawiadomił "Marcina", że poszukują go od rana jakiś generałowie sow. i proszą na jedną jeszcze konferencję do komendy miasta.

Do czasu zakończenia dość długiego zebrania nie doczekaliśmy się powrotu Komendanta Okręgu. Wieczorem dowiedziałem się, że powieziono go do Chełma, na konferencję.

Miasto zelektryzowane było wprost wiadomością o wybuchu Powstania Warszawskiego.

W środę (2 sierpnia) okazało się, że nowe władze nie mają kim obsadzić urzędów i nie pozwalają w ślady za Powiatowymi Delegatami Rządu i kierownikami zarządów miejskich — odejść z urzędów różnym fachowym urzędnikom.

Po południu ukazywać się zaczęły wyzywające w stosunku do PKWN ulotki, a nawet — nie podające nazwy drukarni i wydawcy — egzemplarze gazet. Nasze przypuszczenie, że niektóre z nich są zwykłą prowokacją — wkrótce się potwierdziło. — Oto ukazały się na murach miasta podpisane moim nazwiskiem i pseudonimem konspiracyjnym — moje zarządzenia z dziedziny bezpieczeństwa zabrane z drukarni razem z czcionkami przez dotąd nieujawnionych osobników w mundurach sowieckich i berlingowskich jeszcze w środę 26 lipca (a więc tydzień temu!). Odbito je tylko w mniejszym formacie, ale zostawiono datę 26. VII.

Nie chcąc z zasady z własnej woli rozmawiać z organami PKWN — zwróciłem się z interwencją do sow. komendy miasta. — Dyżurny, jakiś generał zbagatelizował sprawę, rzucił mi nie przejmować się wypadkiem, ale na zakończenie dodał, że to na pewno zrobił ktoś z mych "słabo zsubordynowanych" podwładnych.

Spółeczeństwo nie chciało nas tak od razu uznać za prywatnych obywateli. Nie mogliśmy się opędzić od setek ludzi, zwr-

cających się do nas z różnymi wątpliwościami, pytających czy należy lub czy można przyjąć takie czy inne stanowisko, co robić w ogóle itp.

W mieście i okolicy zbierać się zaczęły samorzutnie grupki rozbrojonych żołnierzy A.K. i PKB, śpiesząc na pomoc krwawiącej się Warszawie.

Gdy w czwartek około godz. 12-tej wracałem do domu ze swym współlokatorem, kapelanem Okręgu A.K. — przed domem czekał na mnie jeden z oficerów PKB. Oznajmił mi, że jacyś generałowie i pułkownicy sow. chcą jeszcze ode mnie drobnego jakiegoś wyjaśnienia i niecierpliwie czekają przy ul. Szopena 7. Ponieważ ustał już deszcz i zrobiło się gorąco — oddałem księdzu swój płaszcz i kapelusze i z teczką w rękę skierowałem się w stronę Szopena 7. Przed domem stali nieznanymi mi dotąd: generał i dwu pułkowników sowieckich, przy aucie zaś obok — znany mi już elegancki kapitan, b. anioł-stróż "Marcina".

Generał przeproszał, że zajmie mi jeszcze parę minut, ale musi otrzymać parę informacji odnośnie Volksdeutscheów i inne.

— Potrzebni będą jeszcze Delegat Rządu, jego zastępca i Woj. Komendant PKB. — Lepiej będzie, gdy dla pośpiechu podjedziemy po nich zaraz...

Miałem niedobre przeczucia. Oświadczyłem więc, że nie znam jeszcze nowych adresów tych panów, gdyż wczoraj wszyscy mieli zmieniać mieszkania (był to rzeczywiście okres masowego powrotu do swych dawnych mieszkań). Przeczucia stały się jeszcze wyraźniejsze, gdy kapitan zameldował, że zna potrzebne adresy.

W opróżnionym już częściowo mieszkaniu zastępcy — bawił w tej chwili przypadkowo i Delegat Rządu. Kapitan oznajmił, że potrzebni jesteśmy na jedną jeszcze, bardzo krótką konferencję; nie potrzeba się ubierać, gdyż za chwilę będziemy z powrotem w domu.

Po przybyciu na miejsce wskazano nam wygodne fotele i oznajmiono, że lada chwila zjawi się tu ktoś z Moskwy. Czekanie się przedłużało.

Sytuacja była jasna dla nas wszystkich.

W nocy zakomunikowano nam, że nareszcie przyjechał generał z Moskwy i jako pierwszego wywołano od nas Delegata Rządu. Rankiem już nazajutrz (4 sierpień) — wywołano mnie jako drugiego. Do drzwi domu przytykały wprost otwarte drzwiczki dużej limuzyny. W ten sam sposób wysadzono mnie wprost w drzwi wejściowe domu przy ul. Szopena 18.

W dużej sali kilku generałów gorączkowo rozkładało na stole jakieś akta. Jeden z nich, znany mi już z poprzednich spotkań — przywitał mnie uprzejmie, pytając o zdrowie. Oburzył się, że uważam się za aresztowanego. — "Wy tylko wremiennie zadzierżany", dla wygody ważnego generała z Moskwy, z którym za chwilę mam rozmawiać.

Obecni poderwali się na baczność. — Do sali wszedł zamazany rosy generał z czterema gwiazdkami na naramienni-

kach i zajął miejsce przy stole na specjalnym podwyższeniu. Wskazano mi miejsce w pobliżu.

— Dlaczego wy udajecie, że jako szef bezpieczeństwa podlegacie tzw. wojewodzie? Przecież my dobrze wiemy, że bezpieczeństwo jest niezależne!

Podaliśmy mu nie będącą tajemnicą strukturę naszych władz administracyjnych.

— Dlaczego odmówiłem współpracy z PKWN?

Gdy wymieniłem swą zależność od Polskiego Rządu w Londynie, obowiązek lojalności wobec niego i wiążącą mnie przysięgę — roześmiał się na cały głos. Dodał, że za chwilę porozmawiamy znowu.

Wieczorem zaprowadzono mnie raz jeszcze przed "generała z Moskwy" (jeden z generałów podał mi, że to Abakutow, drugi — że to Bogdanow!). — Rzucił mi przed oczy plik gazet i ulotek, wyjaśniając że za wszystkie te nielegalne, skierowane przeciw czerwonej armii i władzy sow. druki — ja jestem całkowicie odpowiedzialny.

Między innymi były tam również 2 egzemplarze wydanego przez Niemców jeszcze w czerwcu tzw. dodatku nadz. do gadzinówki "Nowy Głos Lubelski" o terrorze bolszewickim na zdobywanych terenach oraz nasze ulotki wzywające do... współdziałania z armią czerwoną.

Odparłem, że przy pozbawieniu nas możliwości urzędowania, a tym samym i kontroli drukarni — nikt z nas nie może odpowiadać za te rzeczy.

Przy okazaniu mi z triumfem mych dwu zarządzeń z dziedziny bezpieczeństwa, rozplakatowanych — jak dobitnie podkreślił — po zakazaniu nam już przez gen. Żukowa wszelkiej działalności — wskazałem na obecnego w pokoju generała, któremu dwa dni temu zameldowałem o tej prowokacji.

Pod koniec złościł się, że znam tylko pseudonimy powiatowych Delegatów Rządu.

Na korytarzu spotkałem naszego naczelnika Wydz. Zdrowia oraz zastępcę komendanta miasta A.K.

Przez całą sobotę (5 sierpnia) zapewniano mnie kilka razy, że nie jestem aresztowany.

Wieczorem sytuacja nagle zmieniła się. Sprowadzono mnie na parter, zamiast oficera — zjawił się w pokoju żołnierz, który stanął przy drzwiach z "pepészą" w rękę.

Wkrótce byłem już przed jakimś podpułkownikiem na protokularnym przesłuchaniu. Odczytywał z arkusza gotowe pytania, panna stenografowała: "wopros", "otwiet". — Życiorys, przebieg pracy konspiracyjnej, praca w charakterze agenta... angielskiego wywiadu itp.

Około godz. 4 rano na korytarzach wszczął się ruch. Dał się słyszeć urywany sygnał dzwonka. Mój "sledowatiel" przer-

wał przesłuchanie w połowie zdania i zaczął pośpiesznie składać akta. Zaprowadzono mnie do innego pokoju. Przed stołem stali: ten sam generał "intendent", który jeszcze w dniu 27 lipca składał nam w imieniu komendy sow. gorące podziękowania za utrzymywanie porządku i pomoc dla armii czerw. oraz ten sam opasły pułkownik, który w dniu 29 lipca ścierał mi chustką do nosa krzesło w sow. komendzie miasta. Obaj uśmiechali się ironicznie. Generał odebrał mi z ręki teczkę a pułkownik opróżnił wszystkie me kieszenie.

Pośrodku podwórza stało jakieś duże auto. Wprowadzono mnie do środka i posadzono na ławce, zakazując rozglądać się i rozmawiać. Wprowadzano inne osoby. Oswoiwszy się z ciemnością — rozpoznałem obok siebie: Delegata Rządu, jego Zastępcę, Komendanta Okręgu A.K. "Marcina" i naszego naczelnika wydz. zdrowia, dr D. Dwaj pozostali panowie byli mi nieznanymi.

Małe oparkanione i odrutowane podwórze otoczone było kordonem dotykających się wprost ramionami żołnierzy. W aucie otaczało nas również kilkunastu krasnoarmiejców z "pepészami".

Za chwilę wszedł do auta jakiś generał z arkuszem w rękę; przy czerwonym świetle zawieszanej na piersi latarki kilkakrotnie sprawdził listę i nas. Przez bramę sąsiedniej kamienicy auto wyjechało na ulicę. Tak przed, jak i za nami jechało auto ze stojącymi żołnierzami.

Już szarzało i z łatwością zauważyliśmy, że wzdłuż obu stron jezdni mijanych ulic stały gęste posterunki żołnierzy sowieckich. Gdy minąwszy Bramę krakowską skręciliśmy w ul. Zamojską — siedzący obok mnie "Marcin" szepnął: "nie Zamek, może Majdanek?" Po skręceniu w ul. Łęczyńską — odpadł — jako cel podróży — i Majdanek. Zbliżaliśmy się do cmentarza żydowskiego, gdzie Niemcy dokonywali egzekucji. Auto przed nami sygnalizowało coś czerwonym światłem i naprzeciw cmentarza zatrzymało się. Zatrzymało się i nasze. Generał obrzucił nas światłem swej latarki i wysiadł. Otoczyła go grupka żołnierzy tak z przedniego jak i tylnego auta. Ktoś z siedzących za mną rzekł półgłosem: "Nawet nikt nie będzie wiedział, gdzie zapalić świeczkę w Dzień Zaduszny".

Nagle szofer zaczął coś majstrować przy motorze, którego dotąd nawet nie zgasił. Po kilku minutach generał wsiadł z powrotem i ruszyliśmy w dawnym porządku.

Nie mogłem zrozumieć, jakim cudem szofer przedniego auta, zatrzymując się pierwszy, — mógł wiedzieć, że tu właśnie zacznie szwankować nasz motor.

Przy brzegu lasu z jednej strony szosy auta zatrzymały się. Żołnierze z aut konwojujących dość szerokim kołem otoczyli naszą maszynę. Wszyscy poznaliśmy brzeg lasu Krepieckiego, koszarne miejsce masowych egzekucji niemieckich.

Zakazując nam ostro oglądać się — ustawiono nas wzdłuż przydrożnego rowu. "Marcin" ścisnął mi rękę.

— „Walczyliśmy razem, to i odpocznijmy razem, nie bój się, Zych!” — rzekł prawie że wesoło.

Ktoś jęknął głośno.

Generał sowiecki oderwał oczy od trzymanej w ręku listy i zaproponował nam... załatwienie nad rowem potrzeby fizjologicznej!

Za nami, w pewnym oddaleniu zabłysły jakieś światła. Za chwilę już zbliżaliśmy się gęsiego do oświetlonego „Douglasa”, stojącego z brzegu poszerzonego już w tym kierunku przez światło lotniska świdnickiego.

Posadzono nas w wygodnych fotelach, zakazując rozmawiać i sięgać ręką do okien. Generał raz jeszcze sprawdził listę (wywołany tylko z nazwiska musiał odpowiedzieć: swe imię, imię ojca, datę i miejsce urodzenia) i obejrzał nas dokładnie.

Naprzeciw nas siedziało ośmiu „bojców” z „pepeszami” w dłoniach. Generał dał przed samolotem jakieś instrukcje pułkownikowi i dwu kapitanom. Gdy ci wrócili do samolotu i motor zawarczał — przyjaźnie żegnał nas podniesioną dłonią.

Tak zostaliśmy wywiezieni do Sowieców.

Józef ZYCH-DOLINA.

LISTY DO REDAKCJI

W związku z artykułem „Narodowe Siły Zbrojne”
w Nrze 5/31 „Kultury”

Do Redaktora „Kultury”,

W związku z artykułem p. majora dypl. S. Zochowskiego w Nr. 5/31 „Kultury” pod tytułem „Narodowe Siły Zbrojne” muszę sprstować zarówno najważniejsze fakty, dotyczące N.O.W., jak i pewne daty chronologiczne. Chodzi mi o rzeczowe naświetlenie jednego z ciekawszych zagadnień ostatniej wojny w naszym kraju.

1) Przede wszystkim należy ustalić datę wstąpienia autora artykułu do N.O.W., gdyż jest sporna. Oto na str. 100 mówi on, że na jesieni 1940 r. rozmawiał w Warszawie ze swoim b. dowódcą dywizji p. Czesławem, który polecił mu wracać na wieś i czekać na depeche.

A tuż na str. 101 podaje: „W lutym nadeszła zapowiedziana depecha, że „miłocarnia gotowa”. Po przyjeździe (do Warszawy) p. Czesław poinformował mnie, że Stronnictwo Narodowe postanowiło wyłonić Narodową Organizację Wojskową”.

Zauję, że autor, mówiąc „w lutym”, nie podaje roku, iacno bowiem powstać może przypuszczenie, że był to rok 1941. W rzeczywistości p. pułk. Czesława i kpt. Zochowskiego poznałem w mieszkaniu ks. prałata Trzeciaka w ziemie 1941/1942, a nie na odprawie komendantów okręgów NOW, jak podaje p. Zochowski. Zresztą każdy żołnierz w konspiracji wyborne orientował się, że wprowadzanie nieznanym osobom na odprawę było rzeczą wprost nie do pomyślenia. Właśnie w mieszkaniu ks. Trzeciaka p. Czesław i p. Zochowski złożyli na moje ręce przysięgę żołnierską NOW, a towarzyszył mi wówczas Sze-

I Oddziału Komendy Głównej NOW, p. Roman, który przebywa na terenie Francji.

2) Z relacji p. majora Zochowskiego wynika, że S.N. postanowiło powołać NOW właśnie w okresie, kiedy on się zjawił w Warszawie, a więc w ziemie 1941/1942.

Jest to błąd zasadniczy, który dowodzi, że autor nie orientuje się w bezspornych i elementarnych faktach.

N.O.W. rozpoczęła swój żywot w październiku 1939, a w ziemie 1941/1942 była już zorganizowana i liczyła kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy na całym terenie „GG” i na ziemiach Wielkopolski. P. major Zochowski podaje dalej, że (zima 1941/1942) p. Michał „nie zdradzał nadmiaru energii i orientacji, jak się brać do dzieła”.

Powyższa uwaga pozbawiona jest logiki, ponieważ wówczas „dzieło” było gotowe, dzięki przeszło dwuletniej ofiarnej i jakże często bohaterkiej pracy żołnierzy N.O.W.

3) Mówiąc o p. Czesławie — p. Zochowski pisze: „Był jednak w tym czasie raczej obserwatorem i sympatykiem SN i nie miał w organizacji ściśle określonego stanowiska”. Znowu błąd, ponieważ po złożeniu przysięgi p. Czesław był mianowany zastępcą Komendanta Głównego NOW i szefem oddziału III Sztabu Komendy Głównej. Nie kto inny, tylko p. Zochowski wykonywał dla p. Czesława — jako szefa III oddziału — pewne prace o charakterze operacyjnym.

4) Dalej utyskuje p. major Zochowski, że p. Czesław jako pełny pułkownik i dowódca dywizji zależny był od podpułkownika broni pancerniej. Autor artykułu w okresie kilkumiesięcznego pobytu w NOW nie zdołał wyzwolić się ze sztywnych przyzwyczajeń przedwojennego oficera zawodowego, dowodzącego na paradach, placach ćwiczeń czy w koszarach. Stąd pochodziły liczne moje kłopoty, gdy powracał on z wyjazdów służbowych w teren, ponieważ każdy problem na niższych szczeblach rozstrzygał mechanicznym rozkazem. Skargi, narzekania i prośby o nieprzysyłanie więcej tego delegata Komendy Głównej były zjawiskiem powszechnym. Jak to sam autor podkreśla, kierownictwo wojska przedwrześniowego i w dużym stopniu zawodowy korpus oficerski w pierwszym okresie okupacji nie cieszyły się w społeczeństwie pełnym zaufaniem, a do tworzenia wojska w konspiracji to zaufanie było nieodzowne. W dużym stopniu natomiast społeczeństwo darzyło nim wielkie ruchy polityczne, będące w opozycji do rządów sprzed września 1939. Świadczą o tym cyfry żołnierzy wprowadzonych do A.K. Zależność p. Czesława od młodszego stopniem nie była zjawiskiem sporadycznym; byli w NOW pełni pułkownicy dypl. — szefowie departamentów MSWojsk, a nawet w okręgu warsz. NOW był generał brygady.

5) Na str. 104 p. Zochowski mówi: „W rozmowie, która się rozwinęła po przeczytaniu podpisanej już z Komendantem ZWZ umowy, wynika konieczność poinformowania się w Okręgach jak ją przyjmie teren... Jedno było jasne, nadciągał rozłam”.

Okres konspiracyjny niewątpliwie sprzyjał rozsiewaniu podobnych twierdzeń, dziś natomiast mamy możliwości informacji te skonfrontować jeszcze przed odesłaniem pracy do druku.

Szczegół ten uważam za wyjątkowo ważny, dlatego przytaczam fakty:

a) Rozłam w NOW nastąpił w lipcu 1942 r., a umowa z ZWZ została zawarta w drugiej połowie października 1942 r., po licznych konferencjach, które niejednokrotnie groziły zerwaniem rozmów; dopiero na skutek zawartej umowy, dnia 4 listopada 1942 r. Komendant Główny NOW złożył przysięgę na ręce gen. Roweckiego.

b) Najważniejszą treścią umowy były punkty, traktujące o tym, że oddziały NOW nie będą rozwiązane, jak również to, że tylko w wy-

jątkowych wypadkach i to za zgodą Komendantów Okręgowych NOW może nastąpić zmiana na stanowiskach dowódczych.

c) Zasięg organizacyjny i niezależne od AK rozkazodawstwo Sztabu Komendy Głównej NOW w stosunku do swoich oddziałów było zachowane aż do końca. Dowodem tego jest m. i. fakt wstrzymania na mój rozkaz scalania i współpracy z dowództwem Okręgu Krakowskiego AK, z powodu niedotrzymania przez AK warunków umowy. Drugi przykład: regularne odprawy Komendantów Okręgów NOW (przynajmniej co dwa miesiące) odbywały się do końca w Warszawie. Ostatnia odprawa została przeprowadzona w czerwcu 1944, a w końcowej jej fazie był obecny z ramienia Dowódcy AK pułk. Juszcza-kiewicz.

7) Jeszcze jedno sprostowanie: Szefem Oddz. I Komendy Głównej NOW nie był mjr. Kuba, a był p. Roman.

8) Wreszcie — ostatnia uwaga. W artykule p. majora Żochowskiego przewija się jakby "złota nić": wszystkie organizacje wojskowe, tworzone podczas okupacji w kraju, powinny być łączyć się z ZWZ dla osiągnięcia jednolitego dowodzenia.

Dla potwierdzenia tej tezy powołał się na swoją rozmowę z prezesem SN na Kraj — Stefanem Sachą w marcu 1942, który na propozycję p. Żochowskiego "spurpurowiał na twarzy", "zaczął niemal krzyczeć" i miał oświadczyć, że z "sanacją" nie połączy się.

Bynajmniej nie kwestionując faktu rozmowy, odtworzenie której byłoby trudne ze względu na śmierć drugiego partnera, pragnę wyrazić przekonanie, że złota nić p. majora Żochowskiego była słuszną i jak wiadomo po tej drodze NOW szła konsekwentnie, rozpoczynając w lipcu tego samego 1942 r. rozmowy z ZWZ.

Część oddziałów NOW w lipcu 1942, tj. na kilka miesięcy przed sfinalizowaniem rozmów (druga połowa października 1942) nie poszła po tej linii, oderwała się od NOW i łącznie z oddziałami ONR (ABC) utworzyła NSZ.

P. major Żochowski zachował się wówczas jak zdecydowany przeciwnik głoszonej przez siebie teorii i na wieść o decyzji prowadzenia rozmów z ZWZ wyrzeszał z siebie dużo energii, a nawet rzucił na szalę własne apostołstwo wśród szeregów żołnierzy NOW i robił wszystko, aby do faktu połączenia nie dopuścić i przeszedł do NSZ mimo, że złożył na moje ręce przysięgę żołnierską.

Jeżeli chodzi o żenujące uwagi w stosunku do śp. prezesa Sachy, który bronić się nie może, to jako bliski jego współpracownik pragnę dodać, że był gorącym patriotą, gotowym poświęcić wszystko dla dobra swego narodu, był też wybitnym politykiem, człowiekiem wielkiego rozumu i szlachetności, szanowanym również i przez przeciwników politycznych. Moje słowa potwierdzić mogą wszyscy, którzy brali udział we władzach i parlamencie Państwa Podziemnego.

Dziś, jak wynika z treści artykułu, p. major Żochowski stawia się w roli rzeźnika tych oddziałów NSZ, które tworzone były przez ONR z brygadą św-krzyską włącznie.

Każdy spełnia swoją rolę tak, jak umie, wydaje mi się jednak, że p. major Żochowski nie powinien gloryfikować tych oddziałów kosztem zasłużonych dla Kraju przywódców Stronnictwa Narodowego i żołnierzy Narodowej Organizacji Wojskowej.

Józef ROKICKI

(Michał)

b. Komendant Główny N.O.W.

Gen. Tadeusz Pełczyński
23, Barton Court,
Barons Court Road,

London, W. 14.

22 czerwca 1950.

Szanowny Panie Redaktorze!
Uprzejmie proszę o umieszczenie w najbliższym numerze "Kultury" niniejszego listu.

Artykuł mjr. S. Żochowskiego pt. "Narodowe Siły Zbrojne" ("Kultura" Nr. 5/31 1950 r.) pomysły jest przez autora jako przyczynek historyczny do zagadnienia wojskowego w kraju w okresie II Wojny Światowej. W pierwszych rozdziałach tego artykułu autor naświetla początek i rozwój Narodowej Organizacji Wojskowej rozłam w Stronnictwie Narodowym na tle sprawy podporządkowania organizacji wojskowej dowódcy Armii Krajowej oraz powstanie i organizację N.S.Z. Z rozdziałów tych wieje pustka jeśli chodzi o działalność bojową N.S.Z., natomiast czerwoną linią przewija się zagadnienie niedokonanego podporządkowania się Armii Krajowej. Zagadnienie to w ujęciu mjr. Żochowskiego ciąży jak zhora na rozwoju organizacyjnym i działalnością N.S.Z.

Ostatni, największy rozdział artykułu poświęcony jest właśnie "próbom porozumienia z A.K." Rozdział ten ma stanowić obronę N.S.Z., a oskarżenie Armii Krajowej w związku z tzw. akcją scaleniową. Nie jest on ani jednym, ani drugim, a to ze względu na ogromną ilość nieścisłości w przedstawieniu faktów i w naświetleniu wydarzeń.

Nadejście, oczywista, czas, kiedy sprawy te doczekają się oświetlenia rzeczowego i bardziej obiektywnego, nie jest więc moim zamiarem podjęcie w tej chwili dyskusji z mjr. Żochowskim. Ze względu jednak na to, że mjr. Żochowski dość szeroko i bardzo "konkretnie" opisał rzekomy fakt spotkania ze mną, muszę zabrać głos w tej sprawie teraz.

Stwierdzam co następuje:

1) Nigdy nie byłem na żadnym spotkaniu z mjr. Żochowskim w kawiarence przy ul. Puławskiej w pobliżu ul. Odyńca, ani w ogóle w żadnym innym miejscu.

Nigdy nie prowadziłem z mjr. Żochowskim żadnych rozmów, ani na temat N.S.Z., ani na żaden inny temat.

Po prostu nigdy w życiu mjr. Żochowskiego nie spotkałem i nie wiem jak wygląda. Nie zgłosił się on bowiem do mnie nawet po przybyciu moim do W. Brytanii w roku 1945.

2) Jako szef sztabu Armii Krajowej nie bywałem w ogóle w kawiarniach, cukierniach czy restauracjach. Wszelkie rozmowy natury służbowej prowadziłem w lokalach konspiracyjnych.

3) Nie chodziłem po Warszawie nigdy ani z pałką, ani z laską, a jedynie czasem z parasolem.

4) Wprawdzie nie mam cery jak brzoskwinia, ale nie mam śladów po ospie, bo na nią nie chorowałem. Gdyby mjr. Żochowski postarał się, choćby tylko przez zwykłą ciekawość, zobaczyć mnie w Londynie, nie napisałby w roku 1950 takiej fantazji na mój temat.

Tak więc całą ową groteskową scenę spotkania z człowiekiem uzbrojonym w pałkę i w otoczeniu pałkarzy mjr. Żochowski łączy z moją osobą fałszywie, z urojenia. Wkłada w moje usta słowa, którymi ktoś sobie z niego zakpił. Jeśli mjr. Żochowski zameldował swemu przełożonemu, płk. Czesławowi, że odbył ze mną rozmowę — to zameldował fałszywie. Oto do czego prowadzi chora fantazja.

Nie mogę wyjść z podziwu, jak wielki tupet, a jak małe poczucie odpowiedzialności za prawdziwość swych świadectw ujawnił mjr. Żochowski w swym artykule.

Omówiony tu "mój" przykład jest próbą "ściśłości" przyczynka historycznego pt. "Narodowe Siły Zbrojne" —

Proszę, Panie Redaktorze przyjąć wyrazy prawdziwego poważania i uścisk dłoni

T. PEŁCZYŃSKI, gen.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z ogłoszonym w numerze 5/31 "Kultury" artykułem S. Zochowskiego pt. "Narodowe Siły Zbrojne" (N.S.Z.) uważam za konieczne poczynić następujące uwagi:

Artykuł o podobnej treści nie powinien być znaleźć miejsca w "Kulturze", piśmie o humanistycznych tendencjach. Nie zamierzam w tej chwili zająć się oceną działalności NSZ w czasie hitlerowskiej okupacji w Polsce i po jej zakończeniu. Chcę zatrzymać się jedynie nad kwestią, którą p. Zochowski pobeźnie poruszył w swym artykule, mianowicie nad kwestią żydowską.

Jak powszechnie wiadomo, "Narodowe Siły Zbrojne" były duchowymi spadkobiercami przedwojennej "Organizacji Narodowo-Radykalnej" (O.N.R.), która wstawiła się tym, że jej członkowie w biciu Żydów posługiwali się żyłkami, osadzonymi na grubych pałkach. "Narodowe Siły Zbrojne" znacznie prześcignęły swoją poprzedniczkę O.N.R. One bowiem szybko przyswoiły sobie metody krwawego okupanta, któremu dzielnie wtórowały w mordowaniu żydowskiej ludności. Partyzanci N.S.Z. w czasie hitlerowskiej okupacji w Polsce likwidowali wszystkich napotykanych Żydów, którzy ukrywali się bądź to w lasach, bądź też w wsiach, u chłopów.

O tym haniebnym fakcie pisze Zochowski w takim stylu, jak gdyby wśród innych zbrodniczych elementów, także Żydzi, zbiegli z ghejt i transportów, tworzyli bandy rabunkowe i napadali na dwory i chłopskie zagrody. Ponieważ wieś pozostała bez osłony — pisze dalej Zochowski — dowódca N.S.Z. wydał rozkaz rozpoczęcia "akcji specjalnej Nr 1" dla zlikwidowania "bandytów".

Przypomnijmy sobie, że również Niemcy nazywali bandytami ofiary swoich masowych rozstrzeliwań na ulicach Warszawy. W danym wypadku domniemanymi bandytami byli starcy, kobiety i małe dzieci, Żydzi, którym po wielu niebezpieczeństwach udało się zbiec z transportów, idących do komór gazowych lub z likwidowanych ghejt i następnie ukrywali się w lasach w nadziei, że tu uda im się przetrwać. Przeciw takim "bandytom" uruchomiona została akcja bohaterów N.S.Z.

Ostatnia wojna stworzyła nowy termin prawny, który wszedł w ramy kodeksu prawa międzynarodowego. Mam na myśli zbrodniarzy wojennych, pod który to termin podpadają ci wszyscy, którzy m. in. winni są masowego mordowania ludności cywilnej. Jest jednym z tragicznych symptomów obecnej demoralizacji, że koła kwalifikujące się pod ten termin, zamiast zasiąść na ławie oskarżonych, otrzymują możliwość oddziaływania na wolną opinię publiczną.

N.S.Z. wstawiły się jeszcze swoją działalnością po zakończeniu hitlerowskiej okupacji w Polsce. Wówczas organizacja ta zajmowała się m. in. zatrzymywaniem biegnących pociągów, oraz samochodów na drogach, wyciąganiem z nich Żydów, by ich zamordować w pobliskich lasach. Także szereg zorganizowanych w Polsce po hitlerowskiej okupacji pogromów był dziełem N.S.Z.

P. Zochowski, który od r. 1943 nie był w kraju, nie jest, być może, należycie poinformowany o wyczynach N.S.Z. w późniejszym okresie. Dlatego należy mu wyjaśnić, że organizacja, którą wybiela, przypisując jej, jakoby uratowała polską wieś, shańbiła w rzeczywistości w najnikczemniejszy sposób imię Polski.

Dziękując z góry za zamieszczenie tych kilku uwag, łączę wyrazy szacunku.

J. HIRSZHAUT.

Kronika kulturalna

Dramat malarstwa

Jeszcze Mounier ustalił w "Esprit" zwyczaj robienia ankiet tendencyjnych, tzn. sugerowania w pytaniach gotowych rozwiązań, odpowiadających poglądom (czy raczej uprzedzeniom) redakcji. Zwyczaju tego trzymano się i w świeżej ankiecie o malarstwie¹⁾. Najbardziej charakterystyczną cechą tej ankiety jest jej fiasko. Zwrócono się z nią niemal wyłącznie do malarzy średniego i młodszego pokolenia spodziewając się zapewne, że malarze, którzy starają się być modni w swej sztuce, będą gotowi do ukłonu pod adresem modnej ideologii. Redakcję spotkało rozczarowanie (do którego przyznaje się nie bez wdzięku). Jest ono dosyć orzeźwiający, bo świadczy o wysokim stopniu zdrowej samowiedzy francuskich malarzy. Spośród trzynastu pytań większość uczestników ankiety uwzględniła najwyżej dwa lub trzy, a i te jeszcze poddawano modyfikacjom, które często zmieniały całkowicie ich sens. Większość pytań nie interesowała niemal nikogo. Tłumaczy się to głównie ich ciasnym doktrynerstwem.

"Esprit", jak wiemy, czerpie sens istnienia z czegoś co można by nazwać konserwatywną (personalistyczną) rewizją marksizmu. Tajemnica powodzenia tego pisma tkwi w jego braku radykalizmu intelektualnego. Poddaje się tu dyskusji nie marksizm w jego (wciąż jeszcze dla inteligentnego ogółu ezoterycznej) formie czystej doktryny, ale hasła marksizmu stalinowskiego, a więc marksizm zwulgaryzowany i "stosowany".

Estetyka stalinowska wyraża się w sloganie "socjalistycznego realizmu". Jak wszystkie slogany kompartii, tak i ten ma dla redaktorów "Esprit" nieodparty urok. Odrzucić go à limine lub po krytycznym zbadaniu jego zawartości i motywów politycznych, znaczyłoby popaść w "reakcję". Należy raczej starać się wykazać, że "coś w tym jest", ale że dla kultury francuskiej "sprawa nie jest taka prosta". Pobożnym życzeniem redaktorów ankiety było, by się okazało, że nawet abstrakcyjne malarstwo francuskie realizuje ten postulat — właściwie podjęty — w stopniu znacznie wyższym i sensie o wiele głębszym niż malarstwo "realistyczne" sensu stricto. To się udało tylko częściowo.

1) Réalisme et réalité. Enquête sur la peinture. "Esprit", Juin 1950.

wo, bo przez interpretację tekstów, w których na ten temat jako taki nie ma ani słowa. Najbardziej "niezrozumiałe" produkty tego malarstwa miały się dać uratować przy pomocy formuлки, że "artysta wyprzedza swoją epokę". Lecz i publiczność chciano oszczędzać. Koncedowano jej nawet dopuszczalność żądania "zrozumiałej sztuki" jako namiastki wysiłku **r o z u m i e n i a** sztuki. Redaktorzy nie umieli się w każdym razie uwolnić od pozytywistycznego uprzedzenia, że artysta — jak każdy intelektualista — stoi poza "strumieniem historii", że go obserwuje i albo się z nim identyfikuje (wtedy jest "engagé") albo zachowuje do niego dystans niepoprawnego indywidualisty. Ale i tu jeszcze redaktorzy nie mogli się zdecydować na wyrażenie potępienia, bo w tym dystansie może tkwić "bunt" i posłanie (message) "wiary lub nadziei ludzkiej". Cokolwiek by się okazało, jeżeli chodzi o przyszłość realizmu, gdyby nawet jego miejsce miała nieodwołalnie zająć "czysta sztuka", redaktorzy łudzili się, że rozwinięta ona przynajmniej s y m b o l e, które wyrażałyby epokę i mogły stać się w końcu powszechnie zrozumiałe. Proces ten miały się ponadto odbyć "poza wszelkimi koncesjami"! *Mein Liebchen, was willst du noch mehr?* Z pytań ankiety wyłania się smętne oblicze bezzębego już dziś pozytywizmu.

Nic więc dziwnego, że wielu malarzy zaprzyjaźnionych z redakcją pisma wykręciło się uprzejmie od udziału w ankiecie zasłaniając się obawą przed kpinami przyjaciół lub nieumiejętnością formułowania myśli w słowach. Odważniejsi nadawali odpowiedzi, ale przeszli przez łączkę pobożnych zyczeń redakcyjnych jak tabun dzikich koni. Reasumując wyniki ankiety w osobnym artykule, którego tytuł ("**Prendre garde à la peinture**") zrećnię i po rycersku kwituje nauzkę, jakiej politykom z "Esprit" udzielili artyści, Albert Béguin konkluduje bardzo słusznie: "Któż by w tych warunkach wątpli, że nie należy bynajmniej wytyczać malarzom ich drogi, lecz owszem, starać się zrozumieć dla czego nie mogą iść inną drogą niż idą, słowem, że należy czujnie śledzić malarstwo?" Co prawda, mówiąc o "tych warunkach" Béguin stara się jednak jeszcze uratować substancję pozytywistycznych uprzedzeń wobec sztuki. Bo oto niezrozumiałstwo współczesnej sztuki tłumaczy... specjalizacją właściwą naszemu czasom, tą samą specjalizacją, która robi np. z fizyki a nawet z poezji rodzaj wiedzy tajemnej! "Istnieje specjalizacja sztuk, pisze, która odpowiada temu samemu rozbięciu jedności (jakie obserwujemy w innych dziedzinach życia duchowego naszej epoki) i ujawnia stan ludzkości pozbawionej wspólnych więzi". Przez to malarze są równie "reprezentacyjni dla współczesnej duszy" co np. powieściopisarze, którzy odsłaniając swój warsztat "zapraszają czytelnika, by przeżywał zarówno dramat autora jak i dramat jego postaci" i co poeta, który "właściwie nie opowiada nic poza swymi przygodami poety". Dla tego "sztuka współczesna jest w zgodzie z człowiekiem współczesnym nie przez to, że artyści stawiają sobie pytania dotyczące obecnej sytuacji ludzkości, lecz przez to że stawiają sobie pytania dotyczące obecnego stanu (le moment) swojej sztuki". Béguin zdaje się nie wiedzieć, że w dziełach starych mistrzów niemal wszystkie konwenanse były koncesją na rzecz mecenasów i publiczności (a także... literatów!), a to co dla nich było istotne i co ich pchnęło do malarstwa, to było

zainteresowanie dla "obecnego stanu ich sztuki". A przecież pisze w końcu, że "ewolucja form, następstwo stylów, nieustanna zmienność techniki nie jest wcale historią niezależną od owej drugiej historii, rzekomo prawdziwej".

Zanim przejdziemy do rozważenia pewnej obserwacji Béguina, która zaprowadzi nas w sam środek problematyki poruszonej tym razem przez "Esprit", zacytujmy — by skończyć z tym lojalnym **résumé** ankiety — zdanie Alberta Béguin o znaczeniu, jakie należy przypisać zgodnej postawie korespondentów wobec sloganu o "socjalistycznym realizmie". Brzmi ono: "Pewne pytania pozostały zupełnie bez odpowiedzi. Nie były to też pytania, z którymi można by się zwracać do malarzy. Nie dotyczą właściwie malarzy, lecz raczej intelektualistów i polityków. Warto było zachodu, by się o tym przekonać. To samo odnosi się do owego problemu "socjalistycznego realizmu", który sprowadza się do pytania, czy malarze powinni tak malować, by ich rozumiały współczesne im masy lub raczej czy należy od nich żądać, by znali uczucia, nadzieje i doświadczenia tych mas i by dawali im wyraz. Wiemy skąd się te żądania biorą i że nie wysuwają ich ani artyści ani masy". Tak więc zdążyło się, że stalinowski slogan nie został przez "Esprit" zaadoptowany po odpowiedniej modyfikacji, ale zdecydowanie odrzucony i to dzięki zwartej postawie upatrzonych ofiar.

A teraz zajmijmy się najgłębszą uwagą Alberta Béguin, aforyzmem, który streszcza nie tylko ankietę "Esprit", ale wszystko co do tej pory powiedziano z sensem o nowoczesnej sztuce. "Człowiek tego malarstwa jest człowiekiem, który odczuwa siebie samego jako wielość a nie jako jedność..." Dalszy ciąg tego zdania brzmi: "...lecz także człowiekiem, który chętnie bierze swą sprawność za swą osobowość. Jest to człowiek **r o b i e n i a a n i e b y c i a**, jego świadomość jest niewątpliwie ową świadomością odwróconą od jedności, którą faworyzuje współczesna nauka i która wynika także z rozczłonkowania egzystencji narzucanego wszystkim obywatelom zmechanizowanych społeczności. To samo można powiedzieć o stosunku do świata widzialnego; przestawszy być Stworzeniem, które opiekowała dawna sztuka, świat zewnętrzny stał się zbiorem danych podlegających atomizującemu działaniu analizy". Trzeba, jak to zrobiliśmy, oddzielić aforyzm od jego eksplikacji, bo zdanie o podstawieniu sprawności pod osobowość nie jest wcale innym sformułowaniem aforyzmu o wielości osobowości, ale jego interpretacją. Jak widzieliśmy, Béguin poprzestaje później na pojęciu specjalizacji, z którego wywodzi m. in. aktualność sztuki współczesnej takiej jaką jest (a nie jaką być "powinna"). Tymczasem istota rzeczy tkwi w wielości osobowości.

Béguin nie może mieć na myśli zjawiska (z którym zresztą nie daje sobie rady), że w sztuce współczesnej współistnieją malarze realisci i abstrakcyjniści i że to świadczy o wielości osobowości "człowieka tego malarstwa" ¹⁾. Nie wyróżniałoby to naszej epoki spośród innych, bo zawsze żyli i tworzyli obok siebie artyści hołdujący różnym stylom. Mówiąc o "braniu własnej sprawności za swą osobowość" Béguin chce niewątpliwie powiedzieć, że artysta współczesny ucieka od swego wewnętrz-

1) Zresztą, sam termin "l'homme de cette peinture" jest dwuznaczny i świadczy o tym, że Béguin nie przeanalizował sobie pojęcia, które nim określa.

nego chaosu w dyscyplinę pracy i oczekuje od niej, że ona go zorganizuje. Próba ta kończy się rzekomo specjalizacją, tj. odnaniem się w niewolę warsztatowi. Ale równocześnie Béguin sądzi, że specjalizacja jest dziś ludziom "narzucana" przez "zmechanizowane społeczności". Jedno z dwojga: albo specjalizacja jest skutkiem wewnętrznego chaosu i próbą ucieczki przed nim albo jest narzucana z zewnątrz. Bo może "zmechanizowane społeczności" i wszystkie wytworzone przez nie instytucje są też tylko skutkiem wewnętrznego chaosu, a więc zaspokojeniem pewnej głębokiej duchowej potrzeby? Wtedy cały ów anonimowy "duch epoki", wyrażany tak dokładnie przez malarstwo współczesne narówni z literaturą i nauką, straciłby charakter zewnętrznego fatum, jaki ma w oczach Alberta Béguin i problem naszej cywilizacji zostałby przetrząsany do wnętrza człowieka. A tam może podlegałby jakiemuś rozwiązaniu przez akt woli i artystom należałoby słusznie zarzucić, że poprzestają na jego stwierdzeniu zamiast go rozwiązywać?

Oczywiście, problem jest fikcyjny, przynajmniej na terenie malarstwa. Jeżeli artysta "bierze swą sprawność za osobowość" to — założywszy nawet, że to jest nieporozumienie — może ulec temu złudzeniu tylko dla tego, że produkty tej sprawności mają jakąś jedność. Co prawda, niektórzy uczestnicy ankiety, zwłaszcza zwolennicy sztuki "figuratywnej" (realistycznej), podkreślają "dowolność" sztuki abstrakcyjnej. Może to być słuszne w odniesieniu do gros tej produkcji, zwłaszcza oglądanej w Salonie Jesiennym, ale jest zwykłą nieprawdą, gdy wziąć pod uwagę wielkich mistrzów malarstwa abstrakcyjnego, a także niektórych młodszych jego przedstawicieli. Nawet Miró i Kandynskij, to dwa różne style. Nie ma tu żadnej "dowolności", jest nie mniejszy — jeżeli nie większy — rygor niż w malarstwie Courbета czy Delacroix, a nawet Poussina i Lorraina. I teraz znowu jedno z dwojga: albo ta jedność jest rezultatem jakiejś nadludzkiej logiki, a więc jakiegoś czysto intelektualnego wysiłku, podobnego do wysiłku inżyniera konstruującego skomplikowaną maszynę, albo jest jednością tego, co Henri Focillon nazwał "qualité physiologique", a więc jednością... osobowości. Wydaje się, że nie może tu być wątpliwości. Gdyby malarze abstrakcyjni operowali dowolnie obranymi regułami konstrukcji i uzyskiwali jedność przez ścisłe, niewolnicze ich stosowanie, to nie tylko znalibyśmy te reguły, ale nie odczuwalibyśmy przed tymi obrazami tej fascynacji czysto duchowej (a więc nie tylko intelektualnej, ale i "spirytualnej"), którą możemy sprowadzić tylko do focillonowskiej "jakości fizjognomicznej".

Dobre malarstwo abstrakcyjne wyraża osobowość artysty równie nieomylnie jak dobre malarstwo realistyczne. Ale jedność, to oczywiście nie wszystko. Jeżeli malarstwu współczesnemu nie można z sensem stawiać zarzutu dowolności, a więc braku osobowości, to może można mu postawić zarzut zubożenia osobowości? Tak postawiony problem otwiera szerokie perspektywy na całe zagadnienie technicznej cywilizacji. Choć Brouwer i Rubens są obaj malarzami "figuratywnymi" (i żyją równocześnie), to nie ma być może między nimi różnicy w stopniu osiągniętej jedności, ale na pewno jest różnica w bogactwie osobowości. Różnica ta wystąpi jeszcze wyraźniej, gdy porównamy np. Tycjana i Rousseau-celnika. Takie zestawienia powiedzą nam, że istnieje hierarchia osobowości, ale także że istnieje ona w każdym czasie. Jeżeli nie zechcemy porównywać

Rousseau z Tycjanem, co jest niemal groteskowe, ale np. z Cimą da Conegliano albo z Tadeo Gaddim, to może dałaby się skala wartości nawet odwrócić?

W pewnym ogólnym sensie jednak zarzut zubożenia osobowości da się utrzymać. Malarze dziś na ogół poprzestają na harmonizowaniu mniejszej ilości elementów. Jeżeli pominąć takiego prestidigitatora jak Picasso (który "wszystko potrafi", Polacy powiedzieliby "do wszystkiego jest zdolny"), skala człowieczeństwa jest prawie wszędzie zdumiewająco skromna. Nie ma dziś w malarstwie wielkich panów, nie ma wielkich mistyków, wielkich mędrców, wielkich poetów. Melodia malarstwa XX w. jest uboższa niż w wiekach poprzednich, choć kontrasty (wewnątrz poszczególnych dzieł) są gwałtowniejsze. Osiąganie jedności przychodzi nam dziś z większym trudem, dla tego eliminujemy wszystkie elementy, które musiałyby pozostać nieprzepracowane (dawniej mniej o to dbano, zwłaszcza począwszy od szesnastego wieku!). Mniej dziś ufamy oku i nawykowi oceniania rzeczy, mniej ufamy swemu sądowi. Każdą rzecz, każde wyobrażenie wciąż na nowo kwestionujemy i poddajemy próbie przez zestawianie z rzeczami kontrastującymi. W eliminacji dochodzimy często do surowej techniki, w której też nie zawsze uzyskujemy czystość i jednoznaczność uczucia, jaką na marginesie swych figuralnych kompozycji uzyskiwali starzy mistrzowie. Ma się takie wrażenie, jakby malarze dawnych wieków żyli i malarstwem, a malarze naszych czasów za każdym razem je na nowo odkrywali, gdy biorą pedzel do ręki. Jesteśmy na pewno wrażliwsi niż ludzie dawnych wieków, ale i mniej pewni (wszystkiego: oka, uczucia, wartości), słabsi i mamy krótszy oddech. Dla tego zapewne jesteśmy brutalniejsi. Brutalność naszych malarzy jest rzadko poza, czuje się na ogół, że odpowiada ona prawdziwej potrzebie serca. Nie umiemy poprzestać na ironii, prawie zawsze popadamy w szyderstwo, nie umiemy poprzestać na prawdowości, zaraz popadamy w cynizm, naturalne piękno wydaje nam się niemal niedostępne, nie umiemy uchwycić jego szlachetności, a gdy się do tego zmuszamy, popadamy w konwencjonalność.

Jeżeli nawet założyciel współczesnej psychologii, że indywidualność jest rezultatem opanowania tłumy osobowości mieszczących się w każdej piersi, bez kaleczenia ich; że jest ona jakby ustaleniem porządku prawnego i politycznego między nimi i że nie co innego, tylko to właśnie przychodzi nam dziś z takim trudem, to jeszcze wciąż z tego nie wynika wielość osobowości, która jest praktycznie brakiem osobowości. Wielość osobowości paraliżuje każdą manifestację osobowości i skazuje psychikę na same refleksy, ba, czyni z niej sumę refleksów. Jeżeli odnosi się to do wielu ludzi, nie odnosi się do artystów skoro tworzą. Brak indywidualności uniemożliwia styl. Ta trudność jednoczenia osobowości, która sprawia, że ograniczamy jej zasięg, by nie pozostać bez osobowości, ma prawdopodobnie swe źródło w zbyt szybkich i gwałtownych przemianach otoczenia zmuszających nas zbyt często do gruntownego przebudowywania osobowości. Nieraz widzimy się zmuszeni do rewindykowania fragmentów osobowości, dawno zepchniętych pod próg świadomości, "ocenzurowanych" raz na zawsze w imię ideału, któremu — niestety! — rozwój stosunków międzyludzkich stał się tymczasem wrogi. Tę szybkość przemian i wywołaną nią dezo-

rientację eksploatują rosnące jak grzyby po deszczu instytucje, dla których masa bez osobowości, tłum zdolny tylko do refleksów (a refleksy można przewidywać i w ten sposób człowiek, a właściwie jego smętny relikw, staje się nagle obliczalny!) jest wygodniejszy niż szierarchizowane wewnętrznie i zewnętrznie indywidualności. Proces ten przybiera charakter niepowsztychanej tendencji i działa naprzód onieśmielająco, potem zniechęcająco a wreszcie paraliżująco. Rezultatem jest powszechne ubożenie osobowości (jednostkowych, ale i zbiorowych!) a zacieśnianie się terenu ekspansji w tych wypadkach, gdy wola (u artysty pojawia się ona jako wola stylu) nie daje się złamać, prowadzi do wysiłków heroicznego oporu. Nasze uboższe osobowości są mniej wspaniałe niż dawne, bogatsze, ale mają szczególności, tragiczny blask, bo rosną nad przepaściami.

Człowiek współczesny "odczuwa siebie jako wielość a nie jako jedność". W tym sensie malarstwo współczesne rzeczywiście reprezentuje nasz wspólny los. Ale nie jest prawdą, że "świadomość (współczesnego artysty) jest świadomością odwróconą od jedności". Artysta współczesny dąży do jedności tak samo jak starzy mistrzowie, ale uzyskuje ją kosztem spadku w hierarchii indywidualności. Jesteśmy bliżsi pierwotnego chaosu, niż ludzie dawnych czasów. Orze nas plug, który sami wcisnęliśmy w ręce historii i leżymy pod bezlitosnym słońcem jak otwarta gleba. Osaczeni zewsząd, artyści przecież nie ustają w swym tragicznym wysiłku, jakiegokolwiek byłyby jego rezultaty. I w tym znaczeniu są dla nas nie tylko świadkami epoki, jak chce Béguin, ale wzorem moralnej postawy. Dramat ich powinniśmy śledzić nie przez ciekawość, lecz z biciem serca, bo w tym widowisku "et tua res agitur".

J. M. R.

Na scenach paryskich

Paryż, w czerwcu.

W styczniu i lutym br. w prasie paryskiej ukazało się wiele artykułów, poświęconych próbom znalezienia przyczyn wyjątkowego wprost marazmu jakim odznaczał się początek bieżącego sezonu teatralnego. Trudności z jakimi walczyć muszą obecni dyrektorzy teatrów są na ogół nieznanne szerszej publiczności i dlatego też warto rozpocząć przegląd działalności teatrów paryskich w 1950 r. od streszczenia tej polemiki. Dodajmy od razu że marazm, o którym mowa, szczęśliwie został przełamany i że ostatnie tygodnie godne są najlepszej tradycji teatru francuskiego.

Najważniejszym, i niestety jak zawsze najtrudniejszym, problemem do rozwiązania jest znalezienie kredytów na pokrycie kosztów zmontowania nowego przedstawienia. Koszty te są przeszło dwudziestokrotnie wyższe niż przed wojną (głównie dzięki zwiększeniu się podatków i innych opłat) podczas gdy ceny biletów wzrosły zaledwie dziesięciokrotnie.

Przed wojną sto przedstawień wystarczyło do całkowitego pokrycia kosztów własnych. Dziś dla zamortyzowania ich trzeba trzykrotnie dłuższego czasu. Konsekwencje wpływające z tego stanu rzeczy są bardzo poważne. Mało który dyrektor teatru może pozwolić sobie na niebezpieczne próby. Wszelkie niepowodzenie może zakończyć się bankructwem. Dlatego też pierwszą troską każdego dyrektora jest zapewnienie sobie sztuki autora, którego nazwisko znane jest szerokiej publiczności i może zapewnić długą serię przedstawień. Autorów takich jest jednak niewielu: Anouilh, Montherlant, Achard, Salacrou, Roussin, Sartre wyczerpują listę — a scen dramatycznych w samym tylko Paryżu jest około 50. Stąd też tendencja do wznawiania sztuk, które swego czasu cieszyły się już dużym powodzeniem. Tendencja ta znajduje też swe uzasadnienie w coraz wyraźniej zaznaczającej się modzie na tzw. "Belle Epoque". Co najmniej połowa ostatnich francuskich filmów obrała sobie za temat ostatnie lata XIX wieku. W ciągu 1949 roku powstał w Paryżu szereg kabaretów artystycznych pod nazwą "Café-Concert 1900". Trudno dziwić się, że teatr poszedł tą samą drogą. W zeszłym roku wskrzeszono Courteline. Ostatnio na afiszach pojawili się Tristan Bernard i Feydeau.

Dalszą konsekwencją trudności finansowych jest dążność do zapewnienia sobie współpracy znanego aktora. Znanego oczywiście z filmu. Dodaje mu się trzech czy czterech mniej znanych kolegów, gdyż na zgromadzenie kilku wybitnych talentów równocześnie, mało który teatr może pozwolić — licząc że samo nazwisko ściągnie szeregi admiratorów. Stąd dążność do ograniczenia się do pewnego stereotypowego rodzaju sztuki. Od autora dramatycznego wymaga się dziś, żeby obsada nie przekraczała 4 - 5 osób, a akcja nie wymagała zmiany dekoracji i kostiumów. Wzorem sztuki przystosowanej do współczesnych wymogów może być "La Petite Hutte" André Roussina, jeden z największych sukcesów kasowych od zakończenia wojny. Grozi to standaryzacją produkcji. Dalsza twórczość André Roussina uzasadnia do pewnego stopnia te obawy. "Nina" i "Les Oeufs de l'Autruche" są sztukami o jednej dekoracji i czterech aktorach, podobnie jak "Sincèrement" i "La Mariée est trop belle" Michel Duran. André Roussin ma jednak duży talent sceniczny i w stosunku do jego osoby standaryzacja ta jest niegroźna. Inni, a w szczególności młodzi i niewyrobieni jeszcze autorzy dramatyczni, łatwo mogą się w tych warunkach zmanierować.

Dyrektorzy teatrów zaprotestowali przeciwko stawianym im przez krytykę zarzutom, mówiąc: "dajcie nam dobre rękopisy a ani przez chwilę nie zawahamy się ponieść ryzyka związaneego z ich wystawieniem. Rękopisy takie można jednak policzyć na palcach jednej ręki". Trudno odmówić twierdzeniu temu pewnej racji. Kilka lat temu stworzono komisję, której zadaniem jest przyznawanie subwencji młodemu autorowi dramatycznemu dla wystawienia pierwszej jego sztuki. Komisja ta

przeczytała już kilkadziesiąt manuskryptów i z wyjątkiem "Mon-serrat" Emanuel Rablès i "A chacun selon sa faim" Jean Mogin żadnego więcej nie uznano za naprawdę godnego poparcia.

Krytycy teatralni widzą dwa główne powody tego stanu rzeczy. Bezpośrednio po wojnie utarło się przekonanie, że w dzisiejszych czasach jedynie aktualne tematy polityczne i społeczne, mogą zainteresować publiczność. Dziś ludzie potrzebują silnych wzruszeń i problemy życia codziennego do nich nie przemawiają. Sartre i Camus wprowadzili tę teorię w życie i uzyskali poważne sukcesy. "Huit Clos" i "Mains Sales" przez długie miesiące nie schodziły z afisza. Powstało stąd przekonanie, że temat aktualny wystarczy dla zapewnienia powodzenia. W latach 1946, 47, 48 mieliśmy możliwość oglądania szeregu tego rodzaju produkcji. Młodzi i zapaleni rewolucjoniści starali się tą drogą zainteresować publiczność głoszącymi przez siebie ideałami. Zapomniano, że teatr jest sztuką i że jak każda sztuka wymaga przede wszystkim talentu. Próby te zakończyły się oczywiście niepowodzeniem. Zniechęciło to wielu młodych pisarzy, którzy zamiast raz jeszcze spróbować swego talentu na prostszej i bardziej odpowiadającej wymogom teatru drodze, całkowicie zaniechali twórczości dramatycznej.

Drugim powodem jest zbyt duża indywidualność reżysera i przerost inscenizacji. Jest to też w pewnej mierze wina publiczności. Słaba nawet sztuka, ale dobrze wyreżyserowana i zmontowana z dużym nakładem wysiłków i kosztów, ma szanse uzyskania powodzenia kasowego. Ten przerost inscenizacji powoduje przede wszystkim wzrost kosztów i zwiększa ryzyko. Przyczynia się do tego wpływ ostatnich lat XIX w. Kostiumy z tej epoki są kosztowne i trudne do wykonania. Równocześnie tekst gubi się. Zniechęca to na prawdę utalentowanych pisarzy, a ułatwia pracę innym, łatwiej godzącym się na kompromisy.

Na szczęście istnieje dziś we Francji kilku autorów dramatycznych w sile wieku. Ich nazwiska przytoczone na wstępie — wystarczają dla utrzymania teatru francuskiego na wysokim poziomie. Nie widać jednak ich następców i przyszłość francuskiej twórczości dramatycznej stoi pod znakiem zapytania — przynajmniej na okres najbliższych kilku lat.

Pomimo braku młodych talentów dramatycznych teatr francuski w dalszym ciągu zajmuje pierwsze miejsce na świecie. Szkoła założona przez Jacques Copeau wydała wiele talentów. Dowodem tego mogą być sukcesy, jakie teatr francuski uzyskał ostatnio poza granicami kraju.

Zespół Comédie Française powrócił niedawno z Egiptu, gdzie dał szereg przedstawień w Kairze i Aleksandrii. Teatr Jacques Hebertot był zaproszony, wraz z londyńskim Old Vic, do Florencji z okazji dorocznego festiwalu majowego, gdzie wystawił "Annonce faite à Marie" Claudel'a i "Maître de Santiago" Montherlant. Z Florencji trupa Hebertot udała się do Peruggi, Wenecji, Bolonii, Brescii, Turynu i Mediolanu. Teatr Jouvét

zakończył triumfalny objazd Hiszpanii. Jean-Louis Barrault i Madeleine Renaud wraz z wszystkimi swymi współpracownikami wyjechali z repertuarem ośmiu sztuk na objazd całej Ameryki Południowej. Wszędzie występy artystów francuskich zostały entuzjastycznie przyjęte przez publiczność i krytykę.

Typowym przykładem, ilustrującym powyższe wywody, są ostatnie miesiące działalności trupy Jean-Louis Barrault w teatrze Marigny. Na początku sezonu, z dużym nakładem kosztów i wysiłków, wystawiono "Elisabeth d'Angleterre" Ferdynanda Brucknera. Autor był we Francji mało znany. Publiczność francuska nie interesuje się specjalnie historią Anglii. Na domiar złego sztuka została zimno przyjęta przez krytykę — zresztą nie bez pewnej racji. W rezultacie "Elisabeth d'Angleterre" po kilku przedstawieniach znikła z afisza, chociaż niewątpliwie zasługiwała na lepszy los. "Le Bossus", melodramat Anicet Bourgeois i Paul Féval przyjęto w kilka tygodni później z entuzjazmem. "Le Bossus" nie przedstawia dużej wartości pod względem literackim. Robert Kampf słusznie napisał w "Le Monde", że "ustępy tekstu, które przejdą do historii literatury zmieścić można na jednej stronie notosu". "Le Bossus" jest jednak sztuką sceniczną, a brak wartości literackich pozwala Jean-Louis Barrault na pełnię wyzyskania swej fantazji i zdolności reżyserskich. Znakomita gra Pierre Brasseur, który z zadziwiającą łatwością zamienia się z dumnego i rycerskiego Chevalier Lagardère w chyrego i oblesnego garbusa, słusznie porywa publiczność. Postać Lagardère znana jest każdemu Francuzowi. Wraz z d'Artagnan i Cyrano de Bergerac jest to jeden z najpopularniejszych bohaterów młodzieży. W rezultacie "Le Bossus" okazał się jednym z największych sukcesów kasowych tego sezonu.

Na wiosnę Jean-Louis Barrault dał nam drugie wznowienie: "Malborough s'en va-t-en geurre" — Marcel Achard i "On purge un bébé" Feydeau. Już samo nazwisko Marcel Achard wystarczało dla zapewnienia przedstawieniu powodzenia. Znakomita wystawa i, przede wszystkim, gra Madeleine Renaud są dalszymi elementami sukcesu. W "On purge un bébé" widzimy ją w brudnym szlafroku, podartych pończochach, z wiaderkiem w rękę, kłócącą się z mężem, prawie odpychającą. W godzinę później, jako księżniczka Sarah w "Malborough s'en va-t-en guerre", ta sama Madeleine Renaud roztacza przed nami z wdziękiem i wyrefinowaniem kunsztowną sztukę uwodzenia mężczyzn.

Co roku, zwolekiem w okolicach Bożego Narodzenia, wybucha gwałtowna polemika na temat sposobu w jaki powinno się grać autorów klasycznych. Dwa lata temu tematem był "Dom Juan" Moliere w inscenizacji Jouvét. Zeszłego roku "Les Fourberies de Scapin" w teatrze Jean-Louis Barrault. Ostatnio nowa interpretacja "Tartuffe" Moliere przez trupę Jouvét. Interpretacja ta znacznie odbiega od tradycji. Charakterystyka

osób została całkowicie zmieniona. Orgon przestał być śmiesznym, naiwnym, łatwo wpadającym w złość mleszczaninem. Renoir zrobił z niego przeciętnego Francuza, raczej nawet inteligentnego, tylko upartego i do pewnego stopnia maniaka. Doline, w interpretacji Gabrielle Dorziat przypomina guwernantkę angielską. Tartuffe z oblesnego małego obłudnika, wykorzystującego naiwność poczciwego Orgona przekształcił się w dużej klasy awanturnika. Spokojny, opanowany, przytłacza swą indywidualnością całe otoczenie. Trudno dziwić się, że Orgon ulegał jego wpływowi. Interpretacja ta jest niewątpliwie nowa i ciekawa. Reżyseria, jak zawsze w teatrze Jovet, jest staranna a efekty sceniczne opracowane w najdrobniejszych szczegółach. Dekoracje Georges Braque bardzo dobre. "Tartuffe" stał się poważną i interesującą sztuką. Przestał być komedią. Publiczność prawie się nie śmieje. Czy na prawdę była to prawdziwa idea Moliera?

Comédie Française dała nam tego roku kilka interesujących przedstawień. Wymienić należy przede wszystkim doskonale wznowienie "Othello" Shakespeare. Aimé Clariond jest znakomity w roli Othello, podobnie jak Renée Faure w roli Desdemony. "Belle Aventure" Roberta Flersa, G. A. Caillaveta i Etienne Roya oraz bardzo starannie wystawiony "Otage" Paul Claudela uzyskały duży sukces. Natomiast "Les Fausses Confidences" i "Cid" wzbudzają pewne zastrzeżenia. Wyjątkowo brzydkie dekoracje i słaba inscenizacja "Cida" kładą przedstawiennię, pomimo dobrej gry niektórych aktorów (przede wszystkim Deboucourt w roli Fernanda).

"La Belle Epoque" króluje w teatrze Antoine, gdzie "Le Petit Café" Tristan Bernarda nie schodzi z afisza, i w teatrze Madeleine, gdzie Leopold Marchand wystawił dobrą przeróbkę sceniczną powieści Colette "Chéri". "La Prisonnière" i "Fric Frac" Edouard Bourdeta również zaliczyć można do sukcesów tego sezonu. Wśród wznowień należy wymienić "Bal des Volleurs", pierwszą komedię Anouilh'a oraz znakomite przedstawienie "Les Voyageurs sans Bagages" tegoż autora w inscenizacji Marguerite Jamois.

Wśród nowych sztuk wyróżnia się zabawna, dobrze napisana i dobrze wystawiona komedia Marcel Aymé'a "Clerambard". Już "Lucienne et le Boucher" zapowiadała nam dobrego autora dramatycznego, obecnie "Clerambard" wysuwa Marcel Aymé'a na czołowe miejsce w teatrze francuskim. "Un tramway nommé désir" Tennessee Williams, po długiej i znakomitej karierze na scenach Nowego Yorku i Londynu zawitał do Paryża, gdzie został życzliwie przyjęty przez publiczność, głównie dzięki udanej inscenizacji Raymond Rouleau i znakomitej grze Arletty. "Les Justes" Albert Camusa są niewątpliwie jego najlepszą sztuką. Autor ciągle jednak używa łatwych efektów, i nadal myśli, że wprowadzenie na scenę aktualnych problemów politycznych wystarczy dla zainteresowania publiczności. Brak miejsca nie pozwala nam na szczegółowe omówienie doskona-

tej sztuki Jean Mogina "A chacun selon sa faim" bardzo dobrze wystawionej przez Raymond Hermantiera dzięki przyznanej subwencji. Jeżeli dalsza twórczość Jean Mogin utrzyma się na tym samym poziomie teatr francuski wzbogaci się o nowego utalentowanego dramaturga. "Bobosse" André Roussin w niczym nie ustępuje, ale też w niczym nie odróżnia się, od dotychczasowej twórczości tego autora. Nie można tego powiedzieć o "La Demoiselle de Petite Vertue" Marcel Acharda, która jest sztuką wręcz słabą i nie wartą wysiłku z jakim została wystawiona. Wspomnijmy jeszcze o nieudanej premierze "Jeanne la Folle" pierwszej i zapewne ostatniej sztuce François Aman-Jean i ciekawej, choć nieprzyjemnej przez zbyt gwałtowne akcenty antyreligijne, "Heloise i Abelard" Roger Vailland.



W grudniu 1949 roku umarł Charles Dullin. W r. 1910 Jacques Rouché odkrył w kabarecie artystycznym "Lapin Agile" młodego aktora i powierzył mu rolę Smerdiakowa w przeróbce scenicznej powieści Dostojewskiego "Bracia Karamazow" granej wówczas w teatrze des Arts. Tam Dullin spotkał się z Jacques Copeau, i wkrótce stał się jego uczniem i współpracownikiem. W 1921 Dullin założył teatr Atelier i wraz z nim szkołę dramatyczną. Przez kilkanaście lat na deskach Atelier prowadził walkę z rutyną, manieryzmem i innymi naleciałościami teatru bulwarowego. Żadne trudności nie zdołały go zniechęcić. W pracy swej kierował się przede wszystkim prawdziwym umiłowaniem i zrozumieniem teatru.

Z wielkiej szkoły Jacques Copeau — która z początkiem tego wieku przeciwstawiła się panującemu wówczas naturalizmowi Antoine'a pozostali już tylko Jovet i Barsacques. (Gaston Baty poświęcił się ostatnio wyłącznie teatrowi marionetek). Idea Copeau przetrwała jednak i została zaszczerpiona młodemu pokoleniu. Stało się to głównie dzięki zasługom Dullin'a. Wśród jego uczni wystarczy wymienić nazwiska Jean-Louis Barrault, Jean Vilar, Raymond Hermantier, Marguerite Jamois, Maria Casarès.

Dullin umarł bezmała w nędzy. W ostatnich latach nie miał nawet własnego teatru. Początkiem niepowodzeń było opuszczenie w 1942 roku teatru Atelier i wzięcie w dzierżawę miejskiej sceny Sarah Bernhardt. Trudności finansowe i nieustępliwe stanowisko zarządu miasta położyły kres jego wysiłkom. Wraz z nim odszedł jeden z największych pionierów prawdziwego teatru awangardowego.

Tadeusz HEINRICH.

Radziecki czy sowiecki?

I.

Komunistyczny nowotwór RADZIECKI na tle tradycji polskiej i ususu innych języków.

Jak wie każdy czytelnik pism drukowanych w Polsce, przejęte z rosyjskiego terminy *Sowiety*, *sowiecki*¹⁾, zostały usunięte z oficjalnego użytku przez rządzące sfery komunistyczne. Wprowadzono natomiast ukuty w okresie rewolucji rosyjskiej (1919?) termin *radziecki*, będący przekładem z rosyjskiego przymiotnika *cobémckuń*, «związany z radą, z radami» (*cobém*, «rada»).

W kierunku rodzimości poszedł komunizm również na Ukrainie przyjmując już na samym początku rewolucji termin z charakteru i «z materii» podobny: *радянський* (*Ядянський Союз*), por. ukr. *рада*, z polskiego *rada*.

Ideą przewodnią ukucia swego czasu «rodzimego» terminu *radziecki* było przekonanie kół komunistycznych, iż system, który zmierza do powszechności (hasło rewolucji światowej), winien mieć wszędzie nazwy rodzime.

Wprowadzenie po r. 1944 przymiotnika *radziecki* było zaprzeczeniem dwudziestokilkuletniej tradycji polskiej: do owej daty terminy *Sowiety*, *sowiecki* były — komunistów nie licząc — wyjątkowe. Nie kłóciło się to z duchem języka polskiego — od kilku stuleci polszczyzna, mimo fal uzasadnionego lub nieuzasadnionego puryzmu, «czyścicielstwa», wykazuje wyrazistą skłonność do przyjmowania słów obcych dla zawartej w nich barwy stylowej lub kolorytu lokalnego. Na tym tle ustalenie się w Polsce terminów *Sowiety*, *sowiecki*, było całkowicie zrozumiałe, tym bardziej, iż komunistom nigdy administracyjnie nie zabraniano stosowania terminów *Związek Rad*, *radziecki*, co dawało dostateczny wyraz tradycyjnemu liberalizmowi.

Podobna sytuacja panowała w sąsiadującym z polszczyzną języku litewskim, gdzie obok niekomunistycznego *Sovietu Sąjunga*, «Związek Sowiecki» (przym. *sovietiškas*), istniał termin komunistyczny *Tarybu Sąjunga* (pierwszy człon jest dopełniaczem liczby mnogiej od rzeczownika *taryba*, «rada»).

Stosowanie terminów rodzimych, przekładowych, takich jak *radziecki* w języku polskim, nie zawsze było wyrazem ideologii komunistycznej. Estonia i Łotwa wyrosły po pierwszej wojnie światowej w walce z bolszewizmem i przez cały niemal okres «międzywojnia» były przez propagandę sowiecką atakowane jako «szańce wypadowe kapitalizmu światowego». A jednak, wskutek tendencji purystycznych, właściwych przede wszystkim językom cywilizacyjnie młodym, i w estońskim i w łot.

1) Po rosyjsku *Советы* w niedbałym języku mówionym mogą oznaczać również i kraj.

tewskim przymiotnikowi *cobémckuń* odpowiadały twory rodzime, przekładowe. Tak np. po estońsku Związek Sowiecki nazywał się przez cały czas *Nõukugude Liit* (pierwsze słowo jest dopełniaczem liczby mnogiej od rzeczownika oznaczającego «radę»).

Z drugiej strony, prawie wszystkie języki europejskie, z angielskim i francuskim na czele, przyjęły termin rosyjski (ang. *Soviet*, fr. *soviétique*, czes. *sovětský* słow. *soviet*sky itd.). Posługują się tymi terminami tak niekomuniści jak i komuniści. Dlatego wprowadzenie przymiotnika *radziecki* po r. 1944 było w Polsce aktem zgoła zbędnym.

II.

Droga wiodąca ku przymiotnikowi RADZIECKI i ocena tegoż przymiotnika

Przy pierwszym zwłaszcza zetknięciu się z przymiotnikiem *radziecki* każdy Polak o subtelniejszym nieco poczuciu językowym wyczuwa zgrzyt. Negatywny stosunek do komunizmu może oczywiście wrażenie zgrzytu wzmoczyć ale nie jest jego przyczyną. Przyczyna leży w pewnych momentach strukturalnych, wiążących się z budową tego przymiotnika, oraz w znaczeniu dwóch przymiotników pokrewnych. Celem niniejszego artykułu jest właśnie przedstawienie tych momentów.

Ustrój sowiecki był i jest ustrojem *rad*, wobec czego komunista, który swego czasu ukuł nowotwór *radziecki*, miał za zadanie utworzenie przymiotnika od rzeczownika *rada*. Z pewnych względów, które, tak dla uproszczenia zagadnienia jak i dla oszczędności miejsca, pomijamy, nie mógł posłużyć się typem przymiotników, zbudowanych przy pomocy sufiksu *-n-* (por. *kościół*: państwo *kościel-n-e* — powstałby wówczas «ustrój *rad-n-y*»), ani typem na *-ow-* (por. *sejm*: ustrój *sejm-ow-y* — otrzymalibyśmy wtedy zgoła niemożliwy «ustrój *rad-ow-y*!>). Jedynym typem przymiotników, jaki pozostawał, były przymiotniki zbudowane przy pomocy sufiksu *-sk-* (por. *ziemia*: *ziem-sk-i*) lub przy pomocy któregoś z «rozszerzeń» tego sufiksu.

1) Dlaczego nie mógł powstać przymiotnik *radzki*?

Zastosowanie do rzeczownika *rada* sufiksu *-sk-* dałoby w rezultacie przymiotnik *radzki*. Przymiotnik taki niegdyś istniał. *Słownik warsz.* zna go np. w użyciu rzeczownikowym z L. Krzywickiego (ur. w r. 1859): Dębski i Świdwa są burmistrzami, Jan Rawa wójtem, Domanowski *radzkim*. Jest to martwy termin historyczny, szczupło w dziejach języka zaświadczony.

To, że *radzki* już niegdyś istniał, nie dawało podstawy samo przez się, aby przymiotnik taki ponownie utworzyć. Wznowieniu sprzeciwiała się dzisiejsza martwota tego typu przymiotnikowego, o czym zaraz, szerzej.

Rzeczownik *rada* jest rodzaju żeńskiego, typu samogłoskowego (pierwszy przypadek kończy się na samogłoskę: *rad-a-* w przeciwieństwie do żeńskich rzeczowników spółgłoskowych, takich jak np. *jesień*). Przeciętnej wielkości słownik zawiera około 5 tys. rzeczowników żeńskich na *-a-*. Owóż tylko 14 spośród nich ma przymiotniki na *-sk-*. Są to:

5 oznaczeń kobiet «jako takich»: *baba: babski; białogłowa: białogłowski* (i rzeczownik i przymiotnik to żartobliwe archaizmy); *dama: damski; dziewczyna: dziewczynski* (Sienkiewicz — przymiotnik ten ma zabarwienie dialektyczne, występuje jedynie w języku pisanym); *panna: paniński*; można by również dodać przymiotnik *żeński*, gdyby nie to, że jego wyraz macierzysty, *żona*, już dawno znaczeniowo odbiegł od przymiotnika, nie oznacza bowiem 'kobiety', lecz 'żonę';

4 oznaczenia formacji wojskowych: *artyleria: artyleryjski; biała gwardia: białogwardyjski; gwardia: gwardyjski; kawaleria: kawaleryjski*.

3 terminy z zakresu życia społecznego: *gromada: gromadzki; szlachta: szlachecki; wieś: wiejski*;

2 terminy geograficzne: *góra: górski; ziemia: ziemski*.

Kategoria przymiotników tworzonych przy pomocy sufiksów *-sk-* od rzeczowników żeńskich samogłoskowych²⁾ jest typem martwym, o czym świadczy już sama nikła liczba tworów tego typu (14 na 5 tys.). Nowe przymiotniki tego typu są wzięte z dialektów (jak *dziewczynski*), albo wzorowane na obcych (jak wyżej wymienione cztery przymiotniki «wojskowe»³⁾). Dlatego nawet mimo istnienia w dzisiejszym języku np. przymiotnika *gromadzki* utworzonego od zbiorowego rzeczownika *gromada*, rymującego z *radą*, która również jest rzeczownikiem zbiorowym (oznacza zespół ludzi), ponowne uformowanie przymiotnika *radzki* było niemożliwe.

2) Czy mógł powstać przymiotnik *radziański*?

W dawnym języku takiego przymiotnika nie było. Podobny przymiotnik występuje w ukraińskim: *радянський*, 'sowiecki'. W polszczyźnie dzisiejszej typ przymiotników utworzonych przy pomocy sufiksu *-ai-sk-* (tj. jednego z uprzednio zapowiedzianych rozszerzeń sufiksu *-sk-*) od żeńskich rzeczowników pospolicitych samogłoskowych ograniczony jest do książkowego *puszczańskiego* (od *puszczy*, por. Sienkiewicz: droga była ciężka,

2) W przeciwieństwie do rzeczowników żeńskich męskie bardzo chętnie tworzą przymiotniki na *-sk-*.

3) Przymiotniki te są wzorowane na odpowiednich rosyjskich *артилерийский, (бело)гвардейский, кавалерийский*. Dowodem ich rosyjskości jest z jednej strony to, iż Słownik Lindego, wyd. w r. 1807 - 1812 a obejmujący materiał z XVI - XVIII w., kiedy to o językowych wpływach rosyjskich w polszczyźnie nie mogło być mowy, przymiotników nie zna, zna natomiast m. in. wyszły już z użycia przymiotnik *артилерычны*. Z drugiej strony — przymiotniki na *-sk-* są w rosyjskim nieporównanie częstsze niż w polskim, i taki np. *артилерийский* ma bardzo szerokie tło wielu innych przymiotników podobnej budowy.

nie tak jednak, jak czasami bywała w tych *puszczańskich* krajinach) oraz do potocznie używanego *republikańskiego*, od rzeczownika *republika*. Ewentualny *radziański* nie byłby tak niezdarne jak *radziecki* (o czym niżej), ale oparcie miałoby równie szczupłe.

Uboczną zaletą *radziańskiego* byłoby to, że względnie gładko powstać mógłby *radzianin*, na oznaczenie 'mieszkańca kraju o ustroju rad'. Typ *-an-in-*, któremu *notabene* sufiks *-ai-sk-* zawdzięcza swoje *-ai-*, obejmując nazwy mieszkańców krajów, miast, wsi itd. (*Amerikanin, Korsykanin, Rosjanin, Słowianin, warszawianin, łobzowianin* itd.), lub wyznawców członków pewnych religii (*chrześcijanin, purytanin*) czy też ideologii społecznych (*republikanin*). *Radzianin*, acz dość niezwykły, doskonale by tu pasował. A potrzebę utworzenia rzeczownika oznaczającego 'mieszkańca kraju o ustroju rad' stwierdza fakt powstania wżgardliwego *sowieciarza* (por.: który widok tak oburzył wspomnianego *sowieciarza*, *Wiadomości*, Londyn, dn. 31 lipca 1949, z art. Z. Nowakowskiego) oraz niepoprawne stosowanie rzeczownika *sowieć* w znaczeniu osobowym (A nafty tak zwani *sowieci* rzeczywiście przywieźli dużo, tamże, 3 lipca 1949, w art. J. Mackiewicza). Jakiś *radzieczczanin*, od przymiotnika *radziecki*, byłby stanowczo bardziej niezdarne, bardziej niemożliwe, od *radzianina*.

Wracając do przymiotnika *radziański* należy orzec, że nie mając tych wad, które ma *radziecki* (p. niżej), nie byłby *radziański* bynajmniej czymś prostym, oczywistym i naturalnym.

3) Ocena nowotworu *radziecki*.

Przeciętny Polak nie zdaje sobie sprawy, że w polszczyźnie istniał i w pewnym sensie istnieje jeszcze nadal inny, dawny przymiotnik *radziecki*. Mimo iż najdawniejsza cytata słownikowa pochodzi z XV w., słowo to (wywodzące się nie od *radcy*, lecz od *radzcy-radczy*) mogło powstać już w XIII w., kiedy to reorganizowano miasta polskie na modłę niemiecką dając im autonomiczne *radcy* złożone z *radzców*. Zgodnie ze swoim pochodzeniem, ów dawny *radziecki* oznaczał 'należącego do radcy, radców'. I tak np. w *Złocistej przyjaźni zdradzie* A. Korczyńskiego z roku 1698 jest na stronie 100 (Bibl. Pis. Pol., nr. 89, Kr. 1949) mowa o «żonie radcy»:

Dokąd ci ludzie jadą i czy ustrojona
Podrožno jest *radziecka* czy gościowa żona.

Obecnie przymiotnik *radziecki* występuje jako archaizm w tekstach traktujących o historii:

Jan Sobieski ustanowił w r. 1680 trzy porządki miasta: *radziecki*, ławniczy i pospólstwa przysięgłego (strona 17, J. Rokoszy, *Przewodnik po Sandomierzu*, III wyd., Sandomierz, 1925); *Księgi radzieckie* kazimierskie, 1369 - 1381 (po łac.: *Acta consularia casimiriensia*), opubl. przez A. Chmiela w *Wydawnictwach Archiwum Aktów Dawnych Miasta Krakowa*, 1933.

Słowo to nie ma nic wspólnego z nowoczesnym *radzieckim*. Po pierwsze, znane jest jedynie szczupłej garstce fachowców. Po drugie, i ci fachowcy traktują je jako archaizm. Po trzecie, wiąże się z członkami rady miejskiej, nie jakiegokolwiek innej. Po czwarte, nie z *radą*, ale właśnie z *radcami*, co uwidoczniło się w budowie. *Radźca* -*radca* wywodził się od *radzić* — *radzić* od *rady* — dlatego średniowieczny *radziecki* oparty był na szeregu: *rada*-*radzi*ć-*radźca*-*radziecki*, podczas gdy *radziecki* nowoczesny na szeregu: *rada*: *radzi*-*eck-i*, uwydatniającym sufiks *-eck-*. Dlatego ocena strukturalna nowoczesnego *radzieckiego* wymaga ustalenia, czy i w jakim sensie istnieje w dzisiejszej polszczyźnie sufiks *-eck-*.

Typ rzeczowników pospolitych na *-c.a*, które mogły dać początek sufiksowi *-eck-*, nie przekracza zbytnio 160 (rzeczowniki na *-eck-, -c*, por. *jeniec*: *obóz jeniecki* — przymiotników takich jest osiem — nie tracą nigdy związku z rzeczownikami macierzystymi, wskutek czego nie dają podstawy do wyodrębnienia się sufiksu *-eck-*). Spośród owych 160 tworów na *-c.a* jedynie cztery mają przymiotniki utworzone przy pomocy sufiksu *-sk-*, który wraz z elementem *-c-* daje zakończenie *-eck-*:

Łowca: konkurs *łowiecki*; *radca* (miejski): *radziecki* (archaizm); *zbójca*: napad *zbojecki*; *zdrajca*: *zdradziecki* napad.

Przymiotniki na *-sk-* (tj. o zakończeniu *-eck-*) od rzeczowników męskich osobowych na *-c.a* są typem martwym. Wskazują na to również i komplikacje w stosunku między rzeczownikami na *-c.a* a wywiedzionymi z nich niegdyś przymiotnikami. *Zdradziecki* powstał w średniowieczu od dawnego *zdradźcy* -*zdrajcy*, utworzonego od *zdradzić*, które z kolei powstało ze *zdrady*. Rozwój dźwiękowy, który *zdradźcę* przemienił w *zdrajcę*, rozbił związek przymiotnika *zdradziecki* z człowiekiem, nawiązał zaś z jego czynem, ze *zdradą*. Ten właśnie związek miał szczególną wagę dla powstania nowoczesnego *radzieckiego*, gdyż ustaliła się tu, jako jedyna, więź: *zdrada*: *zdradzi*-*eck-i*, uwydatniająca sufiks *-eck-*. *Zbojecki* łatwiej da się dziś ująć jako przymiotnik oparty na częstszym znacznie rzeczownikowi *zboj* niż na zanikającym *zbojcy*, ale oba powiązania są możliwe.

W świetle tych rozważań da się ustalić, że sufiks *-eck-* tworzący przymiotniki od rzeczowników istotnie istnieje. Głównym uzasadnieniem istnienia tego sufiksu jest podzielność przymiotnika *zdradziecki* wiążącego się dziś tylko ze *zdradą*: *zdradzi*-*eck-i*. Drugim pod względem ważności — alternatywna (bo w związku ze *zboj*ć przymiotnik nie zatracił) możliwość odniesienia przymiotnika *zbojecki* do *zbojca* (*zboj*: *zboj*-*eck-i*). Podstawy istnienia sufiksu *-eck-* są więc szczupłe i dwoiste. Jedynym tworem, świadczącym o żywotności tego szczupłego w swych podstawach i dwoistego w swych związkach sufiksu *-eck-* byłby właśnie nowoczesny przymiotnik *radziecki*, utworzony od *rady*. Wszystkie te okoliczności sprawiają, że przymiotnik ten odczuwamy jako twór niezgrabny, niezdarny, sztuczny.

Na tym sprawa się nie kończy. Najbliżej z nowoczesnym *ra-*

dzieckim spokrewnione przymiotniki *zdradziecki*⁴⁾ i *zbojecki* reprezentują sobą pojęcia mało pochlebne, co wybitnie pomnaża ujemną wartość nowotworu.

Założenie, z jakiego wyszedł twórca nowotworu, było jak wiemy, założeniem purystycznym. Przypatrzmy się kwestii, jak się z nowego założenia wywiązało. Oczywiście absurdem byłoby wyrzucanie mu, iż użył niemieckiego z pochodzenia rzeczownika *rada* (niem. *Rat*), gdyż słowo to było jedyne, jakim w ogóle mógł dysponować, a ponadto przynajmniej chyba 700 lat obywatelstwa w języku polskim i dźwiękowe stopienie się z polszczyzną (rzeczownik *rada* brzmi dokładnie tak samo jak słowiański z pochodzenia przymiotnik *rada*, 'uradowana'), niemieckość słowa sprowadziły do błędnego wspomnienia historycznego. Sprawa, jaką w związku z purystycznym założeniem warto zbadać, jest tylko to, czy i o ile *radziecki* wzoruje się na rosyjskim.

Twory na *-sk-* od rzeczowników żeńskich są w rosyjskim znacznie obfitsze niż w polskim. Widzieliśmy to już w związku z czterema «wojskowymi» przymiotnikami wzorowanymi na rosyjskim.³⁾ Ponieważ twórca nowoczesnego przymiotnika od *rady* nie mógł budować w ramach typów przymiotnikowych na *-n-* lub *-ow-*, zastosowanie jednego z wariantów typu *-sk-* nie było jeszcze aktem poddania się wpływowi rosyjskiemu — tym bardziej, iż przymiotniki narodowe, państwowe (*poliski*, *francuski* itd.) tworzy się i po polsku przy pomocy sufiksu *-sk-*. Ale twórca rozpatrywanego nowotworu mógł pójść drogą wybraną przez swego kolegę z Ukrainy i od *biedy* ukuć pozabawiony momentów negatywnych przymiotnik *radziański*. Ku *radzieckiemu* pociągnął go rym z rosyjskim *coběmsku* (por. także pol. *niemiecki*) i na tym właśnie polega cień rosyjskości zwisający nad *radzieckim*.

Rozwiązanie trudnej sytuacji słowotwórczej doprowadziło więc do utworzenia przymiotnika o szczupłym i dwoistym uzasadnieniu strukturalnym, o niepochlebnych skojarzeniach, częściowo wzorowanego na rosyjskim. Trudno o lepszy przykład błędnych i w pewnym stopniu wewnętrznie sprzecznych dróg puryzmu, z którym w ostatnich latach stowarzyszył się nacisk i przymus. Pozostańmy przy *Sowietach* i *sowieckim*. Chyba, że potrzebna ironia, polajanka, koloryt.

Stanisław WESTFAL.

4) *Zdradziecki* jest szczególnie bliski *radzieckiemu*, bo *zdrada*, z której się ostatecznie wywodzi, jest złożona z prefiksu *z-* oraz tejsze samej *rady*, między które wtrącono *-d-* (podobnie z dawniej *zazdrości* powstała *zazdrość*).

Nazwy miejscowe zachowują się w języku polskim bardziej archaicznie niż rzeczowniki pospolite, dlatego np. nazwy miejscowe żeńskiego rodzaju tworzą jeszcze dość swobodnie przymiotniki przy pomocy (nie rozszerzonego) sufiksu *-sk-*: *Jaffa*: pomarańcze *jaffskie*; *Panama* kanał *panamski*. Ten moment w ocenie twierdzeń artykułu należy wziąć pod uwagę.

Książki

Spacer po domach wydawniczych francuskich

(Zakończenie)

Z "wielkiej piątki" firm wydawniczych francuskich (Gallimard, Plon, Grasset, Calmann-Lévy, Flammarion) pozostał jeszcze do omówienia **Flammarion**. Dom wydawniczy **Flammarion** w typie swym najbardziej przypomina Plon. Znajdziemy więc u niego ten sam rozmach i tempo pracy, ten sam nacisk położony głównie na rzeczy o charakterze historycznym i naukowym, tę samą troskę o dotarcie do szerokich mas przy popularyzowaniu zagadnień wiedzy.

Dom wydawniczy Ernesta **Flammarion** powstał w roku 1878. Pierwsza wydana przez niego książka była to rzecz, która w swoim czasie cieszyła się dużym powodzeniem we Francji, a która napisana została przez jego brata Camille'a Flammarion pt. "L'Astronomie populaire". Pierwsze lata działalności **Flammariona** noszą już piętno tego, co stanowi cechę najbardziej charakterystyczną jego aktywności i co po dziś dzień zostało utrzymane. Ta cecha charakterystyczna to — zainteresowania historią. **Flammarion** posiada aż cztery typy wydawnictw, wszystkie związane z tematami historycznymi. Pierwszy z tych typów, kolekcja pt.: "L'Histoire" obejmuje prace omawiające wielkie tematy historyczne, które mimo, że oparte są na najpoważniejszych źródłach i głębokiej wiedzy potraktowane są popularzacyjnie, z nastawieniem dotarcia do jak najszerszych mas. W kolekcji tej znajdziemy nazwiska takich znakomitych pisarzy jak: Octave Aubry, Louis Madelin, Emile Male, Auguste Bailly, Joseph Calmette itd. Druga z kolei kolekcja pt.: "Les grandes biographies" zawiera jak sama zresztą nazwa wskazuje książki tzw. — vie romancée całego szeregu znakomitości z czasów przeszłych. Dla przykładu zacytujmy takie rzeczy jak: "Baudelaire" — François Porché, "La vie de Balzac" — André Billy, "Beethoven" — Emila Ludwiga, "Foch" — generała Weyganda itd. Następne kolekcje to "Visages de l'histoire" i "Les grands mémoires". W tej ostatniej ukazały się między innymi pamiętniki Fouché, "Le journal de Saint Hélène" i "Mémoires d'Outre-Tombe" Chateaubrianda, wydane w setną rocznicę ich ogłoszenia.

Poza tym szeroko rozbudowanym działem w dziedzinie historii **Flammarion** posiada także piękną kartę w zakresie literatury. I tak w katalogu jego znajdziemy nazwiska autorów takich jak Jules Romains, Mauriac, Georges Duhamel, André Maurois, Jacques de Lacratelle,

Colette, Paul Reboux, Edouard Peisson, Julien Benda, Maurice Bédel i poetów jak na przykład Paul Fort.

Ciesząc się największym powodzeniem książką **Flammariona** w ostatnich czasach są wspomnienia wojenne lotnika Clostermanna pt.: "Le grand Cirque", która osiągnęła już przeszło 450 tysięcy sprzedanych egzemplarzy. Fakt ten potwierdza jeszcze raz w całej rozciągłości nasze uprzednie uwagi o tym w jakim kierunku idą zainteresowania publiczności francuskiej. Książka Clostermanna bowiem pod względem literackim stoi na dosyć niskim poziomie, jej materiał obserwacyjny i wydarzeniowy nie jest przepracowany artystycznie i ograniczony jest jedynie do suchego wzmiankowania faktów, a mimo to cieszy się ona tak poważnym sukcesem, który wytłumaczyć tylko można ciekawością społeczeństwa francuskiego dla wszystkiego tego, co związane jest z ostatnią wojną i udziałem w niej Francuzów. Ale niestety, między Clostermannem a wspaiałym Saint-Exupéry żadnego porównania przeprowadzić nie można.

Warto powiedzieć jeszcze, że ostatnio **Flammarion** wydał wspomnienia Otto Skorzeny'ego pt.: "Missions secrètes". Ta niezmiernie interesująca książka, w której Skorzeny opisuje zorganizowane przez niego i przeprowadzone porwanie Mussoliniego i obalenie rządu węgierskiego i która we fragmentach przedrukowana została przez "Figaro" wywołała we Francji burzę polemik i dyskusyj, montowanych między innymi przez komunistów. Dyskusje te przerodziły się nawet w ostre starcia uliczne, manifestacje i demolowanie witryn "Figaro", które kilkakrotnie zmusiły policję do interwencji.

Przed zamknięciem tego cyklu reportaży o domach wydawniczych chciałbym jeszcze kilka słów powiedzieć o **Hachette**. **Hachette** jest ciekawym połączeniem zwykłego domu wydawniczego pracującego zresztą na dużą skalę, z największym we Francji przedsiębiorstwem zajmującym się kolportażem książek i czasopism. Same wydawnictwa **Hachette** poza zwykłymi publikacjami z dziedziny pamiętnikarsko-historycznej i powieści tłumaczonych z obcych języków, charakteryzują się przede wszystkim tym, że nie wydają one absolutnie powieści współczesnych autorów francuskich oraz tym, że rozbudowany w nich został dział książek dla dzieci i młodzieży oraz dział publikacyj, które nazwać by można było książkami użyteczności publicznej. Wszystkie guide, słowniki, podręczne encyklopedie, zbiory przepisów kulinarnych, almanachy, konkurencyjne dla Larousse'a wydawnictwa w rodzaju "Tout en un" — wychodzą u **Hachette**. Dla podkreślenia zaś znaczenia i rozrostu przedsiębiorstwa kolportażowego **Hachette** zacytujmy jeden fakt. Na każdym dworcu kolejowym czy nawet małej stacyjce we Francji i w imperium francuskim łącznie z Indochinami znajduje się kiosk z gazetami i książkami, tak zwana "Bibliothèque Hachette", która jest własnością i w zarządzie **Hachette**. W kioskach tych sprzedaje się oczywiście nie tylko książki wydawane przez **Hachette**. Sieć kiosków tych założona została w latach między 1852 a 55 i niedługo już bardzo obchodzić ona będzie swą stuletnią rocznicę powstania. Pozycja przedsiębiorstwa kolportażowego **Hachette** jest we Francji ogromna, wszechwładna, przytłaczająca. Przejęcie kolportażu jakichś książek przez **Hachette** wpłynąć może na fakt ich powodzenia i odwrotnie. Taki też już jest wiek dwudziesty. O sukcesie książki decyduje w pewnej mierze nie jej wartość lecz — **Les Messageries Hachette!**

Boję się, że w samym zakończeniu mojego sprawozdania gorsze czytelników. Utarło się bowiem przeświadczenie, że gdy mówi się o książkach, to się ma na myśli ich jakość, ich ciężar artystyczny, ich wkład intelektualny. Zwykle przy określaniu produkcji książki operuje się pojęciami i kryteriami niewymiernymi — mówi się na przykład: ciężar jednej książki Shakespeara, Goethego czy Tolstoja jest znacznie większy niż ciężar 10 tysięcy książek napisanych i wydawanych obecnie. A dalej — książka to nie stal, węgiel, nafta, których

produkcję oblicza się w tonach. Wbrew tej ogólnie ustalonej opinii chciałbym dzisiaj popatrzeć na produkcję książki we Francji tak, jak to się robi zwykle, gdy omawia się wytwórczość jakiejś gałęzi przemysłowej. Chciałbym produkcję tę zestawić w cyfrach, chciałbym pokazać czytelnikowi pochod i ekspansję myśli francuskiej ujętą nie pod kątem widzenia jej siły przekonywującej i jej walorów artystycznych, ale zamkniętą w tonach zużytego papieru i wytransportowanych za granicę kilogramach. Będzie takie zestawienie materialnym i fizycznym uchwyceniem zjawiska, które przyzwyczajiliśmy się nazywać "promieniowaniem" kultury francuskiej.

Zacznijmy od papieru. Roczna konsumpcja papieru przeznaczona do produkcji książek przekracza obecnie we Francji 40 tysięcy ton. Daje to w rezultacie cyfrę przeszło 10-ciu milionów egzemplarzy książek wydrukowanych rocznie we Francji. A teraz inna strona tego samego zagadnienia. W roku 1949 ukazało się na rynku 12.526 publikacji. Cyfra ta mówi o zanotowanych w Syndykacie Wydawców tytułach książek, a nie o ilości egzemplarzy. W tych 12.526 tytułach jest 75 proc. nowości. Ta cyfra wskazuje nam w sposób dostatecznie przekonujący na fakt, jak potężny jest wysiłek myślowy i wydawniczy w tym kraju. Rok 1949 przyniósł w porównaniu z rokiem poprzednim pewien dosyć znaczny spadek w produkcji książkowej. W 1948 zanotowano we Francji na rynku księgarskim przeszło 16 tysięcy tytułów. Ale lata powojenne były świadkami nieprawdopodobnego wzrostu w produkcji książkowej wywołanego częściowo zastojem w czasie wojny, cyfra zaś roku 1949 jest odpowiednikiem tego co produkowało się przeciętnie tutaj przed wojną.

Eksport książki francuskiej ciągle w 1949 wyraża się cyfrą dwu i pół miliarda franków i sumą 47.420 kilogramów sześciennych książek (urzędy celne w swych statystykach dotyczących eksportu książek operują kilogramami sześciennymi). Na kilogram sześcienny wychodzi przeciętnie około 400 książek. W jakim kierunku eksportuje się produkty myśli francuskiej? W zestawieniach dotyczących tego zagadnienia na pierwszym miejscu znajduje się Belgia z 11.564 kg. sześciennymi, potem Szwajcaria z 5.234, potem Anglia z 4.011, potem Kanada z 3.264, Stany Zjednoczone z 2.035 itd.

Lata powojenne, szczególnie zaś trzy ostatnie lata, przyniosły bardzo poważny spadek w eksporcie książek francuskich. Złożyły się na to dwie przyczyny, którym na imię Rosja sowiecka i Stany Zjednoczone. Eksport książek francuskich do krajów za żelazną kurtyną spadł po wojnie do tego stopnia, że nawet cyfry dotyczące tego zagadnienia nie widnieją w statystykach. Są one tak małe i nieznaczne, że nie wciągane są do ogólnych zestawień. A przed wojną w krajach takich jak Polska, Czechosłowacja, Rumunia było poważne bardzo zapotrzebowanie na książki francuskie.

Wpływ, który wywarły Stany Zjednoczone na eksport książek francuskich ma inny charakter. Jest to siła konkurencji. W Planie Marshalla — o czym nie wiele osób wie — przeznaczona jest suma 15 milionów dolarów na rozpowszechnianie i rozprzestrzenianie w krajach objętych tym planem książek amerykańskich. Przy tak potężnej pomocy książki produkowane przez inne kraje spychane są oczywiście na plan dalszy.

Oto kilka aspektów zagadnienia książki we Francji. Aspektów, które mówią nam ujmując sprawę tę w kilogramach i tonach, że Francja mimo wszystkich trudności zewnętrznych jest ciągle na jednym z pierwszych miejsc w produkcji myśli i rozprzestrzenianiu jej na świecie. O jakości, charakterze i jej ciężarze gatunkowym celowo i świadomie nie mówimy w tej chwili nic.

Dla uzupełnienia tych kilku danych dodajmy jeszcze to. Ekspansja myśli francuskiej dokonywała się także i przede wszystkim przy pomocy tłumaczeń na obce języki. O zagadnieniu tym nie wspominałem ze względu na brak danych.

Józef URSYN.

Hitler i jego partnerzy

Jeszcze płynie szerokim strumieniem dokumentacja ostatniej wojny, a już pojawiają się próby monograficznego opracowania wybranych zagadnień tego okresu. Członek londyńskiego Instytutu Badania Spraw Międzynarodowych, pani Wiskemann, napisała gruby tom o stosunkach włosko-niemieckich w okresie rządów Hitlera¹⁾, a Maxime Mourin, autor historii wielkich mocarstw od Traktatu Wersalskiego do r. 1947 i pracy o spiskach przeciwko Hitlerowi, wydał pasjonującą książkę o inicjatywach pokojowych w czasie ostatniej wojny²⁾. Tematy tych dwóch książek pokrywają się częściowo, bo — poczynając od Monachium, gdy Włosi przekonali się, że Hitler dąży do wojny za wszelką cenę i pragnie ją wywołać na wiele lat przedtem zanim Włochy będą gotowe — duża część inicjatyw pokojowych wychodziła z Rzymu lub szła przez Rzym.

Do r. 1932 Mussolini podzielał powszechną opinię, że hitleryzm jest efemerydą i unikał wiązania się z tym ruchem choćby tylko objawami sympatii. W r. 1932 jeszcze mawiał, że faszyzm nie jest towarem eksportowym. Gdy w październiku 1931 r. konserwatyści niemieccy postanowili użyć tej "efemerydy" do obalenia Republiki Weimarskiej, a Hindenburg koncepcję tę w styczniu 1933 przyjął, Mussolini był zaskoczony. Istotnie, gust Herrenklubu do psychopatów o instynktach gangsterów i tupecie szarlatanów był zastanawiający. Ale Hugenberg dawno pozbył się lęku przed śmiesznością, a von Papen był cynikiem i chciał zabłysnąć jako Macchiavel. Czy Herrenklub nie docenił hitlerowskiego "gang'u"? Nie, Herrenklub wykazał tylko, jak źle rozumie masy niemieckie. Patrząc z okien Reichskanzlei na tysiące pochodni, Hitler powtarzał wciąż jedno słowo: "To cüd". Powtarzał je przez wiele tygodni, gdy wspominał tę chwilę. Hitler był swym nagłym sukcesem tak samo zaskoczony jak Mussolini. Papenowi dochował wdzięczności do końca i wybaczył mu nawet intrygi; rozumiał, że jest w pewnym sensie jego dziełem.

Dopiero po zwycięstwach wyborczych Hitlera w r. 1932 Mussolini odwołuje z ambasady berlińskiej sceptyka Orsini-Baroni i zastępuje go Cerruti'm, o którym François-Poncet powie później, że jest "lordem-protektorem Rzeszy". Do chwili utworzenia "osi" w r. 1935 "Mussolini był w pewnym sensie najpotężniejszym człowiekiem w Europie". Przez cały rok 1933 wygrał kartę niemiecką dla wzmocnienia swej pozycji w konker-cie mocarstw. Od razu jednak zarysował się konflikt interesów włosko-niemieckich w Austrii. Pakt Cztzech zamaskował ten

1) E. Wiskemann, *L'Axe Rome - Berlin, Histoire des relations entre Hitler et Mussolini (1934 - 1945)*. Payot, Paris 1950.

2) Maxim Mourin, *Les tentatives de paix dans la seconde guerre mondiale (1939 - 1945)*. Payot, Paris 1949.

stan rzeczy na krótki czas. Tu Mussolini po raz pierwszy wsadził kij między szprychy rozpędzonego wozu hitlerowskiego. Hitler szalał, ale Blombergowi udało się go przekonać, że Niemcy potrzebują dziesięciu lat pokoju. Jeszcze przed końcem roku jednak Hitler opuścił z trzaskiem Ligę Narodów i ostatecznie wyrwie Mussoliniemu z rąk jego kartę niemiecką. Odtąd włoski partner Rzeszy zacznie się szybko przeistaczać w wasalną, by skończyć jako marionetka. Świat jednak długo jeszcze — bo do r. 1943 — pozostanie ślepy na tę ewolucję, wierząc w "ideologiczny" spiszek Hitlera z Mussolinim przeciwko demokracjom.

Wbrew temu, co mówił Rauschningowi, Hitler nie dążył do światowej rewolucji faszystowskiej, ale pragnął zapewnić Niemcom pozycję "Herrenvolku". Jego rzeczywista rola jednak została wyznaczona nie przez jego plany ani nawet przez jego skłonności, ale przez prosty fakt, że rozdęty przemysł niemiecki nie mieścił się na kapitalistycznym rynku światowym. Miliony bezrobotnych i opustoszałe fabryki mogły być użyte albo w ramach światowego planu podziału pracy, albo jako narzędzie wojny imperialistycznej. Pierwsza ewentualność wymagała jednego światowego ośrodka dyspozycyjnego i rewolucji społecznej, druga — wprowadzenia gospodarki wojennej. Tamto było mrzonką (choć mogło być i było wyzyskane jako straszak), to leżało w granicach możliwości i odpowiadało wszystkim żywym siłom Niemiec. Hitler i jego ruch były idealnym narzędziem takiej przemiany.

Faszyzm Mussoliniego miał znacznie skromniejsze funkcje, bo włoskie możliwości oporu przeciwko mechanice rynku światowego były o wiele mniejsze. Toteż gdy — pociągani fatalnym przykładem Niemiec — faszyci próbowali wyjść poza swe naturalne funkcje policyjne (lokalnej obrony społecznego status quo) i wziąć na siebie funkcje polityczne, a więc przeistoczyć Włochy z klienta wielkich mocarstw w ich partnera, uzyskali tylko tyle, że stali się klientem jedyne go w Europie kandydata na takiego partnera — tj. Niemiec — i że po odrzuceniu tej kandydatury przez inne wielkie mocarstwa runęli wraz z Niemcami w przepaść.

Ten proces jest widoczny dziś, retrospektywnie, ale w latach 1933 - 43 był przesłonięty wieloznacznością sytuacji. Zagadką była Rosja i jej ruch komunistyczny, zagadką była mechanika rynku światowego i rola inwestycji w kryzysach gospodarczych, niewiadomą była technika wojny zmechanizowanej, przężność ideologii faszystowskiej etc. etc. Zbyt wiele było nowych problemów, by można było dobrze przewidywać. Ich rozwiązania nie mogła dać teoria — mogły je dać tylko fakty.

Druga wojna światowa pozostanie w historii jako wojna błędnych ocen. Niemal w każdej chwili wszyscy wszystko źle oceniali. Sprawdzały się tylko pobożne życzenia przyciśniętych do muru — oczywiście, nie wszystkich. Było właściwie tylko

trzech ludzi, którzy wiedzieli czego chcą: Hitler, Churchill i Stalin. Ich wola decydowała o wydarzeniach. Żaden z nich nie myśli o kapitulacji. Dzięki nim wojna nabrała tego charakteru mechanistycznej gry sił, który tak alarmował ludzi przyzwyczajonych do starego porządku, gdy wojna miała cele ograniczone. Przekonałiśmy się w ciągu tej wojny, że tzw. momenty ideologiczne odgrywają rolę tylko jako narzędzie rozkładu: w propagandzie (tak było zawsze w historii dyplomacji) i samobójczo; kto w nie zaczyna wierzyć na serio — ginie.

Dopóki istnieją odrębne państwa, należy unikać kryteriów ideologicznych przy ocenie ich wzajemnych stosunków. Pewniejsze są klasyczne reguły mechaniki sił. Ideologia była w Niemczech psychologicznym stymulansiem umożliwiającym wywołanie się z myślenia kategoriami przestarzałej techniki ekonomicznej i strategicznej. Ta technika zmieniła układ sił. Nastąpiło pomieszanie kategorii. Hitlerowcy też brali stymulans za rzecz samą w sobie. Popełnili jednak poza tym błąd w ocenie samego przewrotu w technice wojennej. Nowość polegała na zmianie t e m p a, ale nie na zmianie z a s i ę g u. Nowe były kategorie czasu, kategorie przestrzeni pozostały bez zmian (jak to świetnie wykazał M. Kukiel porównując kampanie rosyjskie Napoleona i Hitlera). Gdy zaniedbano wyzyskać czas, zaczęła grać przestrzeń i zanulowała korzyści tempa. Hitler po kampanii francuskiej zorientował się, że nie jest przygotowany do wojny: musiałby uzbroić i Włochy i Hiszpanię, by móc prowadzić dalej Blitzkrieg. Na to nie mógł sobie pozwolić. Churchill — który zresztą nie miał wyboru (ale, jak zobaczymy, liczył się z okupacją wysp i brytyjskim Quislingiem!) — postawił na ten błąd i zamiast kapitulować w r. 1940, postanowił czekać na wejście do wojny Rosji i Ameryki, tj. na moment gdy Hitler zacznie rozpaczliwie walczyć z przestrzenią. Dla tego celem jego było nie przerywać wojny choćby to miało bardzo dużo kosztować.

Hitler ponadto nie doceniał tradycyjnej polityki zagranicznej Anglii. Mylił się tu i on i Ribbentrop i później Goebbels. Zjednoczony kontynent (tj. kontynent, na którym Anglia nie może być rozjemcą między równoważącymi się siłami) stanowi śmiertelne zagrożenie Anglii. Gdy skończył się Blitzkrieg, Anglia nie mogła n a w e t n a c h w i l ę zawierać rozejmu z kontynentem. Poszła na likwidację Polski, bo zastępowało to użyty system francusko-niemiecki systemem niemiecko-rosyjskim, ale nie mogła popierać silniejszych Niemiec przeciwko słabszej Rosji. Gdy w r. 1943 powstały szanse równowagi, Anglia chciała poprzeć słabsze Niemcy przeciwko silniejszej Rosji (plan inwazji przez Bałkany), ale zarysowująca się perspektywa równowagi kontynentalnej między Rosją a Ameryką (która związała się z kontynentem w Teheranie) pozwoliła jej zrezygnować z tego planu. Zadanie Anglii polegało już tylko na tym, by Amerykę na kontynencie europejskim utrzymać. Istnieniem tego nowego "balance of power" tłumaczy się, że Churchill po wojnie występuje kolejno to na rzecz zaostrzenia stosunków so-

wiecko-amerykańskich (Fulton), to na rzecz ich złagodzenia (propozycje rozejmu sowiecko-amerykańskiego na wiosnę 1950). Tym też tłumaczy się opór Anglii przeciwko wpychaniu jej do Zjednoczonej Europy. Anglia musi wciągnąć Amerykę na kontynent, ale sama musi pozostać poza nim.

Złudzenia Hitlera co do możliwości jakiegoś porozumienia z Anglią prowadzą do takich błędów jak powstrzymanie kolumn pancernych Reinhardta od atakowania ewakuujących się w Dunkierce Anglików. Ten krok, który zbulwersował cały sztab niemiecki, Hitler wytłumaczy później Ribbentropowi tym, że chciał "w każdym razie uniknąć, by Anglia po Dunkierce straciła na prestiżu". Gdy się przekona, że Churchill jest niewzruszony, będzie tej wspaniałomyślności gorzko żałował. Późniejsze próby przełamania oporu Anglików będą mniej wspaniałomyślne, a za to coraz bardziej rozpaczliwe. Ostatnie dwie podejmy Himmler i Papen pod koniec wojny. Himmler będzie się łudził, że potrafi zawrzeć z Anglią odrębny pokój, Papen będzie sugerował cichą kapitulację na Zachodzie, by umożliwić aliantom zajęcie Niemiec przed bolszewikami. Do sojuszu z Anglią Hitler dąży zresztą od chwili objęcia władzy. Nie tylko nie rozumie pozycji Anglii wobec kontynentu, ale przecenia lęk Zachodu przed Sowiecami. Mussolini również stara się nieustannie i tak samo daremnie jak Hitler o przyjaźń Anglików: naprzód w obronie przed Hitlerem, następnie jako pośrednik, a wreszcie by się ratować z katastrofy.

W lipcu 1940 Hitler próbuje przekonać Anglików, że jego sojusz z Rosją zasadniczo zmienia sytuację na kontynencie i pozbawia angielską politykę "równowagi sił" wszelkich podstaw. "Nie będzie więcej konfliktu między Rosją a Niemcami", woła w Reichstagu. Po czym "po raz ostatni" apeluje do brytyjskiego rozsądku. W konkluzji jednak mówi: "Rozumiem, że jeden z dwóch przeciwników musi zniknąć". Rozumie więc, że Anglia nie może — jak jej to sugeruje — "wycofać się do swego Imperium". Innymi słowy, żąda, by Anglia uznała się za pokonaną i w ten sposób uniknęła nieszczęść, których on, Hitler, pragnąłby jej zaoszczędzić. Inaczej "zostanie zniszczone wielkie Imperium, którego nie chciałem obalać". Czekając na inwazję, Churchill ostrzega w czerwcu Roosevelta, by się nie łudził, że "dzięki swej obecnej polityce Ameryka będzie mogła odziedziczyć szczytki brytyjskiego Imperium. Owszem, Stany Zjednoczone narażają się na to, że ich potęga morską zostanie całkowicie wyeliminowana. Co więcej, hitlerowcy niewątpliwie zażądadają wysp i baz morskich, by utrzymać Amerykę w posłuchu. Nasza klęska stworzy Hitlerowi najlepsze szanse do opanowania świata". W tej samej instrukcji dla ambasadora brytyjskiego w Waszyngtonie, z której wyjęte są te słowa, Churchill przewiduje, że po zajęciu wysp brytyjskich przez Hitlera powstanie w Anglii "rząd pro-niemiecki", który będzie mógł "otrzymać od Rzeszy lepsze warunki, jeżeli jej wyda naszą flotę; uczyni to Niemcy i Japonię panami Nowego Świata". Nieco

później nazwie ów rząd pro-niemiecki wprost "rządem à la Quisling", który zrobi z Anglii "niemiecki protektorat". I znowu wspomina o flocie jako obiekcie przetargu z Niemcami. W Bordeaux Francuzi użyli tego argumentu, gdy Anglicy zażądali przekazania im floty francuskiej.

W tej drugiej instrukcji Churchill pisze: "Do kwietnia Amerykanie byli tak pewni zwycięstwa aliantów, że uznali za niepotrzebne udzielanie nam pomocy. Dziś są tak pewni naszej klęski, że uważają udzielenie nam pomocy za niemożliwe". Książka, jaką w tym czasie pisał Burnham, ujawnia, że istotnie w Waszyngtonie liczone się z klęską Anglii a następnie i Rosji, wobec czego szykowano się do dzielenia się światem z Niemcami i Japonią. Ribbentrop wierzy w tę koncepcję jeszcze w listopadzie 1941 r. Mówi ambasadorowi japońskiemu w Berlinie, że Anglia zostanie pokonana bez ataku na wyspy brytyjskie. "Królestwo wyspiarskie będzie mogło istnieć nadal, ale jego wpływ w Europie zostanie zlikwidowany, a posiadłości zamorskie W. Brytanii zostaną podzielone między Niemcy, Stany Zjednoczone i Japonię".

To był zresztą moment, gdy Hitler po raz trzeci w tej wojnie łamał się pod ciężarem własnych sukcesów i nie wiedział co robić dalej. Niektórzy Niemcy liczą się w tym czasie z tak głębokim impasem w Europie i na Dalekim Wschodzie, że wojna może przejść w stan permanentny! Słowem, jakaś drôle de guerre czy letnia wojna jako nowy ład międzynarodowy! Anglosasi jednak zaczynają się teraz bać odrębnego pokoju Rosji z Niemcami. Obawa ta — jak wynika z licznych wyznań — będzie dręczyła ich do końca wojny. W rozmowie z brytyjskim ministrem informacji dziennikarz amerykański Louis Fisher radzi Anglikom, by przekonywali Stalina, że sami nie zawrą odrębnego pokoju z Hitlerem. "Jestem pewny, powiedział, że w oczach Stalina jesteście wszyscy Moore-Brabazonami (ówczesny brytyjski minister lotnictwa), którzy życzą sobie, by Niemcy i Rosjanie jak najdłużej wykrwawiali się nawzajem".

Odrębny pokój sowiecko-niemiecki zacznie od lutego 1942 sugerować Japonia i będzie do tej propozycji często powracała. Znajduje się ona wtedy u szczytu swych niebywałych sukcesów, ale też już czuje się więźniem przestrzeni. Pragnie, by Niemcy odciągnęły część sił anglosaskich z Pacyfiku i w tym celu chce siły niemieckie uwolnić z frontu rosyjskiego. Zwycięstwa japońskie przeraziły Berlin i Rzym może jeszcze bardziej niż Londyn i Waszyngton. Bo nie tylko stawały one w cieniu zwycięstwa niemieckie, ale ponadto zdawało się z nich wynikać, że Anglosasi nie zamierzają poświęcić swych interesów europejskich dla obrony azjatyckich posiadłości. Wreszcie — Japończycy mogą dojść do zatoki Perskiej przed Rommlem, który walczy w Egipcie i przed Mannsteinem, który idzie na Kaukaz. W Berlinie obawiano się nawet pokoju między Japonią a Anglosasami, co oznaczałoby szybką klęskę Niemiec. Stąd gorączkowe poszukiwanie kompromisu z Anglosasami i ciche stra-

szenie "żółtym niebezpieczeństwem". Ale Otto v. Bismarck rozumie, że "Niemcy nic nie wskórają, są w zbyt wielkiej pogardzie; to parszywe owce!"

Natomiast inicjatywę przejmują na wiosnę 1943 Sowiety. Jest to w czasie, gdy w Berlinie mówi się o "bloku Starego Świata" (Europa, Rosja, Japonia), który mógłby się z łatwością oprzeć Nowemu Światu anglosaskiemu. Sytuacja musiała istotnie wydawać się bolszewikom dogodna dla korzystnego kompromisu. Ameryka na wojnie się bogaciła, Anglicy się konsolidowali, iść z nimi do końca, to wiązać się Kartą Atlantycką, bardzo dla Moskwy niewygodną. Jeżeli we Włoszech powstanie drugi front, który może przerzucić się na Bałkany, interesy rosyjskie będą zagrożone. Dzięki pośrednictwu japońskiemu nawiązany zostaje kontakt w Sztokholmie. Oferta sowiecka była skromna. Przewidywała powrót do granic paktu Ribbentrop - Mołotow, odstąpienie Rosji części pobrzeża bałtyckiego i rezygnację Niemiec z Ukrainy. Ale nawet wojskowi się zawahali. Goering i Keitel uważali, że nowa ofensywa może poprawić niemieckie szanse w ewtl. późniejszych pertraktacjach. Poza tym Hitler niechętnie pozbywał się swych zdobyczy. Jesienią tegoż roku rozmowy zostały wznowione, tym razem w Sofii. Niemcy mają wycofać się na linię biegnącą od Rygi do Dardaneli, po czym Rosja miała zażądać strefy wpływów na Bliskim Wschodzie, kontroli cieśnin i portu w zatoce Perskiej. Harry Hopkins odpowiada na te zabiegi sowieckie artykułem, zamieszczonym w październikowym zeszycie "American Magazine", w którym pisze: "Jeżeli stracimy (Rosję), nie przypuszczam ani na chwilę, by to oznaczało, że przegramy wojnę; musielibyśmy tylko poddać rewizji nasze przewidywania co do daty zwycięstwa".

W tymże październiku Hull, Eden i Mołotow są w Moskwie, by przygotować Teheran. Po obiedzie Stalin wygłosił sarkastyczne przemówienie na temat pogłosek o możliwości odrębnego pokoju sowiecko-niemieckiego. Hull, który latem zapytywał sam siebie z niepokojem, czy Rosja nie zawrze odrębnego pokoju z Niemcami, czy doszedłszy do granicy polskiej nie zatrzyma się, jakie może mieć zamiary wobec Japonii, czy zechce współpracować z Chinami, czy po wojnie porzuci swój izolacjonizm — teraz odpowiada Stalinowi z niewinną miną, że "kto zna naród rosyjski i wie, jakie były jego stosunki z Niemcami w ciągu tej wojny, wiedział, że nie pragnie on odrębnego pokoju z Niemcami". Stalin zapewnił go, że może się pod tym podpisać obie-
ma rękoma.

Po miesiącu Stalin uzyskał w Teheranie wszystko czego nie chciał mu dać Hitler, a nawet więcej niżby Hitler kiedykolwiek mógł mu zaofiarować. Blok Starego Świata nie powstanie. Można spokojnie wykańczać Niemcy i Japonię.

Jan ULATOWSKI.

O nowej książce James Burnhama

Amerykańska literatura polityczna, dotycząca bezpośrednio lub pośrednio spraw sowieckich, niestety, nie może w nas wzbudzać nie tylko entuzjazmu, ale nawet uznania. Odnosi się wciąż wrażenie, że nawet jeżeli piszącym jest polityk czy publicysta znający zagadnienia europejskie i rosyjskie, jeżeli stać go na słuszne oceny i wnioski, to tym niemniej wszystko co pisze jest improwizacją zupełnie luźną, nie będącą w żadnym wypadku wykładnikiem opinii społeczeństwa amerykańskiego. Co więcej: gdyby się chciało sądzić tylko na podstawie takiej literatury politycznej, to można by przyjść do wniosku, że w Stanach Zjednoczonych w ogóle nie ma społeczeństwa myślącego politycznie, względnie, że społeczeństwo tamtejsze nie ma żadnej opinii w sprawach polityki międzynarodowej, a w szczególności w sprawach sowieckich.

Jeżeli chodzi o literaturę dotyczącą bezpośrednio Związku Sowieckiego, jego polityki wewnętrznej i zewnętrznej, to literatura amerykańska jest nawskroś przesiąknięta publicystyką. Rzeczy o ambicjach bardziej poważnych, zarówno jeżeli chodzi o analizę jak i syntezę, są pióra przeważnie autorów nie amerykańskiego pochodzenia, w dużej części Rosjan, w pewnej części ludzi pochodzących z państw sfery wpływów sowieckich. Literatura ta nieraz ogromnej wartości dla znawców zagadnienia nie jest — stwierdzamy to nie po raz pierwszy — literaturą właściwą dla urabiania opinii politycznej kraju i narodu na którym ciąży taka odpowiedzialność za przyszły los świata jakimi w tej chwili są Stany Zjednoczone i naród amerykański. Jeszcze mniej odpowiednia w tym celu jest "produkcja" licznych byłych komunistów, trockistów, ex-bolszewików itp., którzy namiętnością, emocjami i własnymi porachunkami osobistymi tylko zaciemniają sytuację.

Oceniając ogólnie stwierdzić należy, że Amerykanie nie wnieśli dotychczas do ogólnego dorobku sowietoznawczego nic oryginalnego, własnego, amerykańskiego, ani w dziedzinie poznawczej, ani tym mniej w dziedzinie syntetycznej. Jest to zresztą zarówno zrozumiałe jak i usprawiedliwione. Stany Zjednoczone niewiele interesowały się w ciągu wieku XIX-go imperium rosyjskim, a nawet jego polityką zagraniczną, nie mówiąc już o stosunkach i sprawach wewnętrznych. Dorobek informacyjny innych mocarstw (przede wszystkim W. Brytanii) całkowicie wystarczał na potrzeby dyplomacji amerykańskiej. Praktycznie Związek Sowiecki (a wraz z nim i Rosja) został "odkryty" przez Amerykanów dopiero w 1933 r. gdy, w związku z uznaniem Sowietów przez Waszyngton, zaszła potrzeba opierania konkretnej polityki bilateralnej i międzynarodowej na bardziej dokładnej znajomości spraw sowieckich. Siedemnaście lat rozpoznawania Związku Sowieckiego, — to, nawet przy temple amerykańskim, diablo mało czasu na jaką taką orien-

tację w najbardziej chociażby podstawowych kwestiach. I nie dziwnego, że wśród innych wrażeń, jakie odnosi się w zetknięciu z literaturą amerykańską o ZSSR, dominuje również wrażenie powierzchowności, dyletantyzmu, improwizacji i dalekiej od naukowości eklektycznej kompilacji.

Dlatego też wśród pozornej obfitości książek wydawanych w Ameryce o ZSSR i sprawach z ZSSR związanych, w długim — pozornie — szeregu nazwisk ludzi piszących na te tematy (nazwisk niekiedy głośniejszych, (z którymi opinia europejska wiąże wielkie nadzieje na przyszłość) jest dotychczas niewiele książek naprawdę wartościowych, a kilku zaledwie autorów o których wiedzieć należy. Wśród tych autorów jednym z pierwszych jest prof. James Burnham.

James Burnham jest (i on także!) byłym komunistą. Ściśle mówiąc, jest on marksistą. Widzimy w tym miejscu poważną różnicę. W ogromnej masie b. komunistów, którzy opuścili swe partie narodowe (względnie partię bolszewicką) jest stosunkowo niewielka ilość ludzi o poważnym przygotowaniu marksistowskim. Przeważają wśród nich zhisteryzowani inteligenci, którzy odeszli od "zgniłego kapitalizmu" i "burżuazyjnej demokracji" nie znosząc psychicznie i nerwowo schyłkowego okresu, okresu wielkich kryzysów społecznych i gospodarczych, nihilizmu moralnego i duchowego, nie wierząc w regenerację humanizmu, i uczepili się kurczowo marksizmu, a w ślad za nim i komunizmu bez wnikania w jego istotę, bez analizowania własnym swym rozsądkiem jego teoretycznych i praktycznych możliwości. Po prostu mówiąc, byli to ludzie o świadomej czy podświadomej niesamowystarczalności, którzy w marksizmie i komunizmie widzieli jedyne dla siebie oparcie. Wielu wśród nich — to estetyzujący społecznicy, względnie lewicujący estetycy, którzy rozpatrują politykę i przeobrażenia społeczne poprzez pryzmat abstrakcyjnej estetyki i chcą tę estetykę widzieć nawet w rewolucji. Nie mało wśród nich jest — tak częstych niestety w naszych czasach — duchowych prowokatorów i azefów, którzy do komunizmu szli dla pasji wyżywiania się w konspiracji, w policyjnych czynnościach, a którzy z taką samą łatwością później odchodzili od komunizmu i partii dla wysługiwania się różnym, najbardziej reakcyjnym kontr-wywiadom i policyjnym instytucjom. Ale prawdziwych marksistów, ludzi przystępujących do komunizmu nie z serca czy dla emocyj, lecz z rozsądkiem, z rozważli, ze zrozumienia — takich wśród b. komunistów było i jest bardzo niewiele. I — nawiasem mówiąc — tylko świadectwo tej kategorii b. komunistów jest naprawdę coś warte. Wypowiedzi i pisanina wszystkich innych, to tylko dokumentacja i to przeważnie w ogromnym stopniu zakłamania.

James Burnham jest marksistą o dużej wiedzy ogólnej i gruntownym przygotowaniu filozoficznym. Umysł jego, nawskroś angielski, chłodny, z łatwością orientuje się w zagadnieniach nowych, świetnie segreguje i klasyfikuje zjawiska nieraz zupełnie mu, w gruncie rzeczy, obce. Ze swego okresu marksistow-

skiego Burnham pozostawił w swej metodzie badawczej dialektykę i historyczny materializm. Stanąwszy po powrotem na gruncie myślenia idealistycznego umie on znakomicie wykorzystać te dwie właśnie czysto marksowskie metody dla analizy rzeczywistości politycznej, oceny konfliktów międzynarodowych i kryzysów społecznych i gospodarczych.

Co jest najbardziej imponującego w dorobku dotychczasowym prof. Burnhama, to ten konsekwentny rozwój jego światopoglądu w określonym kierunku, rozwój oparty nie na improwizacji, nie na niecierpliwości i namiętności, lecz na wyczerpanej pracy poznawczej i analitycznej. Czytając liczne już dzisiaj książki i artykuły Burnhama, widzi się nieustanną ewolucję jego poglądów, ewolucję nieraz tak zasadniczą, że niektóre jego książki nawet same w sobie zawierają sprzeczności, świadczące o tym, że w trakcie ich pisania autor przeszedł ewolucję w poglądach na dany temat. Ale te sprzeczności nie tylko wydają się naturalne, lecz wzbudzają tym większy szacunek do autora. Tylko prawdziwi demokraci i humaniści zdobywają się na taki stosunek do czytelnika, nie traktując go jako anonimową "masę", którą można inspirować i sugerować nieprzemyślanymi improwizacjami.

"Kultura" zdobyła się chlubnie na przekład polski słynnej już dziś na całym świecie książki Burnhama pt.: "The Struggle for the World" ¹⁾. Ostatnio ukazała się w Stanach Zjednoczonych nowa jego praca pt.: "The Coming Defeat of Communism" ²⁾. Nie wiem czy znajduję aprobatę doskonałego tłumacza książki poprzedniej p. Józefa Ursyna, ale dla świadomości czytelników nie znających angielskiego pozwolę sobie prowizorycznie przetłumaczyć ten tytuł dość dosłownie na: "Nieunikniona klęska komunizmu", w ten sposób potęgując niejako optymizm założony w oryginalnym tytule Burnhama.

W stosunku do swej książki poprzedniej Burnham w rzeczy samej występuje jako wielki optymista. W "Walce o świat" Burnham pisał:

„Niebezpieczeństwo wojny zniknie dopiero wtedy, gdy obecny reżim w Sowietach zostanie obalony i komunizm światowy straci na sile... Jest rzeczą bardziej pożądaną i tego należy pragnąć, aby komunizm w Związku Sowieckim i w innych krajach został zdruzgotany od wewnątrz raczej, niż żeby nastąpiło to na skutek wojny przychodzącej z zewnątrz. Komunizm jednak rozrósł się do tego stopnia, że siła jego jest większa od siły każdego państwa działającego w odosobnieniu. Pobicie komunizmu w jakimkolwiek punkcie świata stać się musi celem walki niekomunistów, działających na całym świecie. Ludzie zaś

1) James Burnham, *Walka o świat* (autoryzowany przekład Józefa Ursyna); nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu; Paryż, 1950 (cena 350 fr. fr.).

2) James Burnham, *The Coming Defeat of Communism*; New York 1950 (nakł. The John Day Company, Inc.).

znajdujący się w sferze sowieckiej potrzebują najwięcej pomocy. Wtedy, gdy pozbędą się oni swych władców komunistycznych i tylko wtedy, rozwiążemy z największą łatwością obecnie nierozwiązalne zagadnienie: „jak porozumieć się z Rosją?”.

Takie postawienie sprawy determinowało polityczne stanowisko Burnhama w tym okresie. Widział on jeszcze możliwości kompromisowego układu świata zachodniego z ZSSR. Sugerował Stanom Zjednoczonym politykę *defensywną*. (Nawiasem mówiąc, na miejscu p. Ursyna pozwoliłbym sobie na przetłumaczenie tego określenia bardziej dosadnym słowem: „obronny”; słowo defensywa w słownictwie politycznym jeszcze bardziej niż w strategii zawiera pewien pierwiastek aktywności, a przecież Burnham pisząc „Walka o Świat” był skłonny do tak daleko posuniętego kompromisu, że wyrzekł się wszelkiej aktywności skierowanej przeciwko Związkowi Sowieckiemu bezpośrednio). W swej nowej książce Burnham wychodzi z założenia, że jest rzeczą bezprzedmiotową mówienie o przyszłej wojnie ze Związkiem Sowieckim, skoro wojna już jest. Chodzi więc o to, by tę wojnę zorganizować po tej, po naszej stronie, po stronie świata broniącego się przed agresją komunizmu sowieckiego.

Nie oznacza to bynajmniej, by Burnham stał się zwolennikiem tylko jednej alternatywy, doprowadzenia do wojny militarnej ze Związkiem Sowieckim. Nie! Burnham sugeruje nawet konieczność postawienia Moskwie wyraźnie sprecyzowanego ultimatum, dokumentując niejako, że propozycje oficjalnej polityki amerykańskiej, które niedawno zemocjonowały opinię całego świata, a które właśnie wyrażały się w podobnym ultimatum, nie były w tym wypadku improwizacją, lecz miały jakieś powiązania z poważną opinią polityczną Amerykanów typu Burnhama.

Burnham uważa, że Stany Zjednoczone mogłyby nawet pójść na udzielenie ZSSR większej pożyczki finansowej dla odbudowy zniszczeń wojennych, ale winny to zrobić za cenę wyrzeczenia się ze strony Związku Sowieckiego agresji komunistycznej w stosunku do pozostałego świata, usunięcia się z krajów okupowanych, złagodzenia wewnętrznego ustroju i przystąpienia do międzynarodowej konwencji w sprawie energii atomowej. Pisząc to Burnham wyraźnie nie ma nadziei na to, by propozycje takie były przez Moskwę przyjęte, a tym samym zwalnia nas od wypowiedzania naszej opinii nie tylko odnośnie ewentualnej reakcji sowieckiej na tego rodzaju propozycje, ale nawet na temat celowości wszelkich rozważań w tym kierunku. Bez względu na to co byśmy o tym myśleli, należy przypuszczać, że w krajach prawdziwej demokracji, a w szczególności c e n ę, politycy i pisarze polityczni mają olbrzymie trudności w przekonywaniu społeczeństw, że wszystkie środki obrony, kompromisu, ugodowości czy neutralności są już wyczerpane, że społeczeństwa muszą wyjść ze stanu indferentyzmu i bierności

i przejść do polityki aktywnej. (My, Polacy, dopiero w wieku XIX-tym, pod wpływem romantyzmu, nauczyliśmy się dopatrywać w wojnie pozytywnego rozwiązania dla sprawy narodowej, zapominając o tym, że przez długie wieki poprzednie byliśmy narodem najtrudniejszym spośród wielkich narodów europejskich do zmobilizowania się nawet w obliczu najazdu nieprzyjacielskiego. Wydaje się nam dzisiaj, że nic łatwiejszego jak drogą rozumową dojść do koncepcji wojny prewencyjnej, za którą powinien się p r z e c i e ż opowiedzieć cały naród. Zapominamy o tym, że nie stać nas było nawet na skończenie tej wojny prewencyjnej, jaką Józef Piłsudski rozpoczął w 1920 z bolszewikami i niewątpliwie, nie zdobylibyśmy się na wojnę prewencyjną z hitleryzmem nawet wtedy, gdyby Piłsudski był w 1933 r. otrzymał gwarancje Zachodu).

Prace Burnhama, prace niezmiernie konsekwentne, krok za krokiem urabiające opinię czytelnika amerykańskiego winny być dla nas ogromnie pouczające również i z tytułu konieczności zrozumenia przez nas psychiki amerykańskiej, której nie da się narzucić żadnej koncepcji awantury wojennej, nawet gdyby ta awantura wojenna była jednym wyjściem z sytuacji.

Zakładając z góry, że Związek Sowiecki nie przyjmie warunków ograniczających jego agresję polityczną i dywersyjną, że nie ustąpi ze swego stanu posiadania i że nie pozwoli na żadną kontrolę swych przygotowań wojennych, — Burnham występuje konsekwentnie z szeroko pomyślanym planem „zimnej wojny” w stosunku do ZSSR. W ciągu trzech lat od napisania „Walki o Świat” Burnham zmienił swój pogląd. „Defensywa” do niczego nie doprowadzi. Akcja musi być jak najbardziej ofensywna, jak najbardziej energiczna. Stany Zjednoczone i inne kraje demokratyczne muszą zdobyć się na „ofensywną, polityczną i podziemną wojnę przeciwko Związkowi Sowieckiemu”. Musi być ogłoszony międzynarodowy bojkot sowieckich towarów, pieniędzy, transportu itd. Trzeba popierać ucieczki z ZSSR uczonych, techników i wojskowych, trzeba pogłębić służbę informacyjną w stosunku do ZSSR, należy inspirować i pogłębiać wszelkiego rodzaju konflikty wewnątrz bloku sowieckiego, należy organizować i aktywizować wszelkiego rodzaju ugrupowania emigracyjne itd., itd. Prof. Burnham proponuje stworzenie specjalnej organizacji, która by zajęła się planowaniem i prowadzeniem tej „niezwykłej” (unconventional) wojny, która by zcentralizowała w tym kierunku wszystkie rozstrzelone wysiłki oddzielnych resortów i organizacji w Stanach Zjednoczonych. Burnham ostro krytykuje polityków i działaczy amerykańskich za ich nieuctwo, osobistą chciwość, egoizm i krótkowzroczność, reakcyjność i tchórzostwo. Z tego tytułu książka Burnhama rzuca ostre światło na stosunki wewnętrzne w samych Stanach Zjednoczonych jeżeli chodzi o możliwość działania Stanów przeciwko Związkowi Sowieckiemu i komunizmowi, i, nawiasem mówiąc wyjaśnia bardzo wiele, dając doskonale wskazówki dla polityków europejskich.

Podobnie jak i "Walka o świat", nowa książka Burnhama świadczy o gruntownym opracowaniu przez autora ogromnej ilości tematów, jego doskonałej informacji w zakresie polityki bieżącej i nie tyle jakim znawstwie historii polityki i stosunków gospodarczych w Europie i na świecie. Książka ta w żadnym miejscu nie sprawia wrażenia improwizacji czy nieprzemyslenia. Wyobrażamy sobie, że z tego tytułu powinna mieć ona duże wzięcie wśród społeczeństw zachodnich, a zwłaszcza anglosaskich, które nie znoszą propagandy, a wymagają poważnego uzasadnienia każdej tezy, każdego twierdzenia. Uważamy, że książka ta jest ogromnym krokiem naprzód w kierunku uświadomienia opinii i polityki amerykańskiej odnośnie tego niebezpieczeństwa jakie faktycznie już zawisło również i nad Stanami Zjednoczonymi.

Ale stwierdziwszy to wszystko, nie możemy, niestety, uznać i tych wniosków prof. Burnhama, na jakie zdobywa się on z właściwą sobie rzetelnością i gruntownością w swej nowej pracy, jako prowadzące do celu, gwarantujące "nieuniknione zwycięstwo nad komunizmem", tak optymistycznie przewidywane przez Burnhama w wypadku, gdy proponowane przez niego środki będą zastosowane.

Musimy stwierdzić, że pod wielu względami wnioski Burnhama w jego poprzedniej książce wydawały się nawet relatywnie bardziej słuszne i lepiej udokumentowane aniżeli w książce ostatniej. Stało się to dzięki temu, że podczas gdy przedprowadzenia koncepcji "Walki o świat" autor analizował przede wszystkim sytuację międzynarodową "otoczenia kapitalistycznego", to w "Nieuniknionej porażce komunizmu" mówi on przede wszystkim o polityce sowieckiej, sprawach sowieckich i analizuje wewnętrzną sytuację Związku Sowieckiego. I tu okazuje się rzecz szczególnie: o ile dialektyka materialistyczna i historyczny materializm są doskonałą metodą poznawczą dla zrozumienia i oceny świata "kapitalistycznego" o tyle zawodzą one (niekiedy zawodzą całkowicie) przy analizowaniu rzeczywistości sowieckiej. Już tacy — całkiem nieźli marksiści, jakimi byli Marks i Engels — zawiedli się całkowicie w swych ocenach i wnioskach odnośnie Rosji carskiej, dokonywanych właśnie metodą najbardziej doskonałego i głębokiego marksizmu. Marksista Burnham odnosi niemierną porażkę, stosując poznawcze metody marksistowskie w stosunku do Związku Sowieckiego. Dochodzi do tego u Burnhama jeszcze jedna sprawa specjalna: Burnham był w okresie swego pozytywnego stosunku do marksizmu i komunizmu — jak to wynika z każdego słowa dzisiaj przez niego pisanego — marksistą i komunistą poważnym i uczciwym. Nie ma w nim więc dzisiaj nic z tej nieznośnej, obrażającej godność ludzką zwierzęcej nienawiści, historycznej pogardy i, w gruncie rzeczy, jakże tchórzliwej wściekłości z jakimi piszą czy mówią o komunizmie i marksizmie niektórzy byli komuniści. Ale zachowując w dalszym ciągu poważny i prawdziwie męski stosunek do idei i organizacji dziś sobie wro-

giej, Burnham popełnia automatycznie pewien błąd: podciąga on bolszewizm pod kategorię zjawisk ideowych, takich za jakie uważał ten marksizm w który sam wierzył. Nie chce, czy nawet nie jest w stanie zobaczyć w bolszewizmie tylko i wyłącznie siły politycznej, olbrzymiej maszyny organizacyjnej wyzbytej już wszelkich idei uniwersalnych, ogólnoludzkich.

U podstawy tego bolszewizmu z którym świat dzisiejszy musi stoczyć walkę, jeżeli nie chce być przezeń całkowicie i bez reszty wchłonięty, leży nie idea komunistyczna, lecz państwo. Idea komunistyczna nie tylko w praktyce, lecz i w teorii bolszewickiej zesła całkowicie na plan drugi, nieraz nawet na plan tak daleki, że stała się zupełnie nieistotna. Jeżeli więc ktokolwiek: ideolog, filozof, ekonomista czy polityk mówi czy myśli o zwalczaniu komunizmu w dzisiejszych jego bolszewickich treściach i formach, to nie może liczyć na to, że dojdzie do zwycięskiego celu jakimikolwiek innymi drogami jak tylko *w drodze absolutnego, bezkompromisowego zniszczenia państwa sowieckiego. Oddzielanie komunizmu od państwa sowieckiego jest absurdem.* Na utrwaleniem tego absurdu w świadomości polityków zachodu pracują dzisiaj z jednakową energią zarówno bolszewicy moskiewscy, jak i... emigranci rosyjscy, którzy, obłudem krótkowzrocznego nacjonalizmu wiedzeni, usiłują wpłynąć na politykę Zachodu w ten sposób, by zachować w wypadku klęski Związku Sowieckiego państwo rosyjskie w całości. I jest rzeczą co najmniej niepokojącą, że właśnie książka prof. Burnhama wywołała tak zgodną, pochlebną ocenę wszystkich, nawet najbardziej reakcyjnych ośrodków emigracji rosyjskiej. Już to jedno powinno nasunąć prof. Burnhamowi wątpliwości, czy aby obrane przezeń metody zwalczania bolszewizmu okażą się skuteczne.

Nie należy do zadań recenzji rozwijanie tematów nie objętych przez autora omawianej książki. Przeto nie będziemy i my na tym miejscu rozwijać naszej tezy konieczności uderzenia w państwo sowieckie, jako *jedyny cel strategiczny walki o wolność świata.* Chcemy tylko zaznaczyć że, mówiąc o uderzeniu w państwo, nie myślimy o wojnie militarnej. Twierdzimy, że tego uderzenia nie tylko należy dokonać bez użycia środków militarnych, lecz więcej, że tego uderzenia *nie należy dokonywać* przy pomocy środków militarnych. Jesteśmy wrogami wszelkich poglądów politycznych, opierających się o koncepcję czystej agresji militarnej w stosunku do Rosji, Rosji historycznej, zarówno dawnej, jak obecnej bolszewickiej, jak i każdej innej.

Na terenie Związku Sowieckiego jest dostatecznie dużo materiału wybuchowego, umiejętnie operowanie którym może doprowadzić do rozsadzenia tego odwiecznego żandarma świata. Ale tego, niestety, nie rozumieją i zrozumieć nie są w stanie ani nacjonałiści rosyjscy, ani ukraińscy, ani polscy, ani żadni inni, dla których ostatecznym celem walki z bolszewizmem jest tylko możliwość urzędzenia własnego państwa. Jeżeli piszemy i mówimy

my o konieczności rozbitcia państwa sowieckiego to nie przyświeca nam żadna idea ani koncepcja stworzenia na miejscu tego państwa takiej czy innej mozaiki politycznej odrębnych narodów. Przyświeca nam jedynie i wyłącznie czysta idea wolności człowieka, wolności narodów.

Również i rozważania prof. Burnhama na temat *środków i metod* zimnej wojny nie mogą nie nasuwać całego szeregu uwag i wątpliwości. Każda wojna, a więc i wojna zimna jest polityką. Każda polityka musi mieć swoją strategię, taktykę i technikę. Strategia polityki zarówno pokojowej jak i wojennej podlega tym samym prawom. Plan zimnej wojny musi być tak samo starannie opracowany jak plan wojny militarnej. Musi być ustalony przede wszystkim *cel* tej wojny i wszystkie jej działania muszą być tak pomyślane i ułożone, by prowadziły logicznie i konsekwentnie do tego właśnie, z góry wytyczonego, *jednego jedyngo celu*.

Sam prof. Burnham w obu swych książkach objaśnił nam wyczerpująco, że polityce amerykańskiej brak tego właśnie celu, a co za tym idzie i planu. Mówienie więc o narzędziach i metodach zimnej wojny jest w tych warunkach bezprzedmiotowe lub co najmniej przedwczesne. Nie środki i narzędzia postulują plan, lecz odwrotnie. Taktyka jest funkcją strategii, a nie odwrotnie. Gdy się obserwuje politykę czy dyplomację amerykańską (zwłaszcza w stosunku do ZSSR) odnosi się wrażenie, że składa się ona z miliona posunięć, gier, chwytów, zupełnie ze sobą nie skoordynowanych, doraźnie improwizowanych i że amerykańscy politycy zasugerowani są techniką, środkami i narzędziami, dobieranymi bez generalnego planu. Można być prawie pewnym, że gdyby te wszystkie propagandowe wysiłki, dyplomatyczne chwytły, międzynarodowe posunięcia i osiągnięcia techniczne zużyte dotychczas przez Stany Zjednoczone do walki z bolszewizmem, były podporządkowane jakiemś konkretnemu, przemyślanemu planowi, to bolszewizm już dawno wzięliby diabli. Zasugerowanie się środkami i techniką może grozić polityce amerykańskiej nie tylko zgubieniem się w sytuacji, ale, co gorsza, całkowitym uzależnieniem się od planów i strategii przeciwnika.

Sytuacja jest tym trudniejsza, że przeciwnik ten — to znaczy ZSSR — jest przeciwnikiem mającym nie tylko wyraźną świadomość *jednego, jedyngo* strategicznego celu (stworzenie uniwersalnego państwa), lecz posiada również znakomicie opracowany plan strategiczny osiągnięcia tego celu, ma doskonale wyczuć wagę, proporcji i kolejności zagadnień i umie doskonale dobierać środki i metody do zamierzeń strategicznych. Jeżeli po tej stronie frontu o wojnie zimnej dopiero zaczynamy mówić, to po stronie bolszewickiej wojnę taką — i to w skali uniwersalnej — prowadzi się już od 1917 roku. Sukcesy jej są tak olbrzymie, iż już nie pora mówić nawet o kontr-ofensywie. *Sytuację może uratować jedynie ofensywa na największą skalę zakrojona*. I nie może być ona pomyślana jako suma party-

zanckich czy chałupniczych wysiłków różnych narodów i narodków. Ofensywa ta musi być pomyślana, wyplanowana i zrealizowana całkowicie i wyłącznie przez Stany Zjednoczone, na ich własną przed historią odpowiedzialność.

Prof. Burnham zdaje się doskonale to zrozumieć. W chwili gdy piszemy te słowa wypadki w Korei potwierdzają całkowicie tę dysproporcję, jaka zachodzi pomiędzy gigantyczną samoreklamą a konsekwentnymi możliwościami amerykańskimi. A nikość tych możliwości nie wynika bynajmniej ze słabego potencjału ogólnego: wynika ona z wadliwego ustawienia całej polityki zimnej wojny, polityki w ogóle w stosunku do ZSSR.

Prof. Burnham udowodnił swą pracą, że jest on autorem politycznym głęboko myślącym i coraz bardziej zbliżającym się do poznania rzeczywistości i do znalezienia klucza, poszukiwanego dziś przez całą ludzkość: klucza rozwierającego problem sowiecki. Jesteśmy przekonani, że podobnie jak to miało miejsce po napisaniu "Walki o świat", dokona on i tym razem dalszej rewizji swych poglądów i sprawdzi wartość swych obecnych ocen i wniosków jako połowicznych, nie gwarantujących "porażki komunizmu". Możemy natomiast już dzisiaj stwierdzić, że tylko taka spokojna, konsekwentna, w pewnym sensie empiryczna metoda, jaką stosuje w swej pracy prof. Burnham daje światu gwarancję, że polityka Stanów Zjednoczonych dojdzie ostatecznie do właściwych ocen i zdobędzie się na reakcje, które będą mogły zapewnić ludzkości przyszłość wolną od bolszewizmu.

R. WRAGA.

O Cieśninach tureckich

Broszura amb. Sokolnickiego jest niewątpliwie płodem nie tylko głębokiej wiedzy przedmiotu, ale i produktem wielkiego doświadczenia politycznego i życiowego. Posiada więc podwójną wartość: pracy historyczno-naukowej, politycznej, oraz wartość dydaktyczno-moralną — czy bowiem dyskretnie jak mało skutkuje nietscheańska postawa w polityce, reprezentowana przez mocarstwa, która jak bumerang wraca i uderza.

Przede wszystkim parę słów o autorze. Jest to znany historyk i pisarz, autor tomu wspomnień pt. "14 lat", świetny znawca nowożytnej historii dyplomacji, orientujący się dobrze w nowożytnej literaturze politycznej. Z drugiej strony jest to zawodowy dyplomata, b. naczelnik Wydziału Historyczno-Nau-

SOKOLNICKI, Michael: *The Turkish Straits*. Beirut, nakładem "Reduty", 1950, stron IV, plus 44.

kowego MSZ, poseł w Finlandii w latach 1920 - 23, poseł w Danii 1931 - 36, wreszcie ambasador w Turcji, przebywający w tym kraju od r. 1936 do dnia dzisiejszego. Myliłby się jednak czytelnik sądząc, że dopiero z chwilą przybycia do Turcji amb. Sokolnicki głębiej poświęcił się studiom tego kraju oraz jego związkom z Polską. Jego zainteresowania sprawami Turcji sięgają jeszcze okresu sprzed pierwszej wojny światowej, gdy w 1913 r. został wice-sekretarzem Polskiego T-wa Przyjaciół Turcji w Krakowie (prezesem był wówczas prof. uniw. Jagiell. W. Tokarz). Zrozumiałe więc jest, że pracą ambasadora Sokolnickiego jest właściwie streszczeniem tego materiału, jaki na te tematy posiada i jeśli nie ukazała się jako gruby tom, to tylko ze względów technicznych i poniekał materialnych.

Autor traktuje zagadnienie Cieśnin Tureckich na tle całokształtu światowych problemów międzynarodowych. Zagadnienie to jest fragmentem kompleksu związków geograficznych, kierujących biegiem dziejów, obecny zaś stan tego problemu jest jednym z wielu dowodów, że główne zagadnienia światowe są nadal płynne.

Historia Cieśnin jest tematem tonącym w głębi wieków i w głębi cywilizacji wschodo-zachodniej. Idąc jednak ku dobie nowożytniej zagadnienie to przybiera kształty podstawowego składnika kwestii wschodniej, będącej kamieniem węgielnym układów międzynarodowych Starego Świata w 19 stuleciu, aż do pierwszej wojny światowej, może do chwili przystąpienia Stanów Zjedn. do wojny. Problem Pacyfiku od końca ub. stulecia przyćmił, zdawało się, tę sprawę na zawsze. Ale tak się tylko zdawało. Koniec drugiej wojny światowej odrodził międzynarodowe znaczenie Cieśnin, gdy St. Zjednoczone oraz W. Brytania udzieliły Turcji, na równi z Europą Zachodnią, pomocy militarnej w obronie przed Rosją, tak samo jak ongiś W. Brytania i Francja. I tak na miejsce węzła międzynarodowego — symbolizowanego rywalizacją Rosji, W. Brytanii i Francji — w Turcji — przyszedł nowy węzeł będący wynikiem drugiej wojny światowej — Stany Zjednoczone, W. Brytania, Sowiety — w Turcji. Całe dzieje tego układu stosunków, jego narastania, zmiennych i złożonych linii rozwoju kreśli autor w zwięzłych zdaniach historii zagadnienia.

Nie historia jednak, ani przemiany dokonywane się w Anadolii w okresie po pierwszej wojnie światowej są najbardziej interesującą częścią pracy. Jest nią problem Cieśnin w okresie drugiej wojny światowej oraz rzut oka w przyszłość tego zagadnienia. W tej części pracy zastanawia rola mocarstw zachodnich, kupczących skórą na nieupolowanym niedźwiedziu, przyrzekających zrewidowany statut Cieśnin Sowiетom za ustępstwa na innych odcinkach rywalizacji.

W pierwszej fazie wojny współdziałają ze sobą dwie potęgi — Niemcy i Sowiety. Sowiety pierwsze wyciągają dłoń po Cieśniny, gdy 20 września 1939 Mołotow zaprosił ministra spr. zagr. Saracoglu do Moskwy celem zrewidowania statutu Cieśnin i za-

pewnienia Rosji możliwości postawienia pierwszego kroku w kierunku ich zaanektowania. Turcja oparła się tym żądaniom, co doprowadziło ostatecznie do podpisania w Ankarze układu turecko-franko-brytyjskiego obrony Cieśnin z zastrzeżeniem, iż jedynie Niemcy były brane pod rozwagę i że natomiast Rosja nie wchodziła w grę w tych pertraktacjach. Zaostrzyło to tylko apetyty sowieckie. Autor podkreśla jak sytuacja na ziemiach polskich posiada ścisły związek z tym co się dzieje w Turcji. W czasie, gdy Saracoglu jechał do Moskwy dla kapitulacji przed Stalinem, jak się niesłusznie spodziewano, w tym właśnie czasie wojska rosyjskie okupowały wschodnią część Rzeczypospolitej Polskiej. Atak Rosji w basenie Wisły zbiegał się w czasie, nie po raz pierwszy w dziejach, z próbą ciosu wymierzzonego w Turcję.

Na tej próbie nie skończyło się. W rok później w czasie wizyty Mołotowa w Berlinie — Hitler zaofiarował Moskwie w ramach ogólnego podziału świata dostęp do mórz południowych oraz przekreślenie krępującej Sowiety konwencji w Montreux przez otwarcie dla jej okrętów wojennych pełnej swobody przepływu przez Cieśniny i przez zamknięcie Cieśnin dla okrętów państw obcych. Zbyt duże apetyty sowieckie uniemożliwiły dojście do skutku planów niemieckich.

Do gry niemiecko-sowieckiej przystąpiły i Włochy Mussoliniego w tajemnicy przed Niemcami proponując Sowiетom uznanie ich preponderencji na morzu Czarnym wzamian za uznanie praw pierwszeństwa dla Italii na morzu Śródziemnym. Rozmowy włosko-sowieckie urwały się na skutek dowiedzenia się o nich Niemiec.

Starania Moskwy uzyskania szczególnych praw w Cieśninach były bardzo uparte. Świadczy o tym, że w najtragiczniejszych dla Rosji chwilach w r. 1943 Sowiety, prowadząc tajne rozmowy na temat pokoju separatywnego z Niemcami — żądają dla siebie Cieśnin.

Jeśli jednak okres zwycięstw niemieckich nie załamał rosyjskich tendencji do opanowania Cieśnin, to oczywiście okres zwycięstw Moskwy mógł tylko wzmocnić te zamiary. Toteż w r. 1944 w okresie opanowywania Bałkanów aż po wybrzeża Adriatyku, oraz Polski — Kreml wysuwa pod adresem Turcji następujące warunki zbliżenia: wspólna z Turcją "obrona Cieśnin" oraz "zwrot" okręgów pogranicznych Karsu i Ardahanu. Turcja stawia opór. Sowiety w następnym 1945 r. wypowiadają traktat przyjaźni i neutralności z Turcją z 1925 roku.

Niepowodzenia Sowietów w pertraktacjach na tematy Cieśnin, bądź z Berlinem, bądź bezpośrednio z Turkami, "zmuszają" Sowiety do próby uzyskania Cieśnin wypróbowaną "metodą polską" — to znaczy metodą uzyskania ich na płaszczyźnie pertraktacyj międzyalianckich. W planie sowieckim St. Zjednoczone, W. Brytania i Francja mają ułatwić włączenie Cieśnin w strefę sowiecką. I tak konferencja Trzech w Poczdamie z lipca - sierpnia 1945 r. porusza sprawę Cieśnin. Chur-

chill w prywatnej rozmowie ze Stalinem zgodził się na rewizję statutu Cieśnin w Montreux, ofiarowywał Rosji swobodę niekrepowanej żeglugi, sugerował niealarmowanie Turcji żądaniami terytorialnymi. Stalin żądał prawa obrony Cieśnin i zwrotu Karsu i Ardahanu. Truman również zgodził się na rewizję Montreux i wysuwał zasadę wolnej drogi handlowej dla całego świata. Uchwała konferencji Trzech w ostatecznym bilansie przyniosła Stalinowi uznanie zasady rewizji konwencji w Montreux oraz otwierała drogę do dalszych pertraktacji bilateralnych na te tematy. To, czego Stalin nie mógł uzyskać w Berlinie — uznanie bezwartościowości konwencji w Montreux — uzyskał u Anglii i Ameryki. Noty Stanów Zjednoczonych i Anglii, wysłane pod adresem Turcji w wykonaniu rozmów poczdamskich pogłębiły ujemne skutki tych rozmów. Sowiety zutilizowały je w r. 1946 wysyłając pod adresem Turcji formalne żądanie zmiany statutu konwencji w Montreux z powołaniem się na Anglię i Amerykę. Nota sowiecka w treści swej wracała do żądań z r. 1940 — baz sowieckich w Cieśninach oraz pełnych praw tylko dla państw czarnomorskich, tzn. dla satelitów moskiewskich na czele z Moskwą, oraz dla Turcji. Oczywiście, nota sowiecka szła znacznie dalej niżeli ustępstwa anglo-amerykańskie na rzecz Sowietów. Odpowiedź Turcji na notę była utrzymana w tonie spokojnym i odplerała zarzuty sowieckie pod adresem polityki tureckiej wobec Sowietów w okresie drugiej wojny światowej. Jednocześnie wszystkie zasadnicze żądania sowieckie nota turecka odrzucała, powołując się na OZN jako instytucję powołaną do rozstrzygnięcia kontrowersji w sprawie Cieśnin.

Wkrótce druga nota sowiecka powtarza żądania sowieckie w nieco zmodyfikowanej formie. I tym razem Turcja, godząc się na rewizję konwencji w Montreux na forum międzynarodowym, bez wyłączenia którychkolwiek spośród zainteresowanych czynników międzynarodowych, odrzuca zasadę wyłącznych rosyjsko-tureckich rozmów, podkreślając wyczerpanie się tematu Cieśnin w rozmowach bezpośrednich. Na tym urywa się dotychczasowa próba Moskwy uzupełnienia tym ważnym strategiczno-komunikacyjnym skrawkiem swych zdobyczy w Europie środkowo-wschodniej.

Matactwa moskiewskie dały w wyniku obudzenie nieufności anglo-amerykańskiej i zmianę ich dotychczas ustępliwej polityki. Czujność anglo-amerykańska obudzona została głównie tym, że Sowiety, zbyt pewne siebie, posunęły swą bezczelność zbyt daleko, proponując mocarstwom zachodnim, żeby się same wyeliminowały z nowej konwencji; tego najcierpliwszym nawet były za dużo i odtąd wzrasta opór. Podkreślić należy zasługę Turcji, która oparła się wymogom i szantażom sowieckim, wtedy gdy nikt jeszcze nie stawiał Sowietom czoła; przez co dała czas innym na opamiętanie się i rozpoczęcie oporu; "gdyby nie Turcja, mówił pewien Amerykanin, stracilibyśmy cały Środkowy Wschód — i jak wyglądałaby wówczas nasza

ogólna sytuacja strategiczna?" — Już potem, po oporze Turcji St. Zjednoczone zaalarmowane aktami agresji sowieckiej w Europie zachodniej i w Azji zapoczątkowały na wielką skalę akcję przeciwstawiania się sowieckiej ekspansji. Ogrędzie Trumana z 12 marca 1947 r. inicjuje politykę znanej pomocy amerykańskiej dla Turcji i Grecji. Sowietkie natarcie na Cieśniny i Turcję (oraz Grecję) zostało w ten sposób, jak narazie, zahamowane.

W rozdziale końcowym autor rozważa relatywność zasady obrony Cieśnin lub uprawnień tych czy innych czynników wchodzących w grę. W okresie wojny tylko stosunek wzajemnych sił będzie decydował o wszystkim. Jak wykazały ostatnie dzieje — prawo międzynarodowe coś znaczy tylko w okresie pokoju. Jest rzeczą trudną do przewidzenia, aby w przyszłym konflikcie Turcja mogła pozostać poza wojną. Obrona więc Cieśnin wystąpi, ale jako zagadnienie w walce sił materialnych. Zasada umiędzynarodowienia Cieśnin znalazła wyraz w konwencji w Montreux i posiada analogię do wszystkich tego typu zagadnień, jak Suez czy Panama. Zasada ta nie narusza suwerennych praw któregokolwiek z sąsiadujących państw. Sama wymowa problemu Cieśnin jako szlaku komunikacyjnego obecnie ulega pewnej zmianie. Dziś cała Turcja jest częścią tras powietrznych, prowadzących z Bałkanów do Karachi oraz z Italii i Grecji na Środkowy Wschód. Cieśniny stanowią więc tylko fragment zagadnienia. Obrona ich stanowi część problemu strategii śródziemnomorskiej. Również i obrona Cieśnin jest dzisiaj zmieniona. Niezwyciężone od strony morza w latach 1914 - 1917, dziś, jak wykazał precedens Singapore w drugiej wojnie światowej, mogą być teoretycznie zajęte z powietrza. Obrona lądowa nie jest więc wystarczająca i wymaga odpowiedniego stosunku sił w powietrzu. Rosyjskie dążenia do Cieśnin pozostają jednak niezmienione w tych zmienionych warunkach politycznych. Jak powiedzieliśmy wyżej nie można przypuszczać, aby jakieś umowy międzynarodowe lub gwarancje instytucji międzynarodowych zabezpieczyły je przed agresją Rosji. W okresie wojny wszystko zależy od stosunku sił militarnych, a więc międzynarodowe umowy bez sankcyj są bez wartości i nie gwarantują obrony Cieśnin.

Na tych zimnych i realnych stwierdzeniach kończy swą pracę autor.

Prac o Cieśninach jest multum. Są lepsze i są gorsze, istnieją wielkie monografie i niezliczona ilość artykułów i studiów. Praca ambasadora Sokolnickiego różni się od nich wszystkich tym, że w pełni uwzględnia również i turecki punkt widzenia, czyli punkt widzenia najbardziej zainteresowanego nadbrzeżnego państwa. Należy życzyć, by broszura amb. Sokolnickiego była tylko zapowiedzią książki na ten, tak ciekawy, temat.

«Dialogues des Carmélites»

Dialogues des Carmélites napisał Bernanos w ciągu zimy 1947/48, miały one służyć do filmu, wedle scenariusza, który ułożył Ojciec Dominikanin Raymond Bruckberger na podstawie znanej noweli Gertrudy von Le Fort *Die Letzte am Schaffot*. Nie mając pod ręką tekstu noweli, czytanej przed wielu laty, trzymał się Bernanos jedynie szerokich ram scenariusza, interpretując całkiem swobodnie duchową treść opowiadania. Dodać należy, że nowela G. von Le Fort była osnuta na fakcie historycznym. 17. lipca 1794 r. szesnaście Karmelitanek z Compiègne zostało skazanych na śmierć i tegoż dnia ściętych. (Bernanos wykorzystał rzeczowy opis zdarzenia, pióra V. Pierre pt. *Les 16 Carmélites de Compiègne*, Ed. Lecoffre 1905). Nawet nazwiska i po części charakter osób działających, zwłaszcza pierwszej i drugiej Ksieni, oraz Siostry Marii od Wcielenia są historyczne i zgodne ze szczegółową relacją spisaną przez tę ostatnią, pomimo woli zachowaną przy życiu, jako świadek męczeństwa szesnastu towarzyszek. Co zaś do głównej postaci dramatu, Blanche de la Force, powstała ona z rozdwojenia najmłodszej z zakonnic, siostry Konstancji od Św. Dyonizego, ur. w 1765, z tą różnicą, że S. Konstancja położyła pierwszą głowę pod nóż gilotyny. Idąc na śmierć, zgodnie z relacją świadków, śpiewały zakonnice psalm *Laudate Dominum omnes gentes...* Zostały beatyfikowane przez papieża Piusa X, w 1906 r.

Tyle co do kanwy, na której powstało to przedśmiertne dzieło Bernanosa. Pisał je dotknięty już chorobą poświęcając *Dialogom* od ośmiu do dziesięciu godzin pracy dziennie. Zeszyty z brulionami, oraz notatnik pisarza, świadczą o wyczerpanym wysiłku jaki włożył w ustalenie tekstu wielokrotnie go przerabiając. Na marginesach owych zeszytów notował rozważania, które miały mu służyć do *Życia Jezusa*, pracy od piętnastu lat zamierzonej i niewykonanej. W marcu 48 zachorował obłożnie i już się nie podniósł; umarł 5 lipca tegoż roku.

Dialogi, tak inne od całej poprzedniej twórczości Bernanosa są dogłębnie jego własne.

Drzewa zwarzone letnimi upałami nieraz już odarte z liści, czasem w słoneczne dnie jesienne puszczają świeży pęd, a nawet kwiat olśniewający i w obliczu bliskiej już zimy ten kwiat nabiera przejmującej wymowy rzeczy ostatecznych.

„Marzenia moje były bezmierne, zwierzał się Bernanos, wspominając swoje lata młodości, bo inaczej czy warto byłoby marzyć?”

W to dzieło wynikłe z przypadkowego zamówienia wcielił pisarz te swoje bezmierne marzenia (*rêves démesurés*) wiare

BERNANOS Georges: *Dialogues des Carmélites*. (Edition de La Bacônnière, Neuchâtel. Edition du Seuil, Paris 1949. Coll. des Cahiers du Rhône). Str. 375.

wyznawcy, tęsknota do świętości, a ponadto ludzką trwogę wobec nasuwającej się śmierci, trwogę Ogrójca z którą się nie rozstawał w ciągu całego życia.

„Czy wiesz, że trwoga, do pewnego stopnia i mimo wszystko jest córką Bożą, odkupioną w noc Wielkopiętkową. Nie wygląda ładnie, o nie! — to wydrwiwana, to znów przeklinana, przez wszystkich odtrącona, a jednak, niewątpliwie stoi ona u wezłowania każdego konania i wstawia się za człowiekiem”.

Te słowa świętego ks. Chevance z „Radości” wziął Bernanos za epigraf *Dialogów*.

W całej jego twórczości tak nierównej, w której wybuchy świętego gniewu i prorocze wizje graniczą nieraz z wielosłowną elokwencją polemiki, gdzie olśniewające bogactwo obrazowania przechodzi w nużącą napuszość, *Dialogi* wyróżniają się jednolitą harmonią i omal już niezmierną pogodą. Nie spotykamy tu ani gwałtownych potępień, ani gorzkiej ironii, ani piorunów, które pisarz miotał na sobkostwo, miernotę i szalbierstwa tego świata, nie ma też tej męki na widok niezawinionych krzywd i cierpienia ludzkiego. (Odwiedziwszy kiedyś sanatorium gruźlicy kostnej w Berek sur Mer pisał do przyjaciela: Chodziłem tam i z powrotem napęczniały wściekłością i cały zjeżony...). Namiętny protest przeciwko doli ludzkiej, opada jak fala. Pisarz wypowiada się tu przez usta kilku świętych kobiet i młodziutkiej dziewczyny, nadprzyrodzoną łaską przemienionej w męcenicę. Groza rewolucyjnych rozruchów stanowi jedynie głębokie tło dla tych rozmów toczonych przeważnie wśród klasztornych murów albo w więzieniu, dla tych rozważań o życiu i śmierci, odpowiedzialności i łasce, przodownictwie i posłuszeństwie, pokorze i modlitwie, uwypuklając ich przejrzystą prostotę.

Bernanos dobiegał mety i on, którego w ciągu całego życia nękała gorliwość Domu Bożego, on który niejednokrotnie sam zdawał się bliski rozpacz, walcząc jak gdyby twarzą w twarz z Mocami Ciemności, stanął przed ostatnią próbą ufny i wypogodzony jak dziecko.

Nie ma też miejsca w *Dialogach* na „słońce Szatana”. Poprawni komisarze Rewolucji, straż więzienna, tłum uliczny, mszczący swoje krzywdy i krwią spity — to tylko statysci. Bernanos nie obciąża ich nawet odpowiedzialnością za śmierć szesnastu zakonnic, nie ma tu winowajców zbrodni, rzecz dzieje się na innym planie — na planie dobrowolnej ofiary prześląganego za zbawienie Francji i Karmelu. Dla wyrównania Boskiej sprawiedliwości muszą być męcenicy.

„Nie umiera się każdy za siebie, ale jeden za drugich, a nawet jedni zamiast drugich, kto wie?” — te słowa włożone w usta S. Konstancji, wyrażają, przekonanie samego Bernanosa.

Wolne są *Dialogi* od nawałnicy słów gwałtownych i ponu-

rych obrazów, motywem dominującym jest śmierć, kres życia chrześcijanina, śmierć za kogoś lub w imię czegoś, śmierć dopełnienie: poczawszy od agonii starej ksieni, tak niepodobnej do jej męznego żywota, śmierci poświęconej za najmłodszą, Blanche, aż do ostatniego obrazu zakonne wstępujących na stopnie gilotyny z pieśnią na ustach: „*Chwalcie Pana wszystkie narody, chwalcie Go wszyscy ludzie! Albowiem rozszerzone jest nad nami miłosierdzie Jego a Prawda Pańska trwa na wieki!*” (Psalm 116).

W roku 1916 pisał Bernanos do narzeczonej z frontu:

„*Świat nie jest dla mnie w żadnym razie uciecznym widowiskiem. Toczę tu spór o swoją własną sprawę, z wściekłością, z zapamiętaniem, żarliwie, całą duszą, całym życiem... Mogę dać tylko jedno życie, a dałbym ich dziesięć, byleby z tego niebezpieczeństwa chociażby kilka... (list pozostał niedokończony).*

„*Ze wszystkich moich córek jesteś mi najdroższą — mówi umierająca Ksieni do S. Blanche — i najbardziej zagrożoną. By uchylić od ciebie to zagrożenie oddałabym chętnie biedne moje życie, o! jakże chętnie bym je oddała! Dziś mogę już dać jedynie śmierć moją, nędzną moją śmierć...*”

Postacie Bernanosa istnieją poza nim, to twory jego wyobraźni i lęków a także jego marzeń bezmiernych, i te ostatnie mają każda coś ze swego rodziciela. Ostatnie echo Bernanosowskiej rozpaczki dźwięczy w omal bliźniaczych słowach umierającej Ksieni, w jej wizji sprofanowanej kaplicy, słomy i krwi na płytach posadzki... „O! Bóg nas opuścił! — woła — Bóg się nas wyparł! Tęsknota za męczeństwem, rycerski honor, tak drogi wielkiemu pisarzowi, przemawia przez usta S. Marii od Wcielenia. Na wiadomość aresztowania towarzyszek wybucha: „Bogu niechaj będą dzięki! Śpieszmy by umrzeć razem z nimi!” Zaś jego zmysł życiowych realności, jego troska o powszedniość i jej konieczności to mocno z ziemią związana druga Ksieni, Matka Lidoine od św. Augustyna, która nie uznaje żadnych gestów, bohaterstwa ani pychy pod postacią honoru, ani nawet sprzeciwów niesprawiedliwym zarządzeniom władzy rewolucyjnej. „Powołaniem naszym nie jest bynajmniej sprzeciwianie się niesprawiedliwości — poucza swoje siostry — ale odpokutowanie jej, okupienie, a ponieważ nie posiadamy nic innego jak nasze nędzne osoby, jesteśmy same tym okupem...”

Blanche de la Force, zwana w rodzinie „zajęczkiem”, a w zakonie Blanche de l'Agonie du Christ, to drugie wcielenie nieświadomej niewinności i prostoty, Chantal z „Radości”. Obie przyszły na świat kosztem śmierci, ale Blanche to ponadto dziecko trwogi, nękana lękiem jak chorobą, która w zakonie usiłować będzie uzgodnić swój lęk z Agonią Chrystusa, poddając go Woli Bożej. Zawsze spłoszona przybiera Blanche rów-

niez niekiedy obcy jej, ale dobrze nam znany głos. Czy to kiedy mówi bratu o nocach Świętej Agonii, czy kiedy S. Maria składa ją do połączenia się z towarzyszkami dla spełnienia złożonego ślubu, wybucha gwałtownie:

«Umierać, umierać, wciąż to jedno słowo macie na ustach Matko! Czy was wszystkich nigdy nie znuży zabijać i umierać? Czyż się kiedy nasycicie krwią cudzą i własną?»

Bo wszystkie one stare i młode kochają życie i właśnie dlatego ślubują je złożyć w ofierze miłości i prześlągania boskiej sprawiedliwości.

Wyrok Trybunału Rewolucyjnego z 17-go lipca 1794 roku głosił:

„... za kontrrewolucyjne zebrania, za prowadzenie korespondencji treści fanatycznej, za przechowywanie pism wrogich wolności — winne są śmierci”.

Dla nas, czytających dziś te słowa, wszelki komentarz, jak powiada w innym miejscu Ch. Du Bos — byłby świętokradztwem.

Dialogi Karmelitanek poświęcone rozważaniom rzeczy ostatecznych — śmierci i przezwyciężeniu trwogi umierania można by zatytułować *Zwycięstwo*, nieodparcie bowiem, przywodzą na pamięć słowa św. Pawła, w których przypomina Koryntianom obietnice proroków: *Pożarta jest śmierć w zwycięstwie, gdzie jest zwycięstwo twoje śmierci? Gdzie jest śmierci ościęń twój?* (I. do Kor. 15, 55).

Maria CZAPSKA.

Nowości francuskie

LITERATURA

- MAUROIS (A.). *Nouveaux discours du docteur O'Grady*. Pp. 314. (Ed. Bernard Grasset, 1950, frs. 360).
- KERVEN (H.). *Compagnons d'Europe*. Pp. 380. (Ed. Julliard, 1949, frs. 495).
- HELMS - LIESENHOFF (K. H.). *Gretchen en uniforme*. Pp. 413. (Ed. Julliard, 1949, frs. 500).
- HELMS - LIESENHOFF (K. H.). *Gretchen sans uniforme*. Pp. 436. (Ed. Julliard, 1950, frs. 500).
- MANN (T.). *Le docteur Faustus*. Pp. 641. (Ed. Albin Michel, 1950, frs. 80).
- MERRICK (G.). *Lancelot 5-ème Avenue*. Pp. 305 (Flammarion, 1950, frs. 350).
- PONCHARDIER (D.). *Les pavés de l'Enfer*. Pp. 443 (N.R.F. Gallimard, 1950, frs. 490).
- TROYAT (H.). *Etrangers sur la terre*. Pp. 639 (Plon, 1950, frs. 660).
- LE FEVRE (G.). *Sa majesté la pétrole*. Pp. 252. (Hachette, 1950).
- ROMAINS (J.). *Salsette découvre*

L'Amérique. Pp. 337. (Flammation, 1950, frs. 350).

DOKUMENTY CHWILI

SCHACHT (H.) dr. Seul contre Hitler. Pp. 332. (N.R.F. Gallimard, 1950, frs 390).

SARTRE (J.-P.) - ROUSSET (D.) - ROSENTHAL (G.). Entrétiens sur la politique. Pp. 215. (Ed. Gallimard, 1949).

CHURCHILL (W. S.). La grande alliance. Cz. III, T. I.: La Russie envahie. Pp. 509. (Ed. Plon, 1950); T. II.: L'Amérique en guerre. Pp. 462. (Ed. Plon, 1950).

SHERWOOD (R.). Le mémorial de Roosevelt, T. I.: De la "drôle de guerre" à Pearl-Harbour. Pp. 400. (Ed. Plon, 1950, frs. 450).

MOURIN (M.). Les tentatives de la Paix dans la seconde guerre mondiale, 1939 - 1945. Pp. 221. (Ed. Payot, 1949, frs. 480).

WISKEMANN (E.). L'axe Rome - Berlin. Histoire de relations entre Hitler et Mussolini (1934-1945). Pp. 408. (Ed. Payot, 1950, frs. 780).

KALINOV (C.). Les maréchaux soviétiques vous parlent... Pp. 302 (Stock, 1950, frs. 360).

ARNOUX (A.). Contacts Allemand. Journal d'un demi-siècle. Pp. 405. (Ed. Albin Michel, 1950, frs. 390).

EKART (A.). Echappé de Russie. Pp. 444 (Hachette, 1950, frs. 450).

COULONDRE (R.). De Stalin à Hitler. Pp. 334. (Hachette, 1950).

ZOLLER (A.). Douze ans d'auprès

Hitler. Pp. 248. (Ed. Rene Juliard, 1950, frs. 390).

CIORAN (E. M.). Précis de décomposition. Pp. 256. (N.R.F. Gallimard, frs. 340).

MOURIN (M.). Les complots contre Hitler (1938 - 1945). Pp. 216. (Ed. Payot, 1950, frs. 360).

HALDER (F.) gen. Hitler seigneur de la guerre. Pp. 142. (Ed. Payot, 1950, frs. 240).

FILozOFIA

MONNEROT (J.). Sociologie du Communisme. Pp. 508. (N.R.F. Gallimard, frs. 700).

MOUNIER (E.). Le personnelisme. Pp. 136. (Presses Universitaires de France, 1950).

TEATR

AYME (M.). Clérambard. Pp. 255. (Ed. Bernard Grasset, 1950, frs. 330).

PSYCHOLOGIA

DEUTSCH (H.). La psychologie des femmes. T. I.: Enfance et adolescence. Pp. 327. (Presses Universitaires de France, 1949, frs. 600).

DEUTSCH (H.). La psychologie des femmes. T. II.: Maternité. Pp. 418. (Presses Universitaires de France, 1949, frs. 700).

EKONOMIA

JAMES (E.). Histoire des théories économiques. Pp. 329 (Flammation, 1950, frs. 450).

HISTORIA

JARS (R.). La campagne de Pologne. Pp. 222. (Ed. Payot, 1949, frs. 525).

GRUNWALD de (C.). Bismarck. Pp. 487. (Ed. Albin Michel, 1949, frs. 690).

Bibliografia

Polonica niemieckie od 1.IX. 1939 do 31. XII. 1948 roku

Kalendarzyk wartownika. Bamberg 1945. Str. 64.

Kalendarzyk 1946. Biuro Prasowe Biskupa Polowego W. P. we Frankfurcie 1945. Str. 24.

KALDUŃSKI, ALOJZY, Ks. *Pamiętka z uroczystej procesji Bożego Ciała na Obczyźnie.* (Zbiorek pieśni kościelnych). Wydanie Ośrodka Polskiego, Aschaffenburg 1946. Str. 8.

KAPAŁA, FELIKS. *Kolendy polskie z nutami.* Wydawn. Instytut Wydawniczy «Rodło», Murnau 1945. Str. 22. (Nakł. 5.000 egz.).

KAROLAK, ZYGMUNT. *Szkice. Rysunki wykonane w Niemczech 1945-1946.* Wydawca J. Ziemiński. Hanower 1946. Str. 2 + 29 tabl.

Katalog Domu Książki Polskiej Nro 1. Stuttgart 1946. Str. 16. (Nakł. 2.000 egz.).

Katalog Domu Książki Polskiej Nro 2. Stuttgart 1946. Str. 8. (Nakł. 2.000 egz.).

Katalog Domu Książki Polskiej Nro 3. Stuttgart 1947. Str. 10 (Nakł. 2.000 egz.).

Katalog Domu Książki Polskiej Nro 4. Stuttgart 1948. Str. 11 + 1 nlb. (Nakł. 5.000 egz.).

Katalog Domu Książki Polskiej Nro 4A. Stuttgart 1948. Str. 11 + 1 nlb.

Katalog Księgarni Społecznej Hanower. Hannover 1948. Str. 8.

POLSKA

PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNIE

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism wychodzących na emigracji, m. in. *KULTURY*, *WIADOMOŚCI* i *ORLA BIAŁEGO*.

Katalog Międzynarodowej Księgarni Wysyłkowej Nro 8. Wydawcy: Jan Ziętkiewicz, Hamburg i Udod Daniel, München-Obermenzing. Hamburg 1948. Str. 20 nlb. (Nakł. 12.500 egz. Powielacz).

Katalog nowy „Jutra Pracy” Nro 4. Wydawn. „Jutra Pracy”, Lippstadt 1948. Str. 15 + 1 nlb.

Katalog nowy „Jutra Pracy” Nro 5. Wydawn. „Jutra Pracy”, Lippstadt sierpień 1948. Str. 20.

Katalog (Świąteczny) „Jutra Pracy” 1948. Wydawn. „Jutra Pracy”, Lippstadt 1948. Str. 12 nlb.

Katalog Wydawnictw Polskich w Niemczech. (Książki z katalogu są do nabycia w oddziałach Księgarni Społecznej Zjednoczenia Polskiego). Wydawca: Zjednoczenie Polskie. Prezydium Okręgu Reńsko-Westfalskiego. Referat Upowszechnienia Kultury, Voerden (Westf.), styczeń 1948. Str. 16.

Katalog wystawy Sztuki Polskiej na Obczyźnie — Bramsche, 25 - 31 lipiec 1946. Wydaw. (POKA) Polski Ośrodek Kulturalno-Artystyczny, Hanower 1946. Str. 6 + 10 nlb. (10 fotoreprodukcji obrazów).

Katalog wystawy Sztuki Polskiej na Obczyźnie — Brunświk, wrzesień - październik 1946. Wydaw. (POKA) Polski Ośrodek Kulturalno-Artystyczny, Hanower 1946. Str. 6 + 10 nlb. (10 fotoreprodukcji obrazów).

Katalog wystawy Sztuki Polskiej na Obczyźnie — Hanower, 10 - 20 maja 1946. Wydaw. (POKA) Polski Ośrodek Kulturalno-Artystyczny, Hanower 1946. Str. 32. (15 fotoreprodukcji obrazów).

Katalog wystawy Sztuki Polskiej na Obczyźnie — Meppen, grudzień 1946. Wydaw. (POKA) Polski Ośrodek Kulturalno-Artystyczny, Hanower 1946. Str. 6 + 10 nlb. (7 fotoreprodukcji obrazów).

Katechizm dla polskich dzieci. Wydała Polska YMCA. Konstanza 1945. Str. 39. (Powielacz).

Katechizm Rzymsko-Katolicki. Przedruk Nowego Katechizmu Diecezjalnego dla Diecezji Gnieźnieńskiej i Poznańskiej. (Wydany staraniem Ks. Ziarniaka Dobromira i Ks. Szymaszki Jana z zasiłku oficerów polskich w Murnau). Dachau-Freimann 1945. Str. 111 + 1 nlb. (Nakł. 40.000 egz.). Wydanie I.

Katechizm Rzymsko-Katolicki. Przedrukowany z Nowego Katechizmu Diecezjalnego dla Diecezji Gnieźnieńsko-Poznańskiej. Wydawca Ks. Jan Szymaszek, Dachau-Freimann. Wydanie II w Augsburgu 1945. Str. 112 (Nakł. 10.000 egz.).

Katechizm Rzymsko-Katolicki. Przedruk z wydawnictwa Archidiecezji Gnieźnieńskiej. (Wydawca Ks. Jan Szymaszek). Wydanie trzecie. Augsburg 1946. Str. 111 + 1 nlb. (Nakł. 5.000 egz.).

Kazania na niedzielę i święta. Praca zbiorowa (pod redakcją Ks. Mgr. PAKŁA KAJKI), (wydawana) na prawach rękopisu.

Nakładem Funduszu Duszpasterstwa Szkolnego (w Lemförde). Drukowane w Powielarni Wydawnictw I Obozu Polskiego w Osnabrück. Rocznik I (zawiera 5 zeszytów wydanych w czasie od sierpnia do grudnia 1946). Str. (24 + 20 + 32 + 32 + 52) 172. (Powielacz. Nakł. 600 egz.).

Kazania na niedzielę i święta. Praca zbiorowa (pod redakcją Ks. Mgr. PAWŁA KAJKI), (wydawana) na prawach rękopisu. Nakładem Funduszu Duszpasterstwa Szkolnego (w Lemförde-Quakenbrück). Drukowane w powielarni Wydawnictw I Obozu Polskiego w Osnabrück. Rocznik II (zawiera 6 zeszytów wydanych w czasie od lutego do czerwca 1947). Str. (28 + 36 + 96 + 44 + 52 + 60) 316. (Powielacz. Nakł. 600 egz.).

Kazania na okres Bożego Narodzenia. Pomoc Kaznodziejska. (Praca zbiorowa). Zesz. 2. Wydawnictwo „Słowo Polskie”, Freimann k/Monachium, grudzień 1945 roku. Str. 12. (Powielacz. Nakł. 600 egz.).

Kazania z dziedziny moralności na niedzielę i święta całego roku. Przedruk dokonany przez Duszpasterstwo IV Obwodu Dywizyjnego, Brunświk 1945 w Powielarni Wydawnictwa „Głosu Ojczyzny”. Str. 156. (Powielacz — Przedruk z wydania wileńskiego „Marianum”).

KĘDZIERSKI, CZESŁAW. - BIRKENMAJER, J. *Czy już znacie?* (Książka dla dzieci z 18 tabl. wielobarwn. w tekście). Wydawnictwo Polskie R. Wegnera w Norymberdze 1945. Str. 44.

(KĘDZIERSKI, CZESŁAW). *Dzień kurcząt.* Opowiadania Wujek Česio. (Książka dla dzieci z 9 tabl. wielobarwn. i 8 ilustr. jednobarwn. w tekście). Wydawnictwo Polskie R. Wegnera w Norymberdze 1945. Str. 16.

KENNETH, S. DAVIS. *Dwight Eisenhower żołnierz demokracji.* Przekład z angielskiego ST. C.-Oficyna Warszawska na Obczyźnie 1947. Monachium 1947. Str. 110 + 4 nlb. (Nakł. 1500 egz.).

Kieszonkowy samouczek języka angielskiego Wydawnictwo Polskie R. Wegnera w Norymberdze 1945. Str. 39 + 1 nlb.

KLEMENSIEWICZ, ZENON. *Język polski.* Ćwiczenia i pogadanki gramatyczne dla II klasy gimnazjalnej. Wydawn. Polsk. Zw. Wychodź. Przymus. w Hanowerze 1945. Str. 49 + 3 nlb. (Przedruk wydania jerozolimskiego z 1943 r.).

KLEMENSIEWICZ, ZENON. *Język polski.* Ćwiczenia i pogadanki gramatyczne dla V klasy szkoły powszechnej. Wydawnictwo Związku Polaków w Hamburgu 1945. Str. 47. (Przedruk III-ego wydania londyńskiego).

(C. d. n.)

Jan KOWALIK.

Listy do Redakcji

Paryż, 14. VI. 1950.

Szanowny Panie Redaktorze,

W tegorocznym numerze 2/3 "Kultury" zechciał Pan ogłosić mój artykuł pt. "Refleksje wtórnego emigranta", w którym starałem się na zasadzie własnych obserwacji przedstawić sposób odnoszenia się w ciągu ostatnich lat społeczeństwa w kraju do zagadnienia powojennej emigracji. Artykuł ten wywołał w prasie emigracyjnej stosunkowo sporo komentarzy i z wycinków, które Pan Redaktor zechciał mi nadsyłać wynika, że obok licznych uwag pozytywnych inne były krytyczne, jak to zwykle bywa przy omawianiu zagadnień żywych, spornych i bolesnych. Wszystkie te komentarze stały jednak dotychczas pod względem formy i treści na normalnym w cywilizowanych "zachodnich" stosunkach poziomie.

Obecnie nadesłał mi Pan Redaktor egzemplarz londyńskich "Wiadomości" z 4 czerwca br., zawierający list p. Szymona Konarskiego, omawiający mój artykuł. Autor stwierdza, że pierwotnie ogłosić chciał ten list w "Kulturze", lecz nie mógł tego uczynić, ponieważ redakcja odmówiła mu gościny na swych łamach. Myślę, że odmowa nastąpiła w trosce o zachowanie poziomu pisma.

Istotnie list p. Konarskiego nie stanowi polemiki lub krytyki, lecz jest zwykłą napaścią; obok kilku ogólnikowych frazesów zawiera szereg osobistych aluzji, inwektyw i zwrotów obelżywych, podanych w sosie totalnej, godnej najlepszych wzorów nazistowskich lub sowieckich nietolerancji dla cudzych przekonań. Z tego rodzaju "publicystyką" oczywiście polemizować nie można.

L. MAŁECKI.

Szanowny Panie Redaktorze,

Mam nadzieję, że zechce opublikować Pan mój list, bym mogła w ten sposób dotrzeć do wszystkich czytelników Kultury, którzy zapewne czytając to pismo i czekając niecierpliwie co miesiąc na nowy numer, nie zdają sobie sprawy z jakimi ono trudnościami walczy i jak tylko dzięki ofiarności garstki ludzi dotychczas mogło wychodzić.

Czyż każdy z nas wśród swych przyjaciół nie mógłby znaleźć dwóch czy trzech nowych prenumeratorów, by zapewnić byt temu świetnemu miesięcznikowi, który stale z największym zainteresowaniem czytamy, pomimo, że z treścią niejednego artykułu się nie zgadzamy.

Czyż mamy dopuścić do jeszcze jednego zwycięstwa komunizmu, by po zniszczeniu wolnego polskiego słowa w Kraju zamilkło ono i zagranicą?

Wyrazy poważania łączę,

New York, dn. 4. VI. 1950.

Aniela MIECZYŚLAWSKA.

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; 1/2 strony 4.000 fr. fr.

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Dépôt légal: 3^e trimestre 1950.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
FRANCJA: "LIBELLA", 12, rue St-Louis en l'Île, PARIS IV ^e	120 fr.	770 fr.	1440 fr.
W. BRYTANIA: "GRYF", Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, LONDON E.C. 1.	3 sh.	13 sh.	39 sh.
WŁOCHY: Jan GROCHOWSKI, 81, via della Croce, ROMA.	200 lir	1200 lir	2000 lir
SZWECJA: Red. Norbert ŻABA, Kalkskärgatan 3/IV, STOCKHOLM.	2,50 kr.	12 kor.	22 kor.
NIEMCY: "Universum", (14 a). HEILBRONN/N., Badenerhof, US. Zone.	2,50 DM	15 DM	25 DM
ARGENTYNA: Jan Miecznikowski i Tadeusz Dąbrowski, "SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ", Av. Leandro N. Alem 641, BUENOS AIRES	4 peso	24 peso	48 peso
KANADA: BOOKS AND NEWSPAPERS AGENCY, H. R. Radomski, 83, Front St. E., TORONTO/ont	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Na stan New York — S. DZIARCZYKOWSKI, 414 Prospect Ave, BROOKLYN 15, N. Y. Na stan Illinois — Józef BIAŁASIEWICZ, 4917 West 24th Place, CHICAGO 50, Ill. Na stan California — L. DUDAREW-OSSETYNSKI, 28471 Ventura Boulevard, AGOURA, California. Na stan Michigan — Kazimierz TROJANOWSKI, 6042 Jos. Campau, DEDROIT 11, Mich. Na Stany Ohio, New Jersey, Pennsylvania, Indiana, Wisconsin, Florida, Virginia i West Virginia — Christian M. KRETOWICZ, 1828 Glenwood Ave, TOLEDO 2, Ohio. Na pozostałe stany — M. K. DZIEWANOWSKI, 38 Quincy Street, CAMBRIDGE, Mass.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA i KONGO BELG.: Marie Christ. JANTA-POLCZYŃSKA, 24, Grande Rue au Bois, BRUXELLES, 3, Konto Cheque Postal 244 113 — Bruxelles ..	25 bfr.	120 bfr.	210 bfr.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz KRUSZYŃSKI, 71, Raglan Street, Sydenham, JOHANNESBURG	3 sh.	16 sh.	30 sh.
AUSTRALIA: VISTULA (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, SYDNEY	4 sh.(a.)	£A1.0.3.	£A1.18.0.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmuje: Julia, BARCIŃSKA, RIO DE JANEIRO r. Erasmo Braga 227 s. 214	15 cruz	90 cruz	150 cruz
SZWAJCARIA: Zbigniew MAŁECKI, 8, Kistlerweg, BERN, 16	1,80 fr. szw	10 fr. szw	18 fr. szw

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

EASTERN QUARTERLY

NIEZALEŻNE PISMO W JĘZYKU ANGIELSKIM.
POŚWIĘCONE SPRAWOM EUROPY ŚRODKOWEJ
I WSCHODNIEJ, ROSJI ORAZ BLISKIEGO WSCHODU.

Numer lipcowy 1950 r. zawiera między innymi artykuły: Augusta Rei — The Prospects of a Truce with the Soviets. R. Wragi — Meaning and Consequences of the Communist victory in China. Gen. Pawła Szandruka — The Military Potential of the Ukraine. S. Gryziewicza — Post-War Agrarian Policy in Poland. Gen. K. Glabisza — Causes of the German Collapse in the 1941-1945 Russo-German Campaign. Antala Ullein-Reviczky'ego — A Wrongly Buttoned Waistcoat. F. A. Arciszewskiego — Russia in Carpathian Ruthenia and in Koenigsberg, oraz kronikę ważniejszych wydarzeń politycznych i przegląd książek.

Cena: 3/- za pojedynczy egz. (post free, Air Mail extra).

Wydawca: **The Morven Press Limited,**
32, Bolton Gardens, London S. W. 5 England.

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY

I INSTYTUTU LITERACKIEGO

NA W. BRYTANIĘ JEST

„GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą „Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać się do wymienionej firmy

Cena 200 frs.